



SERIAL TV
Kulawe konie
z Garym Oldmanem
na podstawie
powieści
Herrona

ULICA SZPIEGÓW

MICK
HERRON

W *Ulicy Szpiegów* Mick Herron powraca do wspaniałych upadłych agentów MI5. Kolejny tom serii, która szybko staje się klasykiem. „**Daily Express**”

MICK
HERRON

**ULICA
SZPIEGÓW**

przekład

ROBERT KĘDZIERSKI

ANNA KROCHMAL

 **insignis**

Tytuł oryginału
Spook Street

© Mick Herron, 2017

First published in 2017 by John Murray (Publishers)
An Hachette UK Company

John Murray (Publishers), Carmelite House,
50 Victoria Embankment, London EC4Y 0DZ
johnmurray.co.uk

Przekład
Robert Kędzierski, Anna Krochmal

Redakcja
Dominika Rychel, Marcin Piątek

Korekta
Pracownia 12A

Skład
Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej
Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2022
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-67323-51-2



Insignis Media
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków
tel. +48 (12) 636 2519
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)
[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1

Część pierwsza: Coś przypominającego słońce

2

3

4

5

6

7

8

9

Część druga: Coś innego niż deszcz

10

11

12

13

14

15

16

17

Podziękowania

Dla Juliet i Paula
(zamiast prezentu ślubnego)

A więc tak wyglądała wiosna w Londynie: kobiety w sięgających do kolan sukienkach w niebiesko-białe paski, mężczyźni w ciemnych marynarkach i pastelowych swetrach. Obie płci nosiły torby na ramię z większą liczbą klapek i zamknięć niż to konieczne; kobiety – czerwone lub czarne, mężczyźni – w zdrowym męskim kolorze jasnej skóry. Od czasu do czasu pojawiały się też czapki oraz opaski – nie zapominajmy o opaskach. Opaski w tężowe prążki nadawały nadgorliwy wygląd kobietom, jakby te zbyt nachalnie chwyciły się mody z czasów swojej młodości, choć naprawdę młode dziewczęta nosiły takie same akcesoria, najwyraźniej nic sobie z tego nie robiąc. Na stopy wkładano sandały lub japonki, twarze przyozdabiano szeroko otwartymi oczami, a mowa ciała była zarazem niema i pełna ekspresji – pozwalała na uchwycenie jednej chwili dobrego samopoczucia i promieniowanie nią. Ci plastikowi ludzie cieszący się nadejściem wiosny byli jak podświetleni od góry i od dołu, w tle dla ich przyjemności grało sobie bez sensu pianino, miniaturowy wodospad uparczywie wybijał rytm i Samit Chatterjee obserwował to wszystko, mruczając oczy, a jego ostre rysy wyrażały czujność i podejrzliwość.

Na ulicach pierwszy roboczy dzień roku ciągnął się żałośnie, taszcząc swój rozdzęty skacowany ciężar ku popołudniu, ale w Westacres, w przestronnym centrum handlowym na zachodnich obrzeżach Londynu, głównym motywem była mająca kiedyś nadejść wiosna; choć zanim nadejdzie, witryny będą już przywodzić na myśl leniwe letnie wycieczki. W kalendarzu z obrazkami na już przewróconej stronie nowy rok reprezentowały sanie, szaliki i przyjazne ludziki, ale rzeczywistość szła na niewiele kompromisów, a życie po tej stronie witryn niezbyt przypominało żywot, jakim cieszyły się manekiny. Tu zblazowani ludzie robiący zakupy przechodzili mozolnie z punktu do punktu po niebezpiecznie śliskiej mokrej podłodze; zmęczeni zatrzymali się, by odpocząć na betonowej półce otaczającej ozdobny zbiornik wodny, w którym kołysał się styropianowy kubek z pianą na krawędzi. Ta fontanna stanowiła centralny punkt, w którym spotykały się prowadzące ze wszystkich stron korytarze, i każdy, kto robił zakupy w Westacres, prędzej czy później tędy przechodził. A więc naturalnie to tu najczęściej przebywał Samit, by móc lepiej przyjrzeć się klientom.

Za którymi nie przepadał. Gdyby Westacres było świątynią, jak czasem je określano, o wiernych można by powiedzieć, że niezbyt ściśle przestrzegają zasad. Bo żaden z prawdziwych wiernych nie wyrzuciłby śmieci po żarciu na wynos do chrzcielnicy w swojej katedrze, a nikt, kto szczerze pragnąłby przestrzegać reguł swojej religii, nie wypiłby sześciopaku strongbowa przed wpół do dziesiątej rano, by potem to wszystko zwrócić na podłogę swojego kościoła. Jako pobożny muzułmanin Samit nie mógł znieść praktyk, których na co dzień był świadkiem, ale jako jeden z oddanego zespołu funkcjonariuszy porządkowych – lub, jak sami się nazywali: ochroniarzy – powstrzymywał się od wołania o bożą pomstę na bezbożnikach i zadowalał się udzielaniem surowych ostrzeżeń osobom, które śmieciły, oraz eskortowaniem nietrzeźwych do wyjścia. Przez resztę czasu wskazywał drogę, pomagał namierzyć zagubione dzieciaki, a raz nawet – wciąż często wracał do tego myślami – ścigał i zatrzymał kieszonkowca.

Tego popołudnia nie doświadczył jednak takich rozrywek. Powietrze było paskudnie wilgotne, łaskotanie w gardle świadczyło o zaczynającym się przeziębieniu i Samit zastanawiał się właśnie, gdzie by tu załatwić sobie kubek herbaty. I w tym momencie się zjawili: trójka młodych ludzi zbliżających się wschodnim korytarzem. Jeden niósł wielką czarną podręczną torbę. Samit zapomniał o bólu gardła.

Wielki paradoks centrów handlowych polegał na tym, że dla zysku i dobrego prosperowania kluczowe było przyciągnięcie młodych ludzi, lecz ze względu na spokój i harmonię stawało się naprawdę niepożądane, by się po tym centrum kręcili. Najlepiej, żeby się zjawiali, zostawiali pieniądze i czym prędzej znikali. A więc gdy młodzież przybywała trójkami, z czarną podręczną torbą, należało spodziewać się najgorszego. Albo przynajmniej musiało się być gotowym na odrobinę szaleństwa.

A więc Samit rozejrzał się, obracając się wokół własnej osi, i odkrył jeszcze dwie grupki zbliżające się północną alejką. Jedna składała się z młodych kobiet, które wydawały się uważać świat za źródło niekończącej się wesołości; druga była zbieraniną – wszyscy w dżinsach obwisłych w kroczu i niezasznurowanych sportowych butach. Mówili jamajskim slangiem, typowym dla urodzonych w Londynie nastolatków. Od zachodu: ta sama historia, też zbliżający się nastolatki, mnóstwo, i nagle te wszystkie grupki nie wydawały się już oddzielne, lecz tworzyły coś w rodzaju masowego zgromadzenia kierowanego jedną inteligencją. Wciąż trwał okres świąteczny i można się było spodziewać tłumów młodzieży w centrum handlowym, ale... gdybyś miał jakiegokolwiek wątpliwości, zgłoś to, powiedziano Samitowi. A teraz miał wątpliwości; nie tylko przez te dzieciaki, przez samą ich liczbę – ciągle zjawiało się ich więcej – ale też przez to, jak zbliżały się do niego; zupełnie jakby Samit Chatterjee miał za chwilę być świadkiem rozkwitu jakiegoś nowego ruchu; być może obalenia tej kolosalnej świątyni, której miał strzec.

Teraz zewsząd zaczęli się zjawiać inni ochroniarze przyciągani tym napływem ludzi. Samit pomachał do nich z przejściem i sięgnął po radio dokładnie w chwili, gdy pierwsza trójka zatrzymała się pośrodku i postawiła podręczną torbę na podłodze. Gdy wcisnął przycisk nadawania, rozpięli suwak torby, ukazując, co zawierała. A gdy mówił, zaczęło się – dokładnie w tej samej chwili cały ten tłum, dziesiątki dzieciaków kłębiących się przy fontannie, blokujących wejścia do sklepów, wspinających się na małą architekturę wokół fontanny, wszyscy naraz zdjęli kurtki i płaszcze, odsłaniając wesołe kolorowe koszule w krzykliwych barwach, i wtedy chłopacy wcisnęli przyciski wielkiego przenośnego magnetofonu w stylu retro, który wypakowali, i centrum handlowe załało bardzo głośny basowy rytm.

Living for the sunshine, woah-oh.

I wszyscy zaczęli tańczyć – ręce uniesione nad głowami, nogi wyrzucane wysoko w górę, kołyszące się biodra, stopy poruszające się w każdą możliwą stronę – nikt z nich nie chodził na kurs tańca, to pewne, ale te dzieciaki wiedziały, jak się bawić, i to właśnie robiły.

I'm living for the summer.

I czy to nie było przyjemne? Flash mob, uświadomił sobie Samit. Wielki szal jakieś osiem czy dziesięć lat temu, odkryty na nowo przez kolejne pokolenie. Samit widział już raz flash mob na stacji Liverpool Street: znajdował się wtedy na obrzeżach i bardzo chciał dołączyć, ale coś – coś? zakłopotanie nastolatka – go wtedy powstrzymało i mógł jedynie obserwować, jak tłum wpada w radosną zaplanowaną spontaniczność. Jednak ten flash mob miał miejsce podczas jego zmiany, więc należało go powstrzymać, ale w tej chwili nie mógł zrobić nic – coś takiego zdołałyby teraz rozpędzić tylko psy i megafony. Nawet dorośli dawali się ponieść, wybijali letni rytm, a jeden, ten w samym środku, zaczął rozpinać guziki płaszcza. I na jedną ślepą chwilę Samita również porwała ta nabrzmiewająca radość bycia żywym, mimo wilgoci, mimo chłodu, i przyłapał się na tym, że jego usta się wykrzywiają – w uśmiechu albo żeby zaśpiewać refren: *living for the sunshine woah-oh*, i nawet Samit nie był tego pewien, i musiał unieść rękę do ust, żeby ukryć swoją reakcję. Tym gestem zasłonił zęby, na podstawie których później zidentyfikowano jego zwłoki.

Ponieważ wybuch – gdy już nastąpił – niewiele pozostawił w nienaruszonym stanie. Strzaskał kości i stał na proch wszystko, co tylko mógł, redukując wszelkie pobliskie życie do zwęglonych szczątków.

Szyby zmieniły się w szrapnele, a fontanna zasyczała, gdy wpadały do niej płonące fragmenty budynku, cegieł, plastiku i ciał. Wściekła kula ognia pochłonęła muzykę i tańczących, posyłając pulsującą falę gorąca i powietrza wszystkimi czterema alejkami, zaś wiosenne manekiny w swoich nieskazitelnych ubraniach zostały wydmuchnięte zza wspomnienia witryn. Trwało to tylko sekundy, ale nigdy się nie skończyło i ci, którzy pozostali przy życiu – rodzice i krewni, kochankowie i przyjaciele – mieli na zawsze zapamiętać tę datę jako dzień nieodbieranych telefonów i samochodów pozostawionych na parkingach; dzień, w którym coś przypominającego słońce rozkwitło w niewłaściwych miejscach, wypalając swój niezacieralny obraz w życiu tych, których tam zastało.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Coś przypominającego słońce

Jak powszechnie wiadomo, gorąco się wznosi, lecz nie zawsze bez wysiłku. W Slough House jego wznoszeniu się towarzyszą hałasy i bulgotanie, słyszalne dowody wymuszonego i bolesnego przeciskania się przez rozklekotane rury, i gdyby można było jakimś magicznym sposobem usunąć z budynku instalację grzewczą i przyjrzeć się jej niczym wolno stojącemu egzoszkieleтови, okazałoby się, że cała składa się z przecieków; przypominałaby artretycznego dinozaura o stawach powykrzywianych pod dziwnymi kątami w miejscach niezaleczonych złamań i pęknięć; jego poplamione, zardzewiałe kończyny stanowiłyby bezładną płataninę i słabo oddawałyby ciepło. Natomiast serce tej bestii – kocioł – nie tyle by biło, co trzepotało się w triphopowym rytmie, a jego sporadyczne przyplwy entuzjazmu wytwarzałyby eksplozje gorąca w nieprawdopodobnych miejscach; owe nieregularne palpacje to efekt usiłujących się wydostać balonów powietrza. Już od drzwi można usłyszeć pukanie tego przestarzałego systemu grzewczego i brzmi to tak, jakby ktoś uderzał kluczem nastawnym o metalową balustradę; jakby to była zaszyfrowana wiadomość przekazywana z jednej zamkniętej celi do drugiej.

To zupełnie niedziałający, nieekonomiczny bajzel, lecz jednocześnie zbiorowisko podłych biur – tuż przy stacji metra Barbican na Aldersgate Street w gminie Finsbury – nie słynie z wydajności ani sprzętu, ani personelu. Gdybyśmy wzięli pod uwagę zdolności komunikacyjne tych, którzy tu pracują, to równie dobrze mogliby walić kluczami francuskimi w rury, choć w ten zimny styczniowy poranek, dwa dni po tym, jak w przerażającym akcie terroru w centrum handlowym Westacres życie straciło ponad czterdzieści osób, w Slough House usłyszeć można inne hałasy. I tym razem nie dobiegają one z gabinetu Jacksona Lamba – spośród wszystkich, którzy pracują w tym budynku, być może to on najlepiej dostosował się do jego rozklekotanej instalacji grzewczej, ponieważ i jemu nieobce są wewnętrzne bulgoty i nagłe ciepłe beknięcia – ale w tej chwili jego gabinet jest pusty, a jedynym źródłem najróżniejszych odgłosów pozostaje kaloryfer. Natomiast w pokoju naprzeciwko – jeszcze kilka miesięcy temu należącym do Catherine Standish, teraz zaś do Moiry Tregorian – odbywa się przynajmniej jakaś rozmowa, choć z konieczności dość jednostronna, jako że Moira Tregorian jest obecnie jedyną osobą w tym pomieszczeniu. Jej monolog składa się z emfaticznych sylab – jakieś „ha!” tu czy „eee” tam – poprzeplatanych niekiedy dłuższą frazą: „Nigdy nie sądziłam, że doczekam tego dnia” albo „Rany, a cóż to takiego?”. Jakiś młody człowiek, który by tego słuchał, mógłby dojść do wniosku, że Moira rozmawia przez telefon, w rzeczywistości jednak wypowiedzi skierowane są do papierów leżących na jej biurku – papierów, które nagromadziły się pod nieobecność Catherine Standish w sposób nieskażony jakimikolwiek kryteriami organizacji – czy to chronologicznymi, alfabetycznymi czy też zdroworozsądkowymi, jako że zostały tu odłożone przez Lamba, którego maniackalne zamiłowanie do porządku musiałyby się jeszcze trochę rozwinąć, nim można by je sklasyfikować jako neurotyczne lub choćby zauważalne. Zalega tu mnóstwo arkuszy papieru, z których każdy musi gdzieś trafić, zaś na odkrywaniu owych „gdzieś” polega dzisiejsza praca Moiry, a także wczorajsza i jutrzejsza. Gdyby Lamb robił to w świadomy sposób, nie dałby rady wymyślić trafniejszego wprowadzenia w zasady obowiązujące tu, w tym administracyjnym lochu służb wywiadowczych, na którego czele stoi, lecz prawda jest taka, że Lamb nie tyle powierzył te dokumenty pieczy Moiry, co po prostu pozbył się ich, ponieważ jego rozwiązaniem problemu niechcianej papierkowej roboty jest przekazać ją dalej

i zapomnieć. Moira, dla której to drugi dzień w Slough House i która nie zdążyła jeszcze poznać Jacksona Lamba, zdążyła już dojść do wniosku, że gdy to ostatnie nastąpi, powie mu parę ostrych słów. I w chwili, gdy energicznie kiwa głową do tej myśli, kaloryfer syczy jak kot z demencją, przerażając ją do tego stopnia, że Moira puszcza papiery, które trzyma w rękach, i zaraz musi starannie je pozbierać, nim znów zrobi się w nich bałagan.

Tymczasem z niższego piętra dobiegają inne odgłosy: szmer z kuchni, gdzie przed chwilą zagotowała się woda w czajniku, i szum niedawno otwieranej lodówki. W kuchni znajdują się River Cartwright i Louisa Guy, oboje z kubkami gorących napojów w rękach; Louisa niemal nieprzerwanie komentuje wszelkie problemy i zgrzyzoty towarzyszące zakupowi nowego mieszkania. Mieści się ono spory kawałek dalej, jak to zwykle bywa z londyńskimi mieszkaniami, na które człowieka stać, jednak to, jak Louisa przedstawia jego rozmiar, wygodę i niezagrazony stan, świadczy o jakimś nowym poziomie zadowolenia, którego River z radością byłby świadkiem, gdyby nie zadumał się nad czymś zupełnie innym. I przez cały ten czas za jego plecami drzwi prowadzące do biura Rivera skrzypią na rozregulowanym zawiasie nie dlatego, że w tej chwili akurat ktoś ich używa, lecz w ogólnym proteście przeciw przeciągom dręczącym Slough House oraz w tym przypadku przeciwko hałasom piętro niżej.

Choć jego drzwi są nieużywane, pokój Rivera nie jest pusty, ponieważ siedzi w nim jego nowy kolega – kulawy koń od jakichś dwóch miesięcy. Garbi się na swoim krześle, a na głowę naciągnięty ma kaptur od bluzy. Nic prócz jego palców się nie porusza, te jednak przesuwają się nieustannie; odsunął na bok klawiaturę, by zrobić na to miejsce, i choć postronny obserwator nie dostrzegłby nic prócz człowieka, który najwyraźniej nie potrafi usiedzieć spokojnie, J.K. Coe bezgłośnie odtwarza na porysowanej powierzchni swego biurka to, co przewija mu się w głowie za sprawą jego iPoda: improwizowany recital fortepianowy Keitha Jarretta z Osaki z 8 listopada 1976 roku, z jednego z koncertów Sun Bear; palce Coego naśladowują melodię, którą Jarrett odkrył tamtego wieczoru tak wiele kilometrów stąd i tyle lat temu. Jest to bezgłośnie echo geniuszu innego człowieka służące dwóm celom: zagłuszeniu pośpejnych myśli Coego oraz wytłumieniu hałasów, które w przeciwnym razie zajmowałyby jego umysł – na przykład dźwięku mokrego mięsa uderzającego o podłogę czy szumu elektrycznego noża w ręce nagiego intruza. Ale wszystkie te rzeczy Coe zachowuje dla siebie i jeśli chodzi o Rivera oraz pozostałych pracowników Slough House, J.K. Coe pozostaje niewiadomą, opakowaną w tajemnicę ukrytą w zagadce, zaś cały ten pakiet przybrał postać opryskliwego, niekomunikatywnego ciołka.

Jednak nawet gdyby jodłował, i tak nie przebiłyby się przez natarczywe hałasy dobiegające z niższego piętra. Nie żeby ten harmider dobiegał z pokoju Rodericka Ho albo był głośniejszy niż zwykle (szum komputerów; grzechot ze słuchawek iPoda Ho załadowanego agresywniejszą muzyką niż w przypadku Coego; jego nosowe pogwizdywanie, z którego nie zdaje sobie sprawy; gumowy pisk obrotowego krzesła, kiedy się na nim porusza). W atmosferze tego pokoju zaskakujące jest – albo byłoby zaskakujące dla kogoś, kto postanowiłby tu posiedzieć, choć nikt tego nie robi, bo to przecież pokój Ho – że jest ona optymistyczna. A nawet wesoła. Zupełnie jakby w ostatnim czasie serce Roddy'ego Ho ogrzewało coś jeszcze prócz jego poczucia własnej wyższości, co bardzo by się przydało, biorąc pod uwagę, że kaloryfer raczej nie jest w stanie ogrzać niczego: czy to serca, czy to innych części ciała. W tej chwili wspomniany kaloryfer kaszle i z sykiem wypływa z zaworu wodę na dywan. Ho tego nie zauważa i nie rejestruje także następującego chwilę później bulgotu dobiegającego gdzieś z głębi systemu rur – dźwięku, który wystraszyłby wiele szanujących się zwierząt: koni, lwów, tygrysów – ale dla Ho to nic takiego, nie dlatego, że jest nadzwyczaj wyluzowanym gościem, choć sam się za takiego uważa, lecz dlatego, że po prostu tego nie słyszy. A powód owego stanu rzeczy jest taki, że wszystkie te odgłosy – plusk i bulgot trzewi kaloryfera, jęki i stukoty rur, chłupot całego tego

egzoszkieletu – zagłuszają hałasy dobiegające z sąsiedniego pokoju, gdzie Marcus Longridge podtapia Shirley Dander.

- Blup-blop-ops-kha-blooo!
- No tak. Nic z tego nie zrozumiałem.
- Bluuuumph!
- Przepraszam, czy to znaczy...
- BLUUUMP!
- ...wuj?

Krzeseł, do którego Shirley przywiązana była paskami i szalikami, opierało się pod kątem o jej biurko i kiedy wygięła plecy, prawie przewróciło się na podłogę. Głośny trzask wskazywał na poważne uszkodzenie. W tej samej chwili zasłaniająca jej twarz flanela smagnęła o dywan jak jakieś martwe morskie stworzenie uderzające o skałę. Shirley przez chwilę wydawała podobne odgłosy; gdyby kazano ci zgadywać, mógłbyś zaryzykować stwierdzenie, że ktoś próbuje wywinąć się na drugą stronę bez użycia narzędzi.

Marcus, cicho pogwizdując, odstawił dzbanek na szafkę na akta. Trochę wody chlapnęło mu na sweter – jasnoniebieski, z merynosa, z dekoltem w szpic – i próbował ją zetrzeć z mniej więcej takim rezultatem, jak to zwykle bywa. Potem usiadł i zapatrzył się w swój monitor, na którym już od dłuższego czasu widać było wygaszacz ekranu: czarne tło, po którym poruszała się pomarańczowa piłka, odbijając się bez końca od ścian w swej drodze bez wyraźnego celu. O tak: Marcus wiedział, jakie to uczucie.

Po paru minutach Shirley przestała kaszleć.

Po jeszcze kilku powiedziała:

- Nie było aż tak źle, jak mówiłeś.
- Wytrzymałaś niecałe siedem sekund.
- Gówno prawda. To było jakieś pół godziny i...
- Siedem sekund, pierwszych parę kropli i wtedy powiedziałaś to coś. Blup? Blop? – Walnął w klawiaturę i wygaszacz ekranu zniknął. – Nawiasem mówiąc, nie na takie hasło bezpieczeństwa się umawialiśmy.

– Ale i tak przestałaś.

– I co ci mam powiedzieć? Zaczynam mięknąć.

Na ekranie pojawił się arkusz kalkulacyjny. Marcus z początku nie potrafił sobie przypomnieć, co przedstawia. W ostatnim czasie w tym pokoju wykonywano niewiele pracy.

Shirley uwolniła się z szalików i pasków.

- Nie mierzyłeś porządnie czasu.
- Mierzyłem perfekcyjnie – odparł, przeciągając to słowo: per-fek-cyj-nie. – Jest tak, jak mówiłem, nikt sobie z tym głównym nie radzi. Dlatego wampiry tak to lubią.

Wampiry oznaczały tych, których praca polegała na wyciskaniu krwi z kamieni.

Shirley rzuciła w niego mokrą flanelą. Nie odrywając wzroku od monitora, złapał ją jedną ręką i skrzywił się, gdy wszędzie rozbryznięta się woda.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma za co. – Wytarła sobie głowę do sucha, trwało to pięć sekund. – To co, teraz pora na ciebie?

– Możesz sobie pomarzyć.

Pokazała mu język. A potem zapytała:

- No dobra, byłbyś gotów to zrobić?
- Właśnie to zrobiłem, nie?
- Ale tak na serio. I robić to dalej.

Marcus podniósł wzrok.

– Gdyby to miało powstrzymać kolejne Westacres, to, kurwa, tak, jak najbardziej. Robiłbym to, dopóki ten sukinsyn nie powiedziałby mi wszystkiego. I gdybym go przy okazji utopił, nie przejąłbym się zbytnio.

– To by było morderstwo.

– Wysadzenie w powietrze czterdziestu dwóch dzieciaków w centrum handlowym to jest morderstwo. Zabicie podejrzanego o terroryzm za pomocą waterboardingu to robienie porządków.

– Filozofia według Marcusa Longridge'a, tom pierwszy.

– Tak to mniej więcej można podsumować. Ktoś musi robić to gówno. A może wolałabyś wypuścić terrorystę z obawy, że pogwałcisz jego prawa człowieka?

– Jeszcze chwilę temu był tylko podejrzewany o terroryzm.

– I oboje wiemy, co to oznacza.

– Wciąż ma swoje prawa.

– Tak jak tamte dzieciaki? Powiedz to ich rodzicom.

Mówił coraz głośniejsze, ale oboje nabrali nawyku, by się tym nie przejmować, bo ostatnio rzadko Lamb był w pobliżu. Co naturalnie nie oznaczało, że nie mógł się w każdej chwili pojawić – mimo swojej tuszy upiornie cicho poruszał się po schodach, więc jego obecność zdradzał dopiero nikotynowy oddech i kwaśna mina: „Zabawiamy się, co?” – ale dopóki do tego nie doszło, Shirley uważała, że równie dobrze mogą migać się od roboty.

– Może i tak – odparła. – Po prostu nie wydaje mi się, żeby to było takie proste.

– Tak, bo kiedy już robi się gorąco, rzeczy stają się proste naprawdę szybko. Myślałam, że sama już do tego doszłaś. A tak w ogóle – wskazała na krzesło, na którym przed chwilą siedziała – lepiej to upchnij do pokoju Ho.

– Czemu?

– Zepsuło się.

– Ach. No tak. Myślisz, że nas nie podkabluję?

– Jeśli ceni sobie te klaczki z dupy, które nazywa brodą, to nie – stwierdził Marcus, głaszcząc się po swojej. – Jak nagada na nas Lambowi, to mu je powyrywam.

Pewnie tylko tak mówi, pomyślała Shirley, ale istniała możliwość, że szykuje się niezła atrakcja.

Marcus to Marcus, więc nigdy nie wiadomo.

Gdyby Roderick Ho zdawał sobie sprawę, że jest tematem brutalnych fantazji kolegów, zrzuciłby to na karb ich zazdrości.

Bo nie dało się zaprzeczyć, że wyglądał fantastycznie.

I nie on jeden tak uważał.

Zjawił się w Slough House jak zwykle w świetnym nastroju: wszedł jak gdyby nigdy nic, ubrany w nowiutką kurtkę (czarną, skórzaną, do pasa – jeśli taką masz, to się tym pochwal!), i otworzył puszkę red bulla, którego wypił duszkiem, kiedy jego sprzęt się uruchamiał. Nie, no poważnie, zaczynało go to wkurzać: jego sprzęt w Rod-padzie działał na wyższych parametrach, niż zapewniało MI5, ale co na to poradzić – wyjaśnić Jacksonowi Lambowi, że jeśli Slough House ma kiedykolwiek wypełznąć z lat

dziewięćdziesiątych, trzeba by zdecydować się na bardzo poważne wydatki...? Przez chwilę rozwijał w myślach ten scenariusz: „Jackson, naprawdę, zaufaj mi, garniturki muszą się tym zająć. Proszę mnie, żebym pracował na tym gównie, to jak... cóż, ujmijmy to w ten sposób: poprosiłbyś Paula Pogbę, żeby kopał puszkę?”. A Lamb zaśmiały się cicho i uniośł do góry ręce, udając, że się poddaje: „Już dobrze, wygrałeś. Przekonam tych mądrały z Regent’s Park, żeby sygneli kasą...”.

Doszedł do wniosku, że uderzył we właściwą strunę.

Jeśli Lamb w ogóle się pojawi, zdecydowanie tak powinien to z nim rozegrać.

A tymczasem splótł palce i strzelił kostkami. Kliknął Amazon, napisał jednogwiazdkową recenzję pierwszej lepszej książki, po czym przyjrzał się swojej brodzie w lusterku, które przymocował do lampy stołowej. Diabelnie elegancka! Wśród czarnych włosów było jedno rude pasemko, ale wszystko da się załatwić pęsetą, a nawet jeśli zarost nie osiągnął idealnej symetrii, zwykłe kuchenne nożyczki sobie z tym poradzą. Nie sposób wyglądać aż tak dobrze bez jakiegokolwiek wysiłku. To nie żadna wielka filozofia, ale ten prosty fakt jakoś umykał tutejszym ptasim mózdzkom – oczywiście nie wymieniając z nazwiska Rivera Cartwrighta.

He, he, he.

Cartwright na gorze w kuchni gadał z Louisą. Nie tak dawno był taki czas, kiedy Roddy musiał trzymać Louisę na dystans. Było jasne, że wpadł jej w oko; trochę to żenujące, ale tak właśnie było. Nie żeby była zupełnie beznadziejna. We właściwym świetle rzucała całkiem ładny cień, ale była stara, po trzydziestce, a kiedy kobiety wkraczają w ten wiek, pojawia się w nich jakiś rodzaj desperacji. Wystarczy na chwilę okazać słabość, a zaraz będą wybierać firanki i proponować spędzenie spokojnego wieczoru w domu. Ale nie tak gra w tę grę Roderick Ho. A więc sayonara, laseczki. Będąc z natury taktownym, przekazał jej jakoś, nie musząc tego wyraźnie artykułować, że Roddy jest poza jej zasięgiem; że klejnoty Roddy’ego nie są jej pisane. I trzeba jej przyznać, że jakoś się z tym pogodziła, nie robiąc z całej sprawy zbyt wielkiego halo – z wyjątkiem rzucanych od czasu do czasu tęsknych spojrzeń. W innych okolicznościach, pomyślał, nie byłoby w tym nic złego – przelecieć raz na jakiś czas samotną kobietę to przecież akt miłosierdzia – ale regularne dymancko z Roddym nie wchodziło w grę, a okrucieństwem byłoby rozbudzić w niej nadzieję.

Poza tym gdyby laska przyłapała go na tym, że pociesza inną kobietę, miałyby poważne kłopoty.

No proszę, liczba pojedyncza.

Laska, nie laski.

Roddy Ho znalazł sobie dziewczynę.

Wciąż nucąc pod nosem, wciąż w świetnym nastroju i wciąż fantastycznie wyglądając, Ho odwrócił się do monitora, metaforycznie zakasał rękawy i zanurkował w dark webie, głuchy na nieustanne gulgotanie kaloryfera i pluski w rurach łączących jego pokój z pozostałymi.

Co to za sakramencki hałas?

Tylko że nikt nie musiał jej mówić, co to takiego, wielkie dzięki, to znów ten kaloryfer, który brzmiał jak kot, który ma za chwilę zwymiotować. Moira Tregorian odłożyła posortowaną przed chwilą stertę papierów – nie żeby „posortowaną” było właściwym słowem, ponieważ wszystkie zaliczały się do kategorii „dokumentów bez daty” – i przerwała pracę, by rozejrzeć się po nowym otoczeniu.

Jej pokój znajdował się na najwyższym piętrze; to był ten, który zwołniała jej poprzedniczka, mieszczący się najbliżej gabinetu pana Lamba. Osobiste rzeczy pozostawione przez Catherine Standish (która odeszła bardzo nagle) znajdowały się w kartonie zaklejonym taśmą; jej prywatne pióra, szklany przycisk do papieru, pełna butelka whisky zawinięta w bibułkę – kobieta miała problem z alkoholem,

ale przecież to Slough House. Tutaj każdy miał jakiś problem albo – jak to się teraz mówi – komplikacje. Moira przypuszczała, że właśnie dlatego ją tu przydzielono: żeby w końcu znalazł się tutaj ktoś z kręgosłupem.

Oczywiście wszędzie kurz. Cały budynek wyglądał na zaniedbany; wydawał się delektować tym stanem, jakby ścierka do kurzu mogła wywołać u niego napad szału. Poza tym na szybach zbierała się para, która skraplała się na ramie, gdzie widoczne były wykwyty pleśni – jeszcze trochę, a całe to miejsce zawali się człowiekowi na głowę... No cóż. Ktoś musiał się tym wszystkim stanowczo zająć. Najwyraźniej przerastało to tę biedną Catherine Standish, ale jeśli ktoś pozwala, by jego najlepszym przyjacielem była butelka, to naprawdę sam jest sobie winien.

Nie umknęło uwagi Moiry, że wśród formularzy czekających na przejrzenie znajdowało się zwolnienie Standish, na którym brakowało tylko podpisu Jacksona Lamba.

Credo Moiry Tregorian od dawna brzmiało, że to tylko dzięki papierom okręty wojenne nie toną. Wszyscy admirałowie we frymuśnych mundurkach mogli być na pokładzie, ale bez odpowiednich dokumentów okręt nigdy nie opuściłby portu. Zawsze była zagorzałą zwolenniczką porządku i nie obchodziło jej, kto o tym wie. W Regent's Park pilnowała Królowych Bazy Danych i dbała, żeby wyrabiały się ze wszystkim na czas i by ich sprzęt był regularnie serwisowany; by pozbywały się roślin doniczkowych, na których im tak zależało, gdy te już zwiędną; by materiały biurowe, które zużywały w zastraszających ilościach, były co tydzień uzupełniane i by zapisywano w dzienniku, kto co wynosi, bo Moira Tregorian nie była ślepa ani głupia. Może i karteczki samoprzylepne to tylko papier, ale nie rosną przecież na drzewach. A raz na jakiś czas, żeby pokazać, że niewiele jest rzeczy, których nie potrafi, brała zmianę jako oficer dyżurny: przyjmowanie zgłoszeń na telefon alarmowy i co tam jeszcze. Nic z tego nie było według niej szczególnie skomplikowane, ale mimo wszystko pełniła funkcję kierowniczkę biura i była z tego dumna. Pewne sprawy wymagały, by ktoś nimi kierował. Wystarczyło się tylko rozejrzeć, żeby zrozumieć, co się może stać, jeśli się to zaniedba. A chaos był wylęgarnią zła.

Kolejny głuchy odgłos dobiegający z dołu wskazywał na to, że chaos wygrywał bitwę o Slough House. Z braku innego orędownika Moira ostentacyjnie westchnęła i ruszyła na dół, żeby to sprawdzić.

– Mówisz, że ile ma lat?

– Jest po pięćdziesiątce – odparła Louisa. – Czyli...

– Mniej więcej w tym samym wieku co Catherine – stwierdził River.

– Mhm.

– Niemal jakby miała ją zastąpić – powiedział River. – No wiesz, ktoś przychodzi, ktoś odchodzi.

– Rozmawiałeś z Shirley?

– A czemu pytasz? Co mówiła?

– Nieważne – odparła Louisa.

Potrząsnęła głową, nie po to, żeby czemuś zaprzeczyć, tylko żeby odrzucić włosy opadające na oczy; teraz jej włosy były dłuższe i kiedy coś robiła – czytała, pracowała, prowadziła samochód – musiała używać spinki. Pozbyła się pasemek i pozwoliła, by jej włosy wróciły do naturalnego brązowego koloru, który w zimowych miesiącach stawał się nieco ciemniejszy. Z nadejściem wiosny trochę spłowieją, o ile będzie słonecznie; a jeśli nie, to, do licha, zawsze można wycisnąć nieco słońca z butelki.

W tej chwili wiosna wydawała się bardzo odległa.

– Chyba muszę trochę popracować – stwierdził River, zabrzmiało to jednak tak, jakby po głowie po cichu tłukły mu się inne myśli dotyczące zupełnie innej rozmowy.

Louisa zastanawiała się, czy chciał ją zaprosić na randkę i co by powiedziała, gdyby to zrobił.

Prawie na pewno by odmówiła. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zdążyła go poznać i w porównaniu z resztą „tutejszych” miał całkiem sporo zalet: nie był żonaty jak Marcus, nie był paskudnym typem jak Ho ani potencjalnym psychopata jak jego nowy kolega z pokoju. Jednak nie był też Minem Harperem. Min nie żył już dłużej, niż zdążyli być parą, i w żadnym razie nie próbowała go zastąpić, ale mimo wszystko: jeśli umówisz się z kolegą z pracy, porównania są nieuniknione. To nie mogło się dobrze skończyć. A więc jakiś sporadyczny drink po pracy był w porządku, ale nic poważniejszego nie wchodziło w rachubę.

Pomyślała, że prawie na pewno tak myśli. Ale pomyślała też, że może lepiej będzie zmienić temat, gdyby wyglądało na to, że River zamierza coś powiedzieć.

– Robisz coś później? – spytał.

– Tak. Nie. Co? Później?

– Bo jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać, ale lepiej nie tutaj.

O kurwa, pomyślała. No i proszę.

– Przepraszam, czy to prywatna rozmowa?

I oto zjawiła się Moira Tregorian. Louisa przez większość wczorajszego dnia usiłowała zapamiętać jej nazwisko. „Tregorian” ciągle dzieliło się na różne sylaby i układało w różnej kolejności. Co to, kornwalijski? Louisa wolała nie pytać z obawy, że odpowiedź zanudziłaby ją na śmierć. Ludzie czasem robili się dziwni, gdy pytało się ich o pochodzenie.

– Nie, tylko sobie rozmawialiśmy – odparł River.

– Hmm – mruknęła Moira Tregorian, a River i Louisa wymienili spojrzenia. Żadne z nich nie rozmawiało jeszcze dłużej z Moirą, a „hmm” nie wydawało się obiecującym początkiem.

Była po pięćdziesiątce, zgadza się, ale na tym kończyło się jej podobieństwo do Catherine Standish. Catherine miała w sobie coś z widma i była też silna – ta wewnętrzna siła pozwoliła jej pokonać alkoholizm, a w każdym razie codziennie na nowo z nim walczyć. River ani Louisa nie potrafili sobie przypomnieć, by kiedykolwiek na cokolwiek narzekała, co – biorąc pod uwagę jej codzienny kontakt z Jacksonem Lambem – wskazywało na cierpliwość Mandeli. Moira Tregorian mogła się okazać bardzo różna, ale na pewno nie miała w sobie nic z widma i nie zapowiadało się, że jest cierpliwa. Wydymała usta, a jej podbródek lekko się trząsał od jakichś tłumionych emocji. Pomijając to wszystko, miała metr sześćdziesiąt wzrostu, mysioszare włosy, które wyglądały jak mop, i nosiła czerwony rozpinany sweter, o którym Lamb na pewno miały coś do powiedzenia, gdyby w końcu się zjawił. Lamb nie przepadał za jaskrawymi kolorami; twierdził, że od nich staje się agresywny i robi mu się niedobrze.

– Bo coś mi się wydaje – odparła Moira – że dwa dni po wielkim ataku terrorystycznym na brytyjskiej ziemi moglibyście robić coś pożyteczniejszego. To wciąż jest ramię MI5, prawda?

Cóż, Slough House był nim i nie był.

Z pewnością pozostawał częścią tajnych służb, ale „ramię” to trochę za dużo powiedziane. Podobnie zresztą byłoby z „palcem”; palec mógł być na przycisku albo na pulsie. Lepsze byłyby już paznokcie – bo je się obcinało, wyrzucało i nigdy więcej nie chciało się mieć z nimi do czynienia. Tak więc Slough House był paznokciem MI5: geograficznie położony spory kawałek od Regent’s Park, zaś pod innymi względami – na innej planecie. Slough House był miejscem, w którym się lądowało, gdy zamykały się przed tobą wszystkie świetliste szlaki. To tu cię wysyłano, kiedy chciano, żebyś odszedł, ale nie zwalniano cię, na wypadek gdybyś zamierzał się procesować.

I choć to prawda, że w odniesieniu do bezpieczeństwa narodowego stan alarmowy podniesiono do najwyższego poziomu, sprawy nie dotarły jeszcze do punktu, gdy wszyscy krzyczą przez telefon:

„Sprowadźcie mi kulawe konie!”

– Gdyby było coś, co moglibyśmy zrobić, robilibyśmy to – powiedziała Louisa. – Ale tu, w biurze, nie mamy środków ani informacji, żeby robić coś pożytecznego. A na wypadek gdybyś jeszcze nie zauważyła, nie wysyłają nas w teren.

– No cóż, może i nie.

– To dlatego Marcus i Shirley próbują się trochę wyładować. Nie mogę się wypowiadać za Coego, ale przypuszczam, że odpłynął gdzieś przy swoim biurku. A Ho pewnie pielęgnuje brodę. To chyba już wszyscy.

– Nie spodziewamy się pana Lamba? – spytała Moira.

– Lamba?

– Tak, pana Lamba.

River i Louise wymienili spojrzenie.

– Ostatnio rzadko się pojawia – odparła Louisa.

– I to są... – River wykonał niejasny gest: to są ci ludzie rozmawiający w kuchniach i torturujący się nawzajem w swoich pokojach. Gdy kota nie ma, zwykł był mawiać Lamb, myszy zaczynają popierdywać o wolności i demokracji. Potem kot wraca w czołgu.

(„Przypomnij mi – poprosił go kiedyś River – po czyjej właściwie byłeś stronie za czasów zimnej wojny?”)

– Tyle tylko że zaprosił mnie na lunch.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, kaloryfer na półpiętrze beknął w dziwnie znajomy sposób, jakby próbował wcielić się w czyjąś rolę.

– Chyba właśnie miałam mały udar – odezwała się w końcu Louisa. – To niemożliwe, żebyś powiedziała to, co wydawało mi się, że usłyszałam.

– Poznałaś Jacksona? – spytał River.

– Wysłał mi e-maila.

– Czy to znaczy „nie”?

– Nie poznaliśmy się osobiście.

– A słyszałaś coś o nim?

– Mówiono mi, że jest dość specyficzny – odparła Moira Tregorian.

– I nikt ci nie powiedział, pod jakim względem?

– Nie ma potrzeby...

– Serio, nie poznałaś go? – przerwała jej Louisa. – Ale wysłał ci e-maila, w którym zaprosił cię na lunch? Kiedy?

– Napisał po prostu „wkrótce”.

– Co może oznaczać dzisiaj.

– Cóż... Tak właśnie pomyślałam.

– Odwrót na pozycje – mruknął River.

Uciekli, ale zanim każde zniknęło w swoim pokoju, River spytał:

– To jak, widzimy się później?

– Tak. Nie. Co? Później?

– Szybki drink – powiedział River. – Chodzi o to... – No i proszę, pomyślała Louisa. Zaraz to powie. – ...że martwię się o mojego dziadka.

Deszcz przestał padać, ale kiedy zawiął wiatr, z drzew wciąż spadały krople i bębniły o szyby, a z rynny nad gankiem, w której zebrały się liście, nadal ciekła woda. Na drodze pojawiła się mała laguna, która zatopiła trawiaste pobocze, a pęknięta główna rura we wsi na półtora dnia zablokowała drogę; woda zalewała asfalt w typowy dla siebie nieustępliwy sposób. Z ogniem można było walczyć, a nawet w pewnym sensie go oswoić; woda płynęła tam, gdzie chciała, potrafiła przez sto lat drążyć skałę albo w półtorej minuty porwać tę samą skałę i zanieść ją trzy kilometry dalej. Zmieniała też krajobraz, więc gdy wyglądałeś przez okno o świcie, mogło się okazać, że przeniosło cię gdzie indziej, kiedy spałeś; cały dom zawleczony do krainy, w której drzewa sterczały z głębin, szczyty żywoptłotów muskały powierzchnie jezior. Zdumiony tą różnicą mogłeś stracić orientację. A to ostatnia rzecz, jakiej byś sobie życzył, bo pewnego dnia mogłeś nie doświadczyć już niczego więcej.

Dobrze było się orientować, gdzie się jest.

Wiedzieć, kiedy się jest, było równie ważne.

To dobrze, pomyślał David Cartwright – dziadek Rivera zwany S.B. – że mam dobrą pamięć do dat.

Czwarty stycznia. Rok, jak zawsze, bieżący.

Jego dom znajdował się w Kent; stary dom z wielkim ogrodem, którym za dużo się nie zajmował po śmierci Rose. Zima zapewniała mu alibi: „Nie mogę się doczekać, żeby tam wrócić, mój chłopce. Życie jest lepsze, kiedy trzymasz w ręce szpadel”. Właściwie to gdy pierwszy raz zobaczył Rivera, pracował w ogródku. Zabawny sposób, by poznać swojego wnuka, wówczas już siedmioletniego. Wtedy uważał, że była to wina matki Rivera, ale takie proste osądy teraz wydawały się mniej oczywiste. Gdy te myśli chodziły mu po głowie, zawiązywał krawat; obserwował w lustrze swoje ręce wykonujące skomplikowane ruchy, które pozostawały poza zasięgiem świadomego mózgu. Niektóre rzeczy najlepiej robić, nie myśląc. Okazało się jednak, że wychowywanie córki nie jest jedną z nich.

Krawat natomiast leżał całkiem prosto. To ważne, by trzymywać jakieś standardy. Człowiek czyta o tych starych dziadkach w sztruksach poplamionych od sików, w kamizelkach włożonych na lewą stronę i z obślinionym podbródkiem.

– Jeśli kiedykolwiek coś takiego mnie spotka – nieraz instruował Rivera – zastrzel mnie jak konia.

– Zupełnie jak konia – odpowiadał mu oschle River.

Cholera, to właśnie tak ich nazywali tam, w Slough House. Kulawe konie. To było nadeptywanie młodemu człowiekowi na odcisk. Przypominanie mu o tym, jakiego narobił bajzlu.

Nie to, żeby sam nigdy nie dał plamy. Gdyby za jego czasów mieli coś takiego jak Slough House, to kto wie? Może śmiertelnie sfrustrowany spędziłby tam resztę swojej kariery – zmuszony siedzieć przy biurku i patrzeć, jak innych podrzuca się w ramionach. Rundy honorowe i co tam jeszcze. Chłopakowi tak się oczywiście wydawało: że w tym wszystkim chodzi o odwagę i chwałę. Ale prawda była taka, że chodziło o ciało i krew. Medali nie zdobywało się w blasku słońca. W ciemności wbijano nóż w plecy. To była paskudna robota i może chłopakowi lepiej będzie bez niej, choć oczywiście nie ma mowy, żeby mu o tym powiedzieć. Inaczej nie nazywałby się Cartwright. Tak jak jego matka, za którą David Cartwright potwornie tęsknił przez wiele lat, ale nie przyznał się do tego nikomu, nawet Rose.

Wszystkie te myśli, a on wciąż stał w przedpokoju. Co takiego zamierzał zrobić? Chwila pustki w głowie nadeszła i przeminęła tak gładko, że niemal nie zmarszczyła powierzchni. Chciał pójść do wsi. Musiał kupić chleb, bekon i co tam jeszcze. Później może odwiedzi go wnuk, więc chciał mieć w domu jakieś jedzenie.

Jego wnuk miał na imię River.

Ale zanim David wyjdzie, musi jeszcze sprawdzić, czy krawat prosto leży.

Podobnie jak językiem wciąż dotykamy bolącego zęba, rozmowa w pokoju Marcusa i Shirley ciągle powracała do Rodericka Ho, a konkretnie do sugestii zupełnie nieprawdopodobnej i wskazującej, że zbliża się koniec świata – sugestii, że Ho nie jest już singlem.

– Myślisz, że naprawdę znalazł sobie kobietę?

– Możliwe. To zaskakujące, do czego ludzie czasem są zdolni.

– Bo spokojnie może się okazać, że to laska z futem albo coś w tym stylu. A on dowiedziałby się o tym jako ostatni.

– Nawet Ho...

– Naprawdę, uwierz mi – odparła Shirley. – Jako ostatni.

– No dobra, mniejsza z tym – powiedział Marcus. – Ale wydaje się o tym przekonany. – Spojrzał z kwaśną miną w stronę drzwi i znajdującego się dalej pokoju Ho. – Mówi, że ma teraz jedną kobietę.

– Pewnie chodziło mu o to, że w sumie miał jedną.

Marcus, który z nikim się nie przespał, odkąd komornik zajął samochód jego żonie, burknął coś pod nosem.

Trzy minuty temu zajrzała do nich Louisa i uprzedziła, że być może pojawi się dziś Lamb. W efekcie oboje wpatrywali się w swoje monitory; w sumie całkiem nieźle udawali, że pracują, tyle tylko że Shirley wciąż była mokra. Marcusowi zdawało się, że jego monitor pulsuje. Nawet po całym tym czasie spędzonym w Slough House trudno mu było przystosować się do tutejszej rutyny: wyłączyć umysł i ciało, stać się automatem i przetwarzać przypadkowe zestawy informacji. Spalone pojazdy – tego dotyczył jego arkusz. Spalone samochody osobowe i furgonetki – które bynajmniej nie były niezwykłym widokiem w brytyjskich miastach. Sam taki widział w zeszłym tygodniu na parkingu przy supermarkecie – czarna skorupa pokryta osadem sadzy. Pewnie ukradły go jakieś dzieciaki, żeby poszaleć za kierownicą, a potem go podpaliły, bo to najprostszy sposób pozbycia się dowodów – małałaty, które go zabrały, musiały być przekonane, że policja aż się pali, by grupa techników kryminalnych skopała im gangsterskie dupska; że pobiorą DNA z siedzeń, zdejmą odciski palców z kierownicy. Bezpieczniej będzie ten wóz spalić i patrzeć, jak trzaska i odkształca się w płomieniach.

„A co, jeśli to nie takie proste?“, dopytywał Lamb. (Ważny szczegół: Lamb wcale nie chciał tego wiedzieć i zupełnie go to nie obchodziło. Lamb znalazł po prostu kolejny sposób marnowania czasu kulawym koniom). A co, jeśli te skore do podpalania dzieciaki nie tylko podpalały ukradzione bryki; co, jeśli eksperymentowały z tym, jak wysadzić samochód w powietrze? Obliczały promień wybuchu, określały potencjalne zniszczenia w zależności od siły ładunku? A więc oto Marcus, którego życiowa rola polegała na wyważaniu drzwi kopniakami, został przekwalifikowany na analityka; wpatrywał się w arkusz, w którym podzielono podpalone pojazdy z ostatnich pięciu lat według marki, lokalizacji, środka użytego, by przyspieszyć spalanie, i kilkunastu innych zmiennych... Zawsze istniała możliwość, że Lamb miał rację – każdy, komu ten pomysł wydawał się zbyt naciągany, mógł sobie włączyć telewizor i obejrzeć materiał o ubranych w kombinezony technikach grzebiących w popiołach Westacres. Ale, tak czy inaczej, to nie w tej części owego procesu powinien brać udział Marcus. Powinien być tym, którego by wzywali, gdyby podejrzany zabarykadował się w wieżowcu z zakładnikami. Tym, którego ubiera się w kevlar i opuszcza kominem: „Wesołych Świąt, dupki”.

Control, alt, delete.

Kaloryfer głośno zabulgotał, przerywając mu ciąg myśli, ale to przynajmniej oznaczało, że po budynku rozprzestrzenia się ciepło, czyli ktoś płaci rachunki. Marcus ich nie płacił. Zbierał w szufladzie pisma z czerwonym nadrukiem: ostateczne ponaglenie za prąd i gaz. Cassie wspominała o tym, że

zabierze dzieciaki, że „na jakiś czas” wyprowadzi się do matki, a nawet nie wiedziała o niezapłaconych rachunkach – zajęcie jej samochodu było kroplą, która przepełniła czarę.

– Mówiłeś, że to kontrolujesz. – Miała na myśli jego problem z hazardem. – Mówiłeś, że wytyczyłeś wyraźną linię, że już tego nie robisz. Że nie będziesz więcej wyrzucał pieniądze na śmietnik. Obiecałeś mi, Marcus.

I obiecywał to szczerze, ale jak powstrzymać pieniądze przed znikaniem, kiedy już postanowią sobie odejść? Były jeszcze mniej podatne na perswazje niż Cassie.

Pomyślał: zmieniłem się w jednego z tych facetów, którzy są więcej warci martwi niż żywi. Jesteśmy liczniejsi, niż można by pomyśleć. Nie chodzi tylko o Jihadi Johnów w buszu żywiących się wielbłądzim mięsem, śpiących w dziurach w ziemi, za których głowy wyznaczono nagrody w wysokości miliona dolarów. Chodzi też o resztę z nas. O biednych pracujących durni zadłużonych po uszy, z nigdy niekończącymi się kredytami i rachunkami, którymi można by wytapetować ściany; ledwie starcza nam gotówki na filiżankę kawy, ale mamy za to okazałe ubezpieczenie na życie, które zmienia reguły gry. Mógłbym tu teraz paść trupem, a odszkodowanie za śmierć na służbie rozwiązałoby wszystkie moje problemy. Dom byłby oddłużony; zostałyby jeszcze pieniądze, żeby dzieciaki mogły skończyć studia. Ogólnie najlepsza opcja – tyle tylko że byłbym martwy. Ale to i tak nastąpi prędzej czy później, więc czemu by nie tutaj, przy biurku...? Opowiedziałaby to Cassie jako dowcip, problem w tym, że mogłaby się nie śmiać. I żadna warstwa kevlaru nie chroniła przed rozczarowaniem kobiety.

Z zadumy wyrwało go walenie w klawiaturę. Shirley miała problemy ze sprzętem i rozwiązywała je w swój tradycyjny sposób.

– Masz potem PTKZ?

– A musisz wiedzieć? – warknęła.

– Gdzie tam, wcale nie muszę – odparł Marcus.

Później przez chwilę na chybił trafił stukał w klawiaturę, jakby wprowadzenie jakichś zmian w liczbach na monitorze mogło odmienić również fakty, z którymi musiał się zmierzyć: nie tylko zniszczone samochody z ostatnich pięciu lat, ale jego własna spadająca wartość netto – coraz większe i brutalniejsze sumy kładące go po piętach i jego słabnąca z każdym dniem zdolność, by za nimi nadążyć.

Jeśli miał wybrać się pieszo do wsi, potrzebował kaloszy. Wczoraj musiał wrócić do domu, zanim uszedł pięćdziesiąt metrów – człapanie w przemoczonych butach po podjeździe, kapcie wyrzucone do kosza na śmieci, mokre i do niczego. Cóż, to tylko chwila roztargnienia, żadnych świadków. To była jedna z zalet życia w półzolacji, choć nigdy nie można mieć pewności, że nie przykleili ci żadnego ducha.

– Wiesz, co to są duchy?

River rzadko cokolwiek zapominał. David Cartwright dobrze go wyszkolił.

– Kiedy widzisz ducha, udajesz, że nic nie widziałeś – odparł River.

– Tyle tylko że ducha nigdy nie zobaczysz.

– Nigdy ich nie widać – przyznał River. – Ale wiesz, że gdzieś tam są.

Bo znaki, jakie po sobie pozostawiały, były liczne. Zgniecione żdźbła trawy w miejscu, gdzie przyklekły; ułamana gałązka, która zasłaniała im widok. Schludna kupka niedopałków. „Nie każ chłopakowi podnosić starych petów!”, krzyczała na niego Rose. Ale najlepiej było nauczyć chłopaka, żeby miał się na baczności, bo kiedy już duchy wzięły cię na celownik, sam diabeł by się od nich nie opędził.

Czyli dobry poranek na szkolenie. Poza tym wszyscy chłopcy lubią chlapać się w kałużach, więc – jeden kalosz na nodze, drugi ustawiony pod odpowiednim kątem, żeby wsunąć stopę – krzyknął do Rivera, żeby wybrał się z nim na spacer. Ale już w chwili, gdy jego słowa odbiły się echem w pustym domu, zauważył, że brzmią fałszywie; nie takiego tonu używał, kiedy River był chłopcem. A dzieciństwo Rivera już minęło; minęły dni uczenia go o duchach i strachach, opowiadania mu mitów i legend z Ulicy Szpiegów, to się skończyło jeszcze na długo przed tym, nim odeszła Rose...

David Cartwright potrząsnął głową. Urojenia staruszka – wspomnienia wynurzające się na powierzchnię jak bąbel powietrza wypuszczany przez żabę. Wsunął stopę do drugiego kalosza i zaśmiał się cicho. Gdyby chłopak kiedykolwiek się dowiedział, że miewa takie chwile roztargnienia, gadaniu nie byłoby końca. Poza tym duchy nie były już takie jak kiedyś. Teraz używało się dronów i zdjęć satelitarnych; zakładało się w domu małe kamery. Rejestrowano każdy ruch.

Włożył kalosz i się wyprostował. Trochę ćwiczeń – oto klucz do sukcesu. To prawda, w ostatnim czasie były takie momenty, gdy martwił się, że zaczyna się sypać. Przedzrzmiał całe popołudnie, co przecież jest wybacalne u starego piernika, i wpadł w panikę; ogień na palenisku, delikatne światło lampy, wszystko tak, jak powinno być, ale to łomotanie w klatce piersiowej... Co się dzieło, kiedy spał? Przecież wiadomo, że ściany mogą się zawalić. Różne rzeczy mogą się wyłonić spod mostów. Z ulgą stwierdził, że świat, w którym się obudził, był tym samym, w którym zasypiał.

Ale nie zawsze tak było, prawda? Czasem świat przesunął się na swojej osi. Zaledwie dwa dni temu doszło do samobójczego zamachu terrorystycznego w brytyjskim centrum handlowym. Jak to nazwali? Flash mob... Najbardziej ponury ze wszystkich ponurych żartów; wybuch podczas flash mobu, wszyscy ci młodzi ludzie, którzy stracili życie. Przez chwilę, stojąc przy drzwiach swojego domu, David Cartwright odczuwał to jak osobistą stratę, coś, czemu mógł zapobiec. A potem ta strata zmieniła kształty i Rose mówiła mu, żeby koniecznie włożył barboura, a nie ten paskudny stary prochowiec. I żeby zabrał parasolkę, tak na wszelki wypadek.

Klucze w kieszeni. Kalosze na nogach. O czym właściwie myślał? O jakiejś strasznej rzeczy? Wymykało mu się to jak dym, nie potrafił tego uchwycić. Otulił się płaszczem – w tym barbourze czuł się tak, jakby udawał człowieka ze wsi – parasolkę zostawił, by wisiała jak nietoperz na wieszaku, i wyszedł za próg.

W biurze nad głowami Marcusa i Shirley stukwały inne palce, ich ruchy były płynne, klawisze tylko w wyobraźni, nuty, za którymi podążały, mogły się wydawać chaotyczne, ale zawsze szukały ukrytej głębiej melodii; melodii, która powracała echem, narastała i powtarzała się przez jakieś trzydzieści minut, a jej motywy, z początku wstrzymywane, czasem jakby gubiące wątek, ostatecznie zawsze się wyłaniały. I kiedy to się dzieło, nie dzieło się nic innego. Właśnie to tak pociągało Jasona Kevina Coego; ta nowa, czysta karta, która otwierała się wtedy w jego umyśle, co tymczasowo zacierało nabazgrane tam koszmary.

„Odnosimy wrażenie, że nie jest pan... szczęśliwy w swojej pracy”.

Nie potrafił sobie przypomnieć, jak odpowiedział na to pytanie, które zresztą i tak nie było pytaniem. Wydawało mu się, że po prostu siedział, a jego palce drgały nerwowo na kolanach. Sięgały po melodię, która wirowała mu w głowie.

Co nie był pewien, kiedy to się zaczęło. Udawanie, że gra serię improwizowanych koncertów na fortepian, nie było jego świadomą decyzją; po prostu odkrył, że to robi, albo raczej odkrył, że ktoś inny odkrył, że to robi: był w autobusie, który co chwilę się zatrzymując, poruszał się ruchliwą Regent Street, gdy dostrzegł, że siedząca obok niego młoda kobieta próbuje się odsunąć i zerka z troską na jego palce

uderzające w nieistniejące klawisze. Aż do tamtej chwili nie łączył muzyki, którą słyszał w głowie, z ruchami swoich rąk. Nie miał wtedy nawet przy sobie iPoda. Muzyka po prostu była w nim i korzystał z tego w chwilach niepokoju – bez większego zaskoczenia odkrył, że teraz takie chwile obejmują również jazdę zatłoczonym autobusem po Regent Street.

„Zastanawialiśmy się, czy w pana najlepszym interesie nie leżałoby przeniesienie”.

Zawsze to „my”, podkreślające mnogość sił, które sprzysięgły się przeciwko niemu, ale to nie przez dział kadr MI5 nie mógł spać po nocach.

Dziś J.K. włożył T-shirt pod szarą dresową bluzę, a do tego pocięte na kolanach džinsy. Od dawna nie nosił nic innego. Miał trzydniowy zarost i choć był bezdyskusyjnie czysty – brał prysznic dwa razy dziennie; częściej, niż pozwalał na to czas – zawsze towarzyszył mu niemal niewyczuwalny zapach czegoś, co wydawało się unosić na granicy percepcji jego powonienia. Czasem martwił się, że to smród gówna. W głębi ducha wiedział jednak, że to strach; smród jego najgorszego wspomnienia, gdy był nagi i przywiązany do krzesła, a inny mężczyzna, również nagi, groził mu nożem elektrycznym. W swoich snach, w swoich bezsennych koszmarach raz za razem przeżywał to, co mogło się wtedy wydarzyć; stał rozszarpującą jego ciało; mokre plaśnięcie, kiedy jego wnętrzności uderzą o folię rozłożoną na podłodze. Gdy jego palce nie szukały nut, pełzy w stronę brzucha i splatały się na nim, usiłując zatrzymać wewnątrz to, co mogło zostać wycięte.

Wszystko to miało miejsce w jego domu, w mieszkaniu na piątym piętrze. Kupił je, kiedy dobrze zarabiał w bankowości, zanim ta praca mu zbrzydła, i na krótko przed tym, jak zbrzydła wszystkim i ludzie zaczęli patrzeć na bankierów, jakby powinny istnieć worki, do których można ich zbierać. Ledwie uciekłem, myślał wtedy; zajął się tym, co studiował, i przyjął pracę w sekcji oceny psychologicznej MI5, gdzie miał nadzieję zrobić coś pożytecznego. To były skromne ambicje i już nie zamierzał w tym zawodzie robić kariery.

„Sądźmy, że odpowiednie dla pana może być Slough House. Mniej... sytuacji alarmowych”.

W tygodniach i miesiącach, jakie nastąpiły po tamtych ciężkich przejściach, Coego większość rzeczy zaczęło nużyć. Jedzenie straciło smak, a alkohol doprowadzał go do wymiotów na długo przed tym, nim udawało mu się choć trochę znieczulić. Gdyby miał łatwy dostęp do trawki albo czegoś mocniejszego, chętnie by spróbował, ale kupowanie nielegalnych substancji wymagało interakcji społecznych; interakcji z ludźmi, którzy mogli doprowadzić do... „sytuacji alarmowych”. Nie był w stanie zbyt długo czytać, bo ogarniała go wściekłość. Jedynym, co mu pozostało, była muzyka. Coe nigdy w życiu nie grał na fortepianie i nie miał pojęcia, czy jego palce podążają we właściwym kierunku, gdy nuty w jego głowie pną się po skali; niemniej jednak oto siedział tutaj, wygnany do Slough House, wraz z innymi porażkami świata wywiadu; skazany, by brnąć przez mało obiecujące projekty, bez perspektywy ich ukończenia; zamiast tego grał niesłyszalną muzykę na nienadającym się do grania instrumencie i odnajdywał w tym procesie może nie spokój, ale przynajmniej pewną dozę wolnej przestrzeni.

River Cartwright obserwował go beznamiętnie z drugiego końca pokoju. Jeśli sam jako kulawy koń czegoś się nauczył, to że niektórym ludziom po prostu nie da się pomóc – czasem trzeba im pozwolić iść na dno. I wyglądało na to, że to właśnie robi J.K. Coe: nie macha o pomoc, lecz tonie, usiłując znaleźć oparcie na biurku, które nie może go utrzymać na powierzchni. Bez względu na to, do jakich wybrzeży próbował dobić, albo mu się to uda, albo nie. Aż do tego momentu River zamierzał zostawić go w spokoju.

A poza tym miał własne problemy.

W miejscu, gdzie podjazd spotykał się z uliczką, leżało Wielkie Jezioro, doroczne zjawisko spowodowane kiepskim systemem drenażowym. David Cartwright obszedł je chwiejnym krokiem, ostrożnie stawiając stopę za stopą na tym, co zostało z krawężnika, a było to zaledwie kilka wąskich obrzeży. Gdy przechodził, żywopłot zadrżał i strząsnął pół litra wody do jego buta, niech to licha! Ale teraz David Cartwright był znów na stałym gruncie. Pomachała na dzień dobry w stronę domu sąsiadów, choć w oknach było ciemno, i chlupiąc, minął przystanek autobusowy, gdzie na ziemi leżała przyklejona gazeta. Krzyczały z niej podarte zdjęcia żaloby rodziców. Uliczna latarnia migotała niepewnie, nie mogąc się zdecydować, czy powinna się włączyć, czy nie.

Uliczka prowadziła do wsi, klucząc i dosłownie omijając domy, ale ścieżka przez las biegła prosto. Można było na nią wejść przez drewnianą furtkę na wpół zasłoniętą przez żywopłot. „Teraz patrz pod nogi”, upomniała go Rose. Ścieżka była pokryta liśćmi, w niektórych miejscach bardzo grubo, ale zawsze uważał na zdradziecki grunt; coś, czego się nauczył, kreśląc swój szlak na mapie historii. Przeżywało się życie dzień po dniu, myślał S.D., ale dni były tylko okruciami czasu i nie stanowiły przydatnej miary. Nagłe zdarzenia, które oślepiają nas swym światłem, mają korzenie w powoli mijających dekadach. Nawet teraz pod nagłówkami z gazet dostrzegał kształty ze swojej przeszłości niczym drapieżne ryby wypatrzone w mętnej wodzie. Od dwudziestu lat był na emeryturze i wciąż wiedział, kiedy chodzą za nim duchy. W domu sąsiadów nie powinno być pusto o tej porze; powinna tam być sprzątaczką i mało prawdopodobne, że odkurza po ciemku. I ta mrugająca latarnia uliczna; na pewno ktoś przy niej majstrował, pewnie po to, by zainstalować jakieś urządzenie monitorujące.

Czekał. Ze wszystkich odgłosów lasu, wszystkich wilgotnych szelestów i ukradkowych trzasków żaden nie ucichł, by w ten sposób pozwolić mu na skupienie się na jego braku. Wszystko było takie jak wcześniej. Ale też niczego innego by się nie spodziewał. Przecież to nie są amatorzy.

„Ale jeśli wiesz, że to pułapka – powiedział chłopiec – nie powinienes próbować jej ominąć?”

„Nie. Chcesz, żeby myśleli, że nie masz pojęcia o ich obecności. A wtedy, gdy pierwszy raz zdarzy im się przymknąć oczy – puff! I już cię nie ma”.

Przymknął oczy – puff! – i Rivera już nie było.

Drzewa skrzyptały żałośnie. Ktoś zagwizdał, naśladując ptaka, a ktoś inny odgwizdał. S.D. czekał, ale na razie nic więcej się nie stało. Ostrożnie, wypatrując wnyków wśród liści, ruszył w stronę wioski.

– Myślisz, że ma problem czy jest pierdołą?

– A o kim teraz rozmawiamy?

– O Panu Niby Pianiście.

Marcus udał, że się nad tym zastanawia. Czasem najłatwiej było podążać za tym, co wpadało Shirley do głowy. Kiedy Lamba nie było w pobliżu, nie mogła usiedzieć spokojnie, jakby jego nieobecność była okazją do świętowania; a ponieważ Shirley definiowała świętowanie bardzo szeroko, ogólnie należało zachęcać ją do wszystkiego, co nie obejmowało nielegalnych substancji.

– Zechciałabyś mi podać szerszy kontekst? – spytał.

– No cóż, ty i ja mamy problemy. Ty jesteś uzależniony od hazardu...

– To nie jest uzależnienie...

– ...a ja najwyraźniej jestem „drażliwa”.

– Złamałaś koleśowi nos, Shirley.

– Sam się o to prosił.

– Prosił o parę funciaków.

– Na jedno wychodzi.

– Na biedne dzieci.

- Był przebrany za jebanego królika. Założyłam, że jest niebezpieczny.
- To pewnie jedyny powód, dla którego nie siedzisz – zgodził się z nią Marcus.
- Tak, no cóż... W ogóle by mnie nie dorwali, gdyby nie te nieznosne bachory.

Które to sfilmowały i zamieściły na YouTube. Cała sprawa z tym, że facet był przebrany za królika, stanowiła oczywiście okoliczność łagodząca, a policjantka, która dokonała aresztowania, sama była tego ranka trzykrotnie zaczepiana przez organizacje charytatywne i w ostateczności wycofano zarzuty o napaść, pod warunkiem że Shirley zapisze się na PTKZ.

- Pieprzony Trening Kontroli Złości.

(„Tylko żebyś nie zapoczątkowała żadnego nowego trendu”, ostrzegł ją Marcus, gdy się o tym dowiedział. „Kiedyś zabrałem jednego idiotę do Shoreditch. To tak pojawili się hipsterzy”).

- Zakładam, że River i Louisa są pierdołami – stwierdził.

- Cóż, no raczej.

- Catherine miała problem. Min był pierdołą.

– A Ho jest dupkiem, ale przecież zawsze trafi się jakiś odmieniec. A więc chciałabym wiedzieć, kim jest Jasper Konrad. I o co chodzi z tym fortepianem na niby? – Zaczęła go naśladować, poruszając palcami po nieistniejącym instrumencie. – Wydaje mu się, że co, jest Eltonem Johnem?

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, co słyszy w głowie, to idź go zapytaj. Tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli głosy każą mu cię pociąć.

– Jasne, bo wygląda na groźnego typa. Pewnie trzeba dwóch takich jak on, żeby zrobić jajecznicę. – Przestała udawać, że gra. – Ale wiesz co? Na miejscu Rivera bym się martwiła.

- Jak to?

– Biały koleś, dość młody, dupkowaty i nakręcony. Mamy już jednego takiego. Zupełnie jakby ktoś chciał zastąpić Rivera.

- Masz dziwne spojrzenie na pewne sprawy – stwierdził Marcus.

- Poczekaj, sam się przekonasz. Wtedy mi powiesz, czy się myliłam.

Znów zaczęła walić w klawisze, tym razem te prawdziwe, i Marcus nie potrafił powiedzieć, czy przepracowuje agresję, czy pisze e-maila.

- Stłumił westchnienie i zabrał się do pracy.

Gdy opuszczał ścieżkę, uliczką przejeżdżał samochód i zwołnił na jego widok, przez chwilę wydawało się, że się zatrzyma, ale potem przyśpieszył. David Cartwright umyślnie się nie odwrócił, by na innego spojrzeć – chcieli, żeby zareagował. Ostrożności nigdy za wiele. I nie był zupełnie bezbronny, jak mogliby się przekonać.

Nie, wszedłby prosto do sklepu, wejść i wyjść, i po sprawie. Może i nie byłyby to prosta eksfiltracja – kobieta za ladą lubiła pogadać, żeby się odczepiła, trzeba by użyć łomu – ale przyszło mu do głowy, że ostatnio mniej mówiła, a więcej słuchała; próbowała wyciągnąć z niego szczegóły, które mądrzej byłoby zachować dla siebie. Wyjaśniał jej, że historia nigdy nie jest zamkniętą księgą. Wystarczy spojrzeć na Rosję: beznadziejny przypadek. Nikt tego nie planował, ale taka właśnie była historia – wciśnij coś w jednym miejscu, a wyskoczy w drugim jak w źle położonym linoleum.

– I zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę – powiedział. – Człowiek podejmuje decyzje, giną ludzie i potem już zawsze trzeba z tym żyć, dzień i noc. Ale i tak nic nie zrobiłbym inaczej.

– Davidzie, pracowałeś przecież w Ministerstwie Transportu – odparła. – Na pewno ludzi byli narażeni na niedogodności, ale wątpię, żeby wielu z tego powodu umarło.

Oczywiście. Ministerstwo Transportu było jego przykrywką, alibi z dokumentacją na ponad czterdzieści lat pracy zawodowej. A więc dla ludzi z wioski był właśnie kimś takim: biurwą zajmującą się pociągami, drogami albo lotniskami. Kto by coś takiego zapamiętał? I tak trudno mu było przypomnieć sobie, co naprawdę robił, nie wspominając o pamiętaniu wszystkiego, co tylko udawał.

Z był to śmiechem.

– To taka figura retoryczna, moja droga pani.

Ale gdy tylko wyszedł, sięgnęła po telefon, dała im znać, że jego przykrywka zaczyna przeciekać. Posuwali się nawet do czegoś takiego. Podstawiali członków jego społeczności i nie mógł już ufać ludziom, wśród których żył od lat.

(„Najlepsi z nas to złodzieje i dranie”, wiele razy powtarzał Riverowi. „A jeśli chodzi o najgorszych...”

„Slough House”, odpowiadał mu River. „Jackson Lamb. Pamiętasz?”)

A River był jego najbardziej oczywistym aktywem, człowiekiem, któremu najbardziej ufał. A co, jeśli jego też podstawili? Może otworzy wnukowi drzwi i wpuści do domu zmię.

Gdyby do tego doszło, trzeba by podjąć odpowiednie środki. Bo nie był zupełnie bezbronny, jak by się o tym przekonali.

Przeszedł na drugą stronę uliczki, zadowolony, że ma na nogach kalosze, i wszedł do sklepu. Zadzwoił dzwonek nad drzwiami. Po co właściwie tutaj przyszedł? Chciał kupić podstawowe produkty. Chleb, bekon, mleko i herbatę ekspresową. Ale już teraz miał poczucie, że wkracza na terytorium wroga; że zawędrował na ścieżkę duchów, bo kobieta za ladą wpatrywała się w niego z czymś, co przypominało przerażenie albo litość; obeszła ladę, pocierając jedną ręką o drugą i wykrzywiając usta.

– Och, Davidzie – powiedziała. – Davidzie, twoje spodnie...

I kiedy S.B. spojrział w dół, dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodzi, bo oczywiście, że miał na sobie spodnie wsunięte w kalosze. Właścicielka sklepu zdążyła do niego podejść i wziąć go za rękę, nim zaświtało mu w głowie, że nie patrzy na ciemne grube tweedowe spodnie, które nosił na co dzień, tylko na ciemnoczerwone bawełniane spodnie od piżamy w tureckie wzory.

I poranek przechodzi w popołudnie, i zapada wieczór, tak jak to zwykle bywa. W Kent dzieńne światło umyka polami, a latarnie uliczne, mrugając, zapalają się jedna po drugiej i każda rzuca parasol światła na własną maleńką scenę. Tymczasem w sercu Londynu ciemność czai się w zakamarkach i wygląda zza zasłon. W Slough House ogrzewanie padło z takim samym wysiłkiem, z jakim wcześniej obudziło się do życia, i pośmiertny szum rur wygrywał podzwonne dla popołudniowych aktywności, jakiegokolwiek by były. Koniec końców Lamb się nie pokazał. Jednak oczekiwanie na jakieś ponure wydarzenie może być równie wyczerpujące jak wydarzenie samo w sobie i pozostawia po sobie jakiś niejasny niepokój, choć konie wyszły już z pracy. Pierwszy zrobił to Roderick Ho, tuż po nim Marcus Longridge i Shirley Dander. J.K. Coe mógł być następny – po prostu w jednej chwili jeszcze tam był, a potem już go nie było, jak połysk świeżości na jabłku – ale pewne jest, że Louisa Guy i River Cartwright wyszli razem, zmierzając do najbliższego pubu, w którym mieli nikłe szanse spotkania kogoś, kogo znają. Moira Tregorian wyjdzie jako ostatnia, ale zanim to zrobi, ulegnie pokusie i wejdzie do gabinetu Lamba, pomieszczeniu, które mimo usytuowania na najwyższym piętrze poddało się naturalnej skłonności gospodarza do piwnicznego klimatu. Charakterystycznym zapachem jest tu woń wilgoci z nutką starych pierdów i spleśniałego chleba. Osoba o podejrzliwym umyśle mogłaby nawet przypuszczać, że ktoś tutaj palił papierosy. Żaluzje jak zwykle są opuszczone, a żarówki pod

sufitem się przepaliły, więc Moira jest zdana na lampkę na stercie książek telefonicznych z boku biurka. Lampka rzuca chorobliwie żółte światło, które głównie służy temu, by przearanżować cienie. Sterta papierów na biurku Lamba wygląda na nieprzejrzaną, a rogi są pozaginane; graty na półkach stanowią nie lada wyzwanie dla intruza z zamięowaniem do porządku. Moira Tregorian z pewnością kocha porządek, nie jest jednak aż tak naiwna, więc przewycięża potrzebę, by tu posprzątać. Zamiast tego stoi tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, kim jest ten człowiek, na którego orbitę została pchnięta, którego jeszcze nie poznała i który – na co wszystko wskazuje – kolekcjonuje puste butelki. Pozostaje dla niej jasne, że jej poprzedniczka zaniedbała sprawy do tego stopnia, że przywołanie pana Lamba do porządku może okazać się dość żmudne. Moira Tregorian wzdycha, by dodać wagi tej myśli, a potem wyłącza lampkę i schodzi po schodach na wilgotną, ponurą Aldersgate Street.

 Za nią Slough House skrzyypi, trzeszczy i pozwala, by przeniknął go chłód.

Niedaleko kościoła był pub, w którym kręcono zdjęcia do *Zakochanego Szekspira*; Louisa zajęła stolik pod witrażowym oknem, a River poszedł po drinki. To wszystko wciąż wydawało jej się dziwne – nawet niezobowiązujący drink po pracy był jak zdradzanie pamięci Mina. Nic jednak nie pozostawało w bezruchu. To było jak przechodzenie z jednego pokoju do kolejnego: wcześniej było się tam, a teraz tutaj. Prędzej czy później zamykało się drzwi pomiędzy nimi.

Trzy miesiące wcześniej Louisa przesunęła lodówkę w swojej kawalerce i wydłubała ze ściany grudę gipsu. Ukryty był w niej nieoszlifowany diament, odłamek światła wielkości paznokcia, który zdobyła, gdy nie udał się skok w *The Needle*, wkrótce po śmierci Mina. W pubie w pobliżu Hatton Garden nawiązała kontakt z mężczyzną, którego obserwowała od kilku tygodni: zajmował się wyceną w jednym z niewielkich miejscowych sklepów jubilerskich. Wiedziała, że ten człowiek zapłaci gotówką za kamień o nieznanym pochodzeniu; nie była to fortuna – ale wręcz rozbój w biały dzień – potrafiła jednak docenić kryjącą się w tym ironię, a on prawdopodobnie mógł się tego domyślić. W połączeniu z jej niewielkimi oszczędnościami wystarczyło na przedpłatę za apartament kawalek za miastem. „Apartament” to było określenie użyte przez agenta z biura nieruchomości; dzięki temu mieszkanie wydawało się większe, niż było w rzeczywistości, ale nie musiała już sypiać w kuchni, z okna w dużym pokoju był widok na park i spłacała kredyt hipoteczny, zamiast płacić czynsz. Czasem w nocy siedziała z odsłoniętymi firankami i kieliszkiem wina w ręce i spoglądała w dół na kołyszące się na wietrze drzewa; może niezupełnie myślała o Minie albo w ogóle o czymkolwiek, ale cieszyła się, że jest tu, a nie w swojej ciasnej kawalerce, gdzie ciągle czuła kuchenne zapachy i słyszała ciężkie basy przejeżdżających samochodów. Cieszyła się też, że nie siada już co wieczór przy barze, podrywając nieznanym. Niewiele piła i lepiej sypiała. Budziła się wcześniej, ale rzadko dręczyły ją koszmary.

I to, że napije się z Riverem, też było w porządku. Kiedy razem przeżyło się wojnę – nawet małą – między ludźmi tworzyła się więź, której nie sposób znaleźć z poderwanym w barze facetem. Oboje strzelali do ludzi. Niewiele o tym rozmawiali, ale to zawsze wisiało gdzieś w powietrzu.

River wrócił z drinkami: dla niej wódka z limonką ze względu na stare dobre czasy, a dla niego kufel gorzkiego piwa za 4,80 funta. Londyńskie ceny wymykały się spod kontroli.

Ponieważ nie była jeszcze gotowa na rozmowy, zanim usiadł, zadała palące pytanie, które nasuwało się po tym dniu.

– Jak myślisz, dlaczego Lamb zaprosił tę Moirę na lunch?

Zaczęli ją nazywać „tą Moirą”: jeden z tych nieplanowanych nawyków, z których rodzą się związki.

– Mógł ją nabierać – stwierdził River.

– To by było okrutne, nawet jak na Lamba.

– Nie wiem. Gdyby naprawdę zabrał ją na lunch, toby było jeszcze okrutniejsze. Poza tym miałyby ją „zabrać”, i co? Zapłacić za nią? Uważasz, że to w ogóle możliwe?

Jeśli chodzi o posiłki, to Lamb miał takie podejście, jakby chodziło o prawo pierwszej nocy.

Louisa upiła łyk wódki i poczuła, że alkohol naciska w niej właściwe guziki: nagle krawędzie w barze stały się mniej ostre, gwar innych gości przeszedł w szum w tle jak fale uderzające o plażę. I River też wyglądał lepiej w tym świetle – w świetle pierwszego drinka wieczoru. Był jasnowłosy, miał szare oczy i bladą cerę, i choć te cechy zawsze były prawdą, zwykle wydawały się nieistotnymi

szczegółami, które ginęły wśród wszystkiego innego: tego, że zdawał się wykończony, skacowany albo wurzony, co dla kulawego konia było na porządku dziennym. Fakt, że miał trochę ostry nos, a pieprzyk nad jego górną wargą zdawał się większy, gdy zwracało się na niego uwagę, ale zasadniczo by się nadawał, co było dobrym powodem, żeby zwolnić z drinkami. Już to znała. Następna faza w jej życiu to spokojne wieczory w domu i unikanie głupich wyborów, by się z kimś bzyknąć.

Czyli: rozmowa.

– W każdym razie Moira to imię dla jakiejś staruszki – powiedziała. – Twoja ciotka ma na imię Moira.

– Nie mam żadnej ciotki.

– Ale wiesz, o co mi chodzi.

– A może mam – podjął River. – Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to mogę mieć.

– Jasne, bo kto ma czas pamiętać, czy ma jakąś ciotkę.

– Cóż, nigdy nie poznałem ojca – odparł.

– Och.

– Nie wiem, czy miał jakieś siostry. Ani jak miały na imię.

– No tak, jasne, tylko skąd mogłam o tym wiedzieć. Chociaż chyba jednak wiedziałam.

Przepraszam.

– Tak było, i tyle – stwierdził River.

– Matka ci nigdy nie powiedziała, kim był? Żadnych sugestii, wskazówek?

– Moja matka jest upartą kobietą. Zanim się urodziłem, postanowiła, że mój ojciec nie jest już częścią jej życia. I to była jedyna rzecz, której potem zawsze się trzymała.

Czyli to była wyjątkowa okoliczność, wywnioskowała Louisa.

Czasem wymieniali się różnymi szczegółami ze swojego życia, ale te szczegóły często wpadały w otchłań, w której przechowuje się nieistotne fakty. A to dlatego, że przez większość czasu każde z nich skupiało się na własnym nieszczęściu, a wygnanie do Slough House łączyło ich jedynie w taki sposób, jak może połączyć ludzi długi pobyt w więzieniu – można szwendać się razem po dziedzińcu, ale gdy zatrząskują się drzwi celi, zostaje się samemu. Opowiadanie o sobie było zabijaniem czasu i niczym poza tym. Później, z Minem, jej zainteresowanie innymi ludźmi zmniejszyło się z zupełnie innego powodu: szczęście wiąże się z naturalnym egoizmem. A więc Louisa mogła przyswoić sobie najróżniejsze informacje o życiu Rivera, ale zasadniczo wiedziała tylko, że stał przy niej, gdy obok nich w powietrzu świszczały kule. Przypuszczała, że większość biurowych relacji rozwija się podobnie. Może z wyjątkiem tych kul.

Powiedziała więc z poczuciem, że odnosi się do czegoś, co powinna znać:

– Czyli matka nie jest najważniejszą osobą w twoim życiu.

– W każdym razie nie jest w nim za bardzo obecna. Wychowali mnie dziadkowie.

– David Cartwright.

– Nie kto inny. Rose, moja babcia, umarła jakiś czas temu.

– A teraz się o niego martwisz.

– Tak – potwierdził River. – Martwię się o niego.

– Zrobił się zapominalski?

– Mhm.

– Jest aż tak źle? To znaczy, jasne, jest źle, ale... ile on właściwie ma lat?

– Jest po osiemdziesiątce – odparł River. – Osiemdziesiąt... cztery? Tak, cztery.

– Czyli nie jest jakoś bardzo stary – stwierdziła Louisa. – Nie jak na dzisiejsze czasach.

– Chyba jednak jest – odparł River.

Nie odpowiedziała, bo miał rację. Osiemdziesiąt cztery lata to jednak starość.

Jej szklaneczka była już prawie pusta, ale ponieważ River wciąż sącył swoje piwo, nie wykonała żadnego ruchu, by zamówić nową. Poza tym to nie był moment, w którym przerywa się rozmowę. River wyglądał jak ktoś, kto chce zrzucić z serca jakiś ciężar, ale potrzebuje jeszcze trochę czasu, zanim dokopie się do tego, co naprawdę ważne.

– A o jakim zapominalstwie mówimy? – spytała. – Mylą mu się dni tygodnia czy nie wie, jak się nazywa?

– Chyba jakoś pomiędzy.

– Bierze jakieś leki?

– Statyny. O żadnych innych nie wiem. A wiedziałbym, bo...

– Bo przetrząsnęłaś szafkę u niego w łazience. Rozmawiałeś z nim o tym?

Spojrzał na nią znacząco.

– No dobra, to niełatwe. A czy jest ktoś, z kim możesz o tym porozmawiać? Sąsiedzi, ktokolwiek?

– Jego sąsiedzi myślą, że jest emerytowanym pracownikiem służby cywilnej.

– Bo tak jakby nim jest.

– Ale nie takim, jak im się wydaje. A ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, byłoby odkrycie, że opowiadał o swoim życiu listonoszowi.

– A mógłby?

– Nie wiem, Louiso. Za każdym razem, gdy go widzę, coraz więcej go znika. Tak jakby ktoś przyciemniał światło. Zawsze był w moim życiu jak kotwica. Teraz, kiedy na niego patrzę, czasem wydaje mi się, że nie wie, gdzie jest, i to mnie przeraża. Nie wiem, co mam z tym zrobić.

Na chwilę położyła rękę na jego dłoni. Kiwnął głową, a potem cofnął dłoń, żeby sięgnąć po kufel, i dopił piwo.

– Masz ochotę na kolejne? – spytał.

– Tak. Ale teraz ja stawiam.

Przy barze wymieniła spojrzenia z mężczyzną siedzącym przy końcu lady. Pół roku temu to by wystarczyło, by przez resztę wieczoru szukała zapomnienia w jego towarzystwie; za pół roku od teraz, kto wie, może coś takiego wystarczy, by zacząć rozmowę. W tej chwili jednak miała ważniejsze sprawy. Odwróciła wzrok, zapłaciła za drinki i zanosła je z powrotem do stolika, myśląc o S.D. Tak go nazywał River – S.D., Stary Drań; i w tym wypadku było to określenie pieszczotliwe. W wywiadzie przewinęły się najróżniejsze legendy – jedna z nich była jej szefem, na litość boską – ale David Cartwright to wciąż był ktoś. Nigdy nie był Pierwszym Biurkiem, ale to on miał władzę nad kilkoma z tych, którzy na tym tronie zasiadali. Ze wszystkich tajemnic, jakie poznał, spora część wciąż mogła być radioaktywna. Gdyby zaczął o tym mówić, w Regent's Park i w innych miejscach zmartwiłoby się tym wiele osób.

– Czy oni... to znaczy Regent's Park, mieszają się w takie sytuacje? – spytała, gdy już wróciła do stolika.

– Nie. A w każdym razie wątpię. Cóż, po kimś takim jak Ingrid Tearney można by się tego spodziewać, a Diana Taverner pewnie każe eliminować ludzi tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy, ale Tearney to już przeszłość. A z tego, co słyszałem, Lady Di robi, co może, żeby nie odebrali jej biurka. Pewnie nie wydałaby pozwolenia na mokrą robotę, gdyby ktoś ze starej gwardii zaczął za dużo mówić.

– Cóż, nie chciałam sugerować, że by go zamordowali – powiedziała Louisa – chociaż widzę, że się nad tym zastanawiałeś. Myślałam raczej o domu opieki albo czymś podobnym. O ośrodku dla starzejących się byłych szpiegów. Czy kiedyś nie było czegoś takiego?

- Przepraszam. Chyba zaczynam popadać w paranoję.
- Taką mamy pracę.
- Było coś takiego – odparł – ale kilka lat temu je zamknięto. Drastyczne cięcia wydatków...
- Jezu.
- Właśnie. A poza tym nie pogodziłby się łatwo z takim losem. Gdyby przyszło mu do głowy, że ktoś próbuje coś takiego zrobić, trzeba by oddziału komandosów, żeby wyciągnąć go z domu.
- Czyli on zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.
- Nie. Nie wiem. To znaczy, ogólnie... Nie jest tak, że zapomniał, kim był. Bardziej zapomniał, że już tym kimś nie jest. Są dni, kiedy mi się wydaje, że wciąż uczestniczy w zimnej wojnie.
- Dużo starych ludzi żyje przeszłością.
- Ale niewielu ma taką przeszłość. On ma w domu broń, Louiso. Powinien trzymać ją w szafce na broń... to znaczy, ściśle mówiąc, w ogóle nie powinien jej mieć, ale skoro już ją ma, to tam ją powinien trzymać. A w zeszłym tygodniu znalazłem ją na stole w kuchni. Wspominał coś o trzymaniu duchów na dystans.
- Duchów?
- Tak dawniej nazywali obserwatorów. Kiedy było się śledzonym. – River przerwał, by się napić, a potem dodał: – Jezu, sam już nie wiem. Po ostatnich kilku dniach i tej bombie w Westacres może nie ma sensu się nakręcać losem jednego staruszka.
- To twój dziadek. Normalne, że się martwisz.
- Tak. – Zerknął na zegarek. – I powinienem już się zbierać.
- Jedziesz się teraz z nim zobaczyć?
- Właśnie. Dzięki, Louiso. Za... no wiesz... za to, że mnie wysłuchałś.
- Cóż, powinniśmy trzymać się razem. – A potem, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy, że chodzi jej o nich dwoje, dodała: – To znaczy Slough House. Nikogo innego nie obchodzimy. – Przerwała na chwilę. – Brakuje mi Catherine.
- Mnie też.
- Myślisz, że Lamb ma podobnie?
- ...serio?
- Odkąd odeszła, niewiele go widać.
- Brakuje mu tego, że miał w pobliżu alkoholickę – powiedział River. – Daleko mógł na tym ujechać. – Dokończył piwo i wstał. – Muszę lecieć. Akurat zdążę na następny pociąg.
- Mam nadzieję, że z twoim dziadkiem wszystko będzie w porządku.
- Dzięki. Ale wątpię, żeby to było coś, z czym mu się może poprawić.
- Może i tak. Ale, no wiesz... Nie jest powiedziane, że zaczniesz recytować swoje wspomnienia na wiejskim placu.
- Nie to mnie tak naprawdę martwi.
- A co?
- Że ktoś podejdzie do drzwi, a on go zastrzeli – odparł River.

River spoglądał z okna pociągu na ciemne obrzeża Londynu i myślał o swojej matce.

Nie robił tego często. Czasem się zdarzało, że rozmawiali przez telefon, zwykle gdy była za granicą – bo to dawało jej licencję na nadawanie, jak bardzo za nim tęskni, jak to „powinien wskoczyć do samolotu” lecącego do Antibes, Cap Ferrat, Santa Monica albo Gstaad, gdzie mogliby spędzić trochę czasu jak matka i syn. Wiedziała, że w tej chwili jest bezpieczna, bo nic takiego się nie wydarzy.

Natomiast kiedy bywała w kraju, River dowiadywał się o tym po fakcie albo w ogóle. „Byłam taka zajęta, kochanie, nie miałam ani chwili dla siebie. Przecież wiesz, jak strasznie chciałam się z tobą spotkać”. Ale to już dawno przestało mu sprawiać ból. Kiedy byli razem, miał wrażenie, że to bardziej coś jak audyencja, jakby był początkującym reporterem wezwanym przez gasnącą gwiazdę kina. Kino straciło na znaczeniu. On był tam po prostu, by to udokumentować.

A Isobel Dunstable, skupiająca na sobie tyle uwagi, to już nie była ta sama osoba co ta młoda kobieta, która podrzuciła go dziadkom na progu, kiedy miał siedem lat, i znikła na dwa lata z mężczyzną, którego imienia River nie potrafił sobie przypomnieć. Nie był nawet pewien, czy ona by je sobie przypomniała. Ale ten burzliwy czas, gdy miała dwadzieścia kilka lat, dawno już minął i choć jako szacowna wdowa potrafiła się czasem przyznać do błędów młodości, nie odnosiło się to już do okresów anarchii. Choć wcale to nie oznaczało, że ponownie nawiązała przyjazne stosunki z własnym ojcem. W bardzo dawnych czasach – zanim River przyszedł na świat – doszło między nimi do czegoś, co Rose nazywała „sprzeczką”. Babcia Rivera miała wielkie skłonności do niedopowiedzeń, ale nie była osobą, która zdradziłaby czyjeś zaufanie. Powiedziała Riverowi, że nie ma prawa mówić o szczegółach. A żadna ze stron sporu też nie oferowała mu żadnych wskazówek.

Ostatni raz widział ich razem na pogrzebie Rose. Nie zauważył wtedy, by zamienili ze sobą choćby słowo, a pilnie ich obserwował. River Cartwright, duch junior. Prawdziwa zimna wojna ominęła go o kilka lat. Ta musiała się nadać, dopóki nie pojawi się następna.

Zastanawiał się, czy jego matka powinna wiedzieć, w jakim stanie jest Stary Drań – i kogo z nich bardziej by zdradził, ujawniając tę informację.

Powietrze w wagonie było ciężkie od zapachu mokrych płaszczy i za każdym razem, gdy w przeciwnym kierunku przejeżdżał pociąg, otwierały się okna. Mężczyzna siedzący naprzeciw Rivera dość głośno wyjaśniał swojej komórce, jak szybko przyswoił sobie implikacje niedawnych zmian opłaty stemplowej. To, że wszyscy pasażerowie jeszcze nie połączyli sił i nie powiesili go na szelkach, świadczyło o wyrozumiałości Brytyjczyków dojeżdżających do pracy.

Wiedział, że dziadek często o niej myśli. Czasem pytał Rivera, starając się, by brzmiało to nonszalancko, „czy matka się do niego odzywała” – nigdy nie mówił o niej „Isobel”, jakby to miało sugerować głębszą znajomość. A kiedy River odpowiadał, że z tego, co wie, wszystko u niej w porządku, David rzucał coś w rodzaju: „No to dobrze”. „To dobrze, prawda?”

Ale z samym Starym Draniem wcale nie było dobrze. River powiedział Louisie tylko niewielką część prawdy. Najgorsze było, że podczas ostatniej wizyty starszerek go nie poznawał. A przy tym tak dobrze sobie radził, że River zorientował się dopiero po pół godziny. Dziadek ukrywał swoją słabość jak prawdziwy profesjonalista: powtarzał zdania wypowiedziane przez Rivera, pozornie rozwijał wątki, by ukryć swoją niewiedzę. S.D. nigdy nie pracował w terenie. Spędził jednak życie wśród tych, którzy to robili, i potrafił się dostosować.

River często nocował u niego w ciągu tygodnia, ale tamtego dnia wrócił do Londynu. Myśl o dziadku, przerażonym obecnością obcego człowieka w pokoju dla gości i niemogącym przez całą noc zmrużyć oka, to było więcej, niż był w stanie znieść.

Zadowolenie z siebie siedzącego naprzeciw finansowego guru rosło z minuty na minutę. Był mniej więcej w wieku Rivera, ale sądząc po koszuli i butach, jego wartość netto musiała być chyba z tysiąc razy wyższa. A jednak pieniądze to nie wszystko: River pochylił się w jego stronę, popukał go w kolano i powiedział:

– Mógłby pan zakończyć już rozmowę? – Jego ton był uprzejmy, ale spojrzenie już nie.
Mężczyzna zamrugał.

– Co pan mówił? – spytał.

River powtórzył swoją prośbę, ale tym razem to już nie była prośba.

Mężczyzna gapił się na niego przez cztery sekundy, rozważając swoje możliwości. Potem powiedział do telefonu: „Słuchaj, oddzwonię do ciebie”, i schował go do kieszeni.

– Dziękuję – zakończył River.

Boczny podmuch uderzył w pociąg i dwa okna znów się otworzyły.

Louisa powiedziała: „Cóż, nie chciałam sugerować, że by go zamordowali, chociaż widzę, że się nad tym zastanawiałeś”.

Ale jak mógł się nad tym nie zastanawiać jako wychowanek swojego dziadka?

A tym, co naprawdę mnie martwi, chciał jej powiedzieć River, jest fakt, że on zawsze uwielbiał opowiadać historie. Nawet teraz wizyty Rivera oznaczały siedzenie w gabinecie S.D., popijanie drinków i opowieści o sekretach. To, że te sekrety stały się chaotyczne i często wiodły ścieżkami zmierzającymi donikąd, nie oznaczało, że nie były już sekretami, i myśl o S.D., który wyrusza na swoją codzienną pielgrzymkę po wiosce – rzeźnik, piekarz, pani na pocztce – i tka dla wszystkich te same sieci, które kiedyś tkała dla Rivera, spędzała mu sen z powiek przez dwie noce z rządu. Miejscowi sądzili, że jego dziadek był grubą rybą w Ministerstwie Transportu, jednym z tych trybów, który sprawia, że wszystkie pozostałe się obracają, a jego opowieści o szpiegowskiej przeszłości mogli uznać za fantazje umysłu, który zaczynał zawodzić. Ale to nie znaczy, że te historie nie przyciągnęłyby niczyjej uwagi. W Regent's Park nie zapomniano o Davidzie Cartwrightcie. Pomógł przeprowadzić MI5 przez burzliwe czasy i choć nigdy jego ręka nie spoczywała na sterze, lekko trzymał sternika za łokieć. To on wybierał gwiazdy, według których nawigowało MI5. Teraz był stary, a starzy szpiegowie stają się zapominalscy; zaś wśród rzeczy, o których zapominają, jest pamiętanie o tym, czego nie mówić. Potrzeba, by ktoś cię wysłuchał, spaliła więcej przykrywek, niż rozpracowali wrodzy agenci. A więc starych szpiegów nie tracono z oka, na wypadek gdyby zaczęli się sypać. I może zdarzały się takie sytuacje – jak mógłby o tym nie pomyśleć? – gdy służby wyciągały dłoń w rękawiczce i pomagały staremu szpiegowi pożegnać się z tym światem.

Tok rozumowania był taki: lepsze to niż pozwolić, by legenda taka jak David Cartwright zaczęła publicznie snuć wspomnienia – tak by usłyszał o nich cały świat i ludzie, z którymi pracował – i sprzedawać je niedzielnym gazetom.

Najpierw wysłaliby duchy, by sprawdzić, jak sytuacja wygląda w terenie.

A S.D. miał w domu broń, której nie trzymał już w specjalnej szafce.

Pociąg dalej toczył się do celu. W głowie Rivera rozgrywały się różne scenariusze – taka historia mogła mieć ograniczoną liczbę zakończeń.

To się mogło wydarzyć bardzo szybko i nikt inny nie musiałby być w to zamieszany. Pomóc staruszkowi wejść do wanny. Szybkie szarpnięcie za kostki nóg – i po sprawie.

Jezu, ty w ogóle słyszysz samego siebie?

Ale: „Jeśli kiedykolwiek coś takiego mnie spotka – nieraz instruował Rivera – zastrzel mnie jak konia”. Miał na myśli, że będzie żył dłużej, niż przewidywała natura; że straci rozum, zdziecinnieje. I to nie był żart. Dla kogoś, kto żył dzięki bystrości umysłu, nic nie było bardziej przerażające niż powoli ją tracić.

I to jest właśnie mój dylemat, pomyślał ponuro River. Czy mógłbym zrobić to, czego oczekiwali, chociaż by mnie to zniszczyło? Czy może moje skrupuły, moja miłość do niego, moje tchórzostwo nie pozwolą wyświadczyć mu jedynej prawdziwej przysługi, o jaką kiedykolwiek prosił, i skazać go na piekło na ziemi?

Może powinien poprosić o radę matkę.

Przez okno widział smagane deszczem drzewa. Ze stacji kolejowej czekał go dziesięciminutowy spacer i zapowiadało się, że zmoknie. Ale to pasowało do jego nastroju.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko podchwycił jego spojrzenie i pośpiesznie odwrócił wzrok. River przez dłuższy czas wpatrywał się w jego odbicie w szybie, ale myślami był gdzie indziej: wśród tych zimnych kołyszących się drzew, w strugach deszczu, w ciemności.

Kiedy zadzwonił dzwonek, jego brzękliwy sygnał trwał dłużej, niż to konieczne, przenikał dom, sprawdzał na górze i na dole, czy ktoś jest obecny. David Cartwright siedział w swoim gabinecie w tym samym fotelu co zwykle. Obok niego leżała sterta książek. Na samej górze *Samotnia*, którą ostatnio przeglądał; prześlizgiwał się tylko po powierzchni, bo nie miał już cierpliwości do zagłębiania się w szczegóły. Im bardziej się w nie zagłębiał, tym bardziej sypały się postacie; ich przykrywki okazywały się oklepaną fikcją.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

River miał klucz, ale rzadko go używał – w ten sposób uznawał suwerenność dziadka. S.D. bał się, że stanie się kimś, kto wymaga opieki; kimś, do kogo zaglądają sąsiedzi, wsuwają głowę przez drzwi, „żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku”, czyli: że jeszcze nie umarłeś. Jeszcze nie umarł. Wstał i ruszył do przedpokoju. Przez ornamentową szybkę w drzwiach wejściowych zobaczył sylwetkę w świetle najbliższej latarni ulicznej, która już nie mrugała. Wydało mu się to istotne, ale nie przychodziło mu do głowy dlaczego.

Nie podchodząc do drzwi, spytał:

– Kto tam?

– To ja.

Czekał.

– Dziadku...? To ja, River.

Ten ktoś nie brzmiał jak River. Chociaż po tym długim dniu był już zmęczony, a w dodatku zrozpaczony na wspomnienie wycieczki do wioski w spodniach od piżamy. Tamta kobieta ze sklepu, która twierdziła, że ma na imię Alice, odwiozła go do domu, przez cały czas paplając, jakby nic się nie stało. Poczekala, aż się przebierze, a gdy zszedł na dół, wstawiła wodę: „Dobra herbata zawsze pomaga” – uniwersalne panaceum. Usiedli w kuchni i zjedli po kawałku ciasta, zadał jej kilka podchwytliwych pytań, a ona ze wszystkimi świetnie sobie poradziła. Nawet teraz nie miał całkowitej pewności, czy była podstawiona. Tak samo jak nie mógłby udowodnić, że podrzucono mu jakiś zaburzający pamięć narkotyk. Chcieli, by oderwał się od rzeczywistości, taki był ich plan; chcieli, by uznano go za nieszkodliwego staruszka, by móc go łatwiej skasować, kiedy przyjdzie pora. A w tym celu posłużyliby się kimś, kogo kocha, bo na Ulicy Szpiegów tak to działa. Przyjaciółom i sąsiadom nie należało ufać, ale to rodziny trzeba się było bać.

– Dziadku? Wszystko w porządku?

Zakapturzona postać się poruszyła i stała się wyraźniejsza. Ktokolwiek to był, osłonił ręką oczy i zaglądał przez szybkę z ornamentowego szkła.

– Jak miała na imię twoja babcia?

– ...co?

– To proste pytanie.

River, jeśli to był on, milczał.

– Bo jeśli nie potrafisz nawet...

– Rose, dziadku. Twoja żona miała na imię Rose. A twoja córka, moja matka, ma na imię Isobel.

To niczego nie dowodziło. Pierwszy lepszy głupiec mógł to sprawdzić.

Mężczyzna znów zaczął się dobijać do drzwi.

– Dziadku? Nic ci nie jest?

Wpuść wroga do domu. Udawaj, że opuściłeś gardę. Nie był bezbronny, ten człowiek podszywający się pod jego wnuka się o tym przekona. Przekreślił zamek i otworzył drzwi nieznanemu stojącemu na progu. Podobieństwo było całkiem spore. Dobrze wykonali swoją robotę. Gdyby pomieszało mu się w głowie tak bardzo, jak sądzili, ten człowiek mógłby uchodzić za Rivera Cartwrighta.

Teraz jednak napierał na drzwi, zmuszając Davida do cofnięcia się o krok. Zamknął je za sobą.

– Ale zimno.

– Skąd przyjechałeś?

– Wiesz, skąd przyjechałem. – Mężczyzna spojrział w dół. – Powinieneś włożyć jakieś kapcie.

S.D. popatrzył na swoje stopy: stał w samych skarpetkach na zimnych kafelkach.

– Gdzie twoje kapcie?

Wyrzucił je, ale nie chciał się do tego przyznać, bo to by doprowadziło do kolejnych pytań: dlaczego je wyrzucił; jak je przemoczył; dlaczego chodził w kaptach po deszczu? Przyznanie się do bycia rozróżnionym było dla nich jak woda na młyn. Spojrział więc tylko ze złością na tego młodego mężczyznę w sposób, który jasno dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań na ten temat.

Mężczyzna popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem; przekrzywił głowę, tak jak robił to River.

– Czy coś się dzisiaj stało?

– Nie.

– Na pewno? Wydajesz się... zdezorientowany.

– Nic im nie jest – warknął.

Kiedyś siedział w gabinecie pani premier, gdy Pierwsze Biurko informowało ją o niespodziewanych ruchach wojsk na granicy NRD. Później zgodnie twierdzono, że ten briefing miał uspokajający wpływ na premier i ogólnie na politykę w najbardziej nerwowym tygodniu dla Westminsteru od października 1962 roku. Opracował go bardzo precyzyjnie sam Cartwright – on, David Cartwright, potraktował historię heblem; wygładził ostre krawędzie i zadbał o to, by życie setek tysięcy ludzi dalej biegło spokojnie, zamiast stawać na głowie w obliczu możliwej wojny. A to był tylko jeden dzień w jego życiu. Jeden dzień w długim, obfitującym w wydarzenia życiu. Co sprawiało więc, że dzisiejszy dzień był taki szczególny? Niczyje życie nie legło w gruzach, żaden okręt nie zatonął. Poszedł na zakupy w spodniach od pizamy, i tyle. To się mogło przytrafić każdemu.

– Zimno tu.

– Nic mi nie jest.

– Powinieneś włączyć ogrzewanie.

Ciepło otępia zmysły, sprawia, że stajesz się nieostrożny.

Młody mężczyzna podający się za Rivera wszedł do kuchni, zachowując się tak, jakby ten dom do niego należał. Fachowym spojrzeniem omiótł wszystkie powierzchnie, szukając oznak zaniedbania – nieumytych naczyń, pleśni. Długo by musiał szukać. Rose Cartwright była bardzo rygorystyczna w takich sprawach, a owdowiały po niej mąż miał podobnie.

– Jadłeś coś, dziadku?

– Tak.

Jadł ciasto. Napił się herbaty i zjadł kawałek ciasta, bo to mu przygotowała ta cała Alice. Ale oczywiście ten człowiek już o tym wiedział. Z pewnością został świetnie poinformowany.

– Chciałbyś, żebym przygotował ci kąpiel?

– A czy kiedyś cię do tego potrzebowałem?

– Dziadku, wyglądasz, jakbyś był cały przemarznięty. Nie pali się w kominku. Długo tu tak siedzisz bez ogrzewania? Przygotuję ci kąpiel, żebyś mógł się rozgrzać, a potem rozpalę.

– River nigdy...

Zgubił watek.

– Ja jestem River.

– Rozmawiałeś ostatnio z matką?

– Wszystko u niej dobrze. Przesyła pozdrowienia.

Ona nigdy tego nie robi, pomyślał S.D.

– Dlaczego twój głos brzmi dziwnie?

– Jestem trochę przeziębiony. Nic, czym należałoby się przejmować. To nie jest zaraźliwe. A teraz chodźmy na górę.

To nie był jego wnuk. To nie był ten River, którego poznał w ogródku: rozczochrany, nieszczęśliwy chłopiec w T-shirtcie. Isobel już odjeżdżała uliczką ze swoim ostatnim pięknisiem – i tyle ją widzieli przez kolejne dwa lata.

S.D. klęczał z łopatką w ręce. Pamiętał ich rozmowę, jakby to było wczoraj.

„Wszyscy popełniamy błędy, River. Mnie też się kilka przydarzyło i skrzywdziło to innych ludzi. To są te, nad którymi nie powinieneś przechodzić do porządku dziennego. Na takich błędach powinieneś się uczyć”.

Zawsze traktował Rivera jak równego sobie, nigdy nie zachowywał się wobec niego protekcyjnie.

„Będę tu teraz mieszkać?”

„Tak. Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co byśmy mogli z tobą zrobić”.

Okazało się, że aż tak łatwo było wpuścić kogoś do swojego życia.

River Cartwright był krwią z jego krwi, ciepłym blaskiem jego serca od czasu, gdy chłopiec miał siedem lat. Czy odważyliby się przysłać do jego domu kogoś, kto by się pod niego podszywał, gdyby prawdziwy River był na wolności czy w ogóle żył?

– Dziadku?

– Co?

– Mam przygotować ci kąpiel?

– Tak – odparł. – Tak, czemu nie.

– Dobrze. Myślę, że tak będzie najlepiej.

– Ty już idź na górę – powiedział temu obcemu człowiekowi David Cartwright. – Muszę tylko coś przynieść z gabinetu.

Bo nie był tak bezbronny, jak im się wydawało.

Telefon komórkowy wibrujący na twardej powierzchni brzmi jak pierdnięcie. Ponieważ nie był to niezwykły dźwięk w sypialni Jacksona Lamba ani w ogóle w jego pobliżu, mogło to stanowić powód, dla którego nie obudził się natychmiast. Wyłaniał się na powierzchnię powoli i boleśnie niczym wieloryb ciągnięty do brzegu. Kiedy w końcu się wynurzył, pokryty smołą i piórami snu, telefon uciekł przed jego palcami jak kawałek mydła, zmuszając Lamba, by ten przechylił się nad krawędzią łóżka i szukał go po omacku na podłodze.

Gdy misja została wykonana, odebrał, mówiąc tylko:

– Co, kurwa?

Dwadzieścia sekund później powiedział: „Kurwa”, i się rozłączył.

Potem przez jakiś czas leżał w ciemności, w której śmierdziało jak na ringu. Zaduch panujący w pokoju wskazywał, że w którymś momencie włączył ogrzewanie, a później zapomniał je wyłączyć. Miał na sobie bokserki, jedną skarpetkę i krawat zaciśnięty tak nieubłaganie, że nie sposób było zdjąć go przez głowę, a już tym bardziej wywinąć się z niego resztą ciała. Ale było widać, że przynajmniej próbował się rozebrać – życie zmierzało ku lepszemu. A w każdym razie do chwili, gdy odebrał telefon.

Jeszcze raz powiedział: „Kurwa”, po czym zwłókł się z łóżka.

Śniadanie składało się z litra wody i czterech nurofenów. Golenie się nie wchodziło w rachubę, ale uwolnił się z wczorajszego krawata za pomocą kuchennych nożytek i znalazł świeży garnitur, to znaczy taki, który znajdował się w jego szafie, choć może nie na wieszaku. Szukanie butów to kolejne dziesięć minut. Koniec końców ten brakujący znajdował się za drzwiami wejściowymi, ale gdy Lamb próbował wepchnąć w niego stopę, okazało się, że but jakby skurczył się przez noc. Dokładniejsze oględziny wykazały, że wciąż tkwiła w nim skarpetka. Zgniół ją w kulkę i wepchnął do kieszeni; potem, nareszcie w butach, choć niezasnurowanych, poczłapał do samochodu, strzepnął mysie bobki z siedzenia i wyruszył do Kent.

Ulice może nie były całkiem opustoszałe – minęła już druga – ale znał je na tyle dobrze, że mógł jechać na autopilocie. Na obrzeżach stolicy latarni ulicznych wyraźnie ubywało, a potem ustąpiły ciemnym drogom, których wzniesienia i zagłębienia szkicował ruch z naprzeciwka. Jadąc, palił i za każdym razem, gdy docierał do filtra, opuszczał szybę i pstrykał niedopałek w noc, sypiąc pomarańczowymi iskrami w zimne wilgotne powietrze.

Jego zbliżanie się obserwowały błyszczące paciorki na poziomie oczu królika. Samochód tylko raz podskoczył i koła rozsmarowały na dziesięciu metrach asfaltu futro i kości. Wyraz twarzy Lamba się nie zmienił, nawet gdy z papierosa jak robak spadła mu na kolana odrobina popiołu.

Zaparkował na poboczu, gdzie opony miały pozostawić ślady w trawie, i przez chwilę siedział bez ruchu. Ogrzewanie sprawiło, że powietrze w samochodzie wydawało się gęste i gumowe, ale były tu też inne, bardziej trwałe zapachy, takie jak woń dymu i pół porcji chow mein, która wieki temu wpadła pod siedzenie pasażera i teraz jej usunięcie wymagałoby bardzo wydajnego odkurzacza lub dyplomowanego zoologa. Zresztą sam Lamb też nie był wolny od zapachów. Wsunął do ust kolejnego papierosa, nie zapalając go. Potarł kąciki oczu kciukiem i palcem serdecznym, co przywołało obrazy

reflektorów innych samochodów, które przemykały szybko pod jego powiekami, a potem rozplywały się w nicłość.

Zapadła bezgwiezdna noc, gęste czarne chmury zakrywały niebo, latarnie uliczne spowijała mgła, a żywopty były ciężkie od deszczu. Domy tutaj były duże i wolnostojące, każdy z nich odgradzony płotem lub murem od sąsiadów; jak wyspy otoczone trawnikami oraz rabatami i zakotwiczone w ziemi ciężarem stulecia czy coś koło tego. Słupki ich bram były nadkruszone i podniszczone, podjazdy rozjeżdżone jak wiejskie podwórza, w przedpokojach kryły się labradory i kalosze, płaszcze przekazywane z ojca na syna – surowość mająca uchodzić za tradycję, chyba że było na odwrót – bo to stare pieniądze w całej swej podłej chwale rządziły we wsiach takich jak ta. Zamieszkiwał tu oczywiście i biedniejszy element, którego rola polegała na koszeniu trawników i naprawie bojlerów, ale lisy tu były rude i puszyste, wiewiórki – tłuste i beczelne, w przeciwieństwie do ich uzależnionych od nikotyny odpowiedników z londyńskich parków i alejek, zaś ludzie byli obcesowi, zadowoleni z siebie i promieniujący pewnością, jaka wiąże się z odziedziczonym majątkiem. Gdy Lamb wygramolił się już na zimno, z pełną premedytacją trzasnął drzwiami. Dyskrecja miałaby niewielki sens. Już teraz widział, jak drżą firanki na piętrze najbliższego domu.

Przy bramie Davida Cartwrighta zaparkowany był wóz policyjny. W pobliżu stały dwa inne nieoznakowane pojazdy, jeden z jakimś matosem za kierownicą, drugi pusty, z włączonymi światłami awaryjnymi. Mijając go, Lamb poczuł jego ciepło. Drzwi wejściowe do domu Cartwrighta były uchylone i na podjazd wylewało się światło. Stał tam policjant w mundurze obserwujący zbliżanie się Lamba z nieufnością i pogardą, jakie krawężnik czuje do ochotników straży pożarnej.

– Pomóc panu, sir... – Trzy nagie słowa, ni to pytanie, ni stwierdzenie. Lamb równie dobrze mógłby pociągnąć za sznurek przymocowany do jego pleców.

Zamiast odpowiedzi Lamb wy dobył z siebie beknięcie, które zbierało się przez ostatnich pięć minut.

– Bardzo przekonujące, sir. Ale muszę zobaczyć jakiś papier.

Lamb westchnął i sięgnął po swój identyfikator MI5.

W przedpokoju technik zbierał odciski palców z poręczy, kropka w kropkę wyglądając jak statysta w jakimś serialu telewizyjnym. Gwiazdą była blondynka w czarnym garniturze rozmawiająca przez komórkę. Włosy upięła w surowy kok, ale jeśli była to próba, by mniej rzucić się w oczy, to nieudana; równie dobrze mogłaby namalować sobie brodę, a i tak przykuwałaby całą uwagę. Na widok Lamba skończyła rozmowę i wsunęła telefon do kieszeni marynarki. Pod garniturem nosiła białą bluzkę, miała niebieskie oczy; sprawiała wrażenie profesjonalistki. Nie podała mu jednak ręki.

– Jesteś Lamb – powiedziała.

– Dziękuję – odparł. – O tej porze nocy dręczą mnie wątpliwości.

– Nie poznaliśmy się. Jestem Emma Flyte.

– Domyśliłem się.

Emma Flyte była nową szefową psów i dowodziła wydziałem wewnętrznym MI5. Psy miały za zadanie wywęszyć wszelkiego rodzaju herezje – od sprzedawania tajemnic aż po nierozsądne kontakty seksualne: uwodzenie ofiar miało dłuższą historię niż gra w szachy, ale głupota była jeszcze starsza. A więc psy przyzwyczyły się do długiej smyczy i wałęsania się po wszystkich korytarzach, po jakich miały ochotę. Ale chwilowo same miały pieskie życie: Dame Ingrid Tearney, niegdysiejsza szefowa MI5, wykorzystywała ich ludzi do własnych interesów, i choć inicjatywa często zyskiwała poklask, to bycie przyłapanym na tym już nie. Emma Flyte, była policjantka z czystym kontem, została wybrana przez nową administrację, choć jak zauważył niejeden komentator, jeśli Regent's Park szukało zastrzyku uczciwości u londyńskiej policji, świadczyło to o poważnym ryzyku skażenia ironią.

– Znasz pana Cartwrighta? – spytała.

– Którego?

– Któregokolwiek. Obu.

– Młodszy dla mnie pracuje. Jego dziadek dał mi kiedyś robotę. Pokażesz mi ten bajzel?

Podala mu papierowe nakładki na buty.

– Traktuj to jak miejsce zbrodni.

Lamb pozostawił za sobą wiele miejsc zbrodni. Przybycie na jedno z nich po fakcie było dla niego pewną nowością.

Podobnie zresztą jak wkładanie papierowych nakładek na buty – albo tak wydawała się sądzić Flyte. Przyglądała się zafascynowana, jak bez schylania się próbował nałożyć pierwszą na lewy but.

– Mogłoby pomóc, gdybyś zawiązał sznurowadła.

– Nie sądzę...

Nie zaszczyciła tej uwagi nawet uśmiechem.

Westchnął, schylił się do podłogi i zawiązał sznurówki. Po tym papierowe nakładki dały się bez problemu wsunąć na buty. Gdy Lamb się wyprostował, był czerwony na twarzy i ciężko oddychał.

– Coś mi się widzi, że nie jesteś w formie – powiedziała mu. – Ale nie jestem pewna, do jakiej formy zmierzasz.

Uśmiechnął się krzywo.

– Chcesz się do mnie zabrać?

– Nie chciałabym nawet w tym. – Miała na dłoniach lateksowe rękawiczki. – W łazience. To na górze – dodała, jakby jego wiedza ogólna w takich sprawach nie była wystarczająca.

Lamb ruszył przodem. Jak na rozmiary domu klatka schodowa była wąska. Spłowiwały dywan na schodach miał niebiesko-złoty wzór. Na ścianie wisiała seria rycin, szkice ołówkiem przedstawiające dłonie i twarze, jakby artysta przygotowywał się do czegoś większego, ale jeszcze do tego nie dotarł. Oprawiony szkic wiszący na samej górze – wyciągnięta dłoń – miał szybką poplamioną krwią. Lamb przystanął, potem zerknął na technika na dole.

– Coś przegapiłeś.

Na piętrze po obu stronach były regały z książkami, a przy oknie znajdował się fotel z widokiem na ogród przed domem. Najbliższe otwarte drzwi prowadziły do sypialni, zapewne staruszka, jak zakładał Lamb; na korytarzu było jeszcze troje innych drzwi – jedno zamknięte – a na końcu mieściły się kolejne schody: musiały prowadzić na strych i do składzików, które kiedyś zajmowała służba. Na ścianie naprzeciwko otwartych drzwi widniał kolejny krwawy odcisk dłoni. Nie trzeba było być detektywem. Wyjął papierosa z ust, wsunął go za ucho i włożył ręce do kieszeni.

– Lamb? – odezwała się za nim.

Przystanął.

– Paskudnie to wygląda.

– Widywałem już paskudne rzeczy – odparł i wszedł do łazienki.

Ciało leżało na podłodze – z doświadczenia Lamba wynikało, że tam właśnie zazwyczaj kończyły ciała. Widywał też takie, które wisiały na drzewach albo zostały wyrzucone na brzeg, oraz kilka zahaczonych o drut kolczasty i dyndających jak zepsute marionetki. Jednak najczęściej, kiedy miało się ciało, to kończyło ono na podłodze. Trochę tego tutaj też przelało się z wanny: twarz była nieobecną miazgą, napomnieniem, że ciało i kości są w najlepszym razie przemijające i podatne na przestawianie.

Prawdopodobnie tylko sobie wyobraził zapach kordytu w powietrzu. Bardziej oczywista była woń krwi i gówna; na tym miejscu zbrodni pociągnięto za spust co najmniej dwie godziny temu.

– Miał przy sobie to. – Flyte podała mu laminowaną kartę, bardzo podobną do tej, jaką sam pokazał policjantowi, ale nowszą i w lepszym stanie. Kiedy przytrzymał ją pod właściwym kątem, hologram ułożył się w coś, co przypominało twarz Rivera Cartwrighta.

– Mhm.

Przykucnął, by lepiej się przyjrzeć, bez stękania ani wyraźnego wysiłku, jak przy wiązaniu sznurowadeł. Zwłoki były ubrane w dżinsy, czarne buty i czarną bluzę z dekoltem w szpic włożoną na białą sportową koszulkę. Kiedyś miały zęby, nos, oczy, wszystko to, co zwykle się ma, ale nic z tego nie było obecnie dostępne do celów identyfikacji. W związku z tym sporą moc dowodową pozostawiały w tym przypadku włosy: jasne, wpadające w brąz, choć w tej chwili bardzo zakrwawione. Krótko obcięte, ale nie za krótko – odpowiadało to temu, co Lamb zapamiętał, gdy ostatni raz widział Rivera Cartwrighta. Żadnych pierścieni na palcach ani innej biżuterii. To również pasowało.

– Posiadał jakieś znaki szczególne? – spytała Flyte.

– Kiedyś miał twarz – odparł Lamb. – Pomaga to w czymś?

– Tatuaze? Błizny? Piercing?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? W pracy każe im nosić ciuchy.

– Zbadamy krew. Ale im szybciej go zidentyfikujemy, tym lepiej.

– Pieprzyk – powiedział Lamb. – Miał pieprzyk nad górną wargą. – Zerknął na wannę. – Będziecie potrzebować pęsety i sitka.

– Czyli to on?

– A jak myślisz?

– Byłabym wdzięczna za odpowiedź.

Lamb potarł ręką twarz, ale gdy ją odsunął, jego mina ani trochę się nie zmieniła.

– To on – oznajmił.

– Jesteś pewien?

– To River Cartwright – powiedział Lamb, po czym z łatwością się wyprostował i wyszedł z łazienki.

Zastała go w ogrodzie. Palił papierosa, choć ten za uchem wciąż był na swoim miejscu. Wysoko w górze światło księżyca przebijało się między chmurami: nadawało srebrzysty odcień wilgotnej trawie i mokrym żywopłotom. Na patio z płyt o nieregularnych kształtach stał zestaw żeliwnych mebli. Jedno z krzeseł się przewróciło: leżało w szalonej pozycji, z nogami w powietrzu, niczym żółw przewrócony na grzbiet.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Mam lekkiego kaca – odparł Lamb. – Normalnie nie piję, ale wychyliłem sherry przed kolacją.

– W takim razie pominię kazania. Został postrzelony dwa razy. Za każdym razem w twarz.

– Lekka przesada. Chociaż muszę przyznać, że potrafił być irytujący.

– Nie wydajesz się zbyt przejęty.

Spojrzenie, które jej posłał, było pozbawione wyrazu.

– Traciłem już ludzi.

– Byłeś aktywnym agentem.

– Kiedy ty wciąż miałaś mleko pod nosem. Sąsiedzi coś słyszeli?

– Dopiero kiedy przyjechalśmy.

– To kto to zgłosił?
– Miał przycisk alarmowy.
– Na policję?
– Nie. Do nas.
– Jaki był czas reakcji?
– Nie wypadamy za dobrze – odparła. – Wcisnął go o 21.03. Pierwsza osoba dotarła tu o 21.49.
– Czterdzieści sześć minut – stwierdził Lamb. – Całe szczęście, że to nie był nagły wypadek.
– To jego trzecie wezwanie w ciągu trzech tygodni. Przy dwóch poprzednich okazjach zapomniał, do czego służy ten przycisk. Wcisnął go, żeby to sprawdzić.

Lamb popukał się palcem w skroń.

Przewróciła oczami.

– Jego ostatnie badania nie wykazały nic poważnego. Przyznał, że czasem ma luki w pamięci, ale to nie było nic wielkiego. Pamiętał, jaki jest dzień, swój numer telefonu. Wiedział, kto jest premierem.

– Imponujące – zgodził się z nią Lamb. – A pamiętał, jak wygląda?

– Chcę tylko powiedzieć, że nie było powodu sądzić, że to coś poważniejszego. A już na pewno nikt nie spodziewał się tego.

– No proszę, a ja zawsze myślałem, że przycisk alarmowy jest na niespodziewane sytuacje. – Lamb rozgniół niedopałek na stole. – Skoro my jako pierwsi zareagowaliśmy na zgłoszenie, to skąd tu gliny?

– Standardowa procedura, kiedy są zwłoki.

Lamb zagwizdał.

– Wiedziałem, że zmieniamy się w korporację. Nie wiedziałem, że nas wykastrowali.

– Może nie jesteś na bieżąco. W dzisiejszych czasach staramy się działać w granicach prawa. Nawiasem mówiąc, to znaczy, że jazda po pijanemu absolutnie nie wchodzi w grę. Nie dostałeś tej notatki służbowej?

– Nie mogłem jej odczytać. Mój pierścień dekodujący się popsuł. A tak w ogóle, to gdzie on jest?

– Kto taki?

– Jak to kto? David Cartwright.

– Cóż, w tym właśnie problem – powiedziała po chwili milczenia Emma Flyte. – Nie mamy pojęcia.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że miał przycisk. Nikt nie wspominał, że można je namierzyć?

– Dzięki, zanotuję to sobie. Ale już namierzyłam jego przycisk. Jest na stole w kuchni.

– Sprawdzaliście pod stołem?

– Nie ma go w domu ani w ogrodzie. Nie ma go u najbliższych sąsiadów. Moglibyśmy zacząć pukać do wszystkich drzwi, ale dopóki nie dostaniemy wskazówek, jak to rozegrać, nie chcemy się za bardzo rzucać w oczy.

– A co z bronią? – Pokręciła głową. – Czyli podsumujmy – rzekł Lamb. – Dawny wysoki rangą szpieg... i mówię poważnie, ten facet zna więcej tajemnic, niż królowa zjadła kurczaków na kolację... odstrzeliwuje wnukowi twarz, a potem uzbrojony znika w ciemności. A właśnie, i do tego wszystko mu się miesza. – Pokręcił głową. – To nie będzie dobrze wyglądać na Twitterze.

– Przynajmniej wybraliśmy właściwy tydzień na zagrzebanie złych wiadomości.

– A co, Westacres? Chyba żartujesz. Każda bomba, która wybuchnie w Londynie, to porażka wywiadu, co jak na ironię opisuje też młodego Cartwrighta. Możesz mi wierzyć, jak tylko to trafi do sieci, internetowi wojownicy dodadzą dwa do dwóch.

– Załatwimy to, zanim do tego dojdzie.

– Następnym, co zaraz usłyszysz, będzie wyraz mojej wiary, że tak się właśnie stanie. – Pierdnął i sięgnął po papierosa za uchem.

Coś zaszeleściło na drugim końcu ogrodu, ale to były tylko odgłosy natury, a nie dawny wysoki rangą szpieg. Lamb zapalił papierosa, wciąż wpatrując się w tamtą stronę. Luka między chmurami znów się zamknęła i światło księżycy przygasało.

– Czyli jesteś szefem słynnego Slough House – powiedziała Flyte. – To nie tam trzymają odrzuty?

– Nie lubią, gdy ich się tak nazywa.

– To jak ich nazywasz?

– Odrzuty – odparł Lamb. Przerwał wpatrywanie się w mrok i odwrócił się w jej stronę. – A ty jesteś nową miotłą. Z jakiegoś powodu spodziewałem się kogoś mniej... kobiecego.

– Czyżbym wyczuwała nutkę seksizmu?

– Jezu, tylko nie jeszcze ty. Seksizm, seksizm, bla, bla, bla. Zupełnie jakbyście wszystkie bez przerwy miały okres. – Wypuścił chmurę sinego dymu. – Od dawna jesteś psem?

– Od dwóch miesięcy.

– A wcześniej?

– Jedenaście lat pracowałam w londyńskiej policji.

– W mundurze?

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu próbuję to sobie wyobrazić.

– Oczywiście, przez kilka lat nosiłam mundur.

– Wciąż go masz?

Przewróciła oczami.

– Nie wstydz się – powiedział. – Mieć taką figurę jak twoja i mundur pod ręką. Niektórych facetów to bardzo uszczęśliwi.

– Może jestem lesbijką?

– Cóż, wielu facetów bardzo uszczęśliwi wyobrażanie sobie tego.

– To nie jest stosowna rozmowa, Lamb. Pomijając już całą resztę, właśnie zginął ktoś z twojego zespołu.

– Przepracowuję żalobę. Potrzebuję trochę więcej luzu.

– Myślę, że powinienes już iść. Dzięki za twój wkład. Potwierdzimy dokonaną przez ciebie identyfikację, gdy tylko skończymy badać krew.

– Nie ma pośpiechu. Nie chciałym, żeby to kolidowało z moją fazą wyparcia. – Upuścił papierosa i go przydeptał. – Ostatni szef psów zderzył się z łomem, mówili ci? Stanął już na nogi, ale słyszałem, że przypięli mu do koszuli instrukcję, jak go karmić.

– Plotka głosi, że to młody Cartwright trzymał ten łom.

– Plotki głoszą wiele różnych rzeczy. Ale najczęściej to głupoty. Facet przed nim miał o wiele więcej klasy.

– Zły Sam Chapman.

– To była tylko taka ksywa. Nie był aż taki zły.

– Z wyjątkiem tego, że zgubił ćwierć miliarda funtów.

– Mówiłem, że nie był zły. Nie twierdziłem, że był idealny. – Lamb schował ręce do kieszeni. – Powodzenia ze znalezieniem starego drania. Tak go nazywał chłopak.

– Mam nadzieję, że to miało być czułe.

– Riverowi tak się wydawało. Ale to prawda, że był draniem. Gwarantuję ci to.

Gdy ją mijał, zmarszczyła nos i powiedziała:

– Brałeś ostatnio prysznic?

– Kusząca propozycja – odparł. – Ale w tej chwili nie wydaje mi się to stosowne. Pomijając wszystko inne, właśnie straciłem jednego ze swoich ludzi.

Wszedł do domu przez otwarte drzwi tarasu.

– No nie, naprawdę – mruknęła zza jego pleców Emma Flyte. – Rozwaliłeś mnie już tym „kurwa”.

W Londynie świt wstawał wzdłuż znajomych linii uskoku, szare światło sączyło się przez szpary i zza sylwetek najwyższych budynków. Prognozy zapowiadały, że taka ponura pogoda potrwa dłużej i deszcz dotrzymywał tej obietnicy, zalewając londyńskie ulice; taksówki wyruszyły już na łowy, gdy pierwsza fala dojeżdżających do pracy wysypała się na stacji metra i ludzie zastanawiali się, gdzie się podziiali ich parasole. W miejscach, w których kiedyś na rogach wystawiali sprzedawcy gazet, teraz można było zobaczyć młodzież – głównie Azjatów – w kurtkach przeciwdeszczowych rozdającą przechodniom darmowe gazetki. Wielu wykorzystywało je jako prowizoryczną ochronę przed deszczem. Światła na przejściach dla pieszych odliczały wstecz do zera, z półmroku nadjeżdżały autobusy i opornie budził się kolejny dzień, ponownie zapraszając beznadziejną zimą, by znów zrobiła to, co wychodziło jej najgorzej.

Spotkanie sztabu kryzysowego COBRA zwołano na pół do ósmej – wczesna pora spotkania w tradycyjny sposób wskazywała na poważne podejście wszystkich zaangażowanych stron. Podtekst brzmiał: może i do niczego nie dojdziemy, ale przynajmniej bardzo mało spaliśmy. Spotkania przed spotkaniem odbywały się więc od szóstej; różne główne biurka zaganiały swoje kaczkę w szereg i niektóre z twarzy przy stołach były nowe – w ciągu ostatnich miesięcy w związku z kryzysem przeprowadzono znaczne zmiany personalne. Życie na korytarzach Whitehall porównywano czasem do gry w gorące krzesła – obraz nasuwający na myśl tak nobliwe skojarzenia jak kobiety w czepkach, mężczyźni ze sztywnymi kołnierzami i doskonale zgrany kwartet smyczkowy przerywający w pół nuty. Żadnego przepychania się ani płaczu przed zaśnięciem – zwycięzcę czekają uprzejme brawa. Rzeczywistość przypominała jednak agresywne pogo przy akompaniamencie thrashmetalowej muzyki. Większość grających była zbyt ogłuszona, by zauważyć, kiedy przestaje grać muzyka, a przegrani mieli na twarzach odciski butów zwycięzców. Mimo to czasem się zdarzało, że nawet najzręczniejsi gracze zostawali wymanewrowani. Na przykład Peter Judd, były minister spraw wewnętrznych i niedoszły premier, wycofał się w sferę uważaną przez niego za życie prywatne, ponieważ – jak brzmiała oficjalna wersja – jego interesy biznesowe stały się niekompatybilne z karierą polityczną. Dame Ingrid Tearney, była szefowa MI5, również przekazała swój urząd – w jej wypadku, by móc pełnić ważną rolę w działalności organizacji charytatywnej poświęcającej się zachowaniu tradycyjnych brytyjskich wartości. Być może nie różniło się to aż tak bardzo od jej wcześniejszego życia, jeśli chodzi o cel, lecz można było żywić nadzieję, że nie doprowadzi do krwawych jatek. Były też inne odejścia ze stanowisk w Westminster; żadne z nich – jak wielokrotnie podkreślano – nie miało związku z trwającymi obecnie policyjnymi śledztwami w sprawie seksualnego wykorzystywania dzieci. Wręcz przeciwnie, wszystkie wynikały ze wznioślejszych pobudek – potrzeby świeżej krwi w polityce; ustępowania miejsc młodszym; oddania głosu niewiastom, jak ujął to pewien ustępujący notabl, którego słownictwo jasno dowodziło, jak świetnie udawało mu się trzymać rękę na pulsie współczesnego życia. A więc muzyka umilkła, muzyka znów zaczęła grać, a zakrwawieni i posiniaczeni gracze lizali rany i wybierali strony na nowo.

I w rezultacie wszystkich tych zmian większość rzeczy pozostała oczywiście taka sama.

W pokoju kilka poziomów poniżej wstającego świtu przemawiał do zebranych człowiek niedawno wybrany na Pierwsze Biurko w Regent's Park.

– Na początek ogólny zarys. To coś nowego. Coś, czego jeszcze nie widzieliśmy. Tłum jako cel, tak, zawsze się tego obawiano, czy chodziło o stadiony piłkarskie, czy rynki ze straganami, ale to wynosi terroryzm na zupełnie nowy poziom. Te dzieciaki tam zaproszono.

Claude Whelan był niskim mężczyzną o wysokim czole, miał skłonność do cedzenia słów – gdy je wypowiadał, były jak płytka perforowana i niemal dało się usłyszeć, kiedy stawia kropki. Ale ogólnie był przyjemny w obyciu, a jego kluczową cechą okazała się bezpośredniość. Choć wśród męskiej arystokracji w Regent's Park garnitur i krawat uchodziły za obowiązkowe, Whelan pojawił się pierwszego dnia w marynarce i koszulce polo „i to było jak świeży powiew wędrujący przez cały budynek” – opowiadała o tym jednym tchem któraś z Królowych Bazy Danych.

– Zawsze wiedzieliśmy, że jesteśmy bezradni wobec działań pojedynczego ekstremisty. Nie wobec grup, ponieważ grupy muszą się komunikować, lecz wobec samotnego wilka, który zmontuje coś u siebie w garażu i zdetonuje w miejscowym supermarkecie. Kiedy nie mamy o nich żadnej wiedzy, nie jesteśmy w stanie ich powstrzymać. W głębi ducha wszyscy o tym wiemy. Każdy to wie. Jednak zawsze mieliśmy tę przewagę, że typ samotnika z reguły się wyróżnia. Tacy ludzie zwykle są dziwni, wzbudzają podejrzenia i – mimo tego, do czego przyzwyczaili nas Hollywood – są w sumie raczej stuknięci, więc więcej jest takich, którzy sami wykańczają się w tych garażach, niż takich, którym udaje się wysadzić jakiś sklep.

Był po pięćdziesiątce, bezdzietny, ale miał żonę, której zdjęcie zdobyło jego biurko i której fotografię często pokazywał swoim gościom: „To jest Claire”, zwykł mawiać. „Bez niej bym zginął”.

I czasem tym słowom towarzyszyło zmarszczenie brwi, jakby nie był to tylko mechanicznie powtarzany hołd, lecz wgląd w jakiś alternatywny stan istnienia, w którym wędrował bez mapy po pustkowiu, a jego ślady zataczały kręgi i prowadziły donikąd.

– Wygląda na to, że ten był inny. Ten starannie zaplanował swój zamach aż po przejście konta na Twitterze, na którym pierwszy raz wspomniano o tym wydarzeniu. Wpis był autorstwa niejakiego Richarda Wyatta, dwudziestojednoletniego studenta z LSE, którego obserwuje na Twitterze wiele osób w związku z funkcją, jaką pełni w komitecie kulturalno-rozrywkowym na uczelni. Tweet pojawił się o 8.47 rano w poniedziałek pierwszego stycznia, na dzień przed wydarzeniem. Jego treść brzmiała: „Potrzebny tłum tańczących”, z trzema wykrzyknikami i hasztagiem „flashthemall”. Jesteśmy pewni, że za wpis nie odpowiada pan Wyatt.

Co do gabinetu Whelana – był kolejnym tematem plotek. Jego poprzedniczka, Dame Ingrid Tearney – miła starsza pani, która na śniadanie piła świeżą krew – zajmowała pokój w okazałej i okazałe widocznej części Regent's Park, której okna wychodziły na sam park, a latem poruszane wiatrem gałęzie rzucały cienie na ściany. Whelan zdecydował jednak, że jego miejsce jest wśród personelu, którego większość pracowała ukryta przed promieniami słońca, jeśli nie liczyć żarówek imitujących wiosenne światło. Wybrał więc jeden z mniejszych gabinetów w centrali – serdeczny gest, który natychmiast zjednał mu młodych szpiegów, ale najeżył wszystkich pozostałych.

– Do wczesnego popołudnia opublikowano ponad czterysta tweetów o flash mobie i powstała poświęcona mu strona na Facebooku. Było to dziełem niejakiego Craiga Harrisona, bezrobotnego dwudziestodwulatka z Bristolu. Jesteśmy niemal pewni, że nie zawinił niczym prócz entuzjazmu do publicznej zabawy, jednak fakt, że nie pojawił się na flash mobie, uruchomił dzwonki alarmowe. Jego wersja jest taka, że nie mógł sobie pozwolić na bilet do Londynu, ale mimo to chciał w jakiś sposób uczestniczyć w tym... co określił mianem odlotowego „bum”. Gdy do pana Harrisona dotarło, że doszło

właśnie do bum, pośpiesznie dodał, że jest to slangowe określenie imprezy, i nie przyznał się, jakoby wiedział coś wcześniej o zamachu. Śledztwo potwierdziło jego twierdzenie o ubóstwie, ale na tę chwilę przesłuchanie pana Harrisona jeszcze się nie zakończyło.

Jednak oprócz kilku nastroszonych piórek na razie wszystko szło gładko. Śmiałe wejście Claude'a Whelana mogło wywołać szelest papierów, a nawet zdmuchnąć kilka z nich z niezbyt ważnych pótek, by trzepocząc, opadły na podłogę, ale nie sprawiło, że zaczęły się rozpadać zamki ani wyginać klamki w drzwiach, które lepiej pozostawić zamknięte. „Ten gość, Whelan – skomentował Ten z Głębi Korytarza – tak naprawdę jest Jednym z Nas”.

Czasem nic więcej nie trzeba.

– A co z samym wydarzeniem? Nasz zamachowiec może mieć sporą dozę pewności, że zjawi się tłum, ponieważ jego docelowi odbiorcy zareagują na wezwanie na Twitterze. Wielu podobnym do niego to by wystarczyło, ale nie, on chce, żeby doszło do prawdziwej imprezy, bo wie, że to zwiększy przerażenie stukrotnie... Tysiącrotnie. Nie będę was przeproszać za to, że pokazuję wam znów ten materiał, choć oglądaliśmy go po wielokroć, ale tym razem rozdzielczość jest wyższa, niż udało nam się dotąd osiągnąć. Oto co mamy. – Uniósł rękę i pstryknął palcami. – Proszę. Patrzmy na film z kamery monitoringu. Centrum handlowe, schodzą się dzieciaki, ta trójka ze sprzętem muzycznym. – Machnął wyimaginowaną batutą, trafiając jakiś punkt w powietrzu za swoimi plecami. – I stop!

Przerwał, jakby pozwalając, by do jego niewidzialnej publiczności dotarł niewidzialny obraz, który zatrzymał.

– Tych trzech chłopaków. Wiemy z rozmów przez radio, że co najmniej jeden z ochroniarzy z Westacres, niejaki Samit Chatterjee, domyślił się, że coś się święci, gdy się pojawili. Brawo dla niego, ale niestety sam stał się jedną z ofiar. Ci chłopcy to Jacob Lee, Lucas Fairweather i Sanjay Singh. Wszyscy w wieku szesnastu lat, z tej samej miejscowej szkoły, według raportów nierozłączni przyjaciele. Nic nam nie wiadomo o tym, by którykolwiek z nich miał coś wspólnego z jakimiś grupami ekstremistycznymi, żaden nie był notowany... z wyjątkiem Fairweathera. – Wskazał wyimaginowaną batutą na Fairweathera i wokół jego nieistniejącego obrazu z pewnością pojawił się czarny krąg. – Fairweather dostał pouczenie w ubiegłym roku w czerwcu po aresztowaniu podczas imprezy, która wymknęła się spod kontroli. Impreza odbywała się w domu należącym do rodziców innego kolegi ze szkoły. Nie było ich wtedy i planowana impreza syna koniec końców została ogłoszona na Twitterze, początkowo przez Fairweathera, więc spodziewana jakaś setka gości zmieniła się w dwutysięczny flash mob. Informacja o tym trafiła do ogólnokrajowej prasy i pośpiesznie ściągnęła nieszczęsnych rodziców z urlopu. Chcieli wnieść oskarżenie przeciw prowodyrom. Jednym z nich, jak już wspominałem, był Fairweather, i choć nie wysunięto zarzutów, mógł się nacieszyć piętnastominutową sławą. Sądzymy, że właśnie to przykuło uwagę naszego zamachowca.

Kolejna pauza. Może film przesunął się do przodu o kilka rozedrganych kadrów. Może wciąż był zatrzymany na obrazie trzech młodych chłopaków, z których jeden niósł wielką czarną podręczną torbę. Wszystko to – chłopaków, torbę, przyszłość – wybuch obrócił w nicność.

– Tego samego dnia rano, gdy pojawił się pierwszy tweet, Lucas Fairweather otrzymał SMS-a z telefonu na kartę. Jego treść brzmiała: „Lucas, chcesz się pośmiać?”. Odpisał: „Kim jesteś?”. „Przyjacielem”, odpisał nieznajomy. I tak to się potoczyło. Pełna transkrypcja znajduje się w waszych teczkach. Przy trzydziestej ósmej wymianie Lucas Fairweather i ten nieznajomy, który nazywał sam siebie Dwightem Passengerem, byli już bliskimi przyjaciółmi. I Passenger namówił Lucasa, by zapewnił muzykę do flash mobu. Przepraszam. – Claude Whelan upił łyk wody ze szklanki stojącej przed nim. Potem kontynuował: – Kolejny przedsmak sławy dla Lucasa Fairweathera. Prawdopodobnie

cieszył się poświęcaną mu uwagą. Jest jednak jasne, że nie miał pojęcia, w co on i jego przyjaciele się wplątali.

Machnięcie ręką, by pokazać, że film powinien ruszyć dalej.

– No dobrze. Zaczyna grać muzyka, wszyscy ściągają kurtki i zaczynają tańczyć. W rogu kadru widzicie państwo naszego ochroniarza, pana Chatterjee, który, ach, który dał sobie spokój z interwencją, gdy uznał, że nie szykuje się nic gorszego niż improwizowany taniec. I przez kolejne dwie i pół minuty tak faktycznie było. Flash mob. Popularny około 2005 roku, potrafiło to być uciążliwe, jeśli człowiek akurat znalazł się na miejscu podczas takiego wydarzenia, ale tak naprawdę to młodzi ludzie po prostu dobrze się bawili. Gdyby tylko tak było i w tym przypadku... No cóż, wszyscy wiemy, że było inaczej. Bo w międzyczasie, o 15.04, dwie i pół minuty po tym, jak zaczęła grać muzyka, pojawia się ten mężczyzna. Gdy wszyscy wokół niego tańczą, on rozpina guziki płaszczu i...

Zadzwonił telefon.

– Jezu. Przepraszam, Claude. Naprawdę strasznie cię przepraszam. Muszę to odebrać.

– W porządku, Diano.

– Naprawdę przepraszam. To mi zajmie tylko chwilę.

I Diana Taverner wysliznęła się z pokoju z komórką w ręce, zostawiając Claude'a Whelana samego, zajętego powtarzaniem w głowie reszty sprawozdania, którą miał wygłosić podczas spotkania sztabu kryzysowego COBRA z udziałem premiera za nieco ponad godzinę.

Rozmowa, która miała miejsce na korytarzu, była prawie jednostronna: Taverner, czyli Lady Di, choć nikt nie nazywał jej tak prosto w twarz – słuchała, kiwała głową i zadawała pytania. Nie było tu okien, ale widziała swoje odbicie w szklanych drzwiach i słuchając, poprawiła marynarkę i strzepnęła kłaczek z kłapy. Jej naturalnie kręcone kasztanowe włosy były krótsze niż kiedykolwiek dotąd. Zaczęły się w nich pojawiać siwe kosmyki i przekonała się, że łatwiej jest się ich pozbyć z krótszej fryzury. To była tylko jedna z wielu bitew w jej życiu.

Zakładała, że te siwe włosy mają związek z zeszlórocznymi wydarzeniami, które zagroziły jej karierze. Wewnętrzna walka o władzę, do której często dochodzi podczas operacji o dużym znaczeniu, przypadkiem doprowadziła do małej wojenki w jednym z obiektów MI5 na zachód od miasta. Znaczna część strzelaniny wydarzyła się pod ziemią, a sam ten rejon był znany jedynie z liczby mieszkańców, którzy rzucali się pod pociągi wyjeżdżające ze stacji Paddington, ale mimo wszystko: można pozwolić na to, by poniewierano się tylko kilka ciał, zanim ktoś zauważy, jaki to bajzel. To był pretekst, na który tylko czekało kilka końskich szczęk z nadzwyczajnej komisji parlamentarnej; mścili się za to, że jednego spośród nich zaorano po tym, jak został przyłapany na podkradaniu pieniędzy. Tak, to przestępstwo; gdyby ktoś chciał dzielić włos na czworo, to nawet zdrada, ale na litość boską, gościa pozbawiono tytułu szlacheckiego! Kiedy już odsiedział trzy miesiące – właściwie to nawet nie, bo był absolwentem Harrow School – nie mógł się pokazać w swoim klubie.

A więc po krwawej jatce w pobliżu Hayes nastąpiło jej poważniejsze lustrzane odbicie w Regent's Park i choć Diana Taverner przetrwała odstrzał, nie było łatwo. Upominano się o przysługi, zgodnie z wcześniejszymi obietnicami realizowano groźby szantażu. To był niepewny grunt pod nogami – wiadano, gdzie zakopano wiele trupów, ale ponieważ sporą liczbę sama posłała do piachu, niezbyt mądrze było przyciągać czyjąś uwagę – i jej wieloletnia ambicja, by zostać Pierwszym Biurkiem, stała się jedną z kart przetargowych, które musiała oddać, a przynajmniej udać, że to robi. Teraz więc wróciła do punktu, w którym, jak zaczynało jej się zdawać, zawsze była – Drugie Biurko w dziale operacyjnym,

bez urazy i z całego serca wspierające intruza, który ukradł jej stanowisko. Tym razem był to niejaki Claude Whelan, zza rzeki, gdzie żyją analitycy wywiadu.

– W porządku, Emmo – powiedziała. – Ten bałagan nie jest nam potrzebny, ale nie panikujemy. Jeśli czegoś nie ma na Twitterze, prasa nigdy się nie dowie, że się wydarzyło. A więc zaprosz na pokład miejscowych matolów. Mogą sobie szukać, ile chcą, dopóki nie zjawi się staruszek. Tymczasem niech jeden z naszych prawników poinformuje tego, kto za to odpowiada. Niech mu przekaże, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego i że gdy już go złapią, Cartwright ma być nasz. Podkreśl, że to nie ma żadnego związku z tym, co stało się w Westacres. Dzięki temu będą myśleć, że to jednak ma jakiś związek, i pozostaną bardziej skorzy do współpracy. Zadzwoń do mnie za godzinę, żeby powiedzieć, jak sprawy stoją. I staraj się nie nadepnąć nikomu na odcisk.

Rozłączyła się.

Analitycy zza rzeki zajmowali się danymi, a nie zasobami ludzkimi: wprowadzali informacje do programów symulacyjnych, by ocenić rezultaty w rzeczywistym świecie, i na odległość przeprowadzali ocenę psychiatryczną zagranicznych waśniaków; testowali systemy bezpieczeństwa wewnętrznego w poszukiwaniu luk. Wszystko to oznaczało, że spędzali więcej czasu z myśzką w ręce niż na obcowaniu z ludźmi, nic więc dziwnego, że wszyscy byli zajebiście dziwni. Whelan jednak zdawał się zrównoważony i zsojalizowany, co czyniło go albo wyjątkiem, albo urodzonym politykiem, i na razie Diana pozostawała dla niego podporą; jedynym kołem ratunkowym, jakie miał znaleźć na słynących ze zdradliwości wodach Regent's Park.

Wróciła do pokoju.

– Przepraszam za to.

Whelan zbierał swoje papiery na stertę. Wsunął je do kartonowej teczki.

– Coś poważnego?

– Nie chodziło o Westacres. Dawny agent, David Cartwright. Mówi ci to coś?

– Oczywiście. Nie poznałem go, ale wiem, o kogo chodzi.

– Cóż, doszło do incydentu w jego domu. Wygląda na to, że staruszek zastrzelił intruza i zniknął.

– Dobry Boże!

– To jeszcze nie wszystko. Tym „intruzem” był jego wnuk, który jest czynnym pracownikiem służb. Ogólnie zrobił się mały bałagan. Ale Emma Flyte jest na miejscu. Zajmie się tym.

– Ten wnuk... nie żyje?

– I to bardzo. Chcesz na szybko przejrzeć resztę swojego sprawozdania?

Nagła zmiana tematu go zaskoczyła.

– Nie jestem pewien, czy będziemy mieli dość czasu. Masz jak dotąd jakieś uwagi?

– Powinieneś przyspieszyć, zwłaszcza na początku – odparła Taverner. – Wszyscy wiedzą, że to była cholerna katastrofa, a retoryka premiera zależy od ludzi, którzy piszą mu przemówienia. Od ciebie oczekuje tylko świeżych informacji, które będzie mógł stopniowo przekazywać mediom, oraz czegoś, co zachowa na przyszłość, kiedy już wszystko przycichnie. A przycichnie. To będzie długi i trudny czas, to też chcesz im przekazać, choć nikt nie będzie słuchał. Wciąż będą oczekiwać, że jutro udzielisz im odpowiedzi.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nikt w Westacres nie był przygotowany na flash mob. Nie była to najlepiej strzeżona tajemnica na świecie.

– Nie, ale ochroniarze z Westacres to nie Centrala Łączności Rządowej. Szukają kieszonkowców, zamiast grzebać w internecie w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. Jeśli chodzi o nas lub

o Cheltenham, to gdybyśmy na to natrafili, nie poświęcilibyśmy temu uwagi nawet przez minutę. Bo niby czemu? To studencki dowcip, a nie spisek ISIS.

– Dobrze, ale podkreśl to. Zrób z tego część narracji, a nie wytłumaczenie, które wymyśliśmy po fakcie. I Cheltenham też się nie przejmuj. Jeśli Centrala Łączności Rządowej nawala, to ich problem.

– To nasz wspólny front?

– To kwestia równowagi. Jeśli centrala zyskuje wpływy, my je tracimy. To proste. Masz zestawienie danych o Robercie Wintersie?

Robert Winters był tym facetem, który pojawił się o 15.04. Mężczyzną, który przyszedł na flash mob w Westacres, i wysadził dzieciaki w powietrze aż do samego królestwa niebieskiego.

– Tak, wszystko, co o nim wiemy.

– Na razie poza to nie wykraczaj. Spekulacje nic nie pomogą.

Whelan wsunął teczkę pod ramię i powiedział:

– Dziękuję, Diano. Doceniam twój wkład.

– To twój pierwszy tydzień. Nie nazwałabym tego łagodnym wprowadzeniem.

– No cóż. Nie spodziewałem się, że będzie łatwo. – Zawahał się. – Wiem, że miałaś... uch... własne ambicje.

Zanim zdążył skończyć, już kręciła głową.

– Nic by z tego nie wyszło, Claude. Byłam zbyt blisko związana z Dame Ingrid, i cóż, kiedy już okazało się, że jest toksyczna...

– Cena lojalności.

– Ładnie to ująłeś.

Pięć minut na odrobienie pracy domowej wystarczyłoby, żeby dowiedzieć się, iż ona i Ingrid Tearney były zaprzysięgłymi wrogami, a cokolwiek by mówić o analitykach, zawsze odrabiali pracę domową.

Spytał najswobodniej, jak potrafił:

– Coś jeszcze, Diano, zanim pójde na dywanik do dyrektora? Jest coś, o czym mi nie mówisz?

– O wszystkim, czego się dowiem, będziesz wiedział minutę później.

– Minuta to w wywiadzie dużo czasu.

– Tak tylko się mówi, Claude. Nic nie zachowam dla siebie.

– Dobrze. Bo tak jak mówiłaś, to kwestia równowagi. Każdy, kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Mam nadzieję, że to jasne.

– Jak słońce, Claude – odparła. – Ach, jeszcze jedno. Twój autograf. – Wcześniej położyła na stole starannie pozszywane papiery, a teraz wzięła je do ręki. – Obawiam się, że musisz podpisać się trzy razy. Wszystko w trzech egzemplarzach.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Muszę to wszystko przeczytać?

– Powinnam na to nalegać. Dowiedziałabyś się więcej o tym, skąd bierzemy nasze przybory biurowe. Nie masz pojęcia!

– To jedna z rzeczy, które kocham w tej pracy. Odświeżając tradycyjne podejście do biurokracji. – Przerzucił egzemplarz leżący na górze, podpisał wszystkie trzy na ostatniej stronie, po czym zważym krokiem wyszedł z pokoju.

Lady Di patrzyła za nim, przyciskając do piersi dokumenty, a potem sięgnęła po komórkę i oddzwoniła do Emmy Flyte.

– Zmiana planów – powiedziała. – Muszę się z tobą zobaczyć.

Spotkanie sztabu kryzysowego COBRA trwało już od jakiegoś czasu, gdy Slough House obudził się do życia, o ile ciężkie szuranie drzwi na tyłach można uznać za życie – zjawił się Roderick Ho w nowiuteńkiej czerwonej puchowej kurtce z mankietami i kieszeniami obszytymi srebrnymi odbłaskowymi elementami. Słuchawki szprycowały mu mózg gitarami brzmiącymi jak piły łańcuchowe, gdy zaczęła wibrować jego komórka, sygnalizując przyjście SMS-a. To na pewno moja kula u nogi, pomyślał czule. Sprawdza, czy nie przeleciałem w metrze jakiejś laluni jadącej do City – kobiety pracujące w bankowości wyglądają, jakby robiły zakupy w Victoria's Secret. Nic dziwnego, że dziewczyny osobników alfa, takich jak Roddy Ho, zaczynają się denerwować w godzinach szczytu. Z rytmem wiertarki udarowej wciąż dudniącym w głowie kliknął wiadomości, przekonany, że zobaczy na wyświetlaczu „Kim”, ale SMS był od Lamba. Ho przeczytał go w połowie drogi na pierwsze piętro i powiedział: „Jezu”. A potem jeszcze raz powiedział: „Jezu”, i głośno tupiąc, pokonał resztę drogi do swojego biura.

Kiedy przyszła Moira Tregorian, leżał na plecach w pokoju Rivera, majstrując przy kablach.

Starła się przejść obok, ale widok nóg wystających spod biurka okazał się silniejszy od niej i piętnaście sekund później cofnęła się, wciąż ubrana w płaszcz.

– Wszystko w porządku? – Ho nie odpowiedział. – Wysiadła nam sieć?

Bo gdyby wysiadła sieć MI5, oznaczałoby to, że sytuacja może być poważna. Niewykłuczone, że i Moira powinna się schować pod biurkiem. Nadal jednak nie doczekała się odpowiedzi i dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że nie patrzy na nogi Rivera Cartwrighta, lecz Rodericka Ho. Wydawało się znacznie mniej prawdopodobne, żeby Cartwright nosił dzinsy z fioletowym haftem na udach. Istniała więc spora szansa, że głowa ich właściciela jest podłączona do walkmana czy jak to się tam nazywa. Dość mocne argumenty przemawiały za tym, by nie pozwalać na używanie takich urządzeń w biurze, i to dało jej pretekst, by zrobić to, co zrobiła: kopnąć Ho w podeszwę.

Nie zabolalo go to, ale przynajmniej rąbnęła głową o biurko.

– Au! Boże!

– Cóż, myślę, że spokojnie możemy obejść się bez niego.

Ho wylażł spod biurka i spojrział na nią ze złością.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – krzyknęła.

Pociągnęła się za ucho.

Wyciągnęła słuchawki z uszu i z takim samym rozdrażnieniem, ale tym razem ciszej, powtórzył:

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo nie odpowiadałeś.

– Cóż, nie słyszałem cię.

– No właśnie.

Ho potarł głowę. Po rozmowach z kobietami często bywał posiniaczony. Łatwo byłoby zacząć myśleć, że one wszystkie są szalone i agresywne.

– No i? Co robisz?

– Podmieniam komputery. Ten jest lepszy niż zapasowy u mnie w pokoju.

– Ale czy to nie komputer Cartwrighta?

– Ano tak. Nie słyszałaś. On nie żyje.

– Że co?

– Lamb wysłał mi SMS-a. Jestem tak jakby jego prawą ręką – stwierdził Ho. – A pozostali, no cóż... daleko im do mnie. Powiedzmy sobie szczerze, Shirley jest rąbnięta, a...

– River nie żyje?

– Lamb dopiero co zidentyfikował zwłoki – odparł Ho.

– Rany Julek... – powiedziała słabym głosem Moira.

Za jej plecami dał się słyszeć jakiś ruch i zjawiała się Louisa.

– Co się dzieje?

– Właśnie podmieniam...

– Młody Cartwright nie żyje – poinformowała ją Moira.

– Nie.

– Pan Lamb właśnie wysłał SMS-a...

– Nie.

– Przykro mi, ale...

– Nie.

Louisa wyszła z pokoju i przeszła do siebie, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Ojej. Nie za dobrze mi to wypadło.

– Co nie za dobrze ci wypadło? – spytał Ho.

Zjawił się J.K. Coe, ledwie widoczny w bluzie z kapturem. Jeśli zauważył obecność intruzów w pokoju, to o tym nie wspomniał; opadł tylko na krzesło przy swoim biurku i odpalił komputer. Jego palce już zaczynały się poruszać i pięści niewidzialne klawisze.

– Słyszałeś? – spytała Moira Tregorian.

Miała z nim jednak tyle samo szczęścia co wcześniej z Ho.

– Wszyscy tu ogłuchli?

Do Coego dotarło coś z jej mowy ciała, jakieś ostrzegawcze wibracje. Wsunął z uszu słuchawki i spojrzał w jej stronę spod bezpiecznej osłony kaptura.

– Chodzi o Cartwrighta. Rivera. Lamb napisał w SMS-ie, że on... – Dotarło do niej, że nie wychodzi jej najlepiej przekazywanie tej nowiny, ale przecież istniała ograniczona liczba sposobów, w jaki można było dokończyć to konkretne zdanie. – ...nie żyje.

Coe gapił się na nią przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na Ho, który chwilowo porzucił plan rozłożenia komputera Rivera na części.

– To do mnie Lamb napisał – powiedział Ho, by podkreślić, kto tu jest prawą ręką szefa.

Coe gapił się jeszcze przez chwilę, a potem mruknął:

– Mhm.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką do tej pory w ogóle od niego usłyszeli.

Z dołu znów dobiegły hałasy: przyszli Shirley i Marcus. Do tego hałas z korytarza, bo Louisa wyłoniła się ze swojego pokoju i wróciła do biura Rivera. Jej oczy miały kolor wypalonych zapalek.

– Cholera, o czym ty mówisz?

– Właśnie podmieniałem... – zaczął Ho.

– Nie ty, kretynie. Ona.

– Kto jest kretynem? Ach, on – rzuciła Shirley od drzwi.

– Ani słowa, kurwa mać! Wszyscy się zamknijcie. – To dotyczyło wszystkich wokół Louisy: również Marcusa, który stał na korytarzu z Shirley. – Z wyjątkiem ciebie – zwróciła się do Mory. –

O czym ty, kurwa, mówisz?

– Naprawdę nie życzę sobie...

– Zrozum, naprawdę zrozum. Jestem o włos od tego, żeby ukłócić ci ten twój pierdolony...

– Louiso. – Marcus położył jej dłoń na łokciu. – Louiso, musisz się uspokoić. Po prostu sobie usiądź, dobrze?

Miała ochotę wrzasnąć, że usiądzie, kiedy będzie na to gotowa, i co on w ogóle, kurwa, mógł o tym wiedzieć? Ponieważ nie było go przy tym, kiedy ta suka powiedziała to, co powiedziała. Że River nie żyje. Jak mógł nie żyć? Ale Louisa nic z tego nie wyartykułowała, bo za bardzo się trzęsła. Zupełnie jakby spadła z drzewa do lodowatej wody i już nigdy nie miała poczuć ciepła.

Ktoś, szurając, ciągnął krzesło po podłodze. Shirley. Dwie ręce opuszczyły Louisę na to krzesło. Marcus.

Który powiedział:

– A teraz naprawdę muszę się dowiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje.

Istnieje ograniczona liczba sposobów, w jakie można zadzwonić do drzwi. Krótki myślNIK, gdy dzwoniący jest pewny siebie. Kropka, gdy ktoś nie chce ci przeszkadzać. Oraz „będę się opierać o to cholerstwo, dopóki ktoś nie otworzy drzwi” – ulubiony sposób komorników, byłych mężów i każdego, kto nie przywykł do ciepłych powitań.

– Jackson – powiedziała Catherine Standish. – Co za niespodzianka.

Jej słowa były wyzute z jakichkolwiek emocji.

Catherine mieszkała w kamienicy w stylu art déco w St. John’s Wood; budynek miał zaokrąglone naroża i okna z metalowymi ramami; niegdyś niejasno futurystyczny, a teraz już na zawsze w uroczym stylu retro. Kafelki w lobby lśniły jak powierzchnia lodowiska, a nad windą znajdowała się najprawdziwsza tarcza wskazująca, na którym piętrze znajduje się kabina. Czasem Catherine wyobrażała sobie, że nagle zacznie się tu hollywoodzki musical; coś z hotelowym boyem, wyniosłą matroną w futrze i z małą lornetką, a Fred będzie wirować w tańcu z Ginger, wpadając do windy i wypadając z niej, a jej drzwi będą się otwierać i zamykać: tak/nie, tak/nie... O ile zwykle Catherine nie puszczała wodzy fantazji, czasem pozwalała sobie na to w odniesieniu do miejsca, w którym mieszkała. Kiedyś był taki czas, gdy przyszłość spędzana pod drzwiami sklepu wcale nie wydawała się taka nieprawdopodobna. Kawalerkę w St. John’s Wood zdecydowanie można było uważać za bezpieczną przystań.

Lecz nie na tyle bezpieczną, by uchroniła ją przez Jacksonem Lambem.

– Miłe powitanie – stwierdził. – Mogłabyś w nie włożyć trochę uczucia.

– Włożyłam. Tylko nie takie, na jakie liczyłeś.

– Zaprosisz mnie do środka?

– Nie.

– Masz coś przeciwko temu, że i tak wejdę?

Odsunęła się na bok, by go przepuścić.

Kiedy Lamb gościł tu ostatnio, był środek nocy i właśnie kolejno zgarniano kulawe konie. Dziś przyszedł rano, a Catherine była ubrana... W sumie jego zjawienie się nie było aż tak wielkim szokiem. Czasem można uciec przed losem. Innym razem los wraca do ciebie, niezależnie od tego, co zrobisz.

Podczas gdy większość gości czekałaby w przedpokoju na zaproszenie, by przejść dalej, Lamb od razu wparował do salonu.

– Napijemy się czegoś?

– O tej porze?
– Miałem na myśli herbatę – odparł ze zszokowaną miną niewiniątka.
– No jasne. Po co tu przyszedłeś?
– To nie mogę już zająrzeć do starej przyjaciółki?
– Może i możesz. Ale po co przyszedłeś?
– Dopiero co zidentyfikowałem zwłoki Rivera Cartwrighta – odparł. – I chciałem, żebyś dowiedziała się jako pierwsza.
– Rivera...
– Jego zwłoki.
– Jak...?
– Dwie kule w głowę. Właściwie to w twarz. Wątpię, by cię zaskoczyło, że po czymś takim niewiele zostaje.

Catherine odwróciła się, by wyjrzeć przez okno na ulicę. Niewiele tam się działo. Jakiś mężczyzna wyprowadzał psa, cockapoo albo labradoodle'a lub coś w tym stylu – to była jedna z tych ras, które jednego dnia nie istnieją, a następnego dnia są wszędzie i wyglądają, jakby całe składały się z wesołych oczu i wywieszonych języków. Patrzyła, jak mężczyzna czeka, aż pies zrobi swoje na poboczu, a następnie zgarnia to do plastikowej torebki. Jeśli powiesi ją na żywopłocie, pomyślała Catherine, otworzę okno i czymś w niego rzucę. Żelazkiem, stolikiem do kawy. Nie zrobił tego jednak. Ruszył dalej, trzymając torebkę w ręce. Czasem ludzie zachowują się tak, jak powinni. Pewnie nawet przez większość czasu. Jednak w jej dawnym zawodzie łatwo było zacząć myśleć, że jest inaczej.

Pomyślała: River Cartwright, i spróbowała sobie wyobrazić, jak powinna się teraz czuć, po tym, jak jej powiedziano, że zginął; że oberwał dwie kule w twarz. Nie potrafiła jednak dotrzeć do uczuć, które ta informacja mogłaby wywołać. Była w stanie obserwować jedynie, jak mężczyzna i jego pies dalej wędrują spokojną uliczką, aż straciła ich z oczu.

– Nie zareagujesz?
– Właśnie reaguję – odparła. – Gdzie to się stało?
– W łazience. Jak za dawnych czasów, co?

Bo swojego byłego szefa, Charlesa Partnera, też znalazła w łazience, z bronią w ręku. Z kulą w głowie.

Tylko jedną. Niewiele samobójstw wymaga dwóch.

– Powiedziałeś pozostałym?
– Wysłałem SMS-a do Ho. Pewnie już im to przekazał.

Wbrew sobie i wszystkiemu, co o nim wiedziała, tym razem naprawdę ją to zszokowało.

– Wysłałeś SMS-a?

– Myślałaś, że wrzuciłbym to na Twittera? Jezu, Standish! W końcu zginął człowiek.

– Wiesz, co to zrobi z Louisą?

– Dlatego wysłałem tego SMS-a do Ho. Wydaje ci się, że to ty wynalazłaś poczucie taktu? –

Trzymał teraz w ręce papierosa. Pojawił się w jego palcach tak po prostu; nigdzie nie było widać ani śladu paczki.

Pokręciła głową; na papierosa, na niego, na to, jak przekazał wiadomość. W ten sposób przekazywał wszystko inne: z jakąś ponurą przyjemnością z patrzenia, jak spada bomba.

– Nie spytałaś, w czyjej łazience – zauważyła.

– W czyjej łazience?

Pogroził jej palcem.

- Przykro mi, powinnaś to wiedzieć.
- To ci sprawia przyjemność.
- Sprawiałoby mi większą przy filizance herbaty. Jestem na nogach, odkąd zaczęły srać pierwsze wróbelki.
- Na litość boską...
- Jesteś sama? Powinienem być zapytać.
- A wyglądam, jakbym miała towarzystwo?
- Musiałem się upewnić. Trudno się pozbyć reputacji, co?
- Sam najlepiej wiesz. Każdy, kogo kiedykolwiek poznałeś, uważa cię za skończonego sukinsyna. Chcesz ode mnie czegoś jeszcze? Bo w każdej chwili możesz sobie iść.
- Jego dziadka.
- Co?
- To było w łazience jego dziadka. S.D. czy jakoś tak.
- River go tak nazywał – przyznała Catherine. – Nie jestem pewna, czy ty masz do tego prawo.
- Ach, nie wkurza cię, gdy ludzie mają swoje prywatne dowcipy? Zupełnie jakby każdy był przypierzonym szpiegiem. – Wsunął papierosa za ucho. – Nie spytałaś jeszcze kto.
- Nie spytałam kto co?
- Kto zastrzelił Rivera – wyjaśnił Lamb. – Dopiero co wstałaś? Jakoś słabo kojarzysz.
- Wciąż jestem wstrząśnięta tym, że tu jesteś – powiedziała. – Gdyby cię tu nie było, byłabym o wiele szczęśliwsza.
- W takim razie sobie pójdę.
- Dziękuję.
- Gdy tylko napiję się herbaty – dodał i odsłonił w uśmiechu żółte zęby.

Po Tamizie wlokła się barka z wielką stertą śmieci, a nad nią krążyły mewy, wielka kołująca się masa mew, które kłóciły się i biły między sobą o skarby. „Niczego piękniejszego nie wchłonie żrenica na tej ziemi”*. Dla Diany Taverner wyglądało to jak zwyczajna polityka. Czekwała przy barierce w pobliżu teatru Globe, na odcinku chodnika, który znajdował się w martwym punkcie kamer monitoringu – jakże wysoko cenionym przez tych, którzy o tym wiedzieli. Dochodziła dziesiąta; dawniej pieszych byłoby niewielu, bo wszyscy porządni obywatele siedzieliby w pracy, teraz jednak przewalały się tędy tłumy ludzi, w znacznej części podłączonych do smartfonów czy tabletów i pracujących w biegu. Z pewnej odległości optymistyczne bla-bla-bla ich konferencyjnych rozmów przez komórki nieznacznie różniło się od wrzasku mew, który niósł się w dół rzeki i mógł dotrzeć nawet do morza. Zerknęła na zegarek: za dwie dziesiąte. A potem pojawiła się Emma Flyte. Dłoń w rękawiczce oparła na barierce i przez chwilę zwrócona do Diany doskonałym profilem chłoneła widok: City spowite pięknem poranka.

Jej strój nie pasował do pory roku, dziś było mokro i zimno.

- Coś nowego? – spytała Diana.
- Wciąż go nie znaleźli – odparła Flyte.
- Wspaniale. Ile on ma lat? Dziewięćdziesiąt?
- Prawie. – Flyte milczała przez chwilę. – Ktoś zgłosił kradzież samochodu. Jakies dwa kilometry stamtąd.
- Myślisz, że dałby radę przejść dwa kilometry?
- Słyszałam, że to stary drań – odparła Flyte. – Tacy z reguły bywają twardzi.
- Kto tak powiedział?

– Jackson Lamb.

– Ach! – Zawsze gdy Lamb pojawiał się w rozmowie, Diana z jakiegoś powodu odczuwała odruchową potrzebę, by zapalić. – Cóż, na twoim miejscu nie wierzyłabym Jacksonowi. Z nim tak już jest: jeśli podaje ci właściwy czas, to dlatego, że przed chwilą ukradł ci zegarek.

– Słyszałam, jak podobnie mówiono o tobie – odparła spokojnie Flyte.

Taverner spojrzała na nią. Emma Flyte nie powinna być w tajnych służbach, tylko na wybiegu – tak mogłyby oceniać dinozaury z Regent's Park, gdy na horyzoncie pojawiała się idealna dziesiątka. Ale poważnie: Boże. Patrzenie, jak ta kobieta zatrzymuje taksówkę, musiało być jak widok opadającej flagi na mecie wyścigu rydwanów. U Lady Di nie miała za to dodatkowych punktów, ale, co ciekawe, umysł Emmy w niczym nie ustępował urodzie.

– Tak, lecz kiedy mówiono tak o mnie, to był komplement – odparła.

– Wiem.

Dobrze, tak już lepiej.

Słumiła potrzebę, by zapalić, bo okazanie słabości na wczesnym etapie gry nigdy nie jest dobrym pomysłem. I choć Diana grała w tę grę już od jakiegoś czasu, rozgrywka zawsze zaczynała się od nowa, gdy pojawiała się świeża krew. Będzie się musiała dopiero dowiedzieć, czy Flyte gra zespołowo, nie wspominając już o tym, w czyjej jest drużynie. Taki był po części cel tego spotkania. I wyglądało na to, że Flyte sama do tego doszła, bo teraz rzuciła:

– Nie ściągnęłaś mnie tu tylko po to, by szybciej wiedzieć, o co chodzi w tym bajzlu z Cartwrightem.

– Nie.

– W takim razie czego chcesz?

Nie na taki ton liczyła Diana, ale przynajmniej był to jakiś początek. Otwarcie pionkiem na środkowych polach. Nigdy nie nauczyła się notacji, ale wiedziała, jaki to miało cel: wytropić króla przeciwnika, by go usidlić.

– Giti Rahman – powiedziała.

– To jedna z twoich dziewczyn.

– Z centrali, zgadza się.

Jedna z najlepszych i najbystrzejszych; potwierdziła tę ocenę niecałe trzy godziny wcześniej. W tej chwili odsypiała w jednej z kapsuł sypialnych w Regent's Park, a przynajmniej Diana miała taką nadzieję. Życzyła sobie, by teraz Giti Rahman była w krainie snów, bo dotarła do takich informacji, że gdyby zaczęła je przekazywać dalej, całe Regent's Park mogło zwalić im się na głowę.

– Co z nią? – spytała Flyte.

– Trzeba się nią zająć.

Z barki, która teraz znajdowała się jakieś sto metrów w dół rzeki, rozległ się dźwięk syreny; zaskakująco zawiadacki dźwięk jak na coś, co było właściwie pływającym koszem na śmieci. Chmara mew się rozpierzchnęła, a po chwili znów przypuściła swój wrzaskliwy atak.

– Muszę cię prosić, żebyś wyrażała się trochę konkretniej.

– Boże, a jak myślisz? O co takiego proszę?

– Nie zamierzam spekulować. Po prostu chcę mieć pewność, że cokolwiek to jest, zostałaś upoważniona, by mnie o to prosić, i że będę czuć się dobrze, spełniając tę prośbę.

– Jakie to niezwykle – rzuciła gładko Diana, choć teraz wiedziała już, na czym stoi, i było to całkiem pożyteczne. Nie wiedziałam, że wydając ci instrukcje, muszę spełniać twoje standardy. Lepiej

sprawdę, na jakich warunkach pracujesz. W sumie to lepiej sprawdzę, na jakich sama pracuję. Nie, chodziło mi o DZ.

Czyli w żargonie: dyskretne zgarnięcie. Zwinięcie i odizolowanie, bez robienia krzywdy.

– Naturalnie, o ile nie jest to pogwałceniem twoich zasad etyki zawodowej – dodała.

Flyte nie połknęła przynęty.

– Gdzie?

– Psy mają własny bezpieczny dom, jak sądzę.

– Nawet kilka – odparła Flyte. – Gdzie ona jest teraz?

– W kapsule sypialnej. Obudźcie ją, doprowadźcie do porządku i zabierzcie z terenu Regent's Park, zanim założycie tłumiki. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że jest w waszych rękach.

– Na jak długo?

– Dopóki nie powiem.

– Będę potrzebować zgody na nadgodziny.

– Nagniemy budżet. To jedna z zalet stanu podwyższonej gotowości.

– To ma związek z Westacres?

– Wydaje mi się, że mogę wydawać rozkazy bez wyjaśniania powodów – odparła Diana. – Chyba że zaraz mi powiesz, że jest inaczej?

– Będę musiała sprawdzić, na jakich warunkach pracuję – powiedziała Flyte bez cienia uśmiechu. – Ale z czystej ciekawości: dlaczego tu jesteśmy? A nie u ciebie w gabinecie?

– Nie wszystko, co robimy, powinno się odbywać za zamkniętymi drzwiami – rzuciła Diana. – To element tej nowej otwartości.

– I nie ma nic wspólnego z zachowaniem tego konkretnego rozkazu w tajemnicy?

– Jeśli masz coś do powiedzenia, Emmo, czemu nie powiesz tego teraz? Na pewno dzięki temu obie pocujemy się lepiej.

– Psy nie są prywatną armią – stwierdziła Flyte. – Poprzedniczka pana Whelana o tym zapomniała i narobiła sobie kłopotów.

– Dame Ingrid z honorami przeszła na emeryturę.

– Pewnie dlatego, że w dzisiejszych czasach Tower jest tylko dla turystów.

– Cóż, tak. Nie mówię, że nie było takich, którzy uważali, że zasłużyła sobie bardziej na kulkę w głowę niż na rzutkę z okazji odejścia, ale nie należy tego nadinterpretować. Brakowało jej mojego daru dogadywania się z ludźmi. – To też nie sprowokowało uśmiechu. Diana westchnęła. – W porządku, jeśli od tego pocujesz się lepiej. – Wyjęła nakaz, który podsunęła do podpisu Claude'owi Whelanowi; trzeci z rzekomych trzech identycznych egzemplarzy. – Wystarczy?

Emma Flyte przeczytała dokument, zanim odpowiedziała.

– Aż nadto. – Wykonała gest, jakby chciała schować go do kieszeni marynarki, ale Diana wyciągnęła po niego rękę.

– To ma pozostać w tajemnicy. Odpowiadasz tylko przede mną, a ja pod rygorem dochowania tajemnicy odpowiadam przed Claude'em. Taki jest łańcuch dowodzenia. Wszystko jasne?

– Jasne.

– Mam nadzieję, że będziemy się dobrze dogadywać, Emmo. Trafiłaś do nas z doskonałymi referencjami.

Flyte puściła nakaz, a Diana szybko go schowała.

– Dziękuję.

– Zaraz się tym zajmę – stwierdziła Flyte.

Diana Taverner patrzyła, jak tamta się oddala, i zwróciła uwagę na wszystkich mężczyzn – a także kobiety – którzy zerkali na nią, gdy ich mijała. Może nie największy atut jak dla kogoś z MI5, ale była to broń obosieczna. Kto by uwierzył, że jest tym, kim jest?

Krzyk mew oddalił się jeszcze bardziej. Wystarczy przenieść gdzieś śmieci, a cały harmider powędruje za nimi. Jeśli tak na to spojrzeć, wydawało się całkiem proste. Komplikacje pojawiały się dopiero, gdy człowiek oddalał się od metafory.

Przez nikogo nieobserwowana nagrodziła samą siebie papierosem, zmuszając się, by nie myśleć w tej chwili o niczym: żadnych spisków, planów, brudnych machinacji. Życie wokół niej toczyło się dalej: zwyczajny styczeniowy poranek i Londyn dochodzący do siebie po sejsmicznym wstrząsie przemocy. Przed nią była tylko rzeka: szara i bez końca płynąca gdzieś indziej.

Woda się zagotowała i czajnik się wyłączył. Gdy była dzieckiem, jeszcze nie wynaleziono czajników elektrycznych, a przynajmniej nie było takiego u niej w domu – w tamtych czasach czajniki stały na kuchence, a gdy woda się gotowała, gwizdały i trzeba było przyjąć i zakręcić gaz. W tym procesie nie było nic automatycznego. Catherine myślała o tym głównie po to, żeby nie myśleć o innych sprawach – niebezpiecznie było o nich myśleć, gdy stał za tobą Jackson Lamb. Może i nie potrafił czytać w myślach, ale sprawić, by człowiek uwierzył, że tak jest – już tak. I czasem to wystarczało.

– Jeśli chcesz go oplakiwać, to nie krępuj się – powiedział. – Jestem przy tobie.

– Nie potrafię nawet opisać, jak się z tym czuję.

– Nie ma za co.

Wrzuciła torebkę herbaty do kubka i zalała ją wrzątkiem.

– A ty nie pijesz?

– Mam sprawy do załatwienia, Jackson. Kiedy już się napijesz, byłoby dobrze, gdybyś sobie poszedł.

Zostawiła herbatę na blacie, oparła się o ścianę i łożyła ręce. Lamb studiował kubek, jakby nigdy nie spotkał się z naczyniem w takim stanie, i podejrzliwie go obwąchał.

– Masz łyżeczkę?

Catherine szarpnięciem wysunęła szufladę, zatrzasnęła ją i prawie rzuciła w niego łyżeczką.

– Zastrzelił go dziadek – powiedział.

– Jestem pewna, że to był wypadek.

– Powinnaś być prawniczką. Już mnie prawie przekonałaś. – Wgniół łyżeczką torebkę herbaty w ściankę kubka, a następnie ją wyłowił i zostawił na blacie. – Mleko jest w lodówce?

– Nie pijasz herbaty z mlekiem.

– Może się zmieniłem.

– Byłoby wspaniale, gdyby istniała taka szansa. – Oderwała kawałek papierowego ręcznika wiszącego na uchwycie na ścianie i zgarnęła nim torebkę. – Dziadek nie strzeliłby do niego umyślnie.

– Dwa razy?

– To bez znaczenia.

– Właśnie straciłaś głosy przysięgłych, Standish. Raz to mógłby być wypadek, muszę ci przyznać. Ale drugi strzał, prosto w twarz? To byłby szczyt nieuwagi.

– To staruszek. – Wrzuciła zawiniątko do kosza na śmieci. – Zdezorientowany, przerażony. Pewnie pomyślał, że River jest intruzem.

– I to dlatego zwabił go na górę do łazienki?

– Czemu mnie o to pytasz?

– Po prostu analizujemy to krok po kroku. Wygląda na to, że fazę wyparcia szybko pozostawiłaś za sobą.

– Cóż, masz dar do tego, by od razu budzić w ludziach złość. Zamierzasz to pić?

– Wciąż jest gorące. Nie chcę się poparzyć. Masz herbatniki?

– Nie.

– Zupełnie jakbyś mnie tutaj nie chciała – stwierdził. – Ale jaki byłby ze mnie szef, gdybym cię zostawił tuż po tym, jak przeżyłaś szok? Mogłoby ci się przytrafić tyle rzeczy.

– Żaden z ciebie szef. Odeszłam, pamiętasz? A przynajmniej próbowałam. Trzy razy wysyłałam to samo pismo do działu kadr.

– Wiem. Ciągłe przysyłają je do mnie. Chodzi o coś z podpisem na dokumencie?

– Na litość boską, Lamb! Z czym masz problem? Prowokowałeś mnie całymi latami i w końcu zrobiłam to, czego chciałeś. Po prostu podpisz te cholerne papiery i daj mi żyć.

– Upewniam się tylko, czy znasz samą siebie. Pomyśl, jak bym się poczuł, gdybyś z żalu wróciła do nałogu. Nie chciałbym mieć na sumieniu tego, że się rozkleisz i znów zaczniesz zaglądać do butelki. – Ostrożnie upił łyżeczek herbaty. – Mówi się, że pijacy tylko szukają pretekstu. Nie mam ci tego za złe. To przecież choroba.

– Jackson...

– Słyszałaś to?

– Co? Nie. Nic nie słyszałam.

– Zabawne. Byłbym gotów przysiąc, że coś słyszę.

– Piętro niżej są ludzie. To mieszkanie, pamiętasz? Jackson, nie powinieneś tu siedzieć. Powinieneś być w Slough House. Nie zostawia się swoich ludzi, kiedy jeden z nich ginie. Nie mówiłeś mi tego kiedyś?

– Raczej nie brzmi to jak coś, co mógłbym powiedzieć. – Odstawił niedopitą herbatę na blat. – To chyba najgorsza herbata, jaką w życiu piłem. I to wliczając te we Francji.

– Przekażę twoje zażalenie kierownikowi. Zbierasz się już?

– Och, myślę, że nic więcej tu nie wskóram. – Po raz pierwszy rozejrzał się po kuchni i w przypadku kogokolwiek innego mogłoby to być preludium do komplementu: była to mała, zwarta przestrzeń, tak urządzona, by służyła swojemu celowi i jednocześnie pozostawała przytulna. Wszystko było tam, gdzie być powinno. Nawet oparty o marmurowy blok kalendarz wydawał się starannie dobrany: z pięknymi obrazami Alma-Tademy. Wszystkie kwadraciki dni miesiąca były puste. – A poza tym widzę, że jesteś zajęta.

W przedpokoju otworzyła mu drzwi.

– Chcesz coś przekazać pozostałym? – spytał Lamb, nakładając rękawiczki. – Jakieś kondolencje?

– Powiedz im, że się odezwę.

– Wspaniale. A co ze Starym Draniem?

– Co z nim?

– Zamierzasz wiecznie go trzymać w sypialni czy chcesz, żebym załatwił, by ktoś po niego przyjechał?

Po dłuższej chwili Catherine zamknęła drzwi, a Lamb z powrotem ściągnął rękawiczki.

W Slough House wszyscy wciąż byli zebrani w pokoju Rivera Cartwrighta, który teraz stał się przypuszczalnie pokojem J.K. Coego, choć ten nie czynił żadnych starań, by to w jakikolwiek sposób podkreślić. Siedział zgarbiony w tej samej pozycji co zwykle, z kapturem zasłaniającym twarz. Chociaż

ten raz – być może, żeby okazać szacunek – jego dłonie się nie poruszały. Palce mu drgały co jakiś czas, ale nie wyciskał z drewna żadnej improwizowanej ciszy.

Moira z pewnym wahaniem opowiedziała, co wiadomo. Nie było tego wiele. A potem wszyscy umilkli, podczas gdy na ulicy w dole samochody z szumem przemykały po mokrej drodze. I wydawało się, że dzień, który powinien być coraz jaśniejszy, utknął na pośepnym szarym znaku zapytania.

– Teraz źle się czuję – odezwała się w końcu Shirley.

– Jeszcze nie ma dziesiątej – zauważył Marcus. – Zawsze źle się czujesz przed dziesiątą.

– Źle się czuję z tym, co powiedziałaś parę dni temu. O tym, że można by go zastąpić.

– No cóż – powiedział filozoficznie Marcus. – Pieprzyć to.

– Miał żonę? – spytała Moira.

Ho parsknął.

– Miał rodzinę – wyjaśniła Louisa. – Dziadka. Wczoraj wieczorem wybierał się do niego. Jak można zginąć, wybierając się do własnego dziadka?

– Można połknąć fistaszka i umrzeć – odrzekł Ho. – Louisa wbiła w niego wzrok. – Nie chodzi mi o alergię. Można się po prostu udławić.

– Może będzie lepiej, jeśli nie będziesz się już dzisiaj odzywał – stwierdził Marcus.

– A tak w ogóle, gdzie jest Lamb? – spytała Louisa.

– Tu go nie ma.

– A, kurwa, powinien. Dopiero co zginął jeden z jego ludzi.

– Jesteśmy pewni, że nie żyje?

– Lamb zidentyfikował zwłoki – powiedział Ho.

– To mnie jakoś nie przekonuje. A was?

Po chwili Shirley stwierdziła:

– Cóż, nie chciałabym, żeby identyfikował moje.

– Louiso... – zaczął Marcus.

– Nie. To się, kurwa, nie dzieje naprawdę. Nie znowu.

– Znowu? – spytała Moira.

– To nie jest właściwy moment – poinformował ją Marcus.

– Nie będziemy tu siedzieć, wspominając kolejnego kolegę, który zginął, kiedy ten mały sukinsyn remontowuje mu komputer.

– Odsuń się od tego komputera – zwrócił się Marcus do Ho.

– W sumie to nie należy do Cartwrighta...

– W tej chwili!

Ho przewrócił oczami – to była dokładnie jedna z tych sytuacji, o których ciągle opowiadał Kim, swojej dziewczynie – ale odsunął się od komputera.

– Co napisał Lamb? – spytał J.K. Coe.

W pokoju zapadła cisza.

– To on umie mówić? – odezwała się Shirley. – Nikt mi nie wspominał, że on mówi.

– Co masz na myśli? – spytała Louisa. – Jak to: co napisał?

– Myślę, że chodzi mu o SMS-a Lamba – wyjaśnił Marcus. – Chodzi ci o SMS-a Lamba?

Coe kiwnął głową.

– Chodzi mu o SMS-a Lamba – potwierdził Marcus.

– Wysłał go do mnie – oświadczył Ho. – Co ci do tego?

– Przysięgam na Boga – powiedział Marcus – to jest jak być uwięzionym w szkole specjalnej. Ho? Przeczytaj mu tego pieprzonego SMS-a.

Ho teatralnie westchnął i wyjął smartfona. Gdy tylko skończył wprowadzać PIN, Shirley wyrwała mu go z rąk.

– Hej, nie możesz...

– Właśnie to zrobiłam.

Ho wyciągnął rękę, ale zastanowił się raz jeszcze i dał sobie spokój. Może i była niższa od niego, ale oboje wiedzieli – wszyscy to wiedzieli – że gdyby chciała, mogłaby rozszarpać go na konfetti i rozrzucić jak ryż.

Znalazła wiadomości i przeczytała tę od Lamba: „Spóźnię się. Przez całą noc identyfikowałem zwłoki Cartwrighta”.

– Spóźnię się? – powtórzyła Moira. – Cóż... to trochę...

– Jeszcze go nie poznałaś, prawda?

– „Cartwrighta”? – dopytywała Louisa. – Napisał „Cartwrighta”?

– Louiso...

– Nie pisze, że to zwłoki Rivera.

– A kogo innego mógłby mieć na myśli?

– Jego dziadka. Może chodzi mu o zwłoki S.D.?

– A czemu Lamb miałby identyfikować zwłoki S.D.?

– Bo to się, kurwa, nie dzieje naprawdę!

– Louiso – zaczął łagodnie Marcus – jeśli nie chodziło mu o Rivera, to gdzie jest River? Już by tu był, gdyby...

– Gdyby żył – palnęła Moira.

– Tak, dzięki – mruknęła Shirley.

Ale J.K. Coe oświadczył:

– Myślę, że on prawdopodobnie żyje.

* W. Wordsworth, *Ułożone na Moście Westminsterskim 3 września 1802 r.*, tłum. S. Barańczak (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).

Bezlistne drzewa na tle nieba przypominały pióropusze dymu, a samo niebo było szarą kopułą utrzymującą świat na miejscu. Co jakiś czas jego powierzchnię znaczyły ciemne plamki; uznał, że to prawdopodobnie gęsi, może łabędzie, ale pewnie gęsi. To raczej nie miało wielkiego znaczenia, ale teraz, gdy zerwał cumy, nawet najdrobniejsze szczegóły mogły pomóc mu osiąść na stałym gruncie.

River Cartwright, nieobserwowany – a przynajmniej taką miał nadzieję – wyjął paszport z kieszeni kurtki i przyjrzał mu się jeszcze raz w świetle padającym od okna pociągu.

– Wiedziałem, że to nie jesteś ty – powiedział mu dziadek.

W każdy inny dzień to by się zdawało małym triumfem – że S.D. wiedział, kto jest jego wnukiem, a kto nim nie jest. Jednak zdjęcie w tym paszporcie zmyliłoby niezbyt bliskiego znajomego i zastanowiłoby każdego, kto dobrze go znał. Nie chodziło tylko o fizyczne podobieństwo – to był ten blask w oczach, kształt szczęki. „Patrzysz w obiektyw, jakbyś mu nie ufał”, powiedziała mu kiedyś jego dziewczyna. „Nie tak, jakbyś uśmiechał się do zdjęcia, tylko jakbyś oceniał swoje szanse”. Ten człowiek miał podobne nastawienie do życia.

Oczywiście blask w jego oczach teraz na dobre już zgasł.

Adam Lockhead.

Nazwisko, które Riverowi zupełnie nic nie mówiło.

Tam, w łazience, River przetrząsnął kieszenie Adama Lockheada. Paszport; portfel, w którym było jakieś sto euro; bilet powrotny linii Eurostar. Trochę drobnych, mała paczka chusteczek, opakowanie po czekoladowym batoniku i zgnieciony paragon z kawiarni. Nic, co by zdradzało jego zamiary; nic, co by wyjaśniało, dlaczego zamierzał zabić Davida Cartwrighta, o ile rzeczywiście miał taki plan.

Pozwolenie sobie na myśl, że było inaczej, oznaczałoby dopuszczenie możliwości, że zjawił się jakiś niczemu niewinny gość i zarobił kulkę w głowę.

„Boję się, że ktoś podejdzie do drzwi, a on go zastrzeli”.

W mieście, gdy słyszało się coś, co brzmiało jak wystrzał, czekało się na kolejny, a gdy ten nie następował, uznawało się to za wystrzał z rury wydechowej. River nie był pewien, czy na wsi jest tak samo. Spokój wieczoru w każdej chwili mógł przerznąć na pół odgłos zbliżających się syren, a wtedy pochłonęłaby ich paszcza Regent's Park: opadłaby na nich zasłona milczenia jak tkanina na klatkę papugi. Koniec z rozmawianiem, a w każdym razie ze sobą.

– Jesteś pewien, że go wcześniej nie widziałeś? – spytał.

– Wiedziałem, że to nie jesteś ty – powtórzył jego dziadek.

Na stole w kuchni leżał przycisk alarmowy, który S.D. dostał w czasach, gdy jeszcze można mu było powierzać takie rzeczy. River wiedział, że ostatnio dziadek uruchomił go co najmniej raz. „Fałszywy alarm, fałszywy alarm!”, zapewniał, choć River podejrzewał, że po prostu zapomniał, co to takiego i do czego służy. Naciśnięcie go było sposobem, żeby się tego dowiedzieć. A ponieważ naciśnięcie go w tych okolicznościach było dokładnie tym, do czego go stworzono, River pochylony nad zwłokami Adama Lockheada zastanawiał się, czy nie lepiej by było popłynąć z prądem... Wkrótce zjawiłyby się psy. Właśnie od takiego bajzlu były: sprzątały, dezynfekowały, sprawiały, że znikało to, co złe. Ale Rivera prześladowały inne słowa, które padły tego wieczoru: możliwość, cień starej plotki, że Regent's Park może mieć w zwyczaju likwidowanie swych dawnych bohaterów.

„Cóż, nie chciałam sugerować, że by go zamordowali – powiedziała Louisa – chociaż widzę, że się nad tym zastanawiałeś”.

Teraz znów się nad tym zastanawiał.

Obcy człowiek na piętrze w domu dziadka.

Obcy, który do tego stopnia przypominał Rivera, by przynajmniej zostać wpuszczonym.

Obcy, który najwyraźniej nalewał wody do wanny.

Szybkie szarpnięcie za kostki nóg...

– Musimy iść.

– River?

– Tu nie jest bezpiecznie, dziadku.

– Duchy? – Dziadek się ożywił.

– Właśnie. Duchy.

– Będę potrzebował kaloszy.

River również ich potrzebował, ponieważ mieli iść pieszo. W garażu stał samochód, morris minor, który nadawałby się na eksponat do muzeum, ale River nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś nim jeździł – a poza tym ucieczka pierwszym pojazdem, jakiego będą szukać, nie wydawała się najlepszym pomysłem. To jedna z tych tłukących się po głowie myśli, przeszkadzająca zrobić to, co należało, gdy dziadek poczłapał na dół, by znaleźć swoje kalosze... Nie myśl o tym. Po prostu to zrób.

Wystrzelił z broni dziadka w to, co zostało z twarzy Adama Lockheada.

Potem zostawił swój identyfikator i telefon w kieszeni Lockheada i zabrał paszport, portfel, bilet, wszystkie te śmieci.

Teraz, gdy siedział w pociągu, a jego serce biło w rytm stukotu kół, wiedział, że to właśnie była ta chwila, kiedy to się stało – nie wymknięcie się z domu; nie zostawienie dziadka na pustym przystanku autobusowym, kiedy szukał jakiegoś samochodu, który mógłby ukrążyć; nie podróż ciemnymi drogami do Londynu, gdy każde zbliżające się światła samochodu wydawały się zagrożeniem (a nawet raz serce podeszło mu do gardła, bo wóz policyjny za nim włączył syrenę i światła tylko po to, by go minąć); nie porzucenie samochodu za jakimś supermarketem w West Endzie i wskoczenie do nocnego autobusu; nie zjawienie się pod drzwiami Catherine, bo to jedyne bezpieczne miejsce, jakie przyszło mu do głowy. Wszystko to były etapy podróży, ale to pakując kulę w zwłoki Adama Lockheada, przekroczył granicę. To był punkt, po którym nie istniała już droga powrotna.

Dziadek nazywał to Ulicą Szpiegów. Kiedy mieszkałeś przy Ulicy Szpiegów, miałeś się na baczności: uważałeś na każde słowo, strzegłeś każdego sekretu. Ale były też inne terytoria. Wszędzie za Ulicą Szpiegów rozciągały się tereny wroga – nawet gdy tutaj siedział, a za oknem z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę przemykał spokojny francuski krajobraz, był na terenie wroga i nie dało się przewidzieć, co się za chwilę wydarzy.

Miał bardzo niejasne pojęcie o tym, dokąd zmierza; wiedział tylko, że próbuje zrekonstruować wydarzenia i cofa się po śladach zabitego. Ale wiedział coś jeszcze: nie siedział w Slough House, który z każdym tyknięciem zegara wysysał z niego energię. Był żywy i wrócił do gry... Bezlistne drzewa na tle nieba przypominały pióropusze dymu, a samo niebo było szarą kopułą utrzymującą świat na miejscu. Tak właśnie wyglądały tereny wroga. Schował paszport i zamknął oczy, ale nie spał.

Staruszek spał albo tak to przynajmniej wyglądało. Widać było tylko jego głowę. Ciało równie dobrze mogło być fałdą kołdry. Lamb z pozbawioną wyrazu twarzą przyglądał mu się, stojąc w drzwiach. Ten cichy dźwięk to był oddech Davida Cartwrighta: regularny, ale płytki. Zastony były zaciągnięte, ale do

pokoju sęczyło się słabe szare styczniowe światło i nadawało ten sam samotny kolor wszystkiemu, czego dotknęło: wbudowanym szafom po obu stronach łóżka, w których bez wątpienia wisały podobne do siebie kreacje Catherine, wszystkie te jej ulubione, sięgające do połowy łydki sukienki z długim rękawem i wysokim dekoltem, jak odświętne stroje guwernantki; toaletce obstawionej pojemniczkami, kremami nawilżającymi i tym podobnymi przedmiotami, z lustrem, na którym wisały dwa naszyjniki, czarne paciorki, dotychczas Lambowi nieznane, oraz cieniutki złoty łańcuszek, który często nosiła i który zapewne miał dla niej znaczenie sentymentalne; nawet dwie apaszki udrapowane na krześle, obie w ciemnych barwach, ale jedna przetykana złotą nitką – w tym świetle wszystko miało odcienie szarości i zdawało się pozbawione życia. Nic jednak nie było tak go pozbawione jak twarz S.D., która, gdyby nie ten cichy oddech, równie dobrze mogłaby być pośmiertną maską.

– I co, jesteś w końcu zadowolony?

– Przecież mnie znasz – odparł Lamb. – Czy kiedyś brakowało mi pieprzonej *joie de vivre*?

– Więc może byś łaskawie wyszedł już z mojej sypialni?

– Hej! – krzyknął nagle Lamb.

– Jackson!

Staruszek otworzył oczy i wraz z jego cichym okrzykiem rozwiały się jakiegokolwiek wątpliwości, czy naprawdę spał.

– Wynoś się! Natychmiast! – W jej głosie słychać było tłumioną furję.

Lamb jeszcze przez chwilę obserwował, jak David Cartwright usiłuje unieść głowę z poduszki, jak chłonie oczami przerażające, nieznane mu otoczenie. Palce wypelzły spod kołdry i próbowały się czegoś uchwycić. S.D. wyglądał jak ilustracja ze starej jak świat bajki o duchach.

A potem Catherine Standish wypchnęła Lamba z pokoju i zamknęła za nim drzwi; sama została w sypialni razem ze staruszkami. Lamb słyszał jej kojący głos przerywany jakimś dziwnym skrzeczeniem, jakby trzymała tam kurczaka, który ma czkawkę, a nie legendę MI5.

Lamb przeszedł do salonu. Kiedy do niego dołączyła, przeglądał pocztówki z kominka, sprawdzając, czy na żadnej nie ma jakiejś wiadomości, choć większość kupiła w muzeum.

– To było naprawdę konieczne?

– Przepraszam – powiedział. – Ciągłe zapominam, że to kruchy staruszek.

– Tak, no cóż...

– Bardziej mi się kojarzył z paskudnym starym szpiegiem, który ma więcej krwi na rękach, niż ty wypijaś ginu na śniadanie. O której tu dotarli?

– „Dotarli”?

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Przyprowadził go River, prawda?

– Myślałam, że zidentyfikowałeś zwłoki Rivera.

– Myślenie życzeniowe – stwierdził Lamb. – Choć po prawdzie to wyglądał tak, jak mógłby wyglądać River, gdyby wpakować mu dwie kule w głowę. Co przy tym, jak potrafi działać człowiekowi na nerwy, wciąż jeszcze może się zdarzyć.

– Dotarli tu około czwartej.

– W takim razie spał dłużej niż ja. – Bez żadnego ostrzeżenia Lamb walnął się na sofę, która najwyraźniej była solidniejsza, niż na to wyglądała, bo nawet się pod nim nie ugięła. – I co ci takiego opowiedzieli?

– Właściwie to nic takiego.

– A ty ich wpuściłaś?

– River by tu nie przyjechał, gdyby miał się gdzie podziąć.

– Ostatnie schronienie zrozpaczonych – stwierdził Lamb. – Już to widzę, jak sprawdzasz się w tej roli. – Oczywiście znów trzymał papierosa; pojawił się w jego palcach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wsunął go do ust i w zamyśleniu przygryzł. – A teraz czeka go wspaniała przygoda.

– Co się dzieje, Jackson?

– Nie powiedział ci?

– Zjawił się w środku nocy, poprosił mnie, żebym zaopiekowała się jego dziadkiem, a potem poszedł.

– Ten chłopak ciągle myli melodramat z prawdziwą klasą. Będziesz tak nade mną wisieć? Usiądź. Pocuj się jak u siebie w domu.

Aż w niej zawrzało, lecz i tak usiadła. Ale nie na sofie.

– Był w opłakanym stanie. Wciąż jest. Zagubiony, nie wie, co się dzieje. Nazwał mnie Rose. Naprawdę zastrzelił kogoś w łazience? Czy tylko sobie ze mną pogrywasz?

– Potrafisz być wredna, Standish. Marnujesz się tutaj. – Wskazał na otoczenie: cichy pokój z książkami na regałach. – I owszem, zrobił to.

– Strzelił dwa razy?

– Dobre pytanie. Wiesz co? Nie wydaje mi się. Gdyby stary, zagubiony człowiek, jak sama go nazwałaś, do kogoś strzelił, to pierwszym, co by potem zrobił, byłoby upuszczenie broni. Wiesz, że nie cierpię dyskryminacji ze względu na wiek, ale starzy ludzie są do niczego.

– Wprost nie potrafię wyrazić, jak bardzo nie brakowało mi twoich spostrzeżeń.

– To dobrze, bo mam ich więcej.

Umilkł i w jego oczach coś się zmieniło; patrzył na coś, czego nie było. Catherine poznała te symptomy – znane jej równie dobrze jak to, że umyślnie przekreślił jej słowa – i wiedziała, że zaraz sklei historię z tych fragmentów, które udało mu się do tej pory zebrać.

– Myślę, że ktoś przyszedł zabić staruszkę – powiedział – ale nie zdawał sobie sprawy, jaki ten stary skurwiel jest niebezpieczny. A więc ktokolwiek to był, skończył martwy w łazience i w tym momencie zjawił się młody Cartwright, żeby spędzić jeden z tych przytulnych wieczorów u dziadka. Wiesz, co zrobiliby każdy inny na jego miejscu? Każdy, komu nie brakuje piątej kleпки? Zgłosiłby to. Przecież staruszek nie trafiłby za kratki za morderstwo. Nic z tych rzeczy. Przyjechałyby psy, a zaraz po nich ekipa sprzątająca i dwadzieścia minut później nie byłoby śladu, że to się kiedykolwiek wydarzyło. Ale młody Cartwright robi coś innego. Dlaczego?

– Z pewnością zaraz się dowiem.

– Cóż, oczywiście jest kretynem. Musimy to również uwzględnić. Ale zakładając, że faktycznie ma jakiś motyw prócz swojego niezmordowanego pragnienia, by odgrywać 007, to pewnie uważa, że wezwanie psów tylko wszystko pogorszy.

– Poważnie? – Gdy mówił, składała to sobie w całość. – Myśli, że to morderstwo na zlecenie MI5?

– Cóż, zrobił się straszny burdel. Wyraźne poszlaki. A jeśli stary drań faktycznie zbzikował, to dzieciak mógł mieć trochę racji.

– Co takiego? Martwił się, że Regent's Park ma... poszerzony pakiet emerytalny? Bo chyba z takim określeniem się spotkałam. Tak naprawdę jeszcze nigdy do tego nie doszło.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Mówię, że nie wierzę, by kiedykolwiek to zrobili.

– No proszę, a to mnie nazywają bujającym w chmurach idealistą. Ale to, w co wierzysz, nie ma tu nic do rzeczy, bo ważne jest, co w tych okolicznościach myśli River. A on myśli, że jeśli wezwie psy, to

możliwe, że po prostu dokończą robotę. Pakuje więc kolejną kulkę w twarz Pana Tajemniczego...

– Że co?

– Widzisz? Wiedziałem, że cię to zainteresuje. – Lamb wyjął papierosa z ust i wsunął go za ucho. Potem wyłowił kolejnego z kieszeni i wsadził go sobie do ust. Możliwe, że nie uświadamiał sobie żadnej z tych czynności. – Robi to, bo choć Pan Tajemniczy mógłby uchodzić za Rivera, to bynajmniej nie jest jego bratem bliźniakiem. – Przycisnął palec do górnej wargi. – Kojarzysz ten jego pieprzyk, który wygląda, jakby River jadł gówno i trochę mu zostało? Pan Tajemniczy takiego nie ma, a to zostanie zauważone.

– Czyli po prostu robi zasłonę dymną.

– Tak by zrobił agent, który pracuje w terenie – przyznał niechętnie Lamb.

– Nie zyskałby w ten sposób więcej niż dwadzieścia minut.

– Dotarł aż tutaj, prawda? I potem ruszył dalej. A tak nawiasem mówiąc: dokąd się wybierał?

– Nie chciał mi powiedzieć.

– Widzisz, dział kadr ciągle mi powtarza, że was nie szkolę. I wiesz, co im zawsze odpowiadam?

– Żeby się odpierdolili.

– Cóż, tak. Mówię im, żeby się odpierdolili, ale wiesz, co dodaję zaraz potem? Że daję wam przykład. Jeśli nie podoba mi się jakieś pytanie, odpowiadam na inne. Tak jak to właśnie zrobiłaś. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie i papieros wypadł mu z ust. Złapał go między dwa palce. – Nie pytałem, czy River powiedział ci, dokąd się wybiera, pytałem tylko, dokąd się wybierał.

– Dlaczego myślisz, że to wiem?

– Bo nie jesteś świetnym kłamcą. Jesteś w tym dobra, ale nie świetna.

– Że co proszę? W którym momencie cię okłamałam?

– Kiedy ci powiedziałem, że on nie żyje, a ty udawałaś, że mi wierzysz.

– No i?

– Wiesz, że jest na tyle daleko, że nie mogłem tam pojechać i wrócić w czasie, jaki zajęło mi pojawienie się pod twoimi drzwiami. Jezu, Standish! To żadna wielka filozofia.

– Nie dla kogoś, kto myśli w tak pokręcony sposób jak ty – przyznała.

Siedzieli w milczeniu i patrzyli na siebie, jakby to była po prostu kolejna faza gry, w którą oboje grali od bardzo, bardzo dawna.

W końcu powiedziała:

– Powiesił kurtkę na oparciu krzesła. Kiedy zajmował się dziadkiem, przetrząsnęłam mu kieszenie.

– To musiało przywołać wspomnienia. Nie obrabiałaś może kiedyś marynarzy?

– Miał paszport. Brytyjski. Na nazwisko Alex Lockhead. Nie, Adam. Adam Lockhead. I bilet linii Eurostar, i trochę euro.

– No to świetnie – jęknął Lamb. – Ten idiota pojechał do Francji.

– Na cudzym paszporcie. – Catherine pokręciła głową. – Nie sądziłam, że przepuszczą go przez kontrolę na granicy.

– W Europie? Jeśli paszport nie jest na liście obserwowanych, bez problemu przeszedłby kontrolę ze sztucznymi cyckami i ubrany w tutu. Choć fakt, że miał zdjęcie, które faktycznie go przypominało, mógł wzbudzić pewne podejrzenia. – Pociągnął nosem. – Ja na swoim wyglądam grubo.

– No proszę, coś podobnego.

– Czyli jest po drugiej stronie kanału. Ale Francja jest wielka. Co zamierza zrobić? Chodzić tam i z powrotem po Polach Elizejskich i machać rękami?

– Był jeszcze paragon z kawiarni.

– Oczywiście, że był – powiedział Lamb.

Gdzieś doszło do zatrzymania ruchu: zepsute światła, wypadek albo – co najbardziej prawdopodobne – roboty drogowe na jakimś odcinku trasy, których efekt jak fale coraz bardziej rozchodził się na zewnątrz. Niedawno przy jakichś robotach drogowych widział znak. Dwieście metrów plastikowej siatki i słupków, jak okiem sięgnąć żadnego robotnika i tabliczka z napisem: OBECNIE SPRAWDZAMY NA TYM TERENIE RURY WODOCIĄGOWE. CZASEM MOŻE TO WYGLĄDAĆ TAK, JAKBY NIE PROWADZONO TU ŻADNYCH PRAC. Nie ma to jak najpierw zapewnić sobie alibi.

Claude Whelan zaśmiał się cicho, a potem nagle jego śmiech zamarł. Trzy dni po zamachu w Westacres ostatnim, czego potrzebował, był nagłówek w jakimś brukowcu. SZEFE WYWIADU ŚMIEJE SIĘ Z DOWCIPU. I nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś wyceluje w ciebie obiektyw, nawet gdy siedzisz na tylnym siedzeniu służbowej limuzyny z przyciemnianymi szybami.

Odrożono go właśnie z Downing Street. Zebranie sztabu kryzysowego COBRA było długie, a ostatniej nocy w ogóle nie spał; w końcu trafił do łóżka dla gości, żeby nie przeszkadzać Claire. To jego pierwsze zebranie sztabu COBRA – nic dziwnego, że się przed nim denerwował. Nikt nie musiał Whelanowi mówić, że wyniesienie go na to stanowisko było niespodziewane. Dame Ingrid Tearney rzuciła długi cień, a pewne zakamarki MI5 wciąż kryły się w ciemności; po jej – słyszał takie określenie – „biurokratycznej” kadencji spodziewano się, że władza znów trafi do kogoś z działu operacyjnego. Bądź co bądź Charles Partner, ostatni szef MI5, który się stamtąd wywodził, sprawował władzę w pełnej sukcesów, ożywczej erze, którą postrzegano jako złoty wiek brytyjskiego wywiadu. Gdyby więcej osób wiedziało, że przez znaczną część swojej kariery był na usługach Sowietów, ów blask pewnie nieco by przygasł; jednak w obecnej sytuacji tylko rzekome samobójstwo Partnera rzuciło pewien cień niesolidności na czas jego administracji. A ponieważ ludzie nieznający prawdy przypisywali to samobójstwo jego ukrytej traumie z czasów, gdy był aktywnym agentem, wywnioskowano, że bezpośrednie doświadczenie jest przeszkodą, i aż do tego momentu następcy Partnera zdobywali to stanowisko głównie dzięki menedżerskiemu sprytowi. Jednak po Tearney pojawiły się plotki o „nieuchronnie zbliżających się reformach” i choć słowo to już dawno nie kojarzyło się w jakikolwiek sposób ze zmianami na lepsze, lecz raczej z cięciami kosztów, i tak sugerowano, że można się spodziewać nowego kierunku i że dział operacyjny znów uzyska przewagę. Oczywiście wyborem byłaby Diana Taverner. Tearney odchodziła jednak z wdziękiem storpedowanego supertankowca. Trwało to bardzo długo, wyglądało bardzo kiepsko i pozostawiło niewielu obserwatorów, których nie dosięgnął jakiś brud. Reforma przeszła więc jak zwykle w przetasowania mające na celu ratowanie twarzy i błyskawicznie sprowadzono zza rzeki Whelana, który niedawno dostał odznaczenie po dwudziestu latach służby i w żaden sposób nie był związany z poczynaniami Dame Ingrid – uznano go za bezpieczną parę rąk.

Dziś rano nie zdradzał wszelkich skrywanych wątpliwości, jakie w związku z tym miał. Gdy już wyłożył fakty, które przeczyły z Dianą Taverner, przeszedł do tematu, jakim był Robert Winters – człowiek, którego uchwyciła kamera, gdy zdetonował się w zatłoczonym centrum handlowym; brytyjska wersja wszystkich tych nagłówków dotyczących wydarzeń na targowiskach w odległych zakątkach świata, które na przestrzeni lat zmały i przesunęły się do bocznej kolumny na siódmej stronie. Nic równie brutalnie nie uświadamiało, co oznacza „zamachowiec samobójca”, jak wszystkie te znajome logo wśród gruzów. A więc oto on – teraz go widać, a teraz nie – a jego nazwisko zawdzięczali błyskotliwej pracy chłopaków i dziewczyn z Regent’s Park, którzy przeszledzili jego drogę wstecz przez

londyńskie ulice dzięki wszystkim tym kamerom monitoringu tak potępianym przez liberałów. Zrekonstruowali kolejne minuty, jakby ponownie składali roztrzaskany zegar, i każdy etap tej podróży coraz mocniej zakorzenił Roberta Wintersa w życiu, z którego się wyłonił, i oddalał go od eksplozji, która je zakończyła. Tu było go widać w metrze, wśród pogrążonych w błogiej nieświadomości tłumów; tu przesiadał się do innej linii na Edgware Road, a jego zamazane rysy zdawały się oglądającym już bardziej znajome niż rysy ich własnych dzieci. I tak dalej, krok po kroku, fragmenty nagrań posklejane w odwrotnej kolejności; i jeśli w tym momencie wciąż był anonimowym nikim z pierwszym lepszym kryptonimem, na który nikt nie zwracał uwagi, to zawsze był nim – wiedzieli na długo przed tym, zanim go namierzyli, jaki jest nieunikniony koniec ich misji. Nikt tak bardzo ścigany nie mógł pozostać nieschwytany. „Dorwiemy go”, powtarzali jak refren i stało się niemal nieistotne, że nie da się go dorwać; że to, co z niego zostało, można by zważyć na kuchennej wadze. Nie, „dorwą go” – przywrócą go do życia cyfrową magią, będą przesłuchiwać jego ducha, cofną zło, które wyrządził. I na koniec osiągnęli tyle: ostatni rozedrgany kadr nagrania pokazujący, jak wychodzi ze schroniska turystycznego w Earl’s Court na osiemdziesiąt jeden minut przed detonacją w Westacres – jak wyłania się z paskudnej tanej noclegowni w szary styczniowy londyński dzień; niebo prawie nie do odróżnienia od chodników, chodniki mokre i zaśmiecone, śmieci rozmoknięte i rozdeptane na miazgę.

Dwie minuty później zarzucono na to miejsce sieć o tak drobnych oczkach, że nie prześliznęłyby się przez nie nawet anorektyczna pchła.

Schronisko w Earl’s Court było ich miejscem zbrodni i to tutaj, w jednym z tych obskurnych pokoi, w końcu uzyskała tożsamość, bo nie tylko zameldował się pod nazwiskiem Robert Winters, lecz także zostawił pod poduszką paszport, by mogli go znaleźć. Zostawił też telefon na kartę, którego użył, by wysłać SMS-a do Lucasa Fairweathera, i oczywiście tyle DNA, ile tylko chłopacy i dziewczyny z Regent’s Park mogli zapragnąć. Błąd amatora? Bezsensowne pytanie: jeśli chodzi o zamachowców samobójców, to dla każdego z nich to jest pierwszy raz. Nie, w ten sposób grał im na nosie z zaświatów; Robert Winters przypieczętowywał swoje miejsce w historii, zanim wyruszył stworzyć własny zachód słońca. Byłoby o wiele, wiele lepiej, gdyby pochowano ten paszport razem z ofiarami i oświadczone, że nigdy nie został znaleziony. Oszukaliby w ten sposób tego sukinsyna, pozbawiając go pośmiertnej sławy, i obnażyliby prawdziwą naturę Roberta; pokazaliby, że bez względu na to, w jakich płomieniach niesławny chciał odejść z tej planety, w gruncie rzeczy pozostawał nikim i niczym; nie był wart tej chwili, którą trzeba było poświęcić, żeby poznać jego nazwisko.

I może z filozoficznego punktu widzenia mogło się to wydawać pociągające, ale takie podejście byłoby nie do przyjęcia na zebraniu sztabu kryzysowego COBRA.

– Robert Winters.

– Tak, panie premierze.

(Lubił, gdy zwracano się do niego „panie premierze”. Zapewne dlatego, że wciąż sam nie mógł w to uwierzyć).

– Brytyjski obywatel.

– Zgadza się, panie premierze.

– I nie nawrócił się na...

Bo to by pomogło: gdyby zamachowiec w Westacres został zradykalizowany poprzez zmianę wiary. Ale...

– Nie, w jego rzeczach nie było nic, co by na to wskazywało.

– Szkoda.

Claude Whelan nie mógł, zachowując zarazem czyste sumienie, na to zareagować.

Ale premier jeszcze nie skończył:

– I wciąż nie ma żadnych dowodów na związek z jakimiś innymi ekstremistami? Prawa zwierząt? Wegetarianizm? Zmiany klimatyczne?

– Nic. Ale to dopiero początkowa faza śledztwa. Do południa będziemy mieli pełne robocze dossier, potrząśniemy tym drzewem i zobaczymy, co spadnie.

Jednak premier mimo wszystkich swoich wad – a naprawdę krążyła ich lista dzięki uprzejmości deputowanych z jego własnej partii – nie zawsze wolno kojarzył.

– Ale jeśli musicie tego szukać, to chyba nie jest to jakiś wielki powód, prawda? Terrorysty lubią wywieszać swoje flagi. Nie ma sensu anonimowo dokonywać masakry.

Whelanowi to również nie dawało spokoju. Zostawienie paszportu na widoku to jedno, ale spodziewałby się, że znajdzie biblię terrorysty, jakiś nagrany filmik z przekazem, obiekt westchnień. Coś w stylu: „Spójrzcie na moje dzieło i drżycie”. Jednak w tej chwili chciał podkreślić poczynione postępy.

– To schronisko było bazą wypadową. Kiedy znajdziemy jego... leże, znajdziemy też motyw.

Pożałował słowa „leże”, gdy tylko je wypowiedział.

Ktoś spytał:

– A co z bombą? Jakież postępy?

– Wiemy już, że materiałem wybuchowym, którego użył, był semteks – oznajmił Whelan. – Udało nam się ustalić, że pochodził z partii, która została skradziona podczas napadu na policyjny skład broni w Wakefield.

– To policja ma teraz semteks? Od kiedy?

Rozległy się ciche śmiechy – gdyby to premier tak zażartował, byłyby znacznie głośniejsze.

– To była część materiałów wybuchowych przechwyconych przez służby skarbowo-celne wraz z pewną ilością broni palnej u wybrzeży Kumbrii w 1992 roku – odpowiedział Whelan. – Wówczas sądzono, że były przeznaczone dla odłamu IRA. Nie znaleziono jednak na to dowodów i nikogo nie aresztowano.

– W dziewięćdziesiątym drugim? – zapytał minister obrony. – To przecież prehistoria.

Whelan podejrzewał, że minister próbuje sobie przypomnieć, kto wtedy rządził; czy to coś, co można by zrzucić na inną partię.

– Napad na policyjny skład broni miał miejsce trzy lata później – poinformował.

– Ale ten semteks był strasznie stary. – To znów minister obrony. – Musiał być bardzo niestabilny...

A potem zapadła cisza, gdy do wszystkich obecnych dotarło, że zamartwianie się o stan materiału wybuchowego było, delikatnie mówiąc, nie na miejscu.

Spotkanie ciągnęło się jeszcze przez dwie godziny i na długo przed końcem przeszło w pustą retorykę. Zupełnie jakby wszyscy obecni odczuwali potrzebę, by zająć stanowisko – choćby i utajnione – i wyrazić swoje osobiste znieśmaczenie tym, co się stało w Westacres, bo w przeciwnym razie ktoś mógłby założyć, że to pochwalają. Cóż, w dobie internetu zapewne było to prawdą. Jednakże rozwlekłe dyskusje o uszkodzeniach mienia, wzroście cen ubezpieczeń i prawdopodobnym wpływie na wydatki turystów nie zaskarbiłyby zebranym sympatii pogrążonych w żałobie rodziców, więc Whelan podejrzewał, że w sumie na jedno wychodzi.

A tymczasem czekała na niego robota. Do wieczora Robert Winters będzie miał grube dossier; wezmą pod mikroskop każdy kontakt, jaki kiedykolwiek nawiązał, jakby to były komórki rakowe. Nazywano to rekonstrukcją: prześledzą życie Wintersa aż do kołyski i spalą ziemię, na której stała. Do wieczora... – i w tym momencie zadzwonił jego telefon, przerywając mu rozmyślenia.

Wyświetlacz pokazywał, że dzwoni Taverner.

Samochodem zatrzęsło, jakby jechał dwukołowym wozem.

– Diana?

– Claude – powiedziała. – Spotkanie przebiegło pomyślnie?

– Tak, w porządku. Ja...

– To dobrze. Ale musimy porozmawiać.

I coś w jej tonie sprawiło, że do Whelana dotarło, że do wieczora będzie miał znacznie więcej problemów niż teraz.

Godzinę temu Louisa zrobiła kawę, która wciąż stała, a na jej powierzchni zbierał się kożuch. Niedługo ją wyleje i może zrobi sobie nową, którą wypije albo nie. Życie jest pełne wyborów.

„Myślę, że on prawdopodobnie żyje”, powiedział J.K. Coe, mając na myśli Rivera.

Jak można było przewidzieć, zirytowało to Marcusa.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Jeśli teraz postanowiłeś mówić tylko po to, żeby mieszać nam w głowach, to możesz spodziewać się reperkusji. Z naciskiem na „reperkusji”.

A Shirley dodała:

– I zdejmij ten cholerny kaptur. Albo ja to za ciebie zrobię.

Krótką znajomość z Shirley wystarczała, by ludzie inteligentni dochodzili do wniosku, że jej groźby nigdy długo nie pozostają próżne. Coe powoli ściągnął kaptur, krzywiąc się od rażącego go światła. Jego twarz była rozmyta, kilkudniowy zarost – niechlujny; oczy blade i wodniste, jakby spoglądał na nich z dna sadzawki.

– Jezu! Ty w ogóle coś jadasz? Albo ćwiczysz? Albo w ogóle cokolwiek?

– Możemy trzymać się tematu? – warknęła Louisa. – Co miałeś na myśli? Uważasz, że River żyje? Coe spróbował coś powiedzieć, ale jego głos był zbyt ochryply. Odchrząknął i zaczął jeszcze raz:

– Uważam tak jak ty. Lamb nie napisał, że nie żyje.

– Przed chwilą czytałam SMS-a od Lamba, idioto – powiedziała Shirley. – Identyfikował jego zwłoki. I co?

– Poznałem Lamba.

– No i?

– Nie jest typem, który owija w bawełnę.

– On ma rację – stwierdziła Louisa.

– Chcesz, żeby miał rację – zauważył Marcus. – To pewna różnica.

I może w istocie tak było, pomyślała teraz – chciała, żeby Coe miał rację, bo w przeciwnym razie River by nie żył, tak samo jak Min, i nie była pewna, co by w takim przypadku zrobiła; dziwne, ale przyłapała się na tym, że myśli o Catherine i żałuje, że jej tu nie ma. Catherine też nic na to wszystko nie mogłaby poradzić, ale i tak byłoby inaczej. W tej chwili Louisa była jedyną kobietą w Slough House, jeśli nie liczyć Shirley i Moiry. Miło byłoby mieć towarzystwo.

Ale Lamb nie napisał, że River nie żyje. Napisał, że identyfikował jego zwłoki.

I to była dokładnie jedna z tych rzeczy, które zrobiłby Lamb, rozmyślała Louisa. Tylko po to, żeby namieszać im w głowach. Żeby wszyscy myśleli, że River nie żyje. Ten głupi sukinsyn zrobiłby dokładnie coś takiego, choć pozostawały inne pytania, na przykład: gdzie w tej chwili jest River i czyje zwłoki identyfikował Lamb?

Nagle wstała, zaniósła zimną kawę do kuchni, wylała ją do zlewu, a potem poszła do pokoju Rivera. J.L. Coe siedział przy swoim biurku pozornie skupiony na czymś na monitorze, choć nie widziała jego

oczu skrytych pod kapturem. Pieścił biurko przed sobą. Nie podniósł wzroku, gdy weszła ani gdy się odezwała.

– Zajmowałeś się oceną psychologiczną, zgadza się?

Nie odpowiedział.

– A potem coś spierdoliłeś i trafiłeś tutaj.

Wciąż wykonywał palcami te pieszczotliwe ruchy i dotarło do niej, że ma iPoda. Być może naprawdę nie zauważył mojej obecności, pomyślała. Jeśli tak, to jej kolejny czyn mógł się wydawać niesprawiedliwy: złapała zszywacz z biurka Rivera i rzuciła nim tak, że wylądował na klawiaturze Coego. Na tej prawdziwej, nie na wymagowanych klawiszach, na których grał. Efekt wystraszył ją tak bardzo, jak zszywacz wystraszył Coego. Z okrzykiem wściekłości zerwał się na nogi, rozrzucając leżące przy nim rzeczy: iPoda, krzesło, na którym siedział, kubek z jego zawartością.

– Kurwa!

– Jezu! Nie chciałam...

– Kurwa!

Kapturem zsunął mu się na kark i Coe wciąż wydawał się wykończony, rozmyty, zaniedbany i błady, ale też groźny jak osaczony szczur. Coś błysnęło w jego pięści. Przedmiot niemal natychmiast znikł w kieszeni bluzy.

– Nie powinnam była tego robić – tłumaczyła się Louisa.

Wydawało się, że Coe coś powie, ale zmienił zdanie. Zamiast tego podniósł iPoda, postawił krzesło i ciężko na nie opadł. Kubek pozostał na podłodze, a jego zawartość dołączyła do krwi, potu i łez, które od wielu lat wsiąkały w ten dywan. Głównie łez.

– Przepraszam.

Ale pomyślała: co takiego miałaś w ręce? Czy to był nóż?

– Co się stało?

To ostatnie powiedział Marcus, za którym od razu pojawiła się Shirley mrucząca pod nosem:

– Bójka, bójka!

– Coś mi upadło – wyjaśniła Louisa.

– No jasne.

– Znów się odezwał? – spytała Shirley. – Zmuś go, żeby znów coś powiedział.

– Zamknij się, Shirley.

Marcus przeszedł przez pokój, po drodze schylając się, by podnieść przewrócony kubek. Postawił go przed Coem, a potem kucnął, by mogli patrzeć sobie w oczy.

– Będziemy mieli z tobą problem? – spytał.

– To była moja wina, Marcus – powiedziała Louisa.

– Mówię do Szarego Kapturem – rzucił Marcus, nie odrywając wzroku od Coego. – Zastanawiam się, czy zamierza sprawiać nam kłopoty. No wiesz, głośne wrzaski i latające filizanki. Tego typu wygłupy.

Gdy Coe odpowiedział, był to niemal szept:

– A co, przywiążesz mnie do krzesła i obetniesz palce nożem do mięsa?

– Nie zamierzam...

– No to się ciebie nie boję.

Marcus obejrzał się przez ramię na obie kobiety.

– Chyba właśnie znalazłem jego czuły punkt.

– Daj mu spokój, Marcus – skomentowała Louisa ze znużeniem w głosie.

– Właśnie, daj mu spokój, Marcus – dodał Lamb.

Jezu, pomyślała Louisa. Jak on to robi? Puff, i pojawia się jakby znikąd. A potem przyszło jej do głowy pilniejsze pytanie i zaczęła dopytywać:

– Co się stało z Riverem? Nie żyje?

– U mnie wszystko dobrze. A u ciebie?

– Lamb...

– Zdaję sobie sprawę, że może odrobinę przedłużyłem sobie świąteczną przerwę, ale serio, ludzie, czy ktoś tu jeszcze w ogóle pracuje?

Jego świąteczna przerwa zaczęła się we wrześniu zeszłego roku. Louisa mogłaby policzyć na palcach, ile razy go od tamtej pory widziała.

– Odpowiedz na pytanie – naciskała. – River...

– Żyje.

Zamiast ulgi, jakiej mogła się spodziewać, zalała ją potężna fala znużenia, jakby wyparowała z niej cała adrenalina.

– O ile mi wiadomo.

– W takim razie dlaczego... – zaczęła Louisa, ale dała sobie spokój. „Dlaczego” wyjaśni się w swoim czasie albo nigdy. Bez sensu byłoby oczekiwać czegoś lepszego po Jacksonie Lambie.

Lambie, który teraz przyglądał się badawczo swoim kulawym koniom, tak jak właściciel kurzej farmy mógłby się przyglądać swoim kurczakom.

– Ty – wskazał na Shirley. – Wyglądasz inaczej. Czemu?

Pogłaskała się po czubku głowy, gdzie zaczął się pojawiać mięciutki puszek.

– Zapuszczam włosy.

– Hmm.

– Przez to wyglądam jak młoda Mia Farrow – wyjaśniła. – Gdyby miała ciemne włosy, a nie blond.

– Jasne – odparł Lamb. – I gdyby ona zjadła Franka Sinatrę, zamiast wyjść za niego za mąż.

Ho, który przytruchtał do pokoju zaraz po Lambie, oświadczył:

– A ja zapuściłem brodę.

– Naprawdę? Gdzie?

– Na... – zaczął Ho i urwał.

– To niemal zbyt łatwe – powiedział Lamb. A potem przekrzywił głowę. – Ale też wyglądasz jakoś inaczej. I nie chodzi mi tylko o te łoniaki na twoim podbródku. Jak to możliwe, że cały aż lśniesz?

– Zaczął się kąpać – podpowiedział Marcus.

– Serio? – Lamb spojrział ze zdumieniem na Ho. – Znalazłeś sobie dziewczynę?

– Nie tak ją...

– Jezu! I to jest prawdziwy związek? A nie uprowadzenie? Ho, ho, ho! – Lamb dał sobie spokój z miną wyrażającą szok i z promiennym uśmiechem omiół wszystkich wzrokiem. – Widzicie, co można osiągnąć z pomocą małej aplikacji? – Poklepał Ho po ramieniu. – Cieszę się, widząc, że wzniosłeś się ponad swoją niepełnosprawność.

– Nie mam żadnej niepełnosprawności – odrzekł Ho.

– I tak trzymaj. Musisz przyprowadzić ją do biura i ją nam przedstawić.

– Naprawdę?

– Jezu! Nie, nie naprawdę. To nie jest pierdolona kawiarnia. A skoro już mowa o płci pięknej, jak tam nasza nowa dama? Zadomowiła się już? A tak w ogóle, to gdzie ona jest?

– Nazwałeś ją damą? – zdumiał się Marcus.

– Oczywiście. Zawsze bądź uprzejmy, gdy mówisz o kobiecie w pewnym wieku. Na wypadek gdyby stare krówsko okazało się wredne.

– Chyba jest na gorze – powiedziała Louisa. – W pokoju Catherine.

– Momencik. To już nie jest pokój Standish, pamiętasz?

– I to dlatego stroiłś fochy?

Lamb to zignorował; zamiast tego skupił się na J.K. Coem, który splótł palce na biurku, jakby chciał mieć pewność, że go nie zdradzą. Lamb przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym spytał:

– On umie mówić?

– Musisz sam go zapytać.

– Umiesz mówić?

Coe wzruszył ramionami.

– Wychowały go chomiki czy co?

– Wcześniej mówił – poinformowała Shirley. – Chyba go wystraszyłeś.

– Zamierzasz nam powiedzieć, co się dzieje? – spytała Louisa.

Lamb odwrócił się w jej stronę.

– A ty z czym masz problem? Wyglądasz, jakby święty Mikołaj nasrał ci na kanapę.

– Pozwoliłeś nam myśleć, że River nie żyje.

– Nie, to River pozwolił wam myśleć, że River nie żyje. Ja tylko nie zepsułem jego dowcipu.

– To w co on sobie pogrywa? Czyje to były zwłoki? I gdzie?

– A co ja jestem, Google? Nie wiem, czyje to zwłoki, i jeśli mam zgadywać, to Cartwright bawi się w tajnego agenta. Po co zmieniać nawyki z całego życia? A co do „gdzie”, to było na zadupiu, u jego dziadka. Jak myślicie, dlaczego starzy ludzie zawsze mieszkają na wsi? Zaczynają w mieście, a potem gdzieś się gubią?

– Czyli ktoś nie żyje, ale to nie River?

– Ile razy mam jeszcze to powtarzać? – Lamb przewrócił oczami i spojrzał na Ho. – Kobiety, co?

– Tak, wiem, o co ci...

– Zamknij się – warknęła na niego Louisa.

– To gdzie jest teraz River? – spytał Marcus.

– We Francji.

– Dlaczego?

– Bo stamtąd przyjechał morderca.

– To teraz mamy jakiegoś mordercę?

– Zwłoki w łazience – wyjaśnił Lamb. – Zakładam, że to nie hydraulik.

– I przyjechał zabić Rivera?

– Porządnie to sobie przemyślmy – odparł Lamb. – Używając mózgu.

– Chodzi mu o to, w czym w domu to się stało – podsunęła Louisa.

– Ale River często bywa u dziadka – zaprotestował Marcus. – Gdybym chciał sprzątnąć Rivera, mógłbym go śledzić i zrobić to tam. Poza miastem, puste drogi, łatwo uciec.

– Na pewno wszyscy spędziliśmy wiele godzin, planując, jak najlepiej zabić Rivera – odrzekł Lamb. – Ale nasz zabójca przyjechał aż z Francji, co wskazuje raczej na zlecenie niż na hobby. Założmy więc, że chodziło mu o dziadunia. Najpierw interesy, potem przyjemności, i tak dalej.

– To kto zabił zabójcę?

– Jeden Cartwright albo drugi. Czy to ważne? – Lamb ciężko klapnęła na najbliższe krzesło należące do nieobecnego Rivera. – Tak naprawdę musimy się dowiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje. A ponieważ

młodego Cartwrighta z nami nie ma i nam tego nie powie, a staremu Cartwrightowi wszystko się poplątało, będziemy musieli rozpracować to sami.

– Staruszek naprawdę już nie kojarzy? – spytała Louisa.

– Miewałem bardziej odkrywcze rozmowy z kaczkami – zapewnił Lamb.

– River mówił, że się o niego martwi.

– Widzę, że młody zero-zero-trzy i pół ci się zwierzał, co?

– No cóż, on...

– Ale nie ufał ci na tyle, by sięgnąć po telefon i dać ci znać, że żyje. – Lamb ze smutkiem pokręcił głową. – Ech, ta dzisiejsza młodzież. Kto by takiego zechciał.

– Francja jest dość spora – zauważyła Shirley.

– Doskonale. Mamy w naszym gronie geografa. Jakies dalsze przemyślenia?

– Chodziło mi tylko o to, że River musiał wiedzieć coś więcej.

– Cóż, tak się dziwnie składa, że masz trochę racji. River znalazł w kieszeni tego zabitego faceta bilet na pociąg. I paragon z kawiarni... Jezu! Najprawdziwszy, kurwa, trop. Pewnie mu się wydaje, że umarł i poszedł do nieba. – Zerknął na Louise. – W przenośni. Nie panikuj.

– Gdzie ta kawiarnia? – spytała.

– Bóg raczy wiedzieć. To znaczy on i River. – Lamb odepchnął się na krześle i z zaskakującą zwinnością zarzucił na biurko Rivera najpierw jedną nogę, potem drugą. Nastąpiły pewne nieistotne dla Lamba zniszczenia. – No dobra. Według mnie mamy tu coś, co nasi amerykańscy koledzy nazwaliby „sy-tua-cją”. Zabójca z brytyjskim paszportem, ale najwyraźniej z bazą po drugiej stronie kanału, przyjeżdża puknąć Davida Cartwrighta, ale potyka się przy tym o własnego fiuta. River gna tam jak skończony idiota, zabierając ze sobą jedyny trop, a stary drań nie wie, jaka jest pora dnia, nie wspominając nawet o tym, kto mógłby chcieć go sprzątnąć. I na tym teraz stoimy. Jakies genialne pomysły? No, nie wstyďte się.

– A co mówią psy? – spytał Marcus.

– Psy mówią „hau, hau” – odparł Lamb. – Poproszę trudniejsze pytanie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Obecnie przeczesują Kent w poszukiwaniu zdezorientowanego emeryta, przypuszczam więc, że mają pełne ręce roboty. Ale jeśli jeszcze się nie zorientowały, że to nie River nie żyje, to zorientują się lada chwila i wtedy zmienią tok śledztwa. Tak właściwie to może wiązać się z pytaniem, dlaczego zidentyfikowałem zwłoki jako Rivera. Więc nie wystraszcicie się, jeśli niespodziewanie się okaże, że mamy towarzystwo.

– A właściwie dlaczego zidentyfikowałeś te zwłoki jako Rivera? – spytała Louisa.

– Bo choć może dziwnie to zabrzmie, teraz jest agentem działającym w terenie. A takiemu agentowi nie pali się przykrywki. – Przez chwilę wydawało się, że Lamb powie coś jeszcze, ale zaciśnął usta. A gdy znów je otworzył, powtórzył ciszej: – Takiemu agentowi nie pali się przykrywki.

– Nam mogłeś o tym powiedzieć.

– No cóż, mogłem. Ale to by się wiązało z zaufaniem, że nie zrobicie nic kretyńskiego, jak na przykład napisanie o tym na blogu albo gdzieś na niebie. – Uśmiechnął się łaskawie. – Wiem, że uważacie mnie za kogoś w rodzaju ojca i staracie się zrobić na mnie wrażenie. Ale gdybyście wszyscy nie byli bezużytecznymi pierdołami, w ogóle by was tu nie było.

– Teraz nam o tym mówisz – zauważyła Shirley.

– A to dlatego, że, jak już powiedziałem, do tej pory na pewno już ustalili, że to nie zwłoki Rivera. A więc to jakby przestało mieć znaczenie, rozumiecie. – Przerwał na chwilę. – Powiedziałem „mieć

znaczenie”, a nie „wciągać kokę”. Nie wyobrażajcie sobie niestworzonych rzeczy.

– A gdzie w tej chwili przebywa David Cartwright? – spytała Louisa.

Lamb się zawahał, a potem odparł:

– Jest bezpieczny.

– O czymś nam nie mówisz.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Gdybym miał wam powiedzieć wszystko, co wiem, zestarzelibyście się i pomierali, zanim dotarłbym do połowy. – Nagle przesunął nogę i wtedy kubek bez ucha, który stał na biurku Rivera i służył do trzymania w nim ołówków i długopisów, spadł na podłogę i zakończył swój pożyteczny żywot. Lamb spojrział na Ho. – Jesteś strasznie cichy.

– A co z...

– Nie, nie psuj tego.

– Mamy dwa ustalone punkty – odezwał się J.K. Coe.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, a potem Lamb spytał:

– Ktoś z was pierdnął? Coś słyszałem, ale nie czuję żadnego smrodu.

– Co to znaczy? – spytała Shirley. – Dwa ustalone punkty?

– Wybrana ofiara. Źródło intrygi – Coe wyrzucił z siebie te słowa, jakby bolało go, gdy je wypowiadał.

– Triangulacja wymaga trzech punktów – zauważyła Louisa.

– Jak sama nazwa wskazuje – rzucił Marcus.

– Staruszek musi mieć jakieś związki z Francją – powiedział Coe. – Nie może nam o tym opowiedzieć, ale ktoś będzie wiedział. – Palce jego prawej dłoni drgnęły. – Muszą być jakieś dokumenty.

– Zastanawiałem się, czy nie zwrócić go do producenta, ale wygląda na to, że jednak ma działający mózg – powiedział Lamb. Milczał przez chwilę. – Będzie tu pasował jak mała na wystawie psów, ale tym będziemy się martwić później. Słyszeliście, co powiedział. Znajdźcie ten związek. Co łączy starego Cartwrighta z Francją? To będzie nasz trzeci punkt odniesienia. Jakież pytania? Dobrze. No to wypierdalać.

– Tylko jedno – rzekła Shirley, gdy już bezpiecznie wróciła do swojego pokoju. – O co chodzi w całym tym gównie z triangulacją?

Był późny ranek, gdy wysiadł z autobusu na czymś, co w Anglii nazwano by ryneczkiem, choć to wcale nie był rynek. Bardziej przypominał duże skrzyżowanie, którego ulice właściwie się nie krzyżowały, co tworzyło tę chaotyczną przestrzeń; jej jeden ścięty narożnik stanowił murek, w drugim znajdowały się poukładane jeden na drugim kawiarniane stoliki. Po jednej stronie murku kołysały się na wietrze dwa drzewa, a pod nimi stały zaparkowane samochody, które w tej właśnie chwili autobus mijał o centymetry, gdy odjeżdżał z przystanku. Ten ostatni można było rozpoznać tylko po tym, że do pni jednego z drzew przybito podniszczony rozkład jazdy. Padał lekki deszcz, bo inaczej te stoliki byłyby porozkładane, a w powietrzu unosił się jakiś ledwie wyczuwalny zapach świadczący o niedawnym pożarze – to nie był swąd spalonych liści ani grilla, tylko czegoś większego. Dawało to mylne wrażenie, że poranek jest ciepły, i River zapiął suwak kurtki pod samą szyję, nim znów zerknął na paragon z kawiarni, który znalazł w kieszeni Adama Lockheada. Le Ciel Bleu, Angevin. Kawiarnia rzeczywiście tu była, za tymi poskładanymi stolikami. Światło w oknach, przymglone szyby. Niewyraźne sylwetki poruszające się w środku. Prostokątny kawałek kartonu na frontowych drzwiach z mlecznego szkła jasno informował, że jest OTWARTE, a raczej OUVERT, albo informowałby o tym, gdyby River był na tyle blisko, by móc to przeczytać.

Przez chwilę jednak stał tam, gdzie był, chowając się przed deszczem pod markizą najbliższego sklepiku. W jego witrynie prezentował się galimatias najróżniejszych przedmiotów: kuchenne gadżety, zabawki dla dzieci, radia, zegarki, przybory toaletowe, miotły, paczuszki z nasionami, opakowania żwirku dla kotów, jakby pomysł polegał na tym, by rozrzucić jak najwięcej przynęty i zobaczyć, co złapie się w sieć. Przypominało mu to stragany na ulicy w pobliżu Slough House, których większość znikła, gdy pojawiły się sklepy spożywcze z luksusowymi towarami. Takie chaotyczne myśli jak ta były efektem znużenia. Przyglądał się wystawie i przyzwyczajał do tego, że jest tutaj, w samym środku Francji, i ma bardzo niejasne pojęcie o tym, co robi. Wydawało się, że jest wcześniej, niż było, albo może później – w każdym razie światło było nie takie jak trzeba, jakby przefiltrowano je przez gazę. Jednak jego biologiczny zegar wciąż był nastawiony na wczoraj. Ostatniej nocy River niewiele spał. Miał mało pieniędzy. Za euro z kieszeni Adama Lockheada kupił bilet z Paryża do Poitiers, a potem zapłacił za autobus, którym dotarł tutaj, lecz na wiele więcej nie wystarczyło. Ale też nie musiało. Najpóźniej w porze lunchu zwłoki w domu jego dziadka powinny zostać zidentyfikowane jako Lockhead, a jeśli nawet nie, to powinni przynajmniej ustalić, że to nie River Cartwright, co będzie oznaczać, że używanie własnej karty kredytowej nie zdradzi nic, o czym już nie byłoby wiadomo, może prócz miejsca jego pobytu. Zaczną wtedy szukać jego współników i spróbują znaleźć dziadka. Przy odrobinie szczęścia, zanim dotrą do Catherine, Riverowi uda się ustalić, co spowodowało zabójcę z tego pozornie spokojnego miasteczka nad rzeką Anglin aż do domu jego dziadka w Kent. Bo ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było, żeby S.D. znalazł się pod czyjąkolwiek opieką – czy to Regent's Park, czy policji – zanim Riverowi uda się dowiedzieć, skąd pojawiło się niebezpieczeństwo. Do tego czasu wszystko było terenem wroga, a tym wrogiem mógł okazać się każdy.

W czasie gdy tu stał, nikt nie wchodził do kawiarni ani z niej nie wychodził i nawet gdyby było inaczej, to co on mógłby z tym zrobić? Nadeszła pora, by wykonać następny krok. Postawił wyżej kołnierz, by chronił go przed deszczem, wyszedł spod markizy i ruszył w stronę Le Ciel Bleu.

Do nieoficjalnych spotkań wołała ławki w parku albo cieniste odcinki nad rzeką, co do których miała pewność, że nie ma tam kamer, ale dobrze było od czasu do czasu to przeplatać. Powiedziała więc Claude'owi, by wysiadł z samochodu i poszedł dalej pieszo, i by poczekał na północno-wschodnim rogu Oxford Circus. Zawsze były tam tłumy – dobre miejsce, by sprawdzić, czy nie ma wsparcia. Może i nie miała głowy do pracy w terenie – kierowanie działem operacyjnym było pracą przy biurku – ale żeby prowadzić samochód, nie trzeba umieć rozebrać na części silnika, i Claude Whelan nie miał pojęcia, jak blisko od niego jest, póki nie dotknęła jego łokcia. Prawie.

Odwrócił się w ostatniej chwili.

– Diano.

– Przykro mi z powodu całych tych podchodów.

– Wcale nie jest ci przykro.

– Ale lepiej, by niektóre rozmowy nie trafiły na nagłówki gazet.

Przyszedł sam. Jego sofer wciąż tkwił w korku, a sytuacja musiałaby być naprawdę krytyczna, nim Pierwszemu Biurku przyznano by uzbrojoną eskortę.

– Co ty kombinujesz, Diano?

– Chcę złapać autobus. Ten się nada.

Jazda autobusem po Oxford Street w najlepszych porach trwała dość długo, a późny poranek się do tych pór nie zaliczał. Zapłaciła gotówką, żeby karta Oyster nie pozostawiła śladów, i usiedli z tyłu na piętrze, jak nastolatki, z tym wyjątkiem, że nie pisali SMS-ów. Whelan miał rozbawioną minę – próbował w ten sposób ukryć złe przeczucia, jakie wzbudził w nim telefon Taverner, a ona dał mu chwilę, by oswoił się z tym, gdzie są, bo słusznie zakładała, że od jakiegoś czasu nie jeździł autobusami.

Zauważył migający monitor na dolnym poziomie.

– Zdajesz sobie sprawę, że są tu kamery?

– Jutro wszystko z nich zostanie wykasowane, chyba że doszłoby do jakiegoś wydarzenia, które zmusiłoby nas do zachowania nagrań.

– Cóż, postarajmy się, żeby do niczego takiego nie doszło. Co się dzieje, Diano?

– Mamy problem, Claude.

– Mamy?

– Cóż, ściślej mówiąc, ty masz problem. Wygląda na to, że przedstawiłeś błędne informacje na spotkaniu sztabu kryzysowego. Wątpię, żeby uznano to za zdradę, ale...

– Błędne informacje?

– ...ale niemal na pewno zostanie to uznane za zaniedbanie obowiązków, i to bardzo poważne. Od dawna jesteś na tym stanowisku?

– Czy od dawna... Diano, co się dzieje?

– Zastanawiam się tylko, czy to byłby rekord. Pierwsze Biurko z najkrótszą kadencją.

– Zaraz stanie się jedna z dwóch rzeczy – powiedział. – Albo to, co mówisz, zacznie mieć jakiś sens, albo wysiadam z autobusu. A jeśli wydarzy się to drugie, to gdy tylko wrócę do Regent's Park, wydam decyzję o zawieszeniu cię. Czy wyrażam się jasno?

– Jak słońce. Co im powiedziałaś o Wintersie?

– Wiesz, co im powiedziałem o Wintersie. Że mamy jego paszport, na litość boską. I że jesteśmy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewni co do jego autentyczności, a oznacza to, że jest kluczem pozwalającym dowiedzieć się o Wintersie wszystkiego innego.

– No tak, widzisz, to raczej problematyczne.

– Co?

– Paszport Roberta Wintersa.

Autobus jadący w przeciwną stronę gwałtownie zahamował i przez chwilę Whelan spoglądał nad głową Taverner na inną parę, innego mężczyznę i inną kobietę, którzy siedzieli na górnym piętrze innego autobusu zmierzającego gdzie indziej. Kimkolwiek byli – potajemnymi kochankami, znudzonymi profesjonalistami – przez chwilę pragnął uczestniczyć w ich tajemnicach zamiast w tej sytuacji.

– Co chcesz mi powiedzieć? – syknął tak gwałtownie, że siedzący najbliżej pasażer, mężczyzna cztery rzędy przed nim, obejrzał się za siebie.

– Och, kochanie, nie bądź taki – zagruchała Diana i mężczyzna odwrócił się z krzywym uśmiechem. Sprzeczka kochanków. Zdarza się.

Whelanowi przyszło na myśl, że jednym z powodów, dla których Taverner chciała przeprowadzić tę rozmowę w autobusie, było zmniejszenie szansy na to, że ją udusi.

– Robert Winters – powiedziała – jest jednym z naszych ludzi.

– Był agentem?

– Niezupełnie.

– Został zwerbowany? Jezu...

– Też nie. Na coś takiego mówi się „zimny trup”. Znasz to określenie?

– Prześtań owijać w bawełnę. Powiedz mi, co wiesz.

I tak zrobiła.

Po wyjaśnieniach Marcusa całe to gówno z triangulacją okazało się dość proste. Czy Shirley nigdy nie chodziła na standardowe szkolenia? Pewnie tamtego dnia miałam katar, wyjaśniła. Ponieważ „katar” był przyjętym kodem na „kac po kokainie”, Marcus uznał, że to całkiem prawdopodobne. W każdym razie o to chodziło w całym tym gównie z triangulacją:

– Kiedy masz dwie informacje, możesz narysować między nimi linię prostą, nic poza tym. Kiedy masz trzy...

– Dobra, już rozumiem.

– ...możesz określić...

– Powiedziałam, że już rozumiem, okej?

– Teraz rozumiesz. Chwilę temu nic o tym nie wiedziałas.

– Cóż, przypominałam sobie.

Marcus miał ochotę powiedzieć coś więcej, ale nie było sensu drażnić Shirley, gdy nie zachodziła taka potrzeba. Właściwie nie było dnia, by nie istniały szanse na to, że wpadnie w szal. Ostatnio niby trochę się uspokoiła, ale – jak przypuszczał Marcus – nie dlatego, że coś się jakoś szczególnie poprawiło, tylko po prostu nic się wyraźnie nie pogorszyło. Każdy miał jakieś granice wytrzymałości. I może PTKZ faktycznie pomagał. Właściwie, gdyby się nad tym zastanowić, minęło już trochę czasu, odkąd...

– Jezusie na pierdolonym rowerze wodnym!

No dobra, może nie tak dużo.

– Co się stało tym razem? – spytał.

– Hasło straciło ważność.

Sieć MI5 ze względów bezpieczeństwa co miesiąc wymagała nowego hasła, ale ponieważ nowe hasło można było ustalić, wpisując najpierw stare, istnieli tacy, którzy kwestionowali sens tej procedury. Shirley się do nich zaliczała.

– Czego szukasz? – spytał Marcus, gdy Shirley rejestrowała nowy login, co zajęło jakieś dziesięć sekund jej, kurwa, cennego czasu, jak mruknęła pod nosem.

– Numeru telefonu.

– Trochę za wcześnie na zamówienie z Chicken Shack.

– Nigdy nie jest za wcześnie na zamówienie z Chicken Shack – powiedziała Shirley. – A tak poza tym to się odpiardol. Chodzi o pracę.

Po zalogowaniu się weszła do wewnętrznego rejestru numerów telefonicznych: były tam kontakty z Regent's Park i wszystkich innych placówek MI5, z wyjątkiem Slough House. Nikt nie miał potrzeby kontaktować się ze Slough House.

Marcusa to zaciekawiło, ale nie chciał jej pytać. Shirley zlitowała się nad nim.

– Molly Doran – powiedziała.

– Cud na wózku?

– Cóż, ja myślę o niej jak o legendzie, która straciła nogi, ale ogólnie tak, mówimy o tej samej osobie.

– Odniosłem wrażenie, że ma serdecznie dość Slough House. Czy River przypadkiem nie próbował zwędzić jej akt?

– Halo! Nie jestem River.

– Ale jesteś kulawym koniem.

Shirley wzruszyła ramionami.

– Ona jest chodzącym podręcznikiem historii. Będzie coś wiedziała albo nie. I powie mi to albo nie. Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wybrała numer.

W kawiarni pachniało kawą i grillowanym serem, a splewiałe zdjęcia na ścianach przedstawiały dziewczęta w strojach ludowych na tle młynów i pól uprawnych. Na drzwiach, obok stojaka ciężkiego od przemoczonych płaszczy, przyklejono ulotkę jakiegoś cyrku. Na prawo od Rivera znajdowała się przeszklona lada, w której wystawiono ciasteczka i kanapki; resztę pomieszczenia zajmowały w większości krzesła i stoliki, z wyjątkiem przestrzeni tuż przed ladą, gdzie stał dziecięcy wózek. Jego pasażer siedział na wysokim krzeselku, jedną rączką walił w tackę, a drugą ciągnął się za ucho. Jego (jej?) matka podawała mu (jej?) łyżeczką jakiś deser, który był tak niesamowicie zielony, że wydawał się radioaktywny, choć prawdopodobnie taki nie był. Kobieta zerknęła w stronę Rivera, zauważyła, że wózek stoi mu na drodze, i odwróciła się z powrotem do swojego dziecka. River po galijsku wzruszył ramionami, przesunął wózek na tyle, by móc się przecisnąć obok, a potem usiadł przy stoliku pod przeciwległą ścianą.

W lokalu było niewiele ludzi. Prócz matki z dzieckiem znajdowały się tu jeszcze cztery osoby: czytający gazetę mężczyzna po pięćdziesiątce, z zadbaną brodą i tak cienkimi brwiami, że wydawały się narysowane ołówkiem, oraz trzech młodych ludzi, którzy rozsiedli się wygodnie przy stoliku, na którym stały najróżniejsze filiżanki, pełne okruszków talerze, a pośród tego wszystkiego leżały ich telefony komórkowe. Jeden z nich z nieskrywaną ciekawością przyglądał się Riverowi. Mężczyzna z gazetą nawet nie zerknął w jego stronę. Z drzwi, z których zwisiała zasłona z paciorków, wyszła miła, trochę pulchna kobieta. Skierowała się w stronę Rivera, po drodze sięgnęła po leżący na półce notes i przystanąła na chwilę, by pozachwytać się niemowlakiem.

– *Monsieur?*

River zamówił kawę.

Siedział, popijając ją, przez pół godziny. Trzej młodzi mężczyźni wyszli, głośno racząc kelnerkę czułymi słówkami; weszły dwie dziewczyny i nieustannie gadały, jedząc tosty. Riverowi burczało w brzuchu, ale ledwie starczyło mu gotówki na kawę. Mężczyźni z gazetą przyniesiono kolejny talerz: omlet, sądząc po zapachu – z grzybami. Kawa była dobra, ale ani trochę nie syciła. Przyjrzał się jeszcze raz paragonowi; był sprzed pięciu dni, wystawiony jeszcze w starym roku. Adam Lockhead wypił dwie butelki piwa i zjadł stek z frytkami. Świstek zgnieciony w kulkę, zapomniany w kieszeni śmieć, nie zaś świadomie zachowany paragon do rozliczeń. River wywnioskował z tego, że wizyty w Le Ciel Bleu były dla Adama Lockheada regularnym, zwykłym doświadczeniem. A to oznaczało, że ludzie tutaj by go rozpoznali, wiedzieliby, gdzie się zatrzymał i kim są jego współnicy... A przynajmniej tak sobie wmawiał River przez ostatnie dwanaście godzin. Ale teraz zaczynało mu się to wydawać naciągane i nie po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, czy jego początkowe przecucia mogły przynieść bardziej sensowne przemyślenia.

I czy dotarłby aż tak daleko, gdyby nie to fizyczne podobieństwo, ta zbieżność wzrostu i karnacji? Chociaż, pomyślał, ile różnych kolorów mogą mieć ludzkie oczy? Ile jasnych odcieni mogą mieć włosy? Poza tym zbieg okoliczności nie polegał na tym, że wyglądał jak Lockhead, lecz na tym, że to Lockhead wyglądał jak on. Jedynie z tego powodu Lockheadowi udało się przekonać S.D., żeby wpuścił go do domu; i być może – prawdopodobnie – to dlatego w ogóle wybrano go do tego zadania.

Kelnerka zaczęła coraz intensywniej mu się przyglądać. Pewnie siedział tu za długo jak na zamówienie składające się z jednej filiżanki kawy.

River skinął na nią głową i natychmiast do niego podeszła.

– *Madame* – zaczął, a potem zauważył, że nie nosi obrączki, ale było już za późno, by się wycofać. – *Je cherche un ami, un gens Anglais?* – Czekala. – *Il...* – Tu źródło jego francuskiego wyszło. Wygląda tak jak ja? Przypomina mnie? Przyłapał się na tym, że macha ręką przed swoją twarzą, próbując zilustrować zdanie, którego nie potrafił poskładać. Bond nigdy nie miewał takich problemów. Ale Bond rozmawiałby z kelnerką, która byłaby o dwadzieścia lat młodsza i miałaby kuszący dekolt.

Kobieta zaczęła mówić; wychwycił słowa „mężczyzna” i „śniadanie”. Może to była odpowiedź na jego głupawe pytania, a może tylko jakieś francuskie przysłowie o najważniejszym posiłku dnia.

Kiedy przerwała na chwilę, powiedział:

– *Il habite pres d'ici, je pense.*

Użył zupełnie niewłaściwego czasu, ale to nie miało znaczenia. Nawet gdyby jego francuski był doskonały, i tak by się nie zagłębiał w to, że status Lockheada uległ zmianie. Tak czy inaczej, mina kobiety świadczyła o tym, że w ogóle go nie rozumie.

Nagły potok słów po jego prawej stronie przerwał tę chwilę.

To mężczyzna z brodą odłożył gazetę i rozmawiał teraz z kelnerką. Istnieje niewiele bardziej irytujących rzeczy niż sytuacja, gdy własne próby powiedzenia czegoś w obcym języku wymagają dodatkowego tłumaczenia, ale najwyraźniej przyniosło to pożądany efekt, bo kobieta postawiła po prostu przed Riverem talerzyk z rachunkiem za kawę i wycofała się za ladę.

– Wydaje mi się, że szuka pan przyjaciela – zaczął po angielsku mężczyzna.

– Tak – potwierdził River, zanim dotarło do niego, że może to być bardzo różnie zrozumiane. –

On...

– Wygląda tak jak pan, tak?

– Zna go pan?

– Anglika?

– Tak.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie Anglik.

– Jest pan pewien?

– To miejscowy. Bertrand, jak mi się wydaje. Bertrand jakoś tam.

– I tu przychodzi?

– Widywałem go tutaj. – Mężczyzna pokazał na swoje oczy, a potem na oczy Rivera. – Macie... macie taki sam wyraz twarzy. Powiedziałem to poprawnie?

– Mhm... To znaczy tak. *Oui*. Wie pan, gdzie on mieszka?

– To pana przyjaciel? Czy krewny?

– Kuzyn – odparł River.

– Ale nie zna pan jego nazwiska. Ani narodowości. I nie wie pan, gdzie mieszka.

– Nie jesteśmy blisko spokrewnieni – odparł River.

– *Évidemment*. Wydaje mi się, że był z Les Arbres.

– To inna miejscowość?

– Dom. Duży. Niedaleko stąd.

– Łatwo go znaleźć?

– Cóż – skomentował jego nowy przyjaciel – i tak, i nie.

– Tak, pamiętam cię – powiedziała Molly Doran do Shirley.

– To dobrze.

– Skoro tak myślisz, to musisz być bardzo pewna siebie.

– Że co proszę?

– Nieważne. O co chodzi tym razem, pani Dander? Albo raczej o co chodzi Jacksonowi? Zakładam, że dzwoni pani w jego imieniu?

– Można by to nazwać moją własną inicjatywą.

– Jak ładnie pani to ujęła. Czyli wykorzystanie mojej fachowej wiedzy stanie się pani osiągnięciem? Tak to ma działać?

Shirley stłumiła westchnienie. Tłumienie westchnień znajdowało się całkiem wysoko na liście osobistych celów z jej sesji PTKZ, więc było to tak, jakby odhaczała pozycje z listy.

– A co u pani słychać? – spytała, przypominając sobie inny ze swoich celów: być świadomą problemów innych ludzi.

Ta próba wykazania się podwyższoną świadomością spotkała się z pełnym osłupieniem milczeniem.

Molly Doran nie była jeszcze legendą MI5, ale w tym kierunku zmierzała. Zajmowała się aktami personalnymi w Regent's Park: poruszała się na jaskrawoczerwonym wózku inwalidzkim, ponieważ dawno temu, u zarania dziejów, straciła nogi. Wiedziała wszystko, co czyniło z niej przydatne źródło informacji. Co roku wygłaszała dla młodych szpiegów wykład o zasobach badawczych MI5: jednorazowe zajęcia, które redukowały najtwardszych zawodników z naboru do trzęsącej się galarety. Krążyły plotki, że nawet Lamb był pod wrażeniem. Shirley zetknęła się wręcz z mitem, że Lamb i Molly mieli wspólną historię, co trochę mieszało człowiekowi w głowie.

A teraz, gdy uprzejmie zapytanie Shirley zostało całkowicie zignorowane, przyszła kolej na Molly.

– Jak zakładam, pan Coe jest teraz wśród was?

Minęła chwila, nim Shirley skojarzyła nazwisko Coego z zakapturzoną zmorą piętro wyżej.

– To pani go zna?

– O ile mnie pamięć nie myli, raz wysłałam go do Jacksona. – Umilkła na chwilę. – Gdybym wiedziała, że skończy tam na stałe, raczej bym tego nie zrobiła.

W jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju żalu – a w każdym razie coś, co mogłoby za taki żal uchodzić. Shirley postanowiła to wykorzystać.

– Zna pani starego Davida Cartwrighta? – spytała.

Krótką chwilą milczenia, jaka zapadła po jej słowach, trwała dokładnie tyle, ile trzeba, by przewrócić oczami.

– Bardzo możliwe, że zetknęłam się z tym nazwiskiem.

– No cóż, wczoraj w nocy ktoś próbował go rozwalić.

Tym razem milczenie wydawało się jakby głębsze.

– Ktoś...?

– Tak, próbował go rozwalić. Najwyraźniej. – Pokazała Marcusowi podniesiony kciuk. Teraz wszystko szło dobrze.

– I to dlatego pani dzwoni?

– Tak jakby. Widzi pani...

– A mogę spytać, dlaczego uparcie prowadzi pani swoje dochodzenie przez telefon, zamiast okazać mi minimum szacunku i odwiedzić mnie osobiście?

– Poważnie?

– Przywykłam do tego, że traktuje się mnie poważnie. Tak.

– Bo nie mam uprawnień, żeby wejść do Regent's Park – powiedziała Shirley.

– Wiem.

– Że co?

– Cóż, skoro już pani o tym wie, to dlaczego...

– Bo staram się dać pani coś do zrozumienia, pani Dander. A mianowicie, że bez względu na to, jakie śledztwo pani prowadzi, nie jestem do końca przekonana, czy osobą, która powinna je prowadzić, jest pani. O ile rozumie pani, co mam na myśli.

Minęła chwila, nim Shirley udało się to ogarnąć, ale tak, dotarło do niej.

No i super, pomyślała Shirley, ale jeśli tak, to czemu ta krowa wciąż wisi na linii, choć mogłaby sobie oszczędzić fatygi i rozłączyć się pół minuty temu?

A potem rozległ się nagły hałas, taki, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszała. Przerazona zerknęła na Marcusa i zobaczyła, że on też to słyszał – bo gdyby nie słyszał, pomyślała później, to z radością na zawsze wyrzekłaby się narkotyków, bez narzekań uczęszczałaby na trening kontroli złości i może nawet zaczęłaby znów chodzić do kościoła, była więc dozwrotnie wdzięczna losowi, że Marcus też to usłyszał, bo to był dowód, że nie chodziło o jakąś koszmarną halucynację, lecz o coś, co dzieje się naprawdę.

Klatką schodową schodził Jackson Lamb. Była z nim Moira Tregorian.

I oboje radośnie się śmiali.

Gdy już sobie poszli, ten dźwięk wciąż szyderczo unosił się w powietrzu; zawisł na klatce schodowej, trzepotał jak ćma w poszukiwaniu żarówki. Marcus wyglądał, jakby ktoś właśnie rąbnął go łopatą. Mina Shirley była podobnie pozbawiona wdzięku. Ale gdy już zamknęła usta, w jej głowie formowała się pewna myśl i fakt, że Molly Doran wciąż trwała na linii, sprawił, że nabrała jeszcze wyraźniejszych kształtów.

– Wciąż tam pani jest? – spytała.

Usłyszała słabe westchnienie zamiast odpowiedzi.

- Ciekawe, czy pani zgadnie, co właśnie słyszałam – kontynuowała Shirley.
- Z całą pewnością nie zamierzam się w to bawić.
- A powinna pani. Niech pani spróbuje. Dam pani trzy podejścia i sporą wskazówkę.
- Sporą wskazówkę?
- Mhm.
- I przypuszczam, że fantem w tym zakładzie... – powiedziała Molly Doran.
- Wiem, do czego to zmierza – odparła Shirley.
- Doskonale. I przypuszczam, że fantem w tym zakładzie, jeśli nie uda mi się tego odgadnąć, będzie moja pomoc w pani śledztwie.
- Właśnie.
- Proszę mi wybaczyć, ale nie widzę, co miałabym na tym zyskać.
- Cóż, jeśli pani zgadnie, rozłączę się i już nigdy nie będę zwracać pani głowy.
- Rzeczywiście, brzmi dość kusząco – przyznała Molly.
- Wskazówka brzmi: ten dźwięk wydał Jackson Lamb.
- No cóż – stwierdziła Molly po chwili milczenia. – Biorąc pod uwagę, że Jackson ma ograniczony repertuar, mam spore szanse, nieprawdaż?

Autobus przyjechał na przystanek zgodnie z harmonogramem dziesięć minut temu i od tej pory stał tam z wyłączonym silnikiem, zaś obok swobodnie przejeżdżały inne pojazdy. Żaden w pasażerów się nie skarżył. Albo regularnie podróżowali tą linią i spodziewali się przerwy, albo jazda autobusem była dla nich nowym doświadczeniem i stracili wolę życia. Z tyłu na górnym poziomie Diana Taverner rozmawiała z Claude'em Whelanem.

– Zimny trup – wyjaśniła – to gotowa tożsamość. Metryka urodzenia, paszport, numer ubezpieczenia, konto bankowe, zdolność kredytowa, tego typu rzeczy. Skonstruowana na przestrzeni lat oficjalnymi kanałami. To nie dzieło najlepszych fałszerzy, tylko tryby służby cywilnej robiące to, co służba cywilna potrafi najlepiej. Czyli papierkową robotę, Claude. Papierkową robotę od kołyski aż po grób. To jest właśnie zimny trup. Wystarczy do tego dodać żywego człowieka z krwi i kości i masz w pełni udokumentowane życie.

– Myślałam, że to standardowa praktyka. Tworzenie fałszywych tożsamości.

– Nie są fałszywe. Na tym to właśnie polega. To prawdziwe tożsamości, które czekają na właściciela. Nie zrozum mnie źle, fałszywe też potrafimy tworzyć. I są niezłe. Jeśli sfalszujemy prawo jazdy, będzie wyglądało jak prawdziwe aż po ostatni szczegół, ale tym ostatnim szczegółem jest data ważności. Kiedy upłynie, będziemy musieli wystawić nowe. Z tożsamością zimnego trupa nie ma takich problemów. Po prostu składasz wniosek o wydanie nowego. Bo to, które straciło ważność, jest prawdziwe, wydane przez Agencję Rejestracji Kierowców i Pojazdów.

– To musiało wymagać ciągłego nadzoru – stwierdził Whelan.

– Oczywiście. W czasach, kiedy mieliśmy środki, na jakie zasługujemy. Ale gdy uznano zimną wojnę za wygraną, czyli praktycznie rzecz biorąc, gdy runął mur, dział rekwizytów zamknięto. Uznano go za zbędny, ale nawet nie zaczynaj ze mną tematu krótkowzroczności Ministerstwa Finansów. Nie, w obecnych czasach tożsamości używane przez agentów działających w terenie to kompletna improwizacja. Nawet długoterminowe przykrywkę związane ze zmianami miejsc pobytu są robione tanim kosztem.

– To co się stało z tymi... zimnymi trupami? Kiedy zamknięto rekwizytornię?

– Trafiły do szuflady. Albo tak sądzono.

– Ale Robert Winters...

– Tak, był jednym z nich.

– Jak? Jak to możliwe, do diabła? Według paszportu miał dwadzieścia osiem lat. A ty mi właśnie powiedziałaś, że projekt zamknięto jeszcze w czasach...

– Claude, nie słuchasz. Zimny trup był usługą od kołyski aż po grób. To były tożsamości tworzone od zera w czasie rzeczywistym. Departament działał od wojny, więc tożsamości, które wypuścił w latach sześćdziesiątych, były dla dwudziestoparolatków... i tak dalej. Rozumiesz już?

– Długoterminowe przedsięwzięcie – powiedział słabym głosem.

– Można tak to ująć.

– A to znaczy, że kiedy rekwizytornia przestała istnieć, mieli pewną liczbę tożsamości na różnych etapach przygotowania. W tym jedną dla dwuletniego Roberta Wintersa.

– Jeśli wszystko, na czym możemy się oprzeć, to nazwisko...

– Oraz data i miejsce urodzenia. Możesz mi wierzyć, Robert Winters, który wysadził się w powietrze w Westacres, był wytworem MI5. Nie mógłby w żaden inny sposób zdobyć tego paszportu.

– Jezu Chryste!

Autobus ospale obudził się do życia, trzęsąc się na całej długości.

– Od jak dawna wiesz? – spytał. – Od kogo masz tę informację?

– Od jednego z moich dzieciaków. Dowiedziałam się kilka godzin temu.

– I wtedy nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

– A co byś zrobił, gdybym ci powiedziała?

Z trudem panował nad złością.

– A jak myślisz? Zawarłbym to w swojej prezentacji dla premiera.

– I co by się wtedy stało? Nie wysilaj się. Ja ci powiem. Zablokowaliby nas, Claude. Regent's Park, za rzeką, nawet cholerny Slough House, każdy wydział, każdego agenta. Grupa Specjalna, albo co gorsza Szóstka, przetrząsnęłaby każde biurko. Przy tym sprawa siatki szpiegowskiej Cambridge byłaby jak pogaduszki na przyjęciu w ogrodzie. – Przerwała na chwilę. – I w sumie w tamtym przypadku tak było.

– Gdzie jest teraz ten twój... dzieciak?

– U psów.

– Użyłaś do tego wewnętrznych? Oni mają dbać o przestrzeganie prawa, do cholery, a nie zachowywać się jak twoi pretorianie!

Taverner potrząsnęła głową.

– Wciąż nie rozumiesz, co? Jeśli choćby wzmianka o tym wydostanie się na światło dzienne, tajne służby w tym kraju stracą jakąkolwiek wiarygodność. Każdy szurnięty amator teorii spiskowych na świecie będzie nazywał Westacres brudną robotą służb wywiadowczych i nawet normalni ludzie w to uwierzą.

– To przecież...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Wiesz, w jakim czasie po wybuchu bomby w internecie pojawiły się plotki o tuszowaniu faktów? W niecałe dwie godziny. Taki mamy poziom zaufania. Przegrywamy tę wojnę, Claude, i możesz mi wierzyć: to jest wojna. Mówili, że nie da jej się toczyć na abstrakcyjnym poziomie, ale zostawię tę kwestię filozofom i pedantom, bo dopóki wynosi się pozabijane dzieciaki ze zrujnowanego centrum handlowego, dla mnie to jest wojna. A my musimy być na froncie. My. Ty i ja. Bo bez naszego przewodnictwa MI5 będzie się tylko szarpać, zamiast robić to, do czego zostało stworzone, czyli złapać

tych sukinsynów. A więc upewnijmy się, czy dobrze się rozumiemy, zanim wysiądziemy z tego autobusu. A na wypadek gdybyś miał problemy z podjęciem decyzji, pamiętaj, że to ty podpisałeś DZ.

– Co podpisałem?

– Nakaz upoważniający psy do zgarnięcia i przetrzymywania Giti Rahman, dziewczyny, która to odkryła.

– Nic nie podpisuję... Ach!

„Twój autograf. W trzech egzemplarzach”, przypomniał sobie.

I jeszcze: „Muszę to wszystko przeczytać?”.

– I zrobiłem to – powiedział powoli – przed zebraniem sztabu kryzysowego COBRA.

Co było dowodem na to, że wcześniej o tym wiedział.

To naprawdę zdumiewające, pomyślał, jak powoli poruszają się autobusy.

– Po co ta mina? – rzuciła po chwili. – Jestem po twojej stronie.

– Dobrze wiedzieć. Ale naprawdę musiałś przed tą deklaracją poparcia upewnić się, że masz w garści moje jaja?

– To tylko polityka, Claude. Przyzwyczaisz się do tego. A możesz mi wierzyć, kiedy los MI5 wisi na włosku, polityka staje się paskudna.

Uderzyło go, że Dianie Taverner sprawia to przyjemność. A przynajmniej tak wyglądała: pobudzona, ożywiona... atrakcyjna. Nie było to spostrzeżenie, nad którym miał ochotę dłużej się zastanawiać. Odsunął je od siebie i spytał:

– To co teraz zrobimy?

– Dowiemy się, jak to się stało, że nasz zimny trup włożył na siebie kamizelkę z semteksem. Czyli ustalimy, kto miał dostęp do tych tożsamości, a potem podłączymy go pod prąd i poczekamy, aż zacznie gadać.

– W Wielkiej Brytanii nie torturujemy podejrzanych – powiedział odruchowo.

– Dorośnij, Claude.

– A mówiąc o tych tożsamościach...

– Tak. Użyłam liczby mnogiej. Z tego, co udało mi się ustalić, brakuje nam trzech zimnych trupów. Co znaczy, że dwa jeszcze gdzieś tam są. I Bóg raczy wiedzieć, co zamierzają.

Woń była tu intensywniejsza, bardziej drażniąca i drapała Rivera w gardło, gdy szedł wąską drogą. Po jednej stronie wznosił się wysoki na dwa i pół metra mur z cegły z tłuczonym szkłem na szczycie, a po drugiej ciągnął się żywopłot, za którym leżały pola, a dalej drogi, parę domów, Francja. Wciąż mżyło i zaczęła zauważać, że jego buty nie są tak wodoszczelne, jak powinny; że lewa noga obciera się od wilgotnej skarpetki. Na szkoleniu przebywał jednak wiele dni w Black Mountains; spędzał noce w rowach, próbując uniknąć schwymania. Przemoczone nogi to coś, co mógł przeżyć. O ile nie będzie musiał przy tym przekonująco mówić po francusku.

Nad drogą zwisały się cienkie gałęzie rzucające cień na to, co i tak było szare i nijakie. Przesunął po jednej palcem i stwierdził, że jest cała szara od sadzy.

Les Arbres – dom. Niezbyt łatwy do znalezienia, ponieważ już nie istnieje; spłonął.

W miejscu, gdzie do głównej drogi dochodziła inna, bita i wyjeżdżona kołami, mur otaczający Les Arbres skręcał w prawo i zmieniał się w sięgający do pasa i porośnięty mchem wał. Idąc wzdłuż niego, River widział dalej za nim zalesiony teren: drzewa były pozbawione liści, ale rosły na pochyłym terenie, więc widoczność była ograniczona. Nie było słycać żadnych dźwięków. Znajdował się zaledwie jakieś pół kilometra od Angevin, ale równie dobrze mógłby zostać przeniesiony w samo serce jakiegos

odludnego regionu. Nie zdziwiłby się bardzo, gdyby zobaczył wóz ciągnięty przez konia, sunący w jego kierunku bitą drogą. Nikogo jednak nie spotkał i tylko raz czy dwa usłyszał samochód na drodze zbliżający się do wsi albo z niej wyjeżdżający.

– Kiedy był ten pożar? – zapytał swojego nowego znajomego w kawiarni.

Zdarzyło się to trzy noce temu.

– Czy ktoś ucierpiał?

Dom ponoć stał pusty. A przynajmniej na pogorzeliisku nie znaleziono żadnych zwłok.

– Ile osób tam mieszkało?

Nikt nie był do końca pewny. Nie mieszkała tam żadna rodzina. To była komuna. O ile River zna takie określenie.

River je znał.

– Ten pożar. To było podpalenie?

– Umyślnie? Tak, na to wyglądało. Nie było tam żadnych samochodów, tak? Wszyscy wyjechali, zanim zaczął się pożar. A te płomienie... Ha! Wielkie czarne chmury, czarniejsze niż sama noc.

Czyli użyto benzyny, wywnioskował River. Benzyny albo czegoś, co pali się na tyle szybko i intensywnie, by nie zostały żadne dowody.

Tylko dowody na co?

Dotarł do bramy: wielkiej i metalowej, z okrągłą tabliczką z czerwonym napisem PROPRIETE PRIVEE DEFENSE D'ENTRER. Brama była zamknięta łańcuchem, ale to miejsce nadawało się równie dobrze jak każde inne, by wejść. River wdrapał się na wał, od czego pozostały mu zielone ślady na rękach, i ruszył dróżką szerokości samochodu między melancholijnymi drzewami. Woń stawała się coraz intensywniejsza. Przypomniło mu się, jak czyścił palenisko w domu dziadka pewnego ranka po tym, jak siedzieli do późna przy wygasającym ogniu; S.D. spała opowieściami, a im było jaśniej, tym bardziej River stawał się senny. Ale zawsze chciał słuchać. Zawsze pragnął, by głos dziadka jeszcze nie milkł. Mało prawdopodobne, byśmy przeżyli jeszcze jeden taki wspólny wieczór, pomyślał, zbliżając się do serca wygasłego już pożaru.

Pierwszy widok domu go zaskoczył, bo wyłonił się zza wzniesienia, którego River wcześniej nie zauważył. Ale w tej samej chwili, gdy dom się pojawił, również zniknął. Ponieważ już nie istniał. To, co musiało być kiedyś imponującym budynkiem – trzy lub cztery piętra, siedem do ośmiu pokoi na każdym – teraz pozostawało poszczerbionym zarysem ścian, pomiędzy którymi na stertach leżały zwęglone drewniane belki. Wszystko, co kiedyś znajdowało się w domu, zmieniło się w ledwie rozpoznawalne piramidy spalonych, poczerniałych rzeźb: ramy okienne i meble, węże kabli, fragmenty klatki schodowej. Emaliowany zlew unosił się trzy stopy nad ziemią, a przynajmniej tak się w pierwszej chwili zdawało – trzymał się na pionowym fragmencie rury. Dookoła przycupnęły zniekształcone sylwetki jego dawnych kolegów: kuchenki, pralki, zmywarki, lodówki. Czarne, nadtopione sprzęty AGD. Była też wanna osadzona w gruzach, z kranem sterczącym z tej ruiny niczym dziób umierającego statku.

I choć wszystko wciąż było mokre, wydawało się, że zachowało w sobie wspomnienie gorąca, jakby niedawne piekło było zbyt intensywnym doświadczeniem, by mogło całkowicie się rozwiać. Dom przestał istnieć, ale wciąż unosił się tu duch tego, co go zniszczyło, a wokół jego ruin cały teren był zryty, pokryty głębokimi śladami opon odcisniętymi w błocie i oleistymi kałużami w zagłębieniach. To musiało być naprawdę brutalne; nie tylko pożar, ale i jego gaszenie. Szkody powstałe w wyniku działań, które miały nie dopuścić do dalszych strat wyrządzanych przez rozprzestrzeniający się ogień – dziadek na pewno miałby jakąś historyjkę, by to zilustrować, ale kiedy by ją opowiadał, stałaby się chaotyczna

i niespójna, kręciłaby się w kółko, nigdy nie dochodząc do konkluzji. River po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy przyjechał tu, by wyjaśnić okoliczności zamachu na dziadka, czy po prostu chciał znaleźć się jak najdalej od staruszka, by nie musieć patrzeć na to, jak jego stan się pogarsza.

Kucnął i dotknął ręką ziemi, ale nie poczuł nagromadzonego w niej ciepła; tylko mokra, zgnieciona trawa. Wylał rękę o dzinsy. To tutaj zaczęła się podróż Adama Lockheada, która dobiegła końca na podłodze łazienki S.D. Fakt, że dom spłonął tak niedługo przed tym, nie mógł być przypadkiem. Ale co łączyło te dwa wydarzenia?

Coś zaszeleściło w lesie, ale gdy się rozejrzył, niczego nie dostrzegł. Wiatr albo jakieś małe zwierzę. Szepczące drzewa.

River popatrzył na ruiny domu. Gdyby zamknął oczy, mógłby zobaczyć, jak to się dzieje: potężne pomarańczowe płomienie na tle czarnego nieba, wycie syren rozdzierające noc na strzępy. Ogień musiał być widoczny z odległości wielu kilometrów; latarnia budząca do życia wiejski krajobraz. Nie wiedział, jakiego koloru są wozy strażackie we Francji – czerwone? Równie dobrze mogły być żółte, to nie miało znaczenia. Przyjechały za późno, ale ugasiły pożar w pozostałościach domu, by zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia. To akurat się udało. Dwa wolnostojące małe budynki jakieś dwieście metrów od ruin wciąż stały, podobnie jak coś, co wyglądało na gołębnik i znajdowało się jeszcze dalej, ale było widoczne między drzewami. Ocalały też oczywiście same drzewa, choć w szarym popołudniowym świetle wydawały się chude i kościste niczym pomnik Holocaustu.

Wszystko, co mogło być jakąś wskazówką, obróciło się w popiół, zostało rozwiane po polach albo rozsmarowane na wilgotnych powierzchniach.

Szarość ustępowała miejsca czemuś bardziej ponuremu, ciemniejszemu. Chmury na niebie zgęstniały, szykując się, by uwolnić więcej deszczu, a stopy Rivera nie stały się bardziej suche przez to, że brnął przez błoto. Doszedł do wniosku, że wróci do Angevin i tam się schroni. Znajdzie się jakaś lokalna gazeta albo miejscowe centrum plotkarskie – kościół lub bar – gdzie być może uda mu się dotrzeć do nazwiska; koniuszka nici, za który będzie można pociągnąć. Bertrand Cośtam. Takim nazwiskiem posługiwał się Adam Lockhead. A może to Bertrand Cośtam posługiwał się nazwiskiem „Adam Lockhead” – tak czy inaczej, ta ruina nie rzucała na to żadnego nowego światła. Z lasu znów dobiegł jakiś dźwięk, trzask łamanej gałązki, ale i tym razem River niczego nie zobaczył.

Podjazd prowadził z powrotem do głównej drogi. Była tam inna brama, osadzona na ładnych kamiennych słupkach, i patrzenie na nią było jak spoglądanie w głęb tunelu: drzewa tworzyły łuk i River pomyślał, że latem, gdy mają liście, a na podjeździe nie zalega błoto, musi to być imponujący widok. Choć teraz nie wyglądałoby to już zbyt ciekawie. Wielka brama, drzewa, podjazd, a na końcu tylko ruina. Zastanawiał się, od jak dawna ten dom tam stał i czy jego utrata wyrwie dziurę w życiu wsi, tak jak bomba w Westacres zrobiła to w Londynie. A potem odwrócił się, by ruszyć w drogę z powrotem przez las, a pomiędzy drzew wyszedł mężczyzna trzymający długą jednolufową broń, którą jednym płynnym ruchem przysunął do ramienia i wystrzelił; serce Rivera się zatrzymało.

Nie ma się czym przejmować – powiedziała Emma Flyte. – To tylko rutynowy środek zapobiegawczy.

– Ale ja nie zrobiłam nic...

– Nikt nie sugeruje, że zrobiłaś.

Znajdowały się w pomieszczeniu, które przypominało zwyczajny salon: sofa, krzesła, regały, telewizor. Tyle że każdy pokój, do którego człowiek zostaje zaprowadzony, zamiast wejść do niego z własnej woli, ma w sobie coś z celi. Były niedaleko Brixton Market, piętnaście minut drogi, ale te piętnaście minut wstrząsnęło światem Giti Rahman.

– W takim razie co tutaj robisz?

– Czekasz na instrukcje – powiedziała beznamytnie Emma. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować, jest tu interkom. Radziłabym ci go nie nadużywać. Cierpliwość pana Dempseya ma swoje granice.

Każdy, kto znał pana Dempseya, psa, któremu przydzielono to konkretne zadanie, zgodziłby się, że cierpliwość nie należała do jego mocnych stron.

– A okna są wzmocnione. Nie radziłabym ci próbować przez nie wychodzić.

– Nie jestem Jamesem Bondem.

– Nie jesteś. Gdybyś była, zastrzelilibyśmy cię. – Widząc jej reakcję, Emma trochę pożałowała tych słów. – To taki żart, pani Rahman.

– Pewnie wydawało ci się, że jest zabawniejszy.

Z tym trudno było dyskutować.

Emma zamknęła za sobą drzwi. W kuchni Dempsey przetrząsał szafki; znalazł herbatę ekspresową i jakąś starą paczkę herbatników.

– Zadzwoń do mnie, gdyby robiła kłopoty.

– Kłopoty? – zdziwił się Dempsey. – Bardziej się boję, że zsika się w gacie.

Na zewnątrz, w samochodzie, Emma przez chwilę siedziała i myślała. Diana Taverner była śliską personą i wszystko, co nosiło jej odciski palców, z pewnością zostanie dokładnie wytarte przed oficjalnym zbadaniem. To, że nakaz zgarnięcia Giti Rahman został podpisany przez Claude'a Whelana, można było pominąć. Zdobywanie cudzych podpisów bez wątpienia należało do talentów Lady Di.

Jednak ci ludzie gwarantowali bezpieczeństwo narodowe, a rolą Emmy było im to ułatwiać. Tak więc Giti Rahman – winna, niewinna czy po prostu stojąca komuś na drodze – nie była już jej problemem. Był nim natomiast David Cartwright.

Zadzwoiła do Devona Wellea, którego zostawiła, by pilnował domu Cartwrighta.

– Coś nowego?

– W sumie to nie...

– Powiedz mi.

– Właściwie to nic takiego. Przejechał samochód i zwoiła, jakby ktoś próbował zajrzeć przez okno.

– Wścibski sąsiad?

– Możliwe. I drzwi pilnuje gliniarz, a to zawsze ekscytujące przeżycie.

– Ale na pewno zapamiętałeś numery – powiedziała.

Lubiła Wellea. Kolejny były gliniarz z właściwymi reakcjami.

– Częściowo.

– Sprawdź je. Zwłoki już zidentyfikowane?

– Nie. Wiadomo tylko, kim nie był.

– Kim nie był...?

– Krew nie pasuje do krwi wnuka Cartwrighta.

– Ach! – Zastanawiała się przez chwilę. – Cóż, jednego mamy już wykluczonego. A to oznacza dwie zaginione osoby. Najlepiej zacząć od współpracowników wnuka.

– On naprawdę ma na imię River?

– Tak mnie zapewnił Jackson Lamb. A właśnie, skoro już o nim mówimy...

– Błędnie zidentyfikował trupa.

– Zwłoki były w kiepskim stanie – stwierdziła Emma. – Trudno właściwie byłoby mówić o twarzy. Ale mimo wszystko...

– „Nie wiem” załatwiłoby sprawę – dokończył za nią Welles.

– Więc może Lamb prowadzi własną grę. Jezu, nie tęsknisz czasem za pracą w policji? Tam wszystkie brudy to były chociaż zwyczajne brudy.

– Łapówki, narkotyki i dziwki – zgodził się z nią Welles. – A tym tutaj po prostu nie można ufać.

– Jeśli Lamb chciał, żebyśmy myśleli, że młody Cartwright nie żyje, to może nie mówi nam też o innych rzeczach. Na przykład, gdzie tak naprawdę jest Cartwright. Jeden i drugi.

– Lamb jest z tego miejsca dla frajerów, zgadza się?

– Ze Slough House.

– Myślisz, że Cartwrightowie są tam?

– To by było zbyt oczywiste.

– Mimo wszystko to szpieczy, nawet jeśli są z Vauxhall Conference*. – Przerwała na chwilę. – Vauxhall Conference wciąż istnieje?

– Rozmawiasz z fanem krykieta – odparł Welles. – To jak uważasz? Powinniśmy sprawdzić jego kolegów?

– To też zbyt oczywiste. – Zastanawiała się przez chwilę. – Ale przyjrzyjmy się kontaktom Lamba. Może dopisze nam szczęście.

Po zakończeniu rozmowy uruchomiła silnik i odjechała z piskiem opon. Niezbyt zalecana praktyka, gdy odjeżdża się spod bezpiecznego domu, ale czasem rozmowa z innym byłym gliniarzem sprawiała, że powracały dawne instynkty.

Królik wyglądał na nietkniętego, tyle że był martwy.

Serce Rivera znów zaczęło bić.

– Dobry strzał – pochwalił.

Mężczyzna uniósł brew.

– *Ça, c'était formidable* – spróbował improwizować River.

Mężczyzna ułożył poziomo dłoń i zakoyasał nią na obie strony.

Comme ci, comme ça, pomyślał River i doszedł do wniosku, że gdyby odczytywał francuską pantomimę, jego umiejętności językowe nie byłyby tak tragiczne, jak dano mu do zrozumienia.

Jego nowy towarzysz miał na sobie wodoszczelną kurtkę z wielkimi kieszeniami i z jednej z nich wyciągnął kawałek sznurka. Oparł śrutówkę o drzewo, związał tylne nogi królika, umocował sznurek do paska, a potem zarzucił sobie zdobycz na ramię. Większość martwych zwierząt sprawia wrażenie

mniejszych, jednak to wciąż było imponującym kawałem mięsa. Na tę myśl żołądek Rivera ścisnął się z głodu. Niebo też zaburczało echem grzmotu.

– *Anglais?* – spytał nagle mężczyzna wyższym i dźwięczniejszym głosem, niż można by się po nim spodziewać. Miał ciemną karnację, kruczoczarne włosy i kanciaste rysy. Wszystko to jakby sugerowało gardłowy głos, a nie to łagodne brzmienie.

– Tak – potwierdził.

– Szukasz kogoś?

– Ludzi stąd.

– Zniknęli. Wszyscy zniknęli. – Mężczyzna pstryknął palcami, puff, ot tak. Byli tu, a potem już nie, zniknęli w kłębach dymu, tyle tylko że ten dym był chmurą: gęstą czarną masą unoszącą się między drzewami. A teraz między te same drzewa zaczęły spadać pierwsze wielkie krople silniejszego deszczu.

Mężczyzna postawił kołnierz i sięgnął po broń. Potem spojrział na buty i kurtkę Rivera, które nie nadawały się na taką pogodę.

– Zrobisz się mokry – powiedział.

– Taki się zrobię, tak – przyznał mu rację River.

– Chodź.

Mężczyzna poprowadził go przez las, nie ścieżką, którą wcześniej szedł River, ale jakąś niewidzialną trasą, którą nieznajomy wydawał się świetnie znać. Omijał każdy korzeń, o który potykał się River, i każdą dziurę w ziemi, która próbowała uwięzić jego stopę.

Patrice zjechał do zatoki przy drodze i rozłożył mapę na przedniej szybie. Wiedział dokładnie, gdzie się znajduje – nie przyszłoby mu do głowy, by przybyć do wrogiego kraju, nie zapamiętawszy wcześniej tras – ale to dobry pretekst, by pozostać w miejscu w czasie, gdy zastanawiał się nad tym, czego się dowiedział.

Obecność policji wokół domu celu.

Tego można się było spodziewać. Bertrand postarałby się, by to wyglądało na wypadek, ale nawet wypadek staruszka wymagałby oficjalnego dochodzenia, biorąc pod uwagę, kim był ów staruszek. Tyle tylko że nie było żadnego potwierdzenia „paczka dostarczona” ani nawet jego przeciwieństwa – „nikogo nie było w domu, spróbuję dostarczyć ponownie”.

Brak wiadomości i obecność policji oznaczały, że Bertrand nie tylko nie dostarczył paczki, ale że prawdopodobnie wybuchła mu prosto w twarz. Coś takiego wcale nie było wykluczone. Patrice kochał Bertranda jak brata, ale pozostawało faktem, że Bertrand potrafił się wahać w decydujących chwilach.

Złożył mapę i wyjął komórkę dokładnie w chwili, gdy jakiś przelatujący ptak... – na litość boską, to mewa, a znajdował się całe kilometry od morza – nasrał mu na przednią szybę. Istniało coś takiego jak znaki i istniały też podstawowe przekazy. Telefon odebrano po drugim sygnale, ale usłyszał tylko ciszę. By ją zapełnić, szybko wypowiedział trzy zdania po francusku.

Znów milczenie.

A potem:

– A twoja paczka?

– Wciąż niedostarczona.

– Spróbuj jeszcze raz.

Zakończył połączenie.

Używając spryskiwacza na przedniej szybie, przyglądał się, jak wycieraczki rozsmarowują mewie gówno w szare smugi. Kolejna robota, która tylko wszystko pogorszyła. Potem zapłakał bardzo krótko

nad Bertrandem, bo ten już pewnie nie żył; Patrice jeszcze raz użył spryskiwacza i uruchomił wycieraczki. A później pojechał z powrotem do Londynu.

Restauracja była na tyle blisko, by mieściła się w zasięgu dopuszczalnym dla Lamba, na tyle dla niego nowa, by jeszcze nie zdążył jej wypróbować, i z na tyle sprytną obsługą, by rozpoznano niewygodnego klienta. A przynajmniej taki był jeden z możliwych powodów podenerwowania kelnera, gdy prowadził Lamba i Moirę Tregorian do stolika, który najpierw nazwał „niezłym”, a zaraz potem, poprawiając się, określił go jako „bardzo dobry”.

– Wszystkich swoich nowych ludzi zapraszasz na lunch? – spytała Moira.

– Serwuję wszystkim swoim ludziom to, na co sobie zasługują – odparł Lamb, a kelner zaczął recytować dania dnia: coś tam, coś tam z rwanej wieprzowiny, jakieś medaliony, coś tam winogret.

Lamb uprzejmie pozwolił mu dokończyć, po czym rzekł:

– Poproszę wołowinę.

– Proszę pana, wołowina tak właściwie nie jest...

– Krwistą.

Moira zamówiła sałatkę cesar.

– I butelkę czerwonego wina – dodał Lamb.

– Och, coś mi się wydaje, że raczej nie powinnam pić.

– W takim razie tylko butelkę czerwonego wina – powiedział Lamb.

Gdy kelner już uciekł, Lamb dobrał się do obu bułeczek z koszyczka, rozpoławiając je sprawnym ruchem kciuka. Przenosząc w powstałe zagłębienia zawartość maselniczki, spytał najbardziej aksamitnym głosem, na jaki go było stać:

– No i jak ci idzie zadomowianie się u nas?

– Muszę powiedzieć, że byłam lekko osłupiała – odparła, odrywając wzrok od tego, jak patroszył pieczywo. – Z jakiegoś powodu wszyscy sądzili, że pan Cartwright nie żyje.

– To mentalność stada – stwierdził ze smutkiem Lamb. – Ktoś wpada na niewłaściwy pomysł i nagle wszyscy zaczynają w to wierzyć. Myślę, że tak właśnie działa internet.

Kelner wrócił z winem. Otworzył je w wielkim stylu, jakby wykonywał magiczną sztuczkę, nalał odrobinę do kieliszka Lamba i cofnął się jak ktoś, kto właśnie odpalił fajerwerk.

– Gdyby mnie obchodziło, jak smakuje, zamówiłbym któreś z dołu listy – powiedział Lamb. – Proszę po prostu dolać do pełna.

Kelner zrobił, co mu kazano, po czym uciekł.

Nagle Lamb spojrział promiennie na Moirę; wyraz jego twarzy sprawiłby, że kulawe konie, z ewentualnym wyjątkiem Catherine Standish, zaczęłyby zasłaniać twarze.

– Powiedz mi – zaczął – jak myślisz, czemu trafiłaś do Slough House?

– No cóż, to oczywiste, że... czy wszyscy nazywają to miejsce Slough House?

– Owszem.

– Nie ma żadnej oficjalnej nazwy?

– Wierz mi, gdyby miało, nie chciałabyś jej znać.

– Rozumiem – powiedziała Moira, która nic z tego nie zrozumiała. – Cóż, w każdym razie to oczywiste, że Slough House potrzebuje mnie albo kogoś takiego jak ja.

– Cóż za oryginalna myśl.

– Bo tam jest taki straszny bałagan. I nie chodzi mi tylko o biura, choć kiepsko wyglądają, a co się tyczy toalet, to... no cóż... Nie będę poruszać tego tematu przy lunchu. Ale chodzi o papierkową

robotę, o niedostateczne standardy zarządzania obiegiem dokumentów... A co do ogólnego zachowania, no cóż... byłem świadkiem błazenady. Inaczej nie potrafię tego ująć.

- Nadużywania biurowego sprzętu? – podsunał jej Lamb.
- Nadużywanie byłoby łagodnym określeniem. Bardzo łagodnym.

Lamb skinął głową, jakby przywykł używać łagodnych określeń, a potem udał, że dopiero teraz zauważył stojące przed nim wino. Był to duży kieliszek, który w tej chwili zawierał jakąś jedną trzecią zawartości butelki, więc wypił go w dwóch łykach i sobie dołał.

- Czasem to oczywiste – powiedział.
- Ja... Co takiego?

- Powód, dla którego ludzie kończą w Slough House – odparł Lamb. Odgryzł kawał bułki i przez dłuższą chwilę intensywnie go przeżuwał. Potem podjął: – Weźmy na przykład młodego Cartwrighta. Jednak jeszcze nie świętej pamięci. Przesłano go do nas kilka dni po incydencie na King's Cross, który dosłownie trafił na pierwsze strony gazet na całym świecie. Nietrudno się domyślić, na czym polegało jego wykroczenie.

- Powiedziałabym, że to było raczej coś więcej niż wykroczenie.
- Istniały pewne okoliczności łagodzące – przyznał Lamb.
- Na czym polegały?

- Że został zrobiony w chuja – powiedział Lamb. – Przepraszam za wyrażenie. Twoja poprzedniczka miała na mnie zły wpływ.

- Domyślam się, że miała... pewne problemy.
- Tak. Kilka. A poza tym piła jak szewc.
- Ojej.

- Twierdzi, że ma to już za sobą, ale wiesz, jak to się mówi. – Lamb sięgnął po kieliszek. – Pijak zawsze zostanie pijakiem.

Kelner wrócił z ich zamówieniem i Lamb przerwał na moment, gdy stawiano przed nimi talerze, ale nie odrywał wzroku od Moiry Tregorian.

- Życzę państwu smacznego – powiedział kelner tonem kogoś, kto nie miałby nic przeciwko temu, żeby Lamb udławił się na śmierć.

Ignorując go, Lamb zwrócił się do Moiry:

- Ale wiesz, co jest takiego ciekawego w tym, że trafiłaś do Slough House?

Zamarła z widelcem wiszącym nad sałatką. Po raz pierwszy wydawało się, że nie jest już taka pewna swojej roli w tej rozmowie: czy wciąż była nową zaufaną osobą, która zastąpiła niestety nieodpowiednią poprzedniczkę? A może Jackson Lamb grał w jakąś własną grę i nawet się nie pofatygował, by powiedzieć jej, jakie panują w niej reguły?

- Claude Whelan cię tu wysłał – stwierdził. – To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie zrobił po tym, jak został szefem MI5. Nie uważasz, że to interesujące? Bo ja tak.

I uśmiechnął się w taki sposób, że kulawe konie – łącznie z Catherine Standish – rzuciłyby się szukać jakiegoś schronienia, a potem wlał sobie do kieliszka resztę wina i pomachał butelką na kelnera.

S.D. zamrugał jak sowa, która za chwilę ma obrócić głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Mieszkałem tu kiedyś, prawda?
- Nie – zapewniła go Catherine. – Nigdy tu nie mieszkałeś.

Obudził się godzinę temu i wygramolił z łóżka. Ubranie się nie przysporzyło mu problemów, bo w ogóle się nie rozebrał. Żle się z tym czuła – pozwolenie, by wpełzł pod kołdrę w pełni odziany, tylko

ze ściągniętymi butami, było okrucieństwem – ale w sumie nie aż tak źle, by próbowała go rozebrać. I to była jej pościel. A tak w ogóle to nie ona wpadła na ten pomysł.

– Potrzebuję miejsca, gdzie będzie bezpieczny – powiedział jej River. – Z kimś, komu ufam.

To było miłe, ale w końcu miał całą podróż na przemyślenie sobie tego, co powie; ona miała jakieś trzy minuty, by wymyślić, jak się bronić.

– River... cieszę się, że mi ufasz. Naprawdę. Ale nie możesz go tak po prostu tu zostawić!

Chciała zapytać: „Co on jada? Czy muszę wyprowadzać go na spacer?”. Nie sposób było stworzyć spójnych kontrargumentów, gdy w jej głowie pojawiały się te idiotyczne pytania.

– Ktoś próbował go zabić, Catherine.

– I to ma mnie zmotywować? A co, jeśli zabójca przyjdzie tutaj? River...

– Nie martw się. Nic takiego się nie stanie.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że nie zadała oczywistego pytania.

Ale to, co było w tej rozmowie najgorsze, to, co było w niej naprawdę okropne – to sposób, w jaki była prowadzona: wścickłym szeptem, gdy staruszek przebywał z nimi w pokoju, a jego twarz wyrażała zagubienie i strach. Coś takiego nie było jej potrzebne. Nie dziś. Nie w ponury styczniowy ranek, gdy całe miasto nurzało się w szoku i żalobie; piękny pretekst, by utopiła swoje i cudze smutki w butelce.

– Proszę, Catherine.

– Kto chciał jego śmierci?

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.

– Dlaczego nie zabierzesz go do Regent's Park?

River nie odpowiedział.

– O Boże – wyszeptała, dodając dwa do dwóch.

A więc teraz była tutaj i był tu też S.D., a bezpieczny dom wcale już nie był taki bezpieczny. Bo Lambowi domyślenie się, gdzie jest staruszek, zabrało całe pięć minut i choć Lamb pozostawał bystrzejszy od większości ludzi, nie był jedynym mózgiem na Ulicy Szpiegów.

Choć nie u wszystkich szpiegów mózgi działały tak jak kiedyś.

– Gdzie on się podział?

– Kto się gdzie podział, Davidzie?

Bo nie potrafiła zwracać się do niego „panie Cartwright”, nie w tych okolicznościach.

– Tamten chłopak, tamten młody mężczyzna.

– River?

– A co to w ogóle jest za imię?

Często się nad tym zastanawiała...

– Nie ma go tutaj. Ale wróci. Obiecuję. – Miała taką nadzieję.

– Myślę, że on może coś kombinować – powiedział David Cartwright.

Zrobiła mu dwa jajka w koszulkach i położyła je na toście, a on zjadł je łapczywie, a potem wypił trzy filiżanki herbaty, choć trzecią właściwie rozlał. Teraz siedział w jej salonie, wyprostowany jak struna w wygodnym fotelu, jakby pozwolenie sobie na to, by się w nim zapaść, było złamaniem jego zasad. Wciąż nie mógł dojść do ładu ze swoim wnukiem: i z jego imieniem, i z faktem, że istnieje.

– Nic nie kombinuje, Davidzie. Musiał po prostu coś załatwić.

– Kiedyś znałem kogoś o imieniu River. Był mniej więcej tego wzrostu.

Staruszek przysunął poziomo ułożoną dłoń do piersi, ale ponieważ wciąż siedział, trudno było dokładnie ocenić, jakiego wzrostu był River, którego zapamiętał.

Tak czy inaczej, to było dawno temu.

– To ten sam River – wyjaśniła łagodnie Catherine. – Dorosł.

– Znałem kiedyś jego matkę.

To teren, na który Catherine nie chciała się zapuszczać.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz? Chciałbyś jeszcze coś zjeść?

Sama siebie posłuchaj, napomniała się. Brzmiała dokładnie tak jak jej własna matka: odsuwała od siebie zagrożenie, jakie niosą emocje, proponując mu coś do jedzenia.

– Jego matka, matka Rivera – powiedziała – to twoja córka. Miała na imię Isobel. – Zbyt późno dotarło do niej, że użyła niewłaściwego czasu. – To znaczy ma na imię. Ma na imię Isobel.

Po policzku staruszka zaczęła spływać łza.

– Nie mam córki.

– Masz, przecież wiesz.

– Nie. Ona tak mi powiedziała. „Już nie jestem twoją córką”. Tak mi powiedziała.

I dlatego chciałaś mu zaproponować jedzenie, pomyślała Catherine. Dlatego chciałaś odsunąć emocje: bo jeśli ktoś zostanie tak zraniony, nie da się mu pomóc. Do tej rozmowy żadne z nich nie mogło nic wniesić.

– Potrzebujesz czegoś? – spytała jeszcze raz. – Jak by cię tu rozweselić?

W tych okolicznościach zabrzmiało to absurdalnie, ale w jego oczach pojawił się błysk.

– Wesołek – powiedział.

– Tak...?

– Gburek, Apsik, Mędrek.

O, na litość boską, pomyślała.

– Gapcio, Nieśmiałek, Gburek. I to cała siódemka. – Popukał się w skroń. – Pamięć jeszcze niczego sobie.

Nie wytknęła mu pomyłki. Nic nie zrobiła. To było jak zerknąć w dół schodów prowadzących do piwnicy, pomyślała, i nagle uświadomić sobie stromą ciemność, która tam na ciebie czeka. Tak naprawdę nie miało znaczenia, jak bardzo uważasz, schodząc w dół.

– Gdzie jest River? – zapytał znowu.

– Pojechał do Francji – odparła, bo chwilowo zabrakło jej inwencji. Była pewna, że tam właśnie pojechał: znalazła ten bilet na pociąg w jego kieszeni.

– Do Francji? Nie mógł pojechać do Francji.

– To niedaleko. Niedługo wróci.

– Nie, nie, nie. – Staruszek był teraz pobudzony. – Francja. Nie ma mowy!

– To nie jest niebezpieczne, Davidzie. Tuż za kanałem.

Alte to go nie przekonało. Zaczął mruczeć pod nosem coś, co nie miało dla niej żadnego sensu. I żeby się zdystansować, podeszła do okna. Wciąż był ten sam ponury styczeń, pod tą samą szarą kopułą nieba. Podjeżdżał właśnie jakiś samochód; wśliznął się na parking dla mieszkańców, ale pojazd nie wydał jej się znajomy. Wysiadła z niego lodowato piękna blondynka w czarnym garniturze. Może włączyły się instynkty Catherine z MI5, a może to tylko jej pijacka paranoja. Tak czy inaczej, sygnał dzwonka rozległ się głośno i wyraźnie.

– Chyba powinniśmy gdzieś cię ukryć, Davidzie – powiedziała.

River spodziewał się chatki zbudowanej z opadłych gałęzi i mchu, ale po dziesięciu minutach Victor, bo okazało się, że tak ma na imię, wyprowadził go z lasu na drogę, a wkrótce potem skręcili w uliczkę prowadzącą do szeregu nowoczesnych domków ze ścianami z żużlobetonowych pustaków

i z aluminiowymi oknami. W tej chwili łało jak z cebra. Czekając, aż Victor otworzy drzwi, River spojrzął w dolinę, w stronę Angevin. Tamtejszy most, wieża kościoła, domy wspinające się po nielicznych uliczkach, wszystko wydawało się przycupnięte, jakby szukało schronienia. Z tej perspektywy stawało się jasne, że Les Arbres wcale nie było częścią miejscowości. Nie było nawet jej wysuniętą placówkę, lecz enklawą otoczoną murem. W barach na pewno plotkowano o tym, co się tam wydarzyło, ale prawda pozostanie równie konkretna i uchwytna jak dym, w który zmieniło się Les Arbres.

Victor miał problemy z imieniem Rivera.

– Tak masz na imię?

– Obawiam się, że tak. To znaczy: tak. Tak, River.

Może Victor nie powiedział na głos *Bof^{ph}*, ale wyraźnie miał na to ochotę.

Domki były małe i panował w nim bałagan. Pośrodku salonu na niskim stoliku stał przenośny telewizor, a wokół niego walały się czasopisma, głównie z programem telewizyjnym. Stało tu kilka przesypanych się popielniczek, a większość innych powierzchni zajmowały poobijane drobiazgi: gipsowe figurki, zapewne świętych, choć równie dobrze mogli to być grzesznicy, oraz szklane zwierzątka. W jednym kącie rzucono różne sprzęty: gumowe buty, wędki, najróżniejsze sieci i wnyki. Victor starannie odłożył tam swoją wodoszczelną kurtkę, zerkając przy tym ukradkiem na gościa. River pomyślał, że czuje kota, ale trudno było stwierdzić to z całą pewnością. Może Victor jakiegoś ugotował? River też zdjął kurtkę, głównie z uprzejmości. Panowała tu niewiele mniejsza wilgoć niż na zewnątrz.

Victor odłożył poranną zdobycz na ladzie w kuchni, obok podręcznej kolekcji noży i tasaków.

– Zrobię herbatę.

– Masz kawę? – spytał River.

– Herbatę. Jesteś Anglikiem.

– Dziękuję – powiedział River. Nie przepadał za herbatą, ale to nie brzmiało jak coś, co dałoby się w prosty sposób przetłumaczyć.

Pili herbatę w małej kuchni, podczas gdy o szyby bębnił deszcz. Martwy królik gapił się z wyrzutem na Rivera, a Victor palił skręcane ręcznie papierosy, jeden za drugim, nie grubsze od zapalek, którymi je odpalał.

– Znasz Les Arbres?

– Szukałem kogoś. Bertrand?

– Młody mężczyzna, wyglądał jak ty. Chyba tak miał na imię, tak.

– Możesz mi coś o nim opowiedzieć?

– Opowiedzieć o twoim przyjacielu?

– W sumie to tak naprawdę go nie znałem – odparł River.

– Może jesteście kuzynami?

– Możliwe – odparł River, myśląc, że to wszystko uprości: człowiek szuka swego dawno zaginionego kuzyna.

– Les Arbres, byli tam ludzie. Osiemnastu, dwudziestu. Jakoś tak. Sami mężczyźni.

– Jak długo tam byli?

– Wiele, wiele lat. *Vingt-trois, vingt-quatre*.

– Aha... – River pomyślał o zabitym mężczyźnie na podłodze w łazience. Według paszportu miał dwadzieścia osiem lat. – A były tam dzieci?

– Kiedyś chyba tak. Potem nie. – Victor ułożył poziomo dłoń mniej więcej pół metra od podłogi i zaczął powoli ją unosić. – Rozumiesz?

Dzieci urosły.

Tamten mężczyzna w kawiarni wspominał o komunie, ale Victor uważał, że nigdy nie było tam kobiet. Riverowi nie wyglądało to na komunę, bo odnosił wrażenie, że sama ta koncepcja obejmuje seks. Oczywiście wspólnota złożona z samych mężczyzn nic nie wykluczała, lecz obecność dzieci rzucała na tę teorię niepokojące światło. Ale co to mogło mieć wspólnego z próbą zamordowania jego dziadka?

– To byli Francuzi? – spytał.

Victor wzruszył ramionami.

– Francuzi, tak. Ale chyba też Rosjanie albo Czesi. Amerykanin. Może jacyś Anglicy. Nie zadawali się z ludźmi z miasteczka.

– Ale chodzili czasem do kawiarni? Le Ciel Bleu?

– Czasem, *bien sur*. Jest tam *marché*, bazarek. Po zakupach ludzie zatrzymują się w kawiarni. To naturalne.

– Kto był ich przywódcą, wiesz może?

– Przywódcą?

– Ktoś musiał tym kierować.

– Nic nie wiem o przywódcach. Pewnie byli *communiste*. Wszyscy równi, wiesz?

– A co z pożarem? Ktoś wie, jak do niego doszło?

– Pożar był celowy. Wszyscy znikają, a potem się pali.

– Równocześnie?

– W ten sam dzień, tak. Po południu ich samochody wyjeżdżają w stronę Poitiers. A niedługo potem zaczyna się pożar. Duże zamieszanie, dużo wozów strażackich, mnóstwo hałasu.

Jakaś część Rivera chciała zapytać, jakiego koloru były wozy strażackie.

– Może policja teraz ich szuka – ciągnął Victor. – Przypuszczam, że tak. Ale ten twój kuzyn nie zginął w pożarze.

Nie, zginął od kuli prosto w twarz. River nie odpowiedział.

– To dziwne, że tak długo mieszkali niedaleko miasteczka, a wygląda na to, że nikt nic o nich nie wie – powiedział zamiast tego.

– Może byliśmy ciekawscy wiele lat temu. Ale czas mija, tak? I człowiek zapomina być ciekawski. Tak już jest w Les Arbres.

Nagle wstał i przyjrzał się królikowi. Wciąż lało jak z cebra, ale River doszedł do wniosku, że pora się ruszyć. On również wstał.

– Byłeś bardzo miły, Victor – powiedział. – *Très gentil. Merci*.

– *De rien*. – Wybrał nóż i wskazał nim na królika, a potem na Rivera. – Możesz zostać, co nie? Będzie smaczny.

– Dziękuję, ale nie.

– Mam nie tylko herbatę. Jest wino.

– Brzmi wspaniale, naprawdę. Ale lepiej, żebym ruszał do Poitiers.

– Jak sobie życzysz. – Victor szybkim ruchem nadgarstka zatopił ostrze w truchle królika i chwilę później wyglądało to tak, jak gdyby wywracał go na drugą stronę; ściągał ze zwierzaka skórę, jakby to była rękawiczka. Z jego skręta spadł na mięso płatek popiołu, zdrapał go nożem. – Może jest ktoś jeszcze. Ktoś, kto wie o Les Arbres.

– Naprawdę?

– Ona nie mieszka w Angevin. Jest z następnego miasteczka. Napiszę ci adres.

– Kim ona jest? – zapytał River.

– Miła kobieta. Była prostytutką, tak? Kurwą. Ale miła kobieta.

Victor zostawił nóż wbity w królika, znalazł długopis i skrętnie napisał na marginesie jakiegoś przastarego czasopisma wskazówki dla Rivera: inna droga, kolejnych kilka kilometrów, parę zakrętów, dom, Natasza.

– Ładne mieszkanie.

– Dziękuję.

– I w spokojnej okolicy. Widzę, że lubisz czytać. – Emma Flyte wskazała głową na regały Catherine. – Nic bardziej nie psuje dobrej książki niż hałas w tle.

– Z wyjątkiem nieproszonych gości – odparła Catherine.

Emma kiwnęła głową, jakby teraz obie wiedziały, na czym stoją. Sprawdzanie znanych współpracowników Jacksona Lamba było odkrywcze tylko w tym sensie, że ujawniło, jak skrętnie unikał posiadania jakichkolwiek. Musiała się skupić na jego podwładnych i Catherine Standish wydała jej się interesująca. Z powodów, które bez wątpienia wkrótce się wyjaśnią.

Rozejrzawszy się po salonie, powiedziała:

– Często spotykasz się z dawnymi kolegami z pracy?

– Z nikim się często nie spotykam.

– A to dlaczego?

– A ty, kiedy uprawiasz seks, wolisz być na górze? – spytała Catherine.

Emma uniosła brew.

– O, przepraszam. Zakładałam, że teraz moja kolej, by zadać bezczelne pytanie.

– Jest powód, który mnie tu sprowadza.

– Nie zaczniesz mnie zaraz na coś nawracać, prawda? Bo u Deirdre, mojej sąsiadki, miałybyś znacznie lepsze szanse.

– Gdybym była podejrzliwa – odparła Emma – a nawiasem mówiąc, tak się składa, że jestem, zaczęłabym się zastanawiać, dlaczego unikasz odpowiedzi na pytania.

– Och, nie jestem pewna – odparła Catherine. – Może ma to coś wspólnego z niechęcią do nieuzasadnionych najść?

– Nieuzasadnionych – powtórzyła Emma kiwając głową. – Rozumiem, co próbujesz zrobić.

– Od razu wiedziałam, że jesteś bystra.

– Tylko sobie tego nie przemyślałaś. Wciąż pracuje pani w MI5, pani Standish, co oznacza, że podlega pani mojej jurysdykcji. A to znaczy, że nie potrzebuję żadnego nakazu.

– Tyle tylko że jakiś czas temu odeszłam.

– Mmm... cóż, niezupełnie. Złożyłaś rezygnację. Ale papiery gdzieś utknęły. Przypomnij mi, wciąż pobierasz pensję?

Była to naturalnie interesująca kwestia. Dziwny stan zawieszenia pani Standish w odniesieniu do Slough House.

– Pobieram – odparła Catherine. – Nie wydają jej.

– Myślę, że to akurat zachowamy sobie na czas dochodzenia. A tymczasem oficjalnie pracujesz i odpowiesz na moje pytania. Na razie wszystko jasne?

– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Dobrze. River Cartwright. Kiedy ostatnio miałaś z nim kontakt?

– Tuż przed Bożym Narodzeniem. Wysłał mi SMS-a.

– Jakiej treści?

– „Wesołych... Świąt” – wycodziła Catherine.

– I od tego czasu nic?

– Szczerze mówiąc, i tak byłam zdziwiona, że coś napisał.

– Zdajesz sobie sprawę, że wczoraj w nocy Jackson Lamb zidentyfikował jego zwłoki?

– Teraz już tak.

– Nie wydajesz się zszokowana.

– Niewiele rzeczy, które robi Jackson Lamb, jeszcze mnie szokuje.

– Właśnie się dowiedziałas, że River Cartwright nie żyje. Sprawiasz wrażenie, jakbyś w ogóle się tym nie przejmowała.

– A ja właśnie powiedziałam, że w ciągu czterech miesięcy dostałam od niego jednego SMS-a, który składał się z dwóch słów. Nie będzie mi go jakoś potwornie brakowało w życiu.

– A może już wiesz, że to nieprawda?

– Obawiam się, że nie nadążam. Co jest nieprawdą? Że nie żyje? Czy że wysłał mi SMS-a?

– Będziemy się tak bawić przez cały ranek?

– Chciałabym móc poświęcić ci tyle czasu – powiedziała Catherine – ale obiecałam tej sąsiadce, o której wspominałam, że do niej zajrzę.

– Wczoraj wieczorem jeden z Cartwrightów popełnił morderstwo – powiedziała Emma Flyte. – Albo River, albo jego dziadek. A więc rozumiesz pewnie, że zależy mi, aby przesłuchać ich obu? Byli tu?

– Nie.

– Myślę, że kłamiesz.

– A to czemu? – spytała Catherine z autentycznym zainteresowaniem w głosie.

– Bo nic z tego, co powiedziałam, ani trochę cię nie zaskoczyło.

– Może po prostu niewiele rzeczy robi na mnie wrażenie.

– Albo jesteś dobrze poinformowana. I jeśli nie zrobili tego Cartwrightowie, mógł to zrobić tylko jeden człowiek.

– Lamb – rzuciła Catherine.

– Mhm. Pan Lamb. Kiedy tu był?

– Wcześniej rano.

– I co ci powiedział?

– Słowo w słowo?

– Poproszę.

– Powiedział, że spędził wczesne godziny, działając na nerwy tej lesbie, która obecnie jest szefową psiarni. I że gdyby się tutaj zjawiała, mam zatrzymać ją najdłużej, jak tylko się da.

Emma gapiła się na nią.

– Możliwe, że tu i ówdzie pominęłam jakieś słowo na „k”. Wydaje mu się, że przeklinanie jest fajne.

– Co on kombinuje, pani Standish?

– Agent mu się zapodział, pani Flyte. Zrobi, co tylko uzna za konieczne.

– Kiedy ktoś z twojego zespołu kogoś zabije, to nie to samo co agent w niebezpieczeństwie.

– Cóż, poznałaś już Lamba. Nie bawi się w subtelności.

Emma dalej się w nią wpatrywała, a Catherine niewzruszenie patrzyła jej w oczy. Zegar podróży na kominku dźwięcznie wybił godzinę.

W końcu Emma powiedziała:

– Kiedy już znajdę Cartwrightów, a zapewniam, że to zrobię, mam nadzieję, że się nie okaże, że przez cały czas wiedziałyś, gdzie byli.

Catherine w zadumie pokiwała głową.

W przedpokoju Emma Flyte zatrzymała się przy otwartych drzwiach.

– Co to był za hałas?

– Nic nie słyszałam – odparła Catherine.

– To dobiegało stamtąd. Zakładam, że to pani sypialnia.

– Zostawiłam włączone radio.

– To nie brzmiało jak radio.

– Zapewniam, że to radio.

– Czyli zostawiła pani włączone radio w sypialni, za zamkniętymi drzwiami?

– Na to wygląda, prawda?

– Masz coś przeciwko temu, żebym tam zajrzała?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlatego że mam już serdecznie dość twojego towarzystwa.

– Szkoda. Bo już ustaliliśmy podstawowe zasady.

Emma zamknęła drzwi wejściowe i przeszła przez przedpokój do sypialni Catherine.

W środku było ciemno – zasłony wciąż były zaciągnięte – a od czegoś pod kołdrą dobiegały stłumione dźwięki. Emma obejrzała się na Catherine.

Ta wzruszyła ramionami.

Emma wyciągnęła rękę i chwyciła brzeg kołdry; szarpnęła go jak magik ściągający obrus i pozwoliła kołdrze opaść na podłogę.

Na łóżku Catherine mruczało sobie radio na tronie z poduszek.

– Trudno uwierzyć, ale w ten sposób ma świetny odbiór – powiedziała Standish.

Dwie minuty później znów patrzyła przez okno, gdy Emma Flyte wychodziła z budynku, wsiadała do samochodu i odjeżdżała.

Minutę później Catherine zapukała do sąsiadki.

– Wielkie dzięki, Deirdre – powiedziała. – Przepraszam, że tak bez uprzedzenia.

– Och, w ogóle mi nie przeszkadzał – zapewniła ją Deirdre. – Twoja koleżanka już poszła, prawda?

– Znów zostałam sama – odpowiedziała Catherine. – No chodź, Davidzie. Pora się zbierać.

– Mieszkałem tu kiedyś, prawda? – odrzekł S.D.

Zanim dotarł na miejsce, zaczął paskudnie utykać. Przemoczona skarpetka ocierała mu lewą stopę, powoli wyobrażał sobie, że rozwija mu się tam gangrena. Ulewa po raz kolejny przeszła w jednostajną mżawkę. Minęło go niewiele samochodów i nikt się nie zatrzymał, by zaproponować, że go podwiezie. Herbata u Victora stała się odległym wspomnieniem, a głód przeszedł w tępy ból.

Najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał, był skrawek papieru, na którym Victor nabazgrał adres. River ledwie miałby odwagę wyciągnąć go, by sprawdzić wskazówki, z obawy, że rozpuści się w wilgotnym powietrzu.

Ale miał dobrą pamięć do liczb, faktów i szczegółów i nie musiał tego robić. Osiemdziesiąt minut po opuszczeniu domku kłusownika był w kolejnej miejscowości, która przycupnęła na brzegach tej samej rzeki co Angevin i mogła się pochwalić podobnymi atrakcjami: wąskim mostem, posępnym kościołem i ruinami na szczycie wzniesienia. Ciasne uliczki wpuszczały pewnie niewiele słońca, nawet

jeśli dopisywała pogoda, i co kilkanaście metrów były tu wąskie przejścia z kamiennymi schodami. Gdyby spojrzeć z góry, pewnie miało to sens, ale na poziomie gruntu tworzyło chaos wzniesień, zagłębień i najróżniejszych sposobów, by można się było zgubić. Jednak jakoś przez nie przebrnął. Zignorował boczne uliczki, ruszył główną drogą, przeszedł przez most; gdy ulica się rozwidliła, skręcił w lewo i minął warsztat samochodowy po prawej. Zaraz za jego parkingiem stał szereg domków, których pociemniałe od deszczu kamienne fasady przywodziły na myśl srogi grymas i tylko ładnie pomalowane drzwi – czerwone, białe, niebieskie – osłabiały ten efekt. Te niebieskie należały do Nataszy. River zastukał w nie ciężką mosiężną kołatką.

Nie wiedział, czego się spodziewać.

Miła kobieta. prostytutka, tak, kurwa, ale miła kobieta. Przypuszczał więc, że teraz odwiedzi prostytutkę – zwrot, który zdecydowanie miał pewien podtekst. Miła kobieta otworzyła mu drzwi dopiero piętnaście sekund po tym, jak zapukał. Cokolwiek miała powiedzieć, na widok Rivera coś się z nią stało i zamiast tego rzekła:

– Bertrand? *Mais non...*

– *Non* – zgodził się z nią River. – *Excusez, vous êtes Natasza?*

Dotarło do niego, że nie zna jej nazwiska.

Po chwili odezwała się:

– Nie jesteś Francuzem.

– *Non* – znów się z nią zgodził.

– Anglik?

Potwierdzić to po francusku byłoby absurdem.

– Tak – odparł.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Oceniał, że jest po czterdziestce: ładna kobieta o wyrazistych rysach i ciemnych włosach opadających swobodnie na ramiona. Jej oczy wydały się czarne. Miała na sobie dzinsy, niebieską męską koszulę i gruby rozpinany sweter z paskiem, którego końce opadały na jej uda. Z wyrazu jej twarzy nie potrafił wyczytać, czy była zaskoczona na jego widok, czy po prostu zrezygnowana – jakby to miało się dopiero później okazać.

– Muszę się dowiedzieć czegoś o Les Arbres – powiedział.

– Słoneko. Już go nie ma.

– Wiem o tym. Ale tamci ludzie... Muszę się dowiedzieć, kim byli.

– Kto cię przysłał?

– Mężczyzna o imieniu Victor.

Podmuch wiatru uderzył go w plecy, przemknął między jego nogami jak niesforny pies.

– Ale nieprzyjemnie – stwierdziła. – Wejść do środka.

A więc River zostawił za sobą chłód i wilgoć i kuśtykając, wkroczył w jej historię.

* Najniższa liga piłki nożnej na narodowym poziomie, odpowiednik piątej ligi.

** *Bof* (franc.) – cokolwiek.

Roderick Ho pił z butelki, która według naklejki zawierała „inteligentną wodę”, i Shirley nie potrafiła stwierdzić, co jej bardziej działa na nerwy: to, kim Ho był, czy to, co pił. Inteligentne telefony, w porządku, potrafiła to zrozumieć. Inteligentne samochody. Ale inteligentna woda? Ktoś ewidentnie robił sobie jaja.

Nie zamierzała jednak pozwolić, by Ho popsuł jej chwilę triumfu.

– Stary Cartwright kilkakrotnie wyjeżdżał do Francji na początku lat dziewięćdziesiątych – ogłosiła. – Zanim zbudowali tunel. Ponoć wtedy używali czegoś, co nazywało się prom. W każdym razie pojechał tam trzy lub cztery razy i zawsze w to samo miejsce. Gdzieś w pobliżu Poitiers, czyli mniej więcej pośrodku. To znaczy pośrodku Francji.

– Wiesz – powiedział Lamb – kiedy zamykam oczy, czuję się tak, jakbym słuchał jednego z wykładów Reitha.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Zdumiewasz mnie. – Lamb przerwał, żeby beknąć.

Zamiast spędzić mniej więcej godzinę po lunchu na tworzeniu strategii dla wydziału, co robił z zamkniętymi oczami i nogami opartymi o biurko, urzędował w pokoju Ho. Zebrały się tam kulawe konie z wyjątkiem Moiry Tregorian – jej zaproponował, żeby przejrzała stertę notatek służbowych, które przysyłano z Regent’s Park od września, i ułożyła je według stopnia pilności – i przedstawiały owoce swoich wyszukiwań, które do czasu, gdy odezwała się Shirley, były bardzo marne.

Lamb ciągnął:

– To były oficjalne wyjazdy?

– Mhm.

– Czyli istnieje raport z misji?

– Są rozliczenia wydatków – oznajmiła Shirley. – I seria uwag o zmianach statusu jakiegoś byłego agenta o pseudonimie Henry. Ale wszystkie te uwagi brzmią: „stabilny” lub „brak koniecznych działań”.

Lamb podejrzliwie pociągnął nosem.

– I Molly Doran sama z siebie ci to powiedziała?

– Rzuciłam twoim nazwiskiem – odparła Shirley.

Prawdopodobnie nie warto było wdawać się w szczegóły zakładu, który Molly przegrała.

– Czyli kimkolwiek był ten Henry – stwierdził Marcus – nie jest już tak stabilny jak kiedyś.

Ho opuścił butelkę i powiedział:

– Tak, bo wygląda na to, że próbował zabić starego.

– Co za sprostregawczość – stwierdził Lamb. – Nic dziwnego, że uważam cię za swoją dwójkę. – Ho uśmiechnął się radośnie. – I z czego się cieszysz? Wiesz w ogóle, co to jest dwójka?

– Ale ktokolwiek przyszedł zabić Davida Cartwrighta – odezwała się Louisa – nie był to ów tajemniczy Henry. Chyba że miał jakieś trzy lata, kiedy Cartwright go odwiedzał.

– Dlaczego to robił?

Tak jak poprzednio, gdy J.K. Coe otwierał usta, wywoływało to krótką chwilę milczenia: ludzie nie tyle zastanawiali się nad tym, co powiedział, ile docierało do nich, że naprawdę to zrobił.

– Chyba przegapiłeś uwagę o zmianie statusu – powiedział Ho i zerknął na Lamba, szukając aprobaty.

– Słuchaj i ucz się, żółtodziobie – skomentował Lamb.

– Był Pierwszym Biurkiem właściwie pod każdym względem oprócz nazwy – stwierdził Coe. – Po co miałby się szwendać na kontynent, żeby zaglądać do jakiegoś emerytowanego agenta?

– Może było na odwrót – powiedział Lamb. – Może sprawdzanie, co się dzieje z emerytowanym agentem, było potrzebnym mu pretekstem, żeby szwendać się na kontynent.

– Czyli cały ten Henry, o którego istnieniu dowiedzieliśmy się piętnaście sekund temu, może być tylko zasłoną dymną? – odezwał się Marcus. – No to długo nie przetrwał.

– Sugerujesz, że Cartwright wymyślił jakiegoś agenta tylko po to, żeby zwracali mu koszty wyjazdów? – spytała Louisa.

– Te promy nie są tanie – odparł Lamb. – Ale nie. Jeśli Henry jest wymysłem, to Cartwright stworzył go po to, by móc swobodnie wyjeżdżać do Francji. Tak jak powiedział nasz szalony mnich, był Pierwszym Biurkiem pod każdym względem oprócz nazwy. Co nie oznaczało, że nie mógł sobie wyjeżdżać za granicę. Oznaczało tylko, że musiał mieć ku temu lepsze powody niż: „bo przyszła mi ochota”.

– Czyli w latach dziewięćdziesiątych miał jakąś tajną misję we Francji – stwierdziła Louisa. – I cokolwiek to było, teraz do niego wróciło.

– Czy przeprowadziłam już triangulację? – spytała Shirley. – Bo jest tego więcej.

– Czy ktoś ogłosił konkurs na pracownika miesiąca? – spytał Lamb. – Bo mówię wam, żałuję, że sam na to nie wpadłem. I nie mogę uwierzyć, że Dander wyprzedza całą resztę.

– Będzie jakaś nagroda?

– Tak, Ho wyjaśni, jak znalazł sobie dziewczynę. Będziesz mogła robić notatki.

– Zakładam, że w grę wchodziły pieniądze – odparła Shirley. – W każdym razie, kiedy Cartwright wyjeżdżał, nie robił tego sam. Z racji tego, że...

– ...był Pierwszym Biurkiem pod każdym względem oprócz nazwy – dokończył Marcus.

– I w związku z tym wymagał ochrony – dodała Louisa.

– Tak, tak, tak – burknęła Shirley. – To jak, chcecie się dowiedzieć, kto to był, czy nie?

– To był Zły Sam, prawda? – powiedział Lamb.

– Zły Sam Chapman – potwierdziła Shirley. – Tak, to był właśnie on.

– A więc mam na imię Natasza, Natasza Revende, i wychowałam się tu, w tym miasteczku. Na długi czas się wyprowadziłam, ale teraz jestem z powrotem. To coś, co odkryłam: gdy stajemy się coraz starsi, musimy wrócić do swoich początków. To chyba nie jest żadna oryginalna myśl. Ale taka jest prawda.

Dom, podobnie jak chatka Victora, był niewielki, ale na tym kończyły się podobieństwa. Nie tylko okazał się czysty i zadbane – to była przestrzeń, którą ktoś kochał, i przez sam fakt, że River w niej przebywał, Natasza obdarzyła go zaufaniem. Odczuwał to jak nagły awans z obcego człowieka na powiernika, wiedział jednak, że przyczyną jest jego podobieństwo do Bertranda. To było tak, jakby stał się członkiem rodziny, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Informację, że Bertrand nie żyje, zachował dla siebie, niczym dawno temu złożoną obietnicę lub nieuchronnie nadciągającą zdradę.

– No więc pewnego wieczoru, dawno temu, poznałam w barze mężczyznę. Miał na imię Jewgienij, i tak to się już dalej toczy. Jewgienij mieszka z przyjaciółmi w wielkim domu, który nazywa się Les Arbres, kiedy mnie tam zabiera, widzę, że to zupełnie inny sposób życia. Nie chodzi o żadną pracę,

ale zawsze są bardzo zajęci, bardzo poważni. Jewgienij oczywiście jest Rosjaninem, ale są też inni, Anglicy, trochę Niemców i Czechów, no i Francuz o imieniu Jean. Wszyscy Francuzi mają na imię Jean, ale on naprawdę tak ma na imię. – Jej oczy pociemniały. – Jewgienij mówił, że wszyscy są przyjaciółmi, wszyscy są sobie równi, ale myślę, że wcale tak nie jest. Jeden z nich wcale nie jest taki równy i to jego słuchają. To on dawa... daje... nie rozkazy... ale robi sugestie, tak? I te jego sugestie to jest to, co się wydarza.

– Byli tam sami mężczyźni?

– Tak. Niektórzy mieli dziewczyny, miejscowe kobiety takie jak ja, ale żadna tam nie mieszkała. I jest starsza kobieta, opiekunka do dzieci, która codziennie przychodzi.

– Były tam dzieci?

– Dwóch małych chłopców. Później było ich więcej.

River czekał i zdawało mu się, że jej oczy znów przybrały ciemniejszą barwę, jakby wspomnienia, w które się zanurzała, zabarwiły ją od wewnątrz.

– Kto nimi dowodził? – spytał.

– Miał na imię Frank. Amerykanin. Frank.

– Miał jakieś nazwisko?

– Nigdy go nie słyszałam.

Natasza przerwała i wsłuchiwała się w deszcz bębniący o szyby. Włączyła dwie małe lampki, których światło nie docierało do kątów, i kolory w pokoju – intensywna czerwień narzuty na sofie, kremowozłocista makatka na ścianie – stały się głębsze. Riverowi skojarzyło się to z Lambem, który też nie lubił górnego oświetlenia, nie dlatego, że wykluczało subtelny nastrój, ale dlatego że wolał przebywać w cieniu.

– Ale był Amerykaninem.

– Tak. I miał kobietę, Angielkę, pamiętam to. Raz ją widziałam albo więcej niż raz. Może złało mi się to w jedno.

– Czas robi różne sztuczki – powiedział River.

– Była bardzo piękna i bardzo zła, kiedy ją widziałam, i strasznie się pokłócili. Frank kazał wszystkim wyjść. Jewgienij się śmieje, ale i tak bierzemy samochód i robimy sobie przejażdżkę. A kiedy wracamy, jej już nie ma.

– Jak długo... znałaś Jewgienija?

– To było tylko jedno lato. W 1990.

Riverowi wydawało się, że to dawno temu.

– Co się stało?

– Cóż, zachodzę w ciążę. Moi rodzice są bardzo na mnie źli, i na Jewgienija też. Był ode mnie dużo starszy. Po trzydziestce.

– I jak zareagował?

Jej oczy stały się szkliste.

– Cieszy się. Mówi, że będzie dobrym ojcem i że będziemy żyć długo i szczęśliwie. Każda młoda dziewczyna o tym marzy, prawda?

– Może nie każda – odrzekł River.

– Nie, masz rację. Ale jeśli tak się stanie, jeśli będę z nim żyć długo i szczęśliwie, to znaczy, że spędzę tutaj resztę życia, w następnej wiosce nad tą rzeką, i nigdzie dalej nie wyjadę. A nie tego chcę, rozumiesz? Chcę wyjechać do Paryża, innych miast, innych krajów. Chcę zobaczyć więcej świata niż to,

co jest między tymi dwoma mostami. – Rozsunęła ręce o kilka centymetrów. – Żeby Jewgienij mnie stąd zabrał. A nie, żeby mnie tu trzymał.

– Urodziłaś to dziecko?

– Tak, chłopca. Patrice’a. A on, jak to dzieci, dużo płacze, a ja mam tylko osiemnaście lat.

– Przykro mi, Nataszo – powiedział, nie za bardzo wiedząc dlaczego.

– A więc pewnej nocy – podjęła, jakby w ogóle się nie odezwał – wychodzę z domu z zaoszczędzonymi pieniędzmi i wsiadam w pociąg do Paryża, i to tak mogę zobaczyć świat, który nie mieści się między tymi dwoma mostami. Jest wielki, ekscytujący i wspaniały i spotyka mnie tam to, co spotyka wiele młodych dziewczyn, które uciekają do wielkiego miasta. Myślę, że wiesz, co mam na myśli. – River, pamiętając słowa Victora, krótko kiwnął głową. – Jesteś młodym mężczyzną i Anglikiem i to są wielkie przeszkody, ale powiem ci tak: zgadza się, zostałam prostytutką i to nie jest coś, czego się wstydzę. Człowiek robi w życiu różne rzeczy, żeby móc jeść, tak?

– Wszyscy robimy różne rzeczy, żeby mieć co jeść – powiedział River.

– I to jest jedna z nich. Pracowałam też w sklepach, a teraz mam firmę sprzątającą i pracują dla mnie trzy dziewczyny, ale kiedyś, daleko stąd, byłam kurwą i dla niektórych ludzi zawsze nią zostanę. Na przykład dla Victora. Jest miłym człowiekiem, ale nie rozumie, że ludzie nie zostają na zawsze tacy sami.

Doszedł do wniosku, że nie chce wiedzieć, w jaki sposób Victor się dowiedział, czym się kiedyś zajmowała.

– Kiedy tu wróciłaś?

– Po kilku latach. Dziesięciu, jedenastu? W mieście zaczęło mi się kiepsko wieść i postanawiam, że lepiej wrócić, jak to się mówi, z podkulonym ogonem niż tam zostać. Ale mogę wrócić tylko dlatego, że mój ojciec nie żyje.

River kiwnął głową.

– A Patrice’?

– Przez cały ten czas ma go Jewgienij, w Les Arbres. Moi rodzice nawet raz go nie widzą, ojciec go nie chce, a matka przez ojca. Ale Jewgienij wysłała jej zdjęcia. Wciąż je mam. Pokażę ci.

Ale nie wykonała żadnego ruchu, by wstać. Zamiast tego powiedziała:

– Oczywiście tam poszłam. Do Les Arbres. Ale nie chcę mnie wpuścić. Jewgienij do mnie wychodzi. Mówi mi, że nie jestem mile widziana, że już nie jestem matką Patrice’a. Że on ma już rodzinę i mnie nie potrzebuje.

– Przykro mi – wtrącił River.

– I mnie. Bo wiem, że on ma rację i nie jestem matką Patrice’a. Urodziłam go, to wszystko. Ale i tak chcę go zobaczyć, żądam, żeby go zobaczyć, a wtedy wychodzi Frank, a Frank mówi bardzo jasno, bardzo bezpośrednio. Mówi, że jeśli nie odejdę, wezwie policję i mnie aresztują. Powie im, że nie tylko jestem prostytutką, ale też ćpunką, i inne takie rzeczy. Groźby.

River miał dość rozumu, by nie spytać, czy kiedyś była ćpunką.

Natasza siedziała przez jakiś czas zapatrzona w swoją przeszłość. Potem wstała i przeszła przez pokój. Otworzyła szufladę, wyjęła z niej coś i wróciła. To była niezaklejona koperta. Kiedy ją przechyliła, wysypało się z niej kilka zdjęć; więcej niż kilka. Wyglądało na to, że są ułożone po kolei; na samej górze było najwcześniejsze. Ukazywało ciemnowłosego mężczyznę o rosyjskich rysach, który trzymał na rękach niemowlę.

– Jewgienij – wyjaśniła Natasza. – Z Patrice’em.

Potem były kolejne. Dziecko urosło i nauczyło się samodzielnie stać; czasem było w towarzystwie innych dzieci.

– Kim one są?

– Dwójka najstarszych była w Les Arbres od początku. Nie pamiętam ich imion. A tutaj – wyciągnęła ze sterty fotografii swojego około pięcioletniego synka z innym, trochę młodszym chłopcem – tu jest Patrice z Bertrendem. Bertrand jest synem Franka.

– A skąd on się wziął?

– Myślę, że stąd co zwykle – odparła Natasza.

– Chodziło mi o...

– Tylko się z tobą droczę. W końcu jest tam szóstka albo siódemka dzieci. Sami chłopcy. Dwóch pierwszych, potem Patrice i Bertrand, i jeszcze dwóch albo trzech. Wiem tylko to, co słyszę i co widzę ze zdjęć.

– Czyli Jewgienij dalej je przysyłał?

– Póki żyła moja matka. Kiedy umarła, przestał. Ostatnie zdjęcie mojego syna, jakie mam, jest sprzed dziesięciu lat.

Powiedziała to rzeczowym tonem.

– A ich matki też tam mieszkały?

– Nigdy na długo. Były tam jakieś Rosjanki i chyba jedna francuska dziewczyna. I jeszcze Angielka, ale inna. Ale nigdy nie zostają na długo. Zostają tylko dzieci.

– Jak myślisz, dlaczego wyjechali?

– Kiedyś krążyły plotki, że tam się działy złe rzeczy, że te kobiety zostały... zabite, zamordowane albo coś takiego. Ale policja robi dochodzenie i potem plotki się kończą. Te kobiety się wyprowadzają, bo nie są tam szczęśliwe. Wracają do Moskwy albo do Londynu, czy skąd tam były, i zostawiają swoje dzieci, bo tak im odpowiada. Ale myślę, że to Frankowi tak odpowiada. Tak jak mój ojciec: mówi, jak by chciał, żeby było, i potem tak jest, jakby tworzył prawo. Myślę, że w Les Arbres to Frank tworzy prawo.

River przejrzał pozostałe fotografie. Patrice był coraz starszy, Bertrand tak samo, i na jednym ze zdjęć ten drugi stał pod drzewem z miną, którą River dobrze znał, choć nie potrafił określić dlaczego. I znów uderzyła go myśl, że ten chłopiec teraz nie żyje, a jakkolwiek przyszłość, jaka mogła go czekać w chwili, gdy robiono to zdjęcie, zamieniła się w nieodwracalny bajzel na podłodze w łazience. I że nawet to do tej pory pewnie już posprzątano. Nie pozostało nic prócz plam i wspomnienia.

Inne zdjęcie ukazywało Patrice'a i kogoś z pozostałych chłopców z dwoma dorosłymi mężczyznami.

– Kim oni są? – spytał River przekonany, że zna już pół odpowiedzi.

– To jest Frank. Ten drugi to Jean. Ten Francuz.

Frank był wysoki, o dość jasnych włosach, choć nie na tyle, by móc nazwać go blondynem, barczysty i – przynajmniej tutaj – nieogolony. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem, a jego ręce sprawiały wrażenie silnych i zwinnych. Nie uśmiechał się. Wyglądał raczej jak ktoś, kto się zastanawia, po co w ogóle robić mu zdjęcie; jakby nie odczuwał żadnej potrzeby, by ktoś z zewnątrz dysponował potwierdzeniem jego istnienia.

– A kim jest to drugie dziecko, tutaj?

– To jest Yves. Ma na imię Yves.

Wydawał się młodszy od Patrice'a i na oko wyglądał Riverowi na zwykłego chłopca; jego twarz niewiele wyrażała – płótno czekające, by ktoś na nim coś nabazgrał. Mógł mieć jakieś pięć lat? Pewnie

coś koło tego, River nie był pewny. Ale w tonie Nataszy coś się zmieniło, gdy wspomniała Yves'a. Pojawił się w nim jakby ten sam niesmak, który po raz pierwszy usłyszał, gdy mówiła o Franku. Niesmak – chyba że to był strach.

Ale kto by się bał pięciolatka? – zastanawiał się River. A potem sobie przypomniał: pięciolatki dorastają.

– Nie lubisz go – zauważył.

– Nie znam go.

– Ale znasz go na tyle, żeby go nie lubić.

Milczała przez chwilę, a potem odparła:

– Czasem można się na niego natknąć na bazaru albo w kawiarni. Patrzy na ludzi, jakby byli innym gatunkiem.

– W jakim sensie?

– Jakby byli owadami albo gorzej. Czymś gorszym niż owady.

Dorastali w Les Arbres w otoczeniu samych mężczyzn. River się zastanawiał, czego nauczono tych chłopców.

– Z czego żyli? Wiesz? – spytał.

– Chodzi ci o pieniądze?

– Tak.

– Nie wiem. Niektórzy z miasteczka nazywają ich z początku hipisami, ale nawet wtedy było dość późno jak na hipisów. A poza tym nie mają gitar, nie biorą narkotyków i jest z nimi za mało dziewczyn. Więc myślę, że gdzieś zarobili pieniądze i zdecydowali, że to tutaj chcą mieszkać, to wszystko. Gdzieś na uboczu, ale nie jakimś nieosiągalnym. Gdzieś... gdzie mieliby coś swojego.

– Czy te dzieci chodziły do szkoły?

– Nie. Jean, on jest nauczycielem albo ma kwalifikacje. To wystarczy. Uczą je w Les Arbres.

– Które teraz spłonęło.

– Tak. – Natasza pochyliła się do przodu. – I dlatego tu jesteś, tak?

– Nie. Nie wiedziałem o tym. Jeszcze wczoraj nie wiedziałem nawet o istnieniu Les Arbres.

A teraz wiem niewiele więcej, pomyślał. W każdym razie niewiele więcej rozumiem. Mimo to miał nieprzyjemne uczucie w brzuchu, jakby wchłonął w siebie więcej wiedzy, niż to sobie uświadamiał, i jakby ona teraz próbowała się z niego wyrwać.

Albo może był do tego stopnia głodny.

– Dziękuję – powiedział w końcu. – Dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać.

– Nie wiesz, gdzie oni są – rzuciła.

– Nie.

– Ale zamierzasz się dowiedzieć.

– Zamierzam spróbować – odparł.

– Jeśli znajdziesz mojego syna, powiesz mi, tak? Powiesz mi, gdzie on jest?

River okłamał ją najszczerzej, jak tylko potrafił.

Znów szedł przez deszcz, utykając; dotarł do centrum miasteczka i znalazł bank z bankomatem w ścianie. Gdy wsunął do niego swoją kartę kredytową, poczuł się, jakby znów pojawił się na mapie; był świadomy, że ponownie można go namierzyć. Jego krótkie wakacje na tamtym świecie dobiegły końca. Kiedy wyłaniasz się z krainy zmarłych, przypomniał sobie jak przez mgłę, lepiej nie oglądać się za siebie, bo wtedy możesz stracić wszystko, co wydaje ci się, że odzyskałeś. Mimo to poświęcił chwilę, by zerknąć na zdjęcie, które ukradł smutnej Nataszy: jej synek Patrice, ten drugi chłopiec Yves,

ich nauczyciel Jean i Frank, który spoglądał z celuloиду, jakby już żałował tego chwilowego kontaktu, do którego doprowadzi zrobienie zdjęcia, wiele lat później, tu na deszczu; gdy dom stanowiący tło dla fotografii zmieni się w przemoczoną ruinę, a jego syn będzie leżał martwy w innym kraju.

Zanim przyjechał autobus, River zdążył jeszcze kupić kanapkę z serem. A potem był już drodze do Poitiers, stamtąd do Paryża i dalej, do Londynu. Większość tej podróży przespał, choć śnił o ciągłym ruchu i zawsze było coś, co nabrzmiewało za jego plecami, gotowe się na niego rzucić, zdusić go i porwać z prądem.

Po powrocie do Regent's Park, do centrali, Claude Whelan znów poczuł się tam obco. Już miał wrażenie, że zaczyna się tu zadamawiać, ale rozmowa w autobusie wyrzuciła go znów na chłód. Ponownie był tu kimś obcym, intruzem i żaden z tytułów, które nosił – Pierwsze Biurko, Dyrektor Naczelny, Pieprzony Bóg Wszchemogący – nie mógł tego zmienić. A szklana ściana jego gabinetu dodawała jeszcze szyderstwa tej chwili.

Chociaż zawsze istniała możliwość, że po prostu użala się nad sobą.

Diana kazała przynieść im kawę i kanapki; oferta pokoju – pomyślał Whelan, choć może znów nadmiernie dramatyzował. W końcu była pora lunchu. Wprowadziła go w logistykę protokołu zimnego trupa. W to, jak po zamknięciu rekwizytorni projekt został odłożony na półkę i że – podobnie jak wszystko inne w służbie cywilnej – to wcale nie oznaczało, że wycofany produkt trafił do spalarni, tylko po prostu go zapakowano, zapieczętowano, opatrzone etykietą i przechowano na później.

– Mieliśmy problemy z przestrzenią magazynową – powiedziała.

– Tak słyszałem.

Wspomniane problemy osiągnęły punkt kulminacyjny podczas strzelaniny w jednej z zewnętrznych placówek MI5 w pobliżu Paddington: „jeszcze więcej dzikości na zachodzie”, jak żartowano w nadzwyczajnej komisji parlamentarnej. Podobnie jak wiele innych przykrych incydentów – wykorzystywanie zasobów MI5 dla osobistych celów, niestosowne kłótnie o miejsca parkingowe, wieloletnie tuszowanie wykorzystywania seksualnego dzieci przez deputowanych do parlamentu – całą sprawę cicho zamieciono pod dywan z takim samym efektem jak zawsze: nie tyle czystą podłogą, ile szpetnym wyrzuceniem dywanu, o które prędzej czy później ktoś się potknie, rujnując niejedną karierę.

– Ale produkt związany z danymi osobowymi zawsze był przechowywany na miejscu w jednym z zabezpieczonych pomieszczeń.

Diana przerwała na chwilę, by rozpakować kanapkę z rakiem. Zagięła papierek w gniazdko, żeby nie pobrudzić sobie ubrania kapiącym majonezem. Następnie zdjęła plastikowe wieczko z kubka z kawą i usunęła z niej nadmiar pianki drewnianą łyżeczką. Whelan przyglądał się temu zafascynowany. Im dłużej to potrwa, tym krótsza będzie reszta jego życia, w której przyjdzie mu się mierzyć z niebezpiecznymi sprawami, o których informowała go Diana.

Ale to nie wystarczy. Przecież to on tu rządzi – Pierwsze Biurko, Dyrektor Naczelny, Pieprzony Bóg Wszchemogący.

– No dobrze. To jak dokładnie ustalimy, kto odpowiadał za kradzież tych...

– Tego produktu – poprawiła go.

– Produktu?

– Nie możemy dalej ich nazywać zimnymi trupami, Claude. Pomijając wszystko inne, może to zwracać uwagę ludzi na to, co mamy przez to na myśli. – Uniosła kubek do ust i wciągnęła w nozdrza zapach kawy, zamiast upić łyżeczek. – Ponoć jesteśmy szpiegami, pamiętasz?

– No to: tego produktu. Mamy jakąś listę podejrzanych?

– Cóż, nie mogło być wielu osób, które miałyby możliwość wyjść z zabezpieczonego pomieszczenia z kilkoma segregatorami zawierającymi supertajny... produkt. Ale to było dawno temu. Ktokolwiek to zrobił, teraz może być na emeryturze, zajmować się czymś innym albo już kopnął w kalendarz. Śledztwo byłoby bardzo czasochłonne, a my nie mamy czasu, i nieuchronnie przykułoby uwagę, a tego byśmy sobie nie życzyli.

– Ale poza tym... – zaczął.

– Poza tym chcielibyśmy się dowiedzieć, kto za to odpowiadał – zgodziła się z nim.

– W jakim celu?

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co ci chodzi, Claude.

– Próbuję ustalić, co uważałabyś za najlepszy rezultat – wyjaśnił. – Aresztowanie osoby, która była za to odpowiedzialna, by publicznie wymierzyć jej sprawiedliwość, czy zadbanie o to, by nikt się nigdy nie dowiedział, że MI5 było zamieszane w zamach w Westacres.

– Nie jesteś głodny?

– Że co?

– Nie zjadłeś swojej kanapki.

Wciąż ścisnął trójkątny pojemniczek, w który była zapakowana. Coś z chorizo. Nie pamiętał, czy pytano go, na co ma ochotę, a jeśli tak, to co odpowiedział, ale był pewny, że nie poprosiłby o chorizo, chociażby dlatego, że to jeden z tych produktów, o których istnieniu pamiętał tylko wtedy, gdy pojawiały się w otoczeniu. Tak jak żółta papryka. Czuł jednak głód, otworzył więc opakowanie i ostrożnie wysunął jedną z kanapek – ale nie dość ostrożnie, bo odrobinka musztardy kapnęła mu na klapę marynarki.

– Przynieść ci...

– Nie trzeba – warknął.

– MI5 nie było zamieszane w zamach w Westacres – stwierdziła, jakby cała pantomima z musztardą nie miała miejsca. – Produkt tajnych służb został sprzeniewierzony i jest to godne pożałowania. Ale samo MI5 nie było w to zamieszane. Upewnijmy się, że pozostajemy co do tego zgodni, Claude.

Nic w jej tonie nie wskazywało, że jest podwładną, która doradza szefowi. Zerknął na zdjęcie Claire i przyszło mu do głowy, że jednym z jego pierwszych działań po objęciu stanowiska po Ingrid Tearney była neutralizacja – albo przynajmniej marginalizacja – potencjalnych źródeł zagrożenia. Wydawało mu się wtedy, że całkiem nieźle gra w tę grę. Ale okazało się, że jest tak, jakby schwytał mysz w pułapkę i wypuścił ją wiele kilometrów od domu, a po powrocie zastał w kuchni smoka.

Mysz potrafi być niesamowicie irytująca, ale to nic w porównaniu z deszczem płomieni, którymi może zionąć smok.

Wysilił się na spokojny ton i powiedział:

– Myślę, że możesz mieć zaufanie do tego, że leży mi na sercu jak najlepszy wizerunek tajnych służb, Diano.

– To dobrze.

– Oraz dobro całego narodu.

– O Boże, tak! Narodu.

Wgryzł się w kanapkę. Chorizo było pikantne i też się w niego wgryzł.

– Ale wróćmy do zaginionego produktu. Masz szczegóły?

Zanim skończył zdanie, już kiwała głową; Whelan doszedł do wniosku, że ma minę zadowolonej nauczycielki. Nie obchodziło go to. W tej chwili był gotów przyjąć wszystko, co mógł dostać.

– Jeśli jest w tej chwili używany, znajdziemy go – powiedział. – Znajdziemy tych ludzi i z ich pomocą, dobrowolną lub nie, dowiemy się, kto dał im tożsamości. A potem spuścimy zasłonę milczenia na cały ten straszny epizod.

– Dobrowolną lub nie – powtórzyła. – Może jednak masz zadatki na Pierwsze Biurko, Claude.

– O jakie nazwiska chodzi?

– Robert Winters, to już znamy. Jak dotąd jedyne, które odcisnęło piętno na świecie.

– A pozostałe?

– Paul Wayne – odparła. – I Adam Lockhead.

– Wayne i Lockhead – mruknął pod nosem. Te nazwiska nic dla niego nie znaczyły i miał nadzieję, że tak już pozostanie. Że nie staną się istotne w taki sposób jak ich równie fikcyjny towarzysz Robert Winters.

– Wrzuciłam je do systemu – powiedziała Diana. – Na niskim priorytecie.

Whelan uniósł brew.

– Bo w tej chwili wysoki priorytet mają tylko rzeczy związane z Westacres – wyjaśniła. – A nie możemy dopuścić, żeby ktoś doszukał się związku między tymi nazwiskami a tamtym wydarzeniem. Nie, jeśli chcemy... zapewnić sobie właściwy rezultat.

Bezpieczna para rąk, pomyślał z nostalgią. To niby miał być on. I oto ledwie zdążył usiąść przy Pierwszym Biurku, a już był zamieszany w coś, co niektórzy – przypuszczał, że nawet Claire – mogliby uznać za spisek. Niemal nieświadomie wyciągnął rękę i poprawił zdjęcie żony. Drobne chwile kontaktu, to wszystko, o co prosił.

– A więc dobrze – stwierdził. – Zadbajmy o to, żebyśmy uzyskali właściwy rezultat.

CZĘŚĆ DRUGA

Coś innego niż deszcz

Zły Sam Chapman nie wierzył w przecucie.

Zły Sam nie miał jednak dużo czasu na ksywkę. Jego własna chodziła za nim od lat jak pełen nadziei szczeniak, a jej początki ginęły gdzieś w mrokach przeszłości, ale prawdopodobnie miała coś wspólnego z tym, że czasem bywał drażliwy. Sam o sobie nie myślał, że jest aż taki zły. Każdy ma swoje momenty.

Przecucia jednak to idiotyczne przesady, wywoływane zbyt tłustą dietą albo jedzeniem zbyt dużych ilości sera. Nie miało to nic wspólnego z szóstym zmysłem – żadne głosy nic mu nie podpowiadały. Można było tyle razy stapać na przerwy między płytkami chodnikowymi, ile się miało ochotę, i nic z tego nie wynikało.

I właśnie dlatego czuł, że zbliża się chwila, gdy będzie bardzo rozdrażniony: bo miał mnóstwo najróżniejszych przecuć i każde aż do niego krzyczało, by nie deptał po przerwach w chodniku i uważał na swoje plecy.

W ostatnim czasie czuł coś takiego nie pierwszy raz. Spędził poprzedni rano, przeczesując salony gier automatycznych w Brixton w poszukiwaniu niejakiej Chelsea Barker, jednej z setek nastoletnich dzieciaków, które uciekły z domu i których odnajdywaniem się zajmował, tyle tylko że Chelsea, Boże dopomóż, była mało wyrosniętą nastolatką. Chelsea miała dwanaście lat. To było jak szukanie złotej rybki w akwarium dla piranii – trzeba było wykazać się szybkością. A więc gdy dopadły go przecucia, pomyślał, że to ma związek z nią. Miała dwanaście lat i mogła być wszędzie. Mogła być tuż za jego plecami. Nieraz odwracał się, żeby sprawdzić, zupełnie jakby to tak działało; jakby te dzieciaki, które zwały z domu, szukały jego, a nie na odwrót, ale nigdy tam nikogo nie było. Tyle tylko że zawsze ktoś był – w Londynie zawsze ktoś jest za tobą. I kiedy tak oglądał się za siebie, dwa razy zobaczył tę samą twarz.

Zaledwie dwa razy i tylko przez chwilę, przypadkowy przechodzień, jeden z tysięcy, którzy codziennie chodzą ulicami.

Ale kiedyś, dawno temu, Zły Sam był szpiegiem, a to oznaczało, że nie mógł wykluczyć wątpliwości, iż jeden z tych przypadkowych przechodniów może zamierzać odhaczyć jego nazwisko na liście. A więc niewykluczone, że przecucia to idiotyczne przesady, ale zwracał na nie uwagę, kiedy się pojawiały.

Wczoraj wymagało to skomplikowanego dojazdu na stację metra trzy linie dalej i dwudziestominutowego wałęsania się po nieznanym mu peronie, by uznał, że nie ma ogona. Owym przypadkowym przechodniem był młody mężczyzna o ciemnych, dodających powagi brwiach i z kilkudniowym zarostem, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, jasnoniebieski golf, dzinsy i sportowe buty. Było w nim coś europejskiego. Leżąc bezsennie o trzeciej nad ranem, Sam wyszukiwał tę twarz w swojej mentalnej bazie, ale nie uzyskał żadnego trafienia. Coś jednak nie dawało mu spokoju – jakaś luźna nitka na obrzeżach jego pamięci. Ten nieznamy był młody, a Zły Sam lata temu wycofał się z gry. Może chodziło o rodzinne podobieństwo, ale to przecież nie miało sensu. Kiedyś pracował dla MI5, nie dla mafii. Urazy nie przechodziły z ojca na syna. O czwartej zasnął, ale śniła mu się podróż za granicę i poirytowanie, jakie zawsze się z tym wiąże: dokumenty nigdy nie były w tej kieszeni, co trzeba, kierownica znajdowała się po niewłaściwej stronie.

Tego popołudnia przeczucia powróciły, ale przypadkowego przechodnia nie dostrzegł.

Kolejny dzień szarej mżawki, Londyn oznaczał chłodną, moką udrękę i Zły Sam wracał do biura po trzecim poranku bezskutecznego poszukiwania Chelsea Barker. Zamierzał znów usiąść przy telefonie i wydusić jak najwięcej tropów od niewykorzystanych dotąd kontaktów. Chłodno-mokra londyńska udręka była też światem, który rządził się wilczymi prawami, i najtwardsze dwunastolatki, na jakie natykano się w szkołach, pękały na jego ulicach niczym cukrowe miętowe laski. Odnalezienie tego dzieciaka było w tej chwili najważniejszą rzeczą w życiu Złego Sama, ale przeczucie wciąż nie dawało mu spokoju. Zresztą nawet starsze, twardsze istoty okazywały się łamliwe. I kto wtedy będzie szukał Chelsea Barker?

To skrzyżowanie tutaj – stacja metra, kościół i plac budowy – trzeba ostrożnie przez nie przejść. Rozejrzeć się na wszystkie strony. Czając się pod dachem stacji i szykując na spotkanie z paskudną pogodą, Zły Sam Chapman postawił kołnierz, by osłonić się przed tym, co najgorsze w szarym Londynie.

O tak, szary Londyn.

Oczywiście Londyn był miastem klasy A i nieustannie znajdował się na szczycie tych list, które wyjaśniają ci świat w punktach. Miał najlepsze kluby, najlepsze restauracje i najlepsze hotele. Urządzano tu najlepsze imprezy i zorganizowano najlepszą olimpiadę wszech czasów. Miał najlepszą rodzinę królewską, najlepszą doroczną wystawę psów i najlepszą policję, i właściwie to był genialny, z wyjątkiem tych elementów, które takie nie były – zupełnie jakby ktoś zebrał to, co najgorsze ze wszystkich miejsc, i ustawił obok siebie. A ruch uliczny to był pieprzony koszmarny.

Nic z tego nie było dla Patrice'a nowością.

Dziś nie był Patrice'em, ale to także nie było dla niego nic nowego. Według paszportu nazywał się Paul Wayne i nie musiał się do tego w ogóle przyzwyczajać. Patrice był Paulem Wayne'em od tak dawna, jak sięgał pamięcią. A Paul Wayne czuł się w Londynie, nawet w jego najgorszych częściach, jak u siebie, podobnie jak czuł się w dowolnym miejscu we Francji; mógł zamówić drinka na jednym i drugim brzegu rzeki i nikt nawet by okiem nie mrugnął. Ponieważ Paul Wayne nie mówił po prostu po angielsku, mówił po angielsku tak samo, jak mówił po francusku. Zawiązałby Henry'ego Higginsa z *Pigmaliona* na kokardkę, a gdyby to nie wystarczyło, by go wkurzyć, Paul Wayne mógłby go zabić gołymi rękoma na jakieś czternaście różnych sposobów, bo to również było częścią szkolenia, jakiemu Patrice był poddawany przez całe życie. Celem życia Patrice'a było bycie Paulem Wayne'em. A dziś Paul Wayne miał wyeliminować niejakiego Sama Chapmana.

Wczoraj Chapman go zauważył i zaczął robić uniki: zanurkował do metra, a potem czał się na końcu peronu. Patrice'owi nie spodobał się dwusekundowy raport, jaki musiał złożyć – „Nikogo nie było w domu. Spróbuję dostarczyć jeszcze raz” – ale przynajmniej dało mu to jakąś wskazówkę odnośnie do celu. Sam Chapman wyglądał jak większość ludzi włóczących się po ulicach przy paskudnej pogodzie: wkurzony, zaniedbany, w nie najlepszym płaszczu. Ale Chapman był też zawodowcem, a przynajmniej kiedyś nim był, a coś takiego zostawało człowiekowi we krwi. Reakcje ulegały zwolnieniu, ale nie zanikały. Kiedy ktoś upuścił tacę w zatłoczonej restauracji, patrzyłeś wszędzie, tylko nie tam, skąd dobiegał hałas, szukając tego, od czego miał odwrócić twoją uwagę. A kiedy wydawało ci się, że ktoś cię śledzi, robiłeś uniki, nawet jeśli ta myśl była tylko mglistym przeczuciem, skrzydłem motyla. Później człowiek czuł się jak głupi, ale przynajmniej wciąż żył i mógł tak się czuć. A więc Sam Chapman był tego rodzaju celem, co oznaczało, że tym razem Patrice musiał się przygotować; sprawdzić drogi ucieczki i prawdopodobne kryjówki. Zawodowiec nigdy nie wracał

do domu, gdy czuł dreszcze na plecach. Zawodowiec, który zaczynał coś podejrzewać na własnym terenie, zniknął i nie oglądał się za siebie.

A więc taki był plan na dziś: umyślnie go nastraszyć. Nastraszyć go i obserwować, jak będzie uciekał.

I wtedy go załatwić.

Marcus zaparkował w takim miejscu, że na pewno wlepią mu mandat.

– Zostaw karteczkę za przednią szybą – podsunęła Louisa. – „Tajny agent na służbie”.

Mruknął coś z pretensją w głosie, że to on musi prowadzić. Ale to jego wina, że jeździł miejskim czolgiem; jako jedyny miał na tyle wielki samochód, by przewozić niezadowolonego pasażera.

Znajdowali się na południe od rzeki, niespełna kilometr od Tamizy, w pobliżu jednego z tych ruchliwych skrzyżowań, gdzie wszystko zależy od instynktu samozachowawczego korzystających z niego kierowców; było albo wzorem teorii społecznej nowej ery, albo staromodną porażką miejskiego planowania. Na jednym z jego rogów znajdował się kościół, na drugim przesuwające ziemię potwory rekonstruowały bitwę o Ardeny za ogrodzeniem, które drżało przy każdym uderzeniu. Na trzecim przycupnęła stacja metra, której znajoma fasada z cegły i kafelków w mżawce wydawała się jeszcze brudniejsza niż zwykle. W pobliżu prowadzono wiele robót budowlanych, budynki przesłonięte były plastikowymi plandekami i na niektórych widniały krzykliwe obrazy nowej świetlanej przyszłości: lśniąca szkło, nieskazitelnie czyste chodniki, proste białe linie mających powstać nieruchomości. Tymczasem w okolicy przetrwała ta sama co zwykle mieszanka bukmacherów, sklepów ogólnospożywczych i kawiarni. Wiele z owych przybytków kulilo się za rusztowaniami, a te często podierały przejścia kończące się ślepyimi zaułkami, gdzie stały kontenery na śmieci, lub prowadziły na skrót do labiryntu mroczniejszych ulic jeszcze dalej. Kiedyś, dawno temu, po tej okolicy wędrował Karol Dickens i z całą pewnością robił notatki. Obecnie historie mieszkających tu obywateli rejestrowały kamery monitoringu, które miały mniej czasu na sentymtalne zakończenia.

W jednym z takich przejść znajdowało się Elite Enquiries, prywatna agencja detektywistyczna, której trzyosobowy personel obejmował Złego Sama Chapmana pracującego niegdyś w Regent's Park.

Chapman był szefem psów na długo przed czasami Louisy i odszedł pod ciemną chmurą, z której deszcz przygnał go aż tutaj, do agencji trzeciej kategorii specjalizującej się w eksmisjach kłopotliwych lokatorów, doręczaniu niechcianych dokumentów i – mocna strona Złego Sama – odnajdywaniu dzieciaków, które zwały z domu. Zdjęcie w internecie przedstawiało obskurne biuro przypominające firmę taksówkarską, ale Louisa przypuszczała, że ten tani wygląd mógł działać na korzyść agencji: jeśli ktoś zaginął wśród hałaśliwych salonów gier, obskurnych hosteli i sklepów charytatywnych, to było właściwe miejsce, w którym należało zacząć poszukiwania. Ale tak czy inaczej, nie znaleźli się tu po to, by oceniać pozycję rynkową Elite Enquiries. Przyjechali po Złego Sama.

– Dobra – powiedział wcześniej Lamb. – Zgarnijmy go.

– Z czyjego upoważnienia? – spytała Louisa.

– Nie sugerowałem, żebyście upchnęli go na tyłach furgonetki. Po prostu ładnie go poproście.

– A jeśli odmówi?

– Upchnijcie go na tyłach furgonetki.

– Nie mamy furgonetki – zauważyła Shirley.

Lamb popatrzył na Marcusa.

– No co? To nie jest furgonetka.

Jednak to stwierdzenie prostego faktu zwiędło w obliczu obojętności Lamba.

I oto tu byli, za kościołem, w należącym do Marcusa pojeździe wojownika przedmieść. Oboje zdawali się pozbawieni rysów za przyciemnioną przednią szybą. Marcus miał w uchu słuchawkę i czekał na sygnał ze Slough House. Obserwowali wejście do metra, którego nieregularny puls dodatkowo zaburzała mżawka; małe grupki pasażerów szybko czmychały pod dach, większe grupy niechętnie opuszczały stację mniej więcej co trzy minuty.

Deszcz bębniący o dach wozu brzmiał jak przemierzające się myszy.

– Mam nadzieję, że Ho nic nie spierdoli – odezwał się w końcu Marcus.

– To komputerowa robota. Wie, co robi – odparła Louisa.

– Może i tak, ale jest małym chujkiem. A ja nienawidzę być zdany na to, że jakiś mały chujek wykona robotę jak trzeba.

– Co ty nie powiesz – rzuciła Louisa.

Nie wiedzieli, czy Chapman nadejdzie od strony metra. Wiedzieli, że wyszedł, bo dzwonili do niego do biura, ale na tym ich wiedza się kończyła: że tam go nie ma. Żadne z nich jeszcze nie powiedziało tego na głos, ale była to kiepska podstawa do rozpoczęcia obserwacji. To było jednak wszystko, co mieli, dopóki Ho czegoś nie podrzuci. Tymczasem Chapman mógł się wyłonić ze stacji metra; mógł minąć ich w pędzącej taksówce; mógł nadejść ulicą z przeciwnej strony. A ich było tylko dwoje i żadne nie chciało zmknąć, więc oto tu tkwili.

– Jesteś wkurzona na niego, prawda? – spytał Marcus.

– Na kogo? – zapytała Louisa, choć wiedziała, o kogo mu chodzi.

– Na Cartwrighta.

– Dlaczego miałabym być na niego wkurzona?

– No bo nie dał ci znać, że żyje.

– Nie jestem jego aniołem stróżem. Jeśli ma ochotę szukać wiatru w polu, to jego sprawa.

– Ale pomogłabyś mu. Gdyby cię poprosił.

– Raz na jakiś czas chodzimy czegoś się napić. Nie jesteśmy Batmanem i Robinem. Nie jesteśmy nawet tobą i Shirley. Prędkiej wy stanowicie zespół niż ja i Cartwright.

Marcus wzruszył ramionami.

– Shirley to mój ziomal. Ale potrafi być upierdliwa.

– Nie chciałam być tą osobą, która to powie – stwierdziła Louisa.

– Ale River mógł zadać sobie trud, żeby sięgnąć po telefon.

– Działa w terenie. To nie to samo co krótkie wakacje w mieście.

Marcus właśnie miał coś powiedzieć, ale przerwało mu skrzeczenie w słuchawce.

W Slough House Roderick Ho siedział wciśnięty między monitory, z których dwa były odchylone pod takim kątem, że rzucały poświatę na jego twarz. Niektórzy ludzie – tchórze – myśleli, że siedzenie za blisko monitorów jest niebezpieczne. Ale tacy jak oni zostali gdzieś w mrokach historii, chyba że to przyszłość ich porzuciła. Ho nie dbał o to, co z tego było prawdą, ale ci kretni i tak mieli przejebane.

Na jednym z monitorów widniała mapa satelitarna południowego Londynu w takiej skali, że wyglądało to jak diagram obwodów elektrycznych. Drugi monitor pokazywał powiększony fragment tej samej mapy, wyśrodkowany na niczym się niewyróżniającej uliczkę niecały kilometr na południe od Tamizy. Gdyby Ho nasunął na nią kursor, pojawiłaby się informacja o Elite Enquiries, z kodem pocztowym oraz linkiem do „więcej informacji”. Tyle danych dostarczało łącze szerokopasmowe, które wykonywało za szpiegów połowę ich roboty.

Oczywiście, jeśli chciało się załatwić drugą połowę, trzeba było zwracać się do Bondów, do Solo albo do Ho.

Wcześniej włąła się do systemu namierzania Regent's Park i „położył palec” na komórce Sama Chapmana. Uznał, że „położenie palca” to całkiem fajne określenie otagowania. Kim – jego dziewczyna – lubiła, jak Roddy opowiadał o takich rzeczach; o tym, jak wkrada się do systemów i z nich znika niczym jakiś cyberdus. Jedyne problem polegał na tym, że komórka Chapmana nie była widoczna, co mogło oznaczać, że umyślnie wyjął baterię albo że po prostu był poza zasięgiem – w jednej z szarych stref stolicy, gdzie sygnał wygasał jak wilgotny knot świecy.

Oznacz go, znajdź i sprowadź – brzmiały instrukcje Lamba.

Czasami Ho żałował, że nie jest taki jak reszta kulawych koni. Tępe mięśniaki dostawały łatwe zadania.

A gdyby powiedział o tym Kim, roześmiałyby się i zapewniła go, że o Rodsterze można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest tępy. Tyle tylko że nie mógłby powiedzieć o tym Kim, bo nie powiedział jej, że jest szpiegiem – to była jedna z pierwszych rzeczy, jakich cię uczyli: że to są tajne służby. A więc opowiadał o tym tak, jakby pracował w sektorze prywatnym gdzieś w Canary Wharf, w tych wielkich szklanych kanionach śmierzących pieniędzmi i władzą – mnóstwo możliwości dla koleśki takich jak Rod-man i w sumie czy to był taki zły pomysł? Na tutejszą ekipę mówiono kulawe konie, a Roddy Ho czuł się splamiony takimi skojarzeniami. Gdyby spakował manatki i się stąd wyniósł... to by oczywiście złało Lambowi serce, ale czasem człowiek musi...

Czerwona kropka ożyła i zaczęła pulsować.

Shirley spytała zza jego pleców:

– Co to? Czy to Zły Sam?

Patrice dostrzegł cel w chwili, gdy pojawił się na chodniku. Kluczem do śledzenia kogoś była wiedza, gdzie ten ktoś znajdzie się na końcu: od dwóch godzin Patrice siedział przy oknie w bibliotece publicznej, popijając powoli kawę z minibaru, i nie rzucał się w oczy wśród ludzi korzystających z komputerów, studentów i osób niemających dokąd pójść. To było dobre miejsce, osłonięte przez rusztowanie, ruch uliczny i ogólnie przynębiającą atmosferę, ale wystarczyło tylko, żeby stamtąd wyszedł, a wówczas Chapman by go zobaczył i rzucił się do ucieczki. Aby ustrzelić gołębia, najpierw trzeba sprawić, żeby poderwał się do lotu. Nauczył się strzelać na polach wokół Les Arbres i lubił ruchome cele.

Gdy o tym myślał, był już w ruchu: mijał stoisko z kawą, zbiegał po stopniach w stronę wyjścia...

– Uważaj, jak idziesz! – Patrice spróbował ominąć nowo przybyłego, ale ten przysadzisty mężczyzna otoczony oparami starego piwa złapał go za kurtkę. – Mówiłem: uważaj, jak idziesz...

Patrice powalił go na podłogę dość delikatnie i trwało to tylko pół sekundy, ale wszystko było świetnie widać z recepcji za jego plecami.

– Hej! Hej! Tak nie można!

Cóż, mógł i właśnie to zrobić, ale nie chciał zostawać tu na dłużej, by dyskutować o swoich zdolnościach. Zrobił krok nad jedną przeszkodą, zignorował drugą i ruszył w stronę drzwi, które usłużnie się rozsunęły, ale pojawił się w nich ktoś wchodzący z ulicy. Był barczysty, ciemnoskóry, w mundurze, a jego twarz podejrzliwie spochmurniała, gdy zobaczył leżącego na podłodze mężczyznę i usłyszał odgłosy narastającego zamieszania.

Zawsze coś wyskoczy, pomyślał Patrice.

– Czy to Zły Sam? – spytała Shirley.

– Jego komórka – odparł Ho.

– Czyli to jest Zły Sam.

– Chyba że ktoś inny ma jego komórkę.

– Czyli to jest Zły Sam.

Ho parsknął, ale tak, to był Zły Sam. Bo kto by dał komuś innemu swoją komórkę?

Shirley powiedziała do telefonu:

– Idzie High Street. Jeśli zmierza do biura, skręci w pierwszą, drugą, trzecią na lewo. To wąskie przejście.

– W pierwszą, drugą, trzecią? – spytał Marcus.

– Liczyłam na głos. Widzisz go?

– Poczekaj chwilę.

Stłumiony głos – to Louisa mówiąca coś do Marcusa.

– Tak, mamy go – powiedział Marcus. – Po drugiej stronie ulicy.

– No proszę. To było łatwe, nie? – stwierdziła Shirley. – Zgarnijcie go i tu sprowadźcie.

– Nagle to ty jesteś szefem?

– A co, pozwoliłś mu odejść tylko dlatego, że powiedziałam, żebyś go zgarnął?

Marcus miał na to świetną odpowiedź, ale zanim zdołał z niej skorzystać, Louisa poklepała go po ramieniu.

– Skręca – poinformowała i dokładnie w tym samym momencie Roderick Ho powiedział to samo do Shirley.

Przechodząc przez skrzyżowanie, Zły Sam usłyszał łoskot, coś ciężkiego rozbijającego szkło, i natychmiast zmienił plany: zawsze skądś dochodziły jakieś hałasy i nie wszystkie miały z nim coś wspólnego, ale byłby idiotą, gdyby zignorował taką ewentualność, zwłaszcza z tymi przecuciami, które wciąż łaskotały go po kręgosłupie. Zmył się więc z High Street przed miejscem, w którym miał skręcić, i ruszył wąską uliczką, gdzie na ziemi walały się rozmoczone pety, a w powietrzu snuły się chmury dymu. Część wydostawała się z otworu wentylacyjnego w murze obok otwartych drzwi, przy których mężczyzna o oliwkowej cerze, ubrany w kucharski fartuch, palił sobie jointa.

– Jo, Sam – powiedział. – Samowy Sam.

Zawsze to mówił i nigdy nie było to zabawne. Ale Zły Sam zawsze się śmiał, bo nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie potrzebował przysługi.

– Hej, Miguel – odrzekł. – Nie widziałeś mnie, dobrze? Nie było mnie tutaj.

– Nie było cię – zgodził się z nim Miguel, a Zły Sam minął go, wśliznął się do kuchni i frontowymi drzwiami kawiarni wyszedł na zupełnie inną ulicę.

Oto co można powiedzieć o ludziach w mundurze: przelatują przez okno równie łatwo jak wszyscy inni.

Okazało się, że to tylko strażnik parkingowy, ale to już nie było winą Patrice'a. I nie zrobiło żadnej różnicy w tym, jak szkło posypało się wokół niego: bryłki wielkości paznokcia, podobnie jak w zbitych szybach na przystankach czy w samochodach. Biblioteki też były przygotowane na nagłe uderzenie. I pewnie to było rozsądne, biorąc pod uwagę, jak można się pokaleczyć.

Ale nie było czasu się nad tym zastanawiać, bo za chwilę ludzie wyciągną komórki i zjawi się więcej mundurowych, tym razem poważniejszych. W ciągu dwóch sekund zawieszenia, które zawsze następują po niespodziewanym akcie przemocy, Patrice postawił kołnierz i wyszedł przez otwarte drzwi na ulicę. Zobaczył, że po jej drugiej stronie cel skręca w nie swoje przejście.

Louisa znikła w mgnieniu oka – rzuciła się w stronę ulicy z nadzieją, że dobiegnie do tego przejścia, nim Sam Chapman zniknie na jego drugim końcu. Marcus był wolniejszy, bo przystanął na chwilę, by pilotem zamknąć samochód. To był jego samochód, do cholery, a oni znajdowali się na południe od rzeki i rodzinie już odebrano jeden pojazd. Gdyby i temu coś się stało, jego śmierć przy biurku byłaby mniej bolesnym rozwiązaniem. A więc zanim dotarł do ulicy, Louisie ledwie udało się bezpiecznie przez nią przebiec, choć prawie wpadła pod trąbiący na nią autobus. Nawierzchnia była śliska od deszczu i rzucanie się w ruch uliczny – zakładając, że pojazdy się zatrzymają – może sprawdzało się na filmach, ale Marcus widywał ludzi potrąconych przez samochód i nie miał ochoty do końca życia sikać na siedząco. Louisa manewrowała wśród przechodniów z parasolkami, a Marcus, biegnąc równoległe do niej, niemal zderzył się z grupką ludzi przy przejściu po jego prawej stronie; zebrali się wokół potężnego mężczyzny, który leżał wśród książek i kawałków szkła. Marcus zauważył jego mundur i pomyślał: „Cóż, nie będziesz więcej wlepił mandatów”, ale jego kolejna myśl była już bliższa sednu: „Kto wyrzucił cię przez to okno, kolego?”. Ktoś bardziej zdenerwowany niż kierowca, który dostał mandat. Facet musiał ważyć ze sto dwadzieścia kilo. A nikt nie wyrzuca stu dwudziestu kilo przez okno, jeśli nie ma wprawy albo trebusza.

Zerknął na drugą stronę ulicy. Louisa znikła. Złapał stojącego najbliższego gapia.

– Kto to zrobił?

– Jest pan z policji?

– Kto?

Świadek, chudy, przemoknięty facet z łupieżem, odparł:

– Po prostu jakiś koleś, rozumie pan. Nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie rzucić strzałką, a co dopiero...

Zawodowiec, pomyślał Marcus.

– Dokąd poszedł?

– Nie widziałem, rozumie pan?

Marcus mógł równie dobrze sam do tego dojść.

Rozejrzył się po okolicy, ale przy takim deszczu, gdy większość ludzi się śpieszy, nikt się nie wyróżnia.

W ruchu ulicznym pojawiła się luka, więc skorzystał z okazji i przebiegł na drugą stronę.

Kiedy płoszyło się ptaka, wystarczyło wiedzieć, w którą stronę jest niebo. Ludzie natomiast byli sprytniejsi, bardziej przebiegli.

Ale Patrice przestudiował plany i wiedział, że uliczka, w którą skręcił cel, prowadzi donikąd.

To mogło oznaczać, że cel miał pecha i dla Patrice'a byłoby to jak znaleźć pieniądze na ulicy. Gdy polujesz na kogoś, kto ma pecha, możesz po prostu wybrać miejsce i czekać. Ale cel kiedyś był szpiegiem, i choć szpiedzy popełniają błędy tak jak wszyscy inni, nie wbiegają w ślepe uliczki dwieście metrów od miejsca, gdzie pracują. Patrice, nie zatrzymując się, ruszył dalej; po prostu kolejny londyńczyk na deszczu. Kawałek dalej skręcił w drugą uliczkę w lewo, a gdy się obejrzał, zobaczył jakąś kobietę biegnącą za celem.

W tej uliczce prawie nikogo nie było. Chodnik był wąski, krawężniki zalane; po drugiej stronie stały zaparkowane samochody. Na lewo od niego ogrodzenie z siatki oddzielało miejsce, w którym wcześniej stał jakiś budynek. Dobiegało stamtąd coraz głośniejsze wycie syreny, ale nie martwiło go to. Przez kolejne dziesięć minut będą zbierać zeznania świadków, a Patrice przez ten czas mógł znaleźć się po drugiej stronie Londynu. Tymczasem cel pojawił się w drzwiach przed nim i nie oglądając się,

pośpiesznie ruszył uliczką. Dobre nawyki, pomyślał Patrice, ale w tym przypadku to błąd. Przyspieszył kroku i sprawdził mapę w swojej głowie. Chapman będzie manewrował tą płataniną bocznych uliczek, próbując zniknąć – częsta praktyka, gdy człowiek wie, że jest zwierzyną. Robiąc to, będzie miał jakieś odosobnione ciemne miejsca, być może pod jednym z wiaduktów kolejowych, których w tej okolicy było całkiem sporo. Patrice'owi wystarczy sekunda czy dwie. Przeczesał ręką włosy. Padało coraz mocniej.

Ho wpatrywał się w monitor i poruszał ustami. Za jego plecami Shirley spytała:

– Co tam się stało? On przechodzi przez budynek? Przechodzi przez budynek!

Powiedziała do telefonu: „Przechodzi przez budynek”, choć Marcus zdążył już dwa razy dojść do tego samego wniosku.

Gdy dotarł do wąskiej uliczki, wyłoniła się z niej Louisa.

– Ślepy zaułek.

– Przeszedł przez...

– Tak, przez budynek. Już do tego doszłam.

– Masz ten plan? – spytał Marcus, nie zwracając się do Louisy.

Shirley odpowiedziała w słuchawce:

– W lewo, potem znów w lewo.

Zły Sam wiedział, że spłoszyło go tłukące się szkło; że dał się nabrać na automatyczną zasadę ucieczki, tę, która mówi: „Uciekaj. Natychmiast”. Wiedział też jednak, że udało mu się uzyskać maleńką przewagę, którą zachowa, o ile nie będzie oglądać się za siebie.

On nie wie, że ty o nim wiesz.

Z tą myślą Zły Sam zagłębił się dalej w labirynt ulic, które tworzyły pętlę wokół komunalnych domów mieszkaniowych i zniszczonych budynków po dawnych szkołach, a dalej przebiegały pod wiaduktami. W deszczu nie usłyszał kroków tego, który go ścigał; tylko miarowe bębnienie o chodnik i w oddali żałosne zawodzenie policyjnej syreny. Nie rozglądaj się.

Louisa już pobiegłaby dalej, ale Marcus złapał ją za ramię. Gdyby to był ktokolwiek inny, złamałaby mu rękę w łokciu – była w tym nastroju. Ale Marcus tak łatwo się nie łamał i miał jej coś do przekazania.

– Ktoś jeszcze próbuje dorwać Chapmana.

– Kto?

– Jakiś zawodowiec.

Puścił ją.

Rzuciła się biegiem, szybciej niż Marcus, który, szczerze mówiąc, zaczynał robić się przyciężkawy. Nadjechał policyjny wóz; w chwili, gdy skręcała za róg, zatrzymał się pod biblioteką, a jego niebieskie światła rzucały refleksy na mokre powierzchnie. Ta nowa uliczka była węższa i kilkaset metrów dalej skręcała pod kątem prostym; za rogiem właśnie zniknęła jakaś postać. To mógł być Chapman. W Slough House Ho śledził jego ruchy i przekazywał je Marcusowi, ale Louisa nie miała nasłuchu.

Obejrzała się za siebie. Marcus biegł za nią, z twarzą wykrzywioną w grymasie.

Na rogu skręciła w lewo. Uliczka przed nią się rozwidła; jedna odnoga wiodła pod wiaduktem kolejowym, gdzie schroniła się jakaś młoda para trzymająca się za ręce. Zbliżyła się stamtąd kobieta ciągnąca koszyk na kółkach; za nią oddalała się pośpiesznie postać w płaszczu przeciwdeszczowym.

Przeciwległym chodnikiem poruszał się szybko młodszy, lekko przygarbiony mężczyzna w skórzanej kurtce. Marcus dogonił Louise, przytrzymując palcem słuchawkę w uchu.

– Jest przed nami. Dwieście metrów?

– Ubrany w płaszcz – odparła. – A tam jest ten zawodowiec. W skórzanej kurtce.

– Widział cię?

Nie była pewna. Wydawało jej się, że nie.

– Skręć na następnym skrzyżowaniu – powiedział Marcus. – Jeśli będziesz dość szybka, wyprzedzisz go, zanim dotrze do głównej ulicy.

Zabrzmiało to jak wyzwanie, co prawdopodobnie było zamierzone.

Kiwnęła głową i ruszyła; gdy dotarła za róg, rzuciła się biegiem.

Dwoje, pomyślał Patrice. Cel był przed nim i szedł żwawym krokiem, a jacyś dwoje byli za nim. To podejrzenie potwierdziło odbicie w oknie na parterze, uchylonym, by wypuścić sine chmury dymu. Jeśli wiedzą, co robią, wkrótce się rozdziela, ale gdyby wiedzieli, co robią, nie daliby się tak łatwo zauważyć.

Być może tego pożałują.

Trzymał w kieszeniach zaciśnięte pięści. Deszcz spływał mu po karku. Ale deszcz był po jego stronie, bo dzięki niemu boczne uliczki świeciły pustkami, a ludzie byli skupieni na czymś innym. Cel znów skręcił za róg, ale to nie szkodzi. Nie będzie mógł tego robić w nieskończoność.

Powinien trochę schudnąć.

Myśli te sformułował nie tyle umysł Marcusa, co miniaturowa wersja Cassie, jego żony, która pojawiła się z gościnnym występem w jego głowie.

A potem głos Shirley w słuchawce dopełniający ten duet:

– Jest przed tobą. Dlaczego nie biegniesz?

– Tak jakby biegnę – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– To czemu nie biegniesz szybciej?

Miał ochotę wyrzucić słuchawkę, ale takie zniknięcie z radaru podczas operacji nie było dobrze widziane.

Mężczyzna w skórzanej kurtce skręcił za róg za Chapmanem i nie było już żadnych wątpliwości, że go śledzi. Wprawdzie istniała ograniczona liczba tras, a na deszczu wszyscy wyglądają podejrzanie, ale mimo wszystko: było coś w tym, jak się poruszał. Nie zwalniał kroku, żeby omijać kałuże, ale też ich nie rozchlaprywał. Przydatna zdolność. Marcus mógłby się założyć, że jego stopy byłyby za nią wdzięczne.

– Chapman się zatrzymuje – powiedziała Shirley.

– Gdzie?

– Następna w lewo, potem w prawo. Szuka kryjówek?

– Raczej chce się zacząć – odparł Marcus i poczuł, jak coś go ściska w piersi; miał to samo uczucie, kiedy grał w black jacka i patrzył, jak rozdający rozdaje. I zawsze wiedział, że nie może przegrać, bez względu na doświadczenia, które mogłyby wskazywać, że wcale tak nie jest.

Zbędnych parę kilo nie znikło, lecz mimo to Marcus czuł się lżejszy, gdy przyśpieszał kroku, podążając za tym, który śledził Chapmana.

Kolejny wiadukt nad ulicą i tym razem przejeżdżał po nim pociąg. Na chwilę cały świat wypełnił się grzmotem, a potem hałas ucichł. Deszcz padał coraz mocniej, bębnił o płyty chodnika przed nim.

Zły Sam Chapman miał wrażenie, że wszystko pociemniało.

Oddychał ciężko i bolały go mięśnie ud – a nawet nie przeszedł w trucht. Oto co robi człowiekowi wiek i picie do późna w nocy. Przed wiekiem od jakiegoś momentu nie dało się uciec; a jeśli chodzi o picie po nocach – tego też nie było łatwo uniknąć. Każdy polityczny żywot kończy się klęską – powiedział ktoś kiedyś¹⁶. W życiu szpiega też było więcej rzeczy, których się żałowało, niż tych, z których człowiek się cieszył – trudny do zignorowania wniosek, gdy zaczynało gasnąć światło dnia. Można było przesiadywać do późna i rozmyślać albo przesiadywać do późna i rozmyślać po pijanemu. Niewiele było innych opcji.

Zły Sam miał cholerną nadzieję, że znajdzie Chelsea Barker. Nie cierpiał zostawiać niedokończonych spraw.

Przeszedł przez drogę i skręcił w boczną uliczkę. Doszedł do drewnianej bramy zamkniętej łańcuchem, ale na tyle luźno, by została szczelina. Po raz pierwszy obejrzał się za siebie. Faceta, który go śledził, nie było widać; pozostawiał między nimi na tyle duży dystans, by dać Chapmanowi złudzenie bezpieczeństwa. A więc dobrze. Przytrzymał jedno skrzydło bramy, pchnął drugie i zanurkował pod łańcuchem. Znalazł się na parkingu jakiegoś warsztatu samochodowego: dwie czarne taksówki zaparkowane pod jednym murem, pomieszczenie z podniesionymi harmonijkowymi drzwiami, naga świecąca żarówka, ale nikogo w zasięgu wzroku. Będzie tu młotek, klucz francuski, cokolwiek. Daj mi tylko chwilę, pomyślał Sam. Daj mi dwie. Czas na złapanie oddechu. Nie wiedział nawet, dlaczego to wszystko się dzieje, ale to nie miało żadnego znaczenia. To, albo coś w tym stylu, zawsze było prawdopodobne. Nie tylko on nie znosił niedokończonych spraw. W tym zawodzie już tak jest.

Patrice niemal minął to miejsce, ale wyczuł jakiś ledwo zauważalny ruch; wrażenie, że brama porusza się lekko na deszczu. Najwyraźniej Chapman nie dbał już nawet o pozory – kiedy zaczynasz chować się po podwórzach, to już nie jest ostrożność, tylko strach. Teraz był równie dobry moment jak każdy inny. Ci, którzy podążali za nim, jeszcze się nie pokazali; jeśli będzie działał szybko, być może on i Chapman zakończą swoją misję, zanim ktoś im przeszkodzi. Bo to była wspólna misja. Chapman miał w niej ważną rolę do odegrania, bo czym jest morderstwo bez ofiary.

W górze, pod chmurami, przez chwilę było widać samolot podchodzący do lądowania na Heathrow, ale zaraz znikł.

Patrice prześliznął się pod łańcuchem, przytrzymując jedną ręką bramę, żeby nie hałasowała. Podwórze wyglądało na puste, ale w warsztacie paliło się światło. Wyjął z kieszeni cienkie skórzane rękawiczki. Gdy zapinał zatrzaski, by zacisnąć je na nadgarstkach, rozległ się najgłośniejszy dźwięk na całym świecie.

Kiedy Louisa dotarła do skrzyżowania, na ulicy nie było nikogo prócz jakiejś grubej kobiety prującej naprzód niczym łódź po wzburzonych wodach. Louisa zakłęła i szybko rozejrzała się dookoła: nie mogli nigdzie zniknąć... Nie było na to czasu. A to oznaczało, że w ogóle zeszli z ulicy: weszli do jakiegoś budynku, jakiegoś sklepu, czegoś w tym rodzaju...

Nie było tu sklepów. Mur po tej stronie wiaduktu kolejowego był tak zapaćkany graffiti, że wyglądał, jakby miał wzory maskujące – nadawałby się do tego, by wcisnąć go komuś do jazdy na kwasie. Po drugiej strony była dawna siłownia; w zamalowanych wapnem oknach wisiała informacja o zajęciu przez komornika. Zerknęła na wiadukt, ale musieliby być Spider-Manem, żeby się tam dostać. Spider-Manami. A przecież nie współpracowali ze sobą.

Zawodowiec, powiedział Marcus. Sposób, w jaki Chapman poszukiwał kryjówki, wskazywał na to, że wiedział, że ktoś go śledzi. A więc przy pierwszej możliwej okazji, jaka by mu się nadarzyła, zapadłby się pod ziemię...

Za wiaduktem, kawałek od drogi, znajdowała się drewniana brama: być może jakiś warsztat samochodowy, w tej chwili zamknięty. Na bramie luźno zwisła łańcuch.

Tędy.

Powinna poczekać na Marcusa, który zjawiłby się za minutę, no, może za półtorej. Ale półtorej minuty to dla zawodowca dużo czasu; wystarczająco dużo, by zrobił wszystko, co zamierzał.

Nagły podmuch wiatru przepędził ulicą kurtynę deszczu. Było w tym coś orzeźwiającego. Louisa miała zadanie: zabrać Złego Sama Chapmana do Slough House. Ulicą zbliżała się taksówka i zwolniła na jej widok, ale dziś Louisa nie zamierzała dać się nigdzie podwieźć. Pobieгла truchtem do bramy, rozsunęła jej skrzydła najszerzej, jak pozwalała na to łańcuch, i wśliznęła się na podwórze dokładnie w chwili, gdy w stronę jej głowy poleciał rzucony łom.

Porusza się, jakby potrafił chodzić między kroplami deszczu. Taka myśl pojawiła się nieproszona w głowie Sama, gdy zza jednej z taksówek obserwował, jak Patrice przechodzi przez parking, kierując się do warsztatu. Sam ścisnął w ręce łom zabrany z tablicy z narzędziami przybitej gwoździami do ściany. Jego ciężar w ręce przywołał obrazy w zwolnionym tempie – niektórych rzeczy się nie zapomina. Na przykład: nie wymachuj bronią, która ma ponad trzydzieści centymetrów długości. Wykonując takie ruchy, otwierasz się jak szafa. Nie: mocno dźgnij u podstawy czaszki. Potem masz tyle czasu, ile tylko chcesz, na następny ruch; twój cel donikąd się nie wybiera. Leży na ziemi, a wspomnienia z dzieciństwa wyciekają mu z przedziurawionej głowy.

Taki był plan i przez kilka sekund wszystko szło jak trzeba. Mężczyzna stał i zaglądał do warsztatu, jakby czekał, aż Zły Sam wyjdzie z podniesionymi rękami; tymczasem Sam uniósł się i ruszył przez parking, trzymając oburącz łom niczym kij od mioty. A potem go nie było, został mu wyrwany tak zręcznie, że Sam byłby gotów przysiąc, że ten facet wciąż stoi plecami do niego, ale przez ułamek sekundy patrzył mu prosto w twarz – wczorajszy nieznajomy Europejczyk, teraz nie było co do tego żadnych wątpliwości. Jego twarz nie przejawiała ani śladu emocji i nie było na niej widać specjalnego wysiłku, gdy mężczyzna uderzył Złego Sama łokciem, podciął nogi i wyrzucił go do kałuży. Leżąc na plecach, Sam zobaczył wysoko uniesiony łom, gotów, by z całą siłą opaść na jego czaszkę: dobranoc. Zamiast tego łom poleciał w powietrzu i Chapman śledził wzrokiem jego lot; zobaczył, jak uderza w drewno, kilka centymetrów od głowy kobiety, która właśnie prześliznęła się przez bramę.

Nie wiem, kim jesteś, pomyślał Sam, ale mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą broń.

Marcus dotarł na miejsce zbyt późno, by zobaczyć, jak Louisa przeciska się między skrzydłami bramy, ale usłyszał jej krzyk; usłyszał, jak ciężki metal uderza o drewno. Shirley trajkotała mu w ucho, wyciągnął więc słuchawkę, by skupić się na tym, co tu i teraz. Obok zatrzymała się taksówka, taksówkarz, nie wyłączając silnika, opuścił szybę i pytał, gdzie jest Stan, bo umówił się na przegląd w warsztacie, ale Marcus już pędził w stronę bramy i przywalił w nią wysuniętym do przodu ramieniem – trochę ustąpiła, ale nie zdołał jej uszkodzić. Przez szparę zobaczył, jak Louisa pędzi w stronę dwóch postaci na środku podwórza – leżącego na ziemi Sama Chapmana i stojącego nad nim faceta w skórzanej kurtce. Jego spokój i gotowość na wszystko wzbudziły w Marcusie strach – nie o siebie, tylko o Louise. Ale nie było szans, żeby precyzyjnie się przez tę szparę w bramie. Musisz trochę

schudnąć, pomyślał znowu, ale tym razem z paskudną świadomością, że nawet jeśli to zrobi, i tak będzie już za późno.

Żałowała, że nie ma broni.

Łom odłupał spory kawał drewna z bramy o kilka centymetrów od jej głowy, a potem z brzękiem upadł na ziemię: to nie pistolet, ale się nada. Chwyliła go. Chapman leżał, a ten zawodowiec stał nad nim, ale patrzył na nią; próbował wyczuć jej zamiary, mierzył wzrokiem dzielącą ich odległość. Przerzuciła łom z jednej ręki do drugiej i jego postawa ledwie dostrzegalnie się zmieniła, gdy jednak znów zmieniła ręce – bo nie było szans na to, by łodem mogła posługiwać się lewą – już poruszał się do przodu i wszedł w jej zamach w taki sposób, że uderzyła go tylko przedramieniem, upuściła łom, a podwórze nagle odwróciło się do góry nogami.

Uderzając o ziemię, przetoczyła się, ale nie na tyle daleko, by uciec przed jego kopniakiem, który trafił ją w lewe biodro i sprawił, że zdrętwiała jej noga.

Dwoje i oboje leżą. Trwało to kilka sekund.

W tej myśli nie było dumy. Po prostu oceniał sytuację.

Patrice pochylił się po łom, najbliższe narzędzie pozwalające dokończyć robotę, i w tym momencie Chapman pozbiierał się na nogi. Stary szpieg miał rację, próbując go dźgnąć, zamiast się zamachnąć, i gdyby teraz wszyscy siedzieli przy stoliku w kawiarni, żaden z nich nie musiałby długo tłumaczyć tej kobiecie, na czym polegał jej błąd. Ale zasady istniały po to, by je łamać, zakładając, że wiesz, co robisz; ulubiona wymówka zabójców i poetów.

Patrice przykucnął z idealnie prostymi plecami i zamachnął się łodem, trafiając Chapmana w kolano. Stary szpieg wrzasnął. Nie żyj dłużej niż twoja zdolność, by przetrwać walkę, pomyślał Patrice.

Odwrócił się do kobiety, ale ta zniknęła i coś leciało w jego stronę; metalowa puszka rozpryskująca swoją zawartość, gdy obracała się w powietrzu. Gdyby nie trzymał łomu, uderzyłaby go w twarz; ale tak z łatwością ją odbił niczym światowej klasy batsman uderzający krótką piłkę. Kiedy był tym zajęty, kobieta pomknęła do warsztatu, gdzie mogła znaleźć najróżniejszą broń. A więc znów rzucił łodem: nie jak oszczepem, ale bardziej jakby puszczał kaczki na wodzie; trafił ją w kostki i gdyby nie zamortyzowała upadku rękoma, miałyby nos rozsmarowany po całej twarzy. I w ciągu następnych dwudziestu sekund to będzie dla niej jedyne pocieszenie, pomyślał, bo z chwilą, gdy weszła na to podwórze, przepadła jakakolwiek szansa na to, by mógł pozostawić ją przy życiu. Przypomniawszy sobie jednak, że nie była sama, i w tej właśnie chwili to wspomnienie przybrało solidne kształty, gdy czarna londyńska taksówka rozwalila bramę, posyłając w deszcz ostre, drżące odłamki drewna; z piskiem kół obróciła się bokiem, gdy kierowca skręcił, jednocześnie używając hamulca ręcznego, a potem przerzuciła Patrice'a nad karoserią równie łatwo jak byk pozbywający się początkującego torreadora.

Gdzieś w tle krzyczał wściekły taksówkarz.

* Autorem tych słów jest Enoch Powell.

A potem zwiął – powiedziała Shirley.

– No tak, cóż...

– Jak duch. Albo jak ninja.

– Albo jak duch ninja – odezwał się Ho.

– Odpierdol się – powiedział mu Marcus. I zwrócił się do Shirley: – Tak, jak ninja. Albo coś w tym stylu.

Bo kiedy potrącis kogoś londyńską taksówką, taki ktoś z reguły pozostaje potrącony na tyle długo, żebyś mógł odciąć mu uszy, a co dopiero poznać szczegóły ubezpieczenia. Ale ten facet był jak dym: musiał przelecieć nad dachem taksówki i wylądować na nogach, które już się poruszały, tak jak w kreskówkach – jeśli to nie był ninja, to przynajmniej Kaczor Daffy.

Tyle że gdy Kaczor Daffy przywalał ludziom jakimś ciężkim przedmiotem, ci na sekundę czy dwie przybierali dziwne kształty, a potem otrząsali się i wychodzili w jednym kawałku.

– Jak się czujesz? – spytał Louise.

– Tak samo jak ostatnio, kiedy pytałeś – odparła. – Wzięłam ibuprofeny, a nie środek uspokajający dla konia.

Byli z powrotem w Slough House, w pokoju Marcusa i Shirley. Dżinsy Louisy, które rozdarły się przy upadku, były podwinięte na wysokość kolana; moczyła stopy w plastikowej misce, o której nikt wcześniej nie wiedział, że coś takiego istnieje w Slough House – to znaczy nikt oprócz Catherine Standish, którą zastali tam, kiedy wrócili. To było dziwne spotkanie: Louisa kulała, Zły Sam Chapman wchodził na górę po jednym stopniu.

– Wróciłaś – powiedział do niej zupełnie niepotrzebnie Marcus.

Szybko dotknęła jego łokcia. A potem zapytała:

– Dlaczego przywiozłeś ich tutaj? Powinni być na izbie przyjęć.

– Śliska sprawa – stwierdził Lamb. – Kiedy zacnie się im poświęcać profesjonalną uwagę, której wymagają, zostanie nas tu za mało, żeby zagrać w darta.

– Można grać w darta samemu – zauważył Roderick Ho.

– Kim był ten facet? – spytał Sam Chapman. – Dlaczego mnie śledził? A tak w ogóle: czemu wy mnie śledziliście?

– Boże, nie cierpię tych scen, kiedy wszyscy muszą nadrobić swoje braki – stwierdził Lamb. – I byłoby miło, gdybyś podziękował. Właśnie uratowałem ci życie.

– Nie widziałem cię tam.

– Cóż, pozwoliłem, żeby inni odwalili czarną robotę. – Zerknęła na Marcusa. – Tak się tylko mówi. Niech wam się to nie kojarzy z policją.

– Potrzebowalibyśmy oddziału antyterrorystów – mruknął Marcus.

I to wtedy Catherine znalazła plastikową miskę, żeby Louisa mogła w niej zanurzyć kostki, i przyniosła ibuprofen. Louisa twierdziła przez zaciśnięte zęby, że nic jej nie jest, ale jej kostki wyglądały, jakby pełniła służbę z nogami skutymi łańcuchem.

– Nie przecięło ci skóry – powiedziała jej Catherine. – To już coś.

Louise trudno było to docenić, ale fakt, że właśnie Catherine tak powiedziała, w jakiś sposób dodawał otuchy.

– Wróciłaś na dobre? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie – odparła Catherine, a potem wyszła z pokoju za Lambem i Chapmanem i zaczęła razem z nimi wchodzić na piętro.

– Przyprowadziła ze sobą S.D. – powiedziała im Shirley.

– S.D. tu jest?

– Na górze, z Moirą.

Marcus potrząsnął głową. Wyglądało na to, że dzisiejszym porządkiem dnia ma być chaos. Tak na pewno pomyślał Stan z warsztatu, gdy wrócił i zobaczył, że jego parking zmienił się w strefę wojny: dymiąca czarna taksówka na deszczu, brama rozwalona w drzazgi. Marcus pokazał mu swój identyfikator, wskazując miejsce, gdzie było napisane o służbie Jej Królewskiej Mości, i powiedział, że są z policji skarbowej i przyjechali aresztować osobę uchylającą się od płacenia VAT-u. Stan zerknął niespokojnie w stronę swojego warsztatu, bo z pewnością tam trzymał księgi rachunkowe, i spuścił z tonu. Zapytał jednak, kto zapłaci za bramę.

– Wyślij fakturę do swojego urzędu skarbowego – odparł Marcus. – Oni się wszystkim zajmą.

I teraz Marcus czuł się dobrze, a przynajmniej zdecydowanie lepiej niż ostatnio. Nie wynikało to tylko z faktu, że rozwalili tę bramę; ani z tego, że przy okazji zmiotł tamtego sukinsyna. Chodziło bardziej o to, że nie musiał używać do tego własnego wozu. Czuł się tak, jakby los się odwrócił – jakby szczęście znów zaczęło mu dopisywać tak, jak powinno.

Z tym wyjątkiem, że tamten sukinsyn uciekł.

– Wjechałem w niego taksówką, wiem, że tak – powiedział. – Poczulem uderzenie.

– A potem on zwiął – stwierdziła Shirley.

– Shir! gdybyś tam była, rozłożyłabyś go na łopatki – odparł Marcus. – Wszyscy to wiemy. Ale nie było cię, a on rozwiął się jak dym. W porządku?

– Tylko mówię.

– River się odzywał? – spytała Louisa.

– Nie przysłał nam nawet widokówki. Ty też nie cierpisz, kiedy koledzy z pracy jadą na urlop i...

– Kiedy Catherine tu dotarła?

– Założę się, że nie przywiezie nam nawet bombonierki. Jakież pół godziny temu.

– W jakim stanie jest S.D.?

– Wyglądał jak duch. Zdezorientowany i wystraszony.

– River się o niego martwił.

– No cóż – odparła Shirley. – To, jak zwiął na kontynent, najlepiej o tym świadczy. A tak w ogóle fajne dzinsy.

– Podarte dzinsy.

– O to mi chodziło.

– Ja bym sporo zapłaciła za niepodarte dzinsy.

– Kim nosi podarte dzinsy – odezwał się Ho. – To moja dziewczyna – wyjaśnił.

– Coś takiego.

– I podarte kurtki.

– Wciąż tu jesteś?

– Tak – powiedział Ho. Gapili się na niego. – Nie – dodał i wyszedł. Zanim dotarł na piętro, usłyszał Lamba wrzeszczącego na niego z góry schodów.

- Podarte kurtki – powiedział Marcus. – To teraz na czasie?
- Nie – odparła Shirley. – A pytanie, czy coś jest teraz na czasie, też już nie jest na czasie.
- Myślicie, że Chapman ma pojęcie, co się dzieje? – spytała Louisa.
- Mam nadzieję, że ktoś ma – stwierdził Marcus.

Kiedy Ho dotarł do gabinetu Lamba, ten rzucił w niego paroma kartonami po zarceniu na wynos.

– Te rzeczy mi się tu rozmnażają. Kiedy je już wyrzucisz, zjrzyj do lokalu obok i przynieś mi nowe. Pełne.

- Pełne... czego?
- Chińskiego zarcia, idioto – powiedział Lamb. – Albo po prostu „zarcia”, jak wy je nazywacie. Ho strzepnął z kurtki grudkę posklejanego ryżu, a potem spróbował zetrzeć plamę.

- Ale jakiego rodzaju?
- Zaskocz mnie.

Zły Sam przyglądał się Ho z politowaniem.

- Jesteś Roderick, tak?
- Tak...
- Roderick, pozwolił mi na siebie naszczać za funciaka?
- Nie...
- To dlaczego jemu pozwalał to robić za darmo?

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Lamb. – Przemawia przez niego ból. Kiedy się odzywasz, przemawia przez ciebie ból. Co cię tak bawi? – To ostatnie było skierowane do Catherine.

- Wy dwaj – odparła. – Zupełnie jakbym oglądała grę wstępną dinozaurów. Albo *Top Gear*.
- Poznaliśmy się, prawda? – spytał Zły Sam.
- To jedno z moich najradośniejszych wspomnień.
- Widzę, że humor ci dopisuje – powiedział Lamb. – Cieszysz się, że wróciłaś?

– Nie potrzeba mu jedzenia – Catherine zwróciła się do Ho. – Już jadł. Ale jeśli możesz, znajdź mi trochę lodu.

Ho wyśliznął się z pokoju, wciąż pocierając plamę na nowej skórzanej kurtce.

– Powiedziałaś mi, dlaczego tu jestem. Staruszka szukają ludzi z Regent's Park. Pomyślałam, że lepiej będzie go zabrać w jakieś bezpieczne miejsce.

- O jakim staruszkę mówimy? – spytał Chapman.
- O twoim byłym szefie – odparł Lamb. – Davidzie Cartwrightcie.
- O Cartwrightcie? To on jeszcze żyje?
- Tak, ale już w doliczonym czasie – powiedział Lamb. – Ten facet, który próbował cię rozwalić.

Nie ciebie jednego.

- Próbował zabić Cartwrighta?
- Nie osobiście. Tamten dżentelmen skończył z dziurą w głowie. Ale zakładam, że te dwa zdarzenia mają ze sobą związek. Chyba że po prostu zaczął się otwarty sezon na zramolałych szpiegów.

– Jestem pewna, że gdyby do tego doszło, byłbyś na szczycie niejednej listy – zauważyła Catherine.

– Cóż, jeśli ci z Regent's Park go szukają, to dlaczego jest tutaj? – spytał Chapman. – Byłby bezpieczniejszy z profesjonalistami.

– Cóż, to raczej zależy od tego, kto zlecił zamach na jego życie.

Chapman gapił się na nich.

– Myślicie, że ktoś z Regent's Park chce zabić Davida Cartwrighta? I mnie?

– To tylko teoria.

– Już wywalili mnie z roboty – powiedział Chapman. – To by było, kurwa, małe przegięcie, gdyby kazali jeszcze mnie zamordować. A poza tym ja to dla nich dawne dzieje. Nawet nie wiem, kto tam teraz rządzi. Tearney odeszła, zgadza się?

– Ofiara poprawności politycznej – odrzekł ze smutkiem Lamb.

– Nie zleciła przypadkiem kilku morderstw?

– Cóż, to też, ale ten nowy chłoptaş, Whelan, nie siedzi tam jeszcze na tyle długo, żeby zacząć się rzucać. Nie, jeśli to wyszło z Regent's Park, to jest tak jak z tobą. Dawne dzieje. Z czasów, gdy Cartwright był jednym z tych, którzy wszystkim trzęśli. Kiedyś pilnowałeś mu pleców, prawda?

– Czasami. Nie był typem, który wymagał ciągłego pilnowania.

– Ale od czasu do czasu wybierał się na wycieczki, co?

– Do czego zmierzasz, Jackson?

– Wyjeżdżałeś z nim do Francji.

– O Jezu – westchnął Sam Chapman. – Chodzi o Les Arbres, prawda?

Moirę Tregorian również zastanawiały zwroty akcji, jakie nastąpiły tego dnia: od skrywanego podekscytowania śmiercią kolegi – cóż, nie znała go przecież dobrze – po zaskakującą zmianę sytuacji, gdy okazało się, że ten jednak żyje; od lunchu (po którym spodziewała się, że będzie wprowadzeniem w rytuały w Slough House) po przesłuchanie, w jakie się zmienił. Jak dobrze znała Claude'a Whelana? Na czym polegał kontakt pomiędzy nią – była kierowniczką biura w Regent's Park; dzierżycielką władzy nad nadgodzinami; przydzielającą biurka dla Królowych Bazy Danych; nadzwyczajną sędzią czasową; nadzorczynią umów o świadczenie usług; przodowniczką śledztw związanych z materiałami biurowymi; sporadyczną oficer dyżurną – a nowiuteńkim, czyściuteńkim Pierwszym Biurkiem? Czy należeli do tego samego klubu czytelniczego? Chodzili do tego samego kościoła? A może – bo nawet szpiedzy ulegają fizycznym żądzom – dopuścili się „biurowego uchybienia”? W tym ostatnim przypadku nijaki i neutralny dobór słów, na jaki zdecydował się Lamb, niewiele groźniejszy niż pistolet na wodę, całkowicie przeczył wyrazowi jego twarzy, na której malowała się iscie papieska chytróść. Podejrzawała, że pan Lamb może okazać się trudnym typem. Nie zdawała sobie jednak sprawy, do jakiego stopnia trudnym.

A potem jeszcze to: zjawienie się jej poprzedniczki.

Czegokolwiek Moira Tregorian spodziewała się po Catherine Standish – rzeczywistość okazała się inna. Widywała już wcześniej pijaków – kto ich nie widywał? Z reguły lekko wibrowali, jakby byli dostrojeni do wyższej częstotliwości niż cała reszta, mieli obwisłą skórę i zaniedbane włosy. Innymi słowy, służyli za ostrzeżenie. Catherine Standish wydawała się jednak nietknięta – Moira nie była pewna, czy kiedykolwiek dotąd użyła tego słowa w odniesieniu do człowieka. Była nietknięta: nie miała żadnych oczywistych braków. Z jakiegoś powodu było to rozczarowujące, choć żywiła nadzieję, że udało jej się dobrze ukryć swoją reakcję.

A tymczasem wciąż sortowała tony notatek służbowych z Regent's Park i teraz miała siedzącego w kącie obserwatora.

– Musi posiedzieć w jakimś spokojnym miejscu – powiedziała panna Standish, ledwie rzucając okiem na swój dawny pokój. – Miał ciężki dzień.

– Cóż, nie znam się na...

Ale Standish już nie było, a ten staruszek – David Cartwright – zarekwirował jej krzesło i usiadł przy jej biurku, jakby to było jego królestwo i jakby Moira była uzurpatorką.

Zrobiła mu więc herbatę i spróbowała z nim rozmawiać, póki nie zapadł się w coś w rodzaju stanu bezmyślności. Z początku Moiré lekko to drażniło, a potem o tym zapomniała. Miała przecież pracę do wykonania; zadanie, które zmanifestowało się – jak to z reguły bywało z jej zadaniami – pod postacią stert papierów najróżniejszej wysokości i któremu wkrótce zaczęły towarzyszyć typowe pomruki z jej repertuaru, takie jak „hu-hu” i „hmm, no coś podobnego, cóż to ma być?” – i w końcu: „no kurczę pieczone, a to co takiego?”. Kukułka to podrzuciła czy jak?

A przy tym ostatnim staruszek wyrwał się z krainy, w którą zawędrował, i zapytał:

– Kukułka?

– Les Arbres było dziwne – powiedział Zły Sam. – Jak komuna, ale bardziej poddane reżimowi. I było tam niewiele kobiet, choć były dzieciaki.

Ho wrócił z torebką lodu, którą z powagą wręczył Catherine, a potem wyszedł. Chapman, mówiąc, przykładał sobie lód do kolana. W pokoju było wilgotno, kaloryfer dawał niewiele ciepła i tylko na przemian rzeził i stukał, jakby próbował coś odchrząknąć. Lamb siedział zgarbiony w swoim fotelu, obracając w palcach niezapalonego papierosa, a Catherine schowała się w ciemnym kącie jak dziecko, które ma nadzieję, że rodzice nie zauważą jego obecności i tego, że przysłuchuje się rozmowie dorosłych, do której wkradły się niestosowne treści.

– Jeździłem tam, żeby pilnować pleców Davida, ale to była spokojna robota, Francja nie była przecież żadnym terenem wroga, jeśli pominąć kilku dziwnych kelnerów. I nie trzeba się było martwić, że ktoś pryśnie. W tamtych czasach nie było problemu z ludźmi, którzy by chcieli przejść na drugą stronę.

– Kiedy to było? – Lamb mówił wyjątkowo ścisłym głosem.

– Za pierwszym razem? Latem po tym, jak runął mur.

– Opowiedz mi o Les Arbres.

Zły Sam opisał budynek, teren, lokalizację. Wyliczył ośmiu dorosłych mężczyzn, którzy tam mieszkali.

– Rozpoznałem jednego z nich. Kazał do siebie mówić Jewgienij. W Les Arbres używano tylko imion. Wcześniej był agentem KGB. Przedtem jakiś czas pracował przy ambasadzie w Londynie, a w tamtych czasach mieliśmy specjalne karty ze zdjęciami dla wszystkich odwiedzających nas zdołniachów. Molly Doran wymyśliła te karty. Pamiętasz?

Lamb burknął coś na potwierdzenie.

– Przyklejała taśmą ich zdjęcia do kart do gry i robiła wielkie halo z tego, czy ktoś był kierem, treflem czy karo. Albo kochasie, albo dranie, mówiła. I była też całkiem niezła w ocenianiu, kto jest kim.

– Mieliśmy wtedy niezłe zabawy – powiedział Lamb. – W czasach, kiedy świat stał na krawędzi katastrofy nuklearnej.

– Och, wyluzuj – rzucił Zły Sam. – Wciąż tu wszyscy jesteście. W każdym razie pamiętam, że ten Jewgienij był kierem. Naprawdę nazywał się Ivor Fedczenko, a przynajmniej takiego nazwiska używał w ambasadzie. Ale kiedy powiedziałem Cartwrightowi, kim on jest, zbył mnie. Powiedział, że to nieważne.

– A ty to tak zostawiłeś?

– Miałem tę robotę dopiero od niedawna, ale wiedziałem, że to dla mnie za wysokie progi. Byłem wtedy młodym psiakiem, Jackson. A on był Davidem Cartwrightem.

– Co tam robił?

- Przesłuchiwał byłego agenta. Pseudonim Henry. Tak w każdym razie stało w oficjalnych dokumentach.
- I byłeś tam w tym czasie?
- Nie. Zatrzymałem się w hotelu w pobliskim miasteczku. Angevin.
- Czyli nie było cię przy tych przesłuchaniach?
- Mówiłem ci już, Jackson. Byłem młodym psiakiem. Byłem jego szoferem, ochroniarzem, chłopcem na posyłki. Nie byłem wtajemniczony w utajnione rozmowy.
- Przesłuchiwanie byłego agenta nie brzmi, jakby żonglował tam kodami nuklearnymi. Widziałeś w ogóle tego Henry’ego?
- A skąd mam wiedzieć? Nikt nie nosił plakietki ze swoim pseudonimem.
- Kto tam dowodził? – spytała cicho Catherine.
- Był tam taki Amerykanin, ale nas sobie nie przedstawił. Wyglądało na to, że był tam Tłustym Kocurem. Wydaje mi się, że miał na imię Frank.
- Wydaje ci się – powtórzył Lamb.
- Miał na imię Frank. O co tu chodzi, Jackson? To było wiele lat temu, w czasach pokoju, i nikt nie próbował załatwić starego. Gdybyś nie wspomniął o Francji, w ogóle bym sobie tego nie przypomniał.
- Cartwright był zdecydowanie zbyt ważny, żeby się zajmować czymś takim – powiedział Lamb. – Wydaje mi się to dziwne. Ile razy tam jeździliście?
- Dwa. Przynajmniej ze mną. Drugi raz pojechaliśmy tam później tego samego roku.
- I ani za pierwszym, ani za drugim razem nie zdarzyło się nic niezwykłego?
- Jesteś pewien, że to ma coś wspólnego z tym, co się dzisiaj stało? – spytał Zły Sam.
- Nie jestem nawet pewien, skąd Ho wziął łód. W tej chwili wszyscy błądzimy w ciemnościach. – Pstryknięcie zapalniczki jakby temu zaprzeczyło i przez chwilę widać było twarz Lamba. Catherine odkaslnęła. Zapalniczka zgasła, ale czubek papierosa Lamba żarzył się na czerwono. – Ale padają trupy. To zwykle świadczy o tym, że coś jest nie tak.
- Ostatniego wieczoru podczas naszego drugiego wyjazdu był... rozkojarzony. Podenerwowany. Pił więcej niż zazwyczaj. A nigdy specjalnie za kołnierz nie wylewał.
- Ostrzeżenie dla nas wszystkich – mruknął Lamb i nagrodziło go westchnienie w ciemności.
- Tamtego dnia doszło do awantury. Niespodziewanie zjawiła się jakaś kobieta, dziewczyna Franka, i się pokłócili. Mogła sobie wrzeszczeć i krzyżeć, ile chciała. Nawiasem mówiąc, była Angielką. Staremu też się pewnie oberwało rykoszetem, bo wydawał się jakby wystraszony. Ale zanim tam dotarłem, było już po wszystkim. Odjechała.
- A gdzie byłeś? – spytała Catherine.
- Zły Sam wyglądał na zmieszanego.
- Za budynkiem, z dwoma Rosjanami. Graliśmy w petankę.
- Słodki Jezu – westchnął Lamb.
- W każdym razie się rozgadał, zaczął opowiadać wojenne historie. Odniosłem wrażenie, że lubił się zgrywać na starego mędrca, wiecie, na siwego wojownika, który snuje opowieści przy ognisku. – Chapman przerwał, by poprawić woreczek z lodem. – Więc trochę to się rozciągnęło. Ale pod koniec, gdy wypił już sporo brandy i zaczął gadać trochę bez ładu i składu, dwukrotnie powtórzył jedno zdanie. „Żałuję, że w ogóle usłyszałem o tym cholerstwie”, powiedział. Spytałem go, o jakie cholerstwo mu chodzi. Za pierwszym razem nie odpowiedział. Ale za drugim...
- Zły Sam znów przerwał, układając okład z lodu na swoim kolanie.
- Na litość boską – rzucił Lamb. – Nie męcz nas i powiedz to wreszcie!

– Projekt Kukułka – powiedział Sam. – Powiedział, że żałuje, że kiedykolwiek usłyszał o projekcie Kukułka.

– Kukułka? – powiedział S.D. – To o to w tym chodzi? O projekt Kukułka.

– Przepraszam, chyba nie... – zaczęła Moria Tregorian.

Staruszek potrząsnął głową. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Ale proszę! Przeszłość wraca, żeby się na tobie zemścić. Jest takie powiedzenie, prawda? Łatwe jak zamknięcie drzwi – co oznaczało, że nie ma nic prostszego. Drzwi zamknięte, sprawa załatwiona. Był pewien, że istnieje takie powiedzenie, a przynajmniej coś podobnego. Nie wspominało jednak o tym, by się upewnić, że kiedy drzwi się zamykają, znajdziesz się po właściwej stronie.

Nie wiedział, gdzie jest. Wydawało mu się, że wchodził po jakichś schodach, ale nie wyglądało to jak piętro, do którego był przyzwyczajony. Powinno tu być więcej światła – wszystkie najlepsze pokoje w Regent's Park miały okna z widokiem – ale sądząc po rozmiarach, to było jedno z biur pracowników sekretariatu. Trochę bezczelnie wepchnął go do tej kłitki i spodziewać się, że będzie chętny do współpracy, uznał jednak, że opowiadanie historii w ciemności też ma swoje zalety. Czyż nie robił tego nieskończoną ilość razy? Nie opowiadał historii... młodemu chłopcu? Bystremu jak jasna cholera. Znalazł go w ogródku, miał strupy na kolanach. Tylko nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

Ale choć terazniejszość teraz wydawała się zamglona, niektórych rzeczy się po prostu nie zapomina.

– Projekt Kukułka – powiedział. – W takim razie masz rację. Nagrywasz to?

I teraz jego głos brzmiał mocniej, bo wiedział, po której stronie drzwi powinien być.

Musiał tylko przez nie przejść i zamknąć je za sobą.

Kukułka.

– Była taka sowiecka wioska, albo przynajmniej krążyły o niej plotki – powiedział J.K. Coe. – Możliwe, że to tylko legenda. Sporo ich krążyło.

W półmroku panującym w gabinecie Lamba Coe mógłby uchodzić za ducha Marleya przybranego w niewidzialne łańcuchy. Nie było gdzie usiąść, oparł się więc o drzwi. Na wieszaku wisiał tam płaszcz przeciwdeszczowy – mógł należeć tylko do Lamba – i gdy Coe go poruszył, wypelzły z niego przastare smrody; był niczym mumia dawno wymarłych woni: papierosów i whisky, poczekalni na dworcach autobusowych, wilgotnych, pełnych rozpaczki poranków i śmierci. Coe zastanawiał się, czy tylko on to czuje, czy inni również: sam Lamb, Catherine Standish i mężczyzna o nazwisku Chapman.

– Jeśli tylko przyjdzie ci ochota odpłynąć w krainę snów, możesz użyć mojej dupy jako poduszki – podsunął Lamb.

– Daj mu szansę, Jackson – powiedziała ukryta w ciemności kobieta.

– Powiedziałem „sowiecka”, ale chodzi o to, że ani trochę taka nie była. Stworzyli tam amerykańskie miasteczko z parkanem, Main Street i tak dalej, gdzieś w Georgii albo gdzie tam jeszcze. Tak samo jak istnieje afgańska wioska na wrzosowiskach w Northumberland, w strefie wojskowej, tyle tylko że ona służy celom strategicznym. Ale tam mieszały ludzie. Była po to, by się w niej rodzili i w niej mieszkali. Uczyli się amerykańskiego angielskiego i oglądali amerykańską telewizję. Wydawali amerykańskie dolary. Coś w rodzaju szkoły przygotowującej do dalszego życia. To był projekt Kukułka w radzieckim stylu. Inaczej to nazywali. Ale to był sposób na stworzenie idealnej podobizny wroga, żeby móc się nauczyć, jak ten wróg myśli, o czym marzy, jak... no cóż, wszystko.

W czymś, co wydawało mu się teraz innym życiem, Coe pracował w sekcji oceny psychologicznej. Jeden z modułów dotyczył tajnych operacji. To był dla wszystkich ulubiony temat, bo można się było

nasłuchać o różnych upiornych gównach. To znaczy o tym, jakiego gówna narobili kiedyś szpiedzy. Ale poza tym istniały też naprawdę upiorne gówna.

Teoria była taka, że jeśli chce się gdzieś umieścić uśpionego agenta, to właśnie w takiej szkółce należy go wychować.

Lamb burknął, ale nie było jasne, czy to sprzeciw, zgoda czy problemy gastryczne.

– I myślisz, że to kiedyś naprawdę miało miejsce? – spytała Catherine.

– Była też inna historia – podjął Coe. – Że w latach sześćdziesiątych gdzieś w pobliżu Morza Czerwonego istniała idealna kopia Białego Domu. Sowietci naprawdę całymi latami kazali tam komuś mieszkać; był pełny personel, wszyscy anglojęzyczni, a sens tego był taki, że inicjowali kryzysy, obserwowali reakcje i to im dawało jakieś pojęcie o tym, jak może zareagować na sytuację prawdziwy prezydent.

– I myślisz – tym razem odezwał się Chapman – że to kiedyś naprawdę miało miejsce?

– Nie – odparł Coe. – Tylko szaleniec opierałby politykę strategiczną na tym, jak jakaś marionetka reaguje na wymyślone kryzysy.

– Tak, tak to już było za czasów zimnej wojny – stwierdził Lamb. – Nikt nie tracił głowy.

Przez chwilę wyglądał, jakby stracił swoją, ale okazało się, że grzebie w reklamówce pod biurkiem. Kiedy znów się pojawił, trzymał butelkę. Na jego biurku stały dwie brudne szklanki, jedyne przedmioty, które w ostatnim czasie nie były używane jako popielniczka. Nalał na dwa palce do jednej szklanki, na cztery do drugiej i pchnął pierwszą w stronę Chapmana. Zwrócił się do Catherine:

– Jeśli chcesz łąć prosto z butelki, nie krępuj się. – A do Coego: – A ty kup sobie własną.

Coe nie odpowiedział. W ciągu ostatnich dziesięciu minut powiedział więcej niż przez ostatnie pół roku. Dudniło mu w skroniach. W głowie utkwił mu jakiś fragment wiersza, „łagodny deszcz obmyje twe rany” – i nie przestawał krążyć. Chciał, by wróciła jego muzyka. Skoro już musiał być w Slough House – a równie dobrze mógł być gdziekolwiek indziej – to wolałby siedzieć przy swoim biurku, ze słuchawkami w uszach, i słuchać, jak Jarrett wydobywa z powietrza muzykę; Nagoya, 12 listopada 1976. To by obmyło moje rany, pomyślał.

– Coś jeszcze? – spytał.

– A co, zatrzymujemy cię?

– Ja tylko...

– Wiesz, może lepiej nie. – Lamb opróżnił szklankę i widać było, że nie delektuje się smakiem. – Czyli coś takiego wymyślili czerwoni. Jankesi na pewno mieli własną wersję. A co z nami? A może nie mieliśmy tego w programie?

– Nie, w programie nie – odparł Coe i Lamb zastrzygł uszami.

– Nazywał się Frank. Frank Harkness. Amerykanin, wcześniej pracował w CIA, choć tego dowiedziałem się dopiero później. To znaczy, że już dla nich nie pracował. Wtedy zakładałem, że wciąż to robi. Tak już jest, prawda? Człowiek zakłada najgorszą wersję. – Chciał to powiedzieć żartem, lecz gdy wypowiedział te słowa na głos, miały gorzki posmak. Mniejsza z tym. – W tamtym czasie ubiegałem się o Pierwsze Biurko. Nigdy wcześniej tego nie przyznałem. Ale to prawda, z góry zakładałem, że mi się należy. Że to tylko kwestia przeczekania i zachowania czystej kartoteki. Nie wydawały się to zbyt wygórowane wymagania. I tak robiłem to od lat.

Były jednak takie chwile, gdy jego kartoteka nie była wcale taka czysta. I skoro już o tym mowa, jego sumienie też nie pozostawało nieskazitelne. Ale to nie pora, by dzielić włos na czworo. By wdawać się w szczegóły. Miał córkę.

Nosiła imię Isobel.

Zastanawiał się, czy nie wybiegł za bardzo w przód. To jednak nie miało znaczenia, i tak wszystko się nagra. Trzeba wszystko z siebie wyrzucić, a oni niech sami dodadzą dwa do dwóch.

– Kochane dziecko.

I taka właśnie była. Dopiero później wszystko poszło nie tak. Ale oczekiwali od niego, że będzie mówił właśnie o tym, co będzie później, prawda? O projekcie Kukułka.

– Właściwie to nie był pomysł Franka – ciągnął. – Sam pomysł istniał już od jakiegoś czasu. CIA go testowało, a Sowietci mieli oczywiście własną wersję. Chińczycy też. Ale nie my. Nie miało to nic wspólnego z etyką czy moralnością; czysty pragmatyzm. Coś takiego wymagałoby wielkich inwestycji, a w czasach, o których mówimy, cóż... Linie wciąż kreślono na nowo. Gorbaczow trzepał dywany na Kremlu i wzbijał tumany kurzu. Nikt nie wiedział, jak będzie wyglądać świat, kiedy ten kurz opadnie. Nie było więc wielkiego sensu zaczynać długoterminowego projektu, żeby zmylić naszych wrogów, skoro nikt nie wiedział, kim będą ci wrogowie za dwa lata. Koniec końców wyszlibyśmy na głupców. A głównym celem służb wywiadowczych jest nie dopuścić do sytuacji, w której wychodzi się na głupca, o ile tylko można tego uniknąć.

Teraz słowa same go odnajdywały. Zawsze wiedział, że prędzej czy później tak będzie. Frankowie tego świata byli urodzonymi dewastatorami; w swojej krótkowzrocznej krucjacie, by chronić niewinnych, gotowi byli zionąć ogniem na wszystkich wokół. A David Cartwright, Boże dopomóż, dał temu konkretnemu Frankowi nowiutkie pudełko zapalek. A więc tak, zawsze wiedział, że będzie musiał się z tego rozliczyć.

Ale Frank patrzył na to inaczej. I trzeba mu przyznać, że niektóre rzeczy widział wyraźniej niż większość ludzi. „Coś się skończyło, więc musimy być gotowi na to, co będzie następne”. Tak powiedział.

Staruszek zmrzył oczy, próbując sobie coś przypomnieć. Kiedy to się skończy, pomyślał, wrócę do domu, do Rose. Filiżanka herbaty albo coś mocniejszego. Opowie jej, jak mu minął dzień. Choć może akurat nie o tej jego części. Nie chciałby, by go oceniała na podstawie tej historii.

Trzęsły mu się ręce. Zabawne.

– Dobrze się pan czuje? – spytała ta kobieta. – Zrobić panu jeszcze herbaty?

Musiał przyznać, że to całkiem niezłe pomyslane. Sztuka dobrego przesłuchiwania: zawsze dopuszcza możliwość, że będzie można wypocząć, że niedługo będzie po wszystkim.

Ale nigdy nie będzie można wypocząć.

I koniec też nie nastąpi szybko.

– Ekstremizm, mówił Frank. To, co zaczęło się rozprzestrzeniać na Bliskim Wschodzie. To wszystko prawda, mówiliśmy mu, ale przecież tego nie eksportują. A jeśli chcą odrąbywać ręce złodziejom, no cóż, dzięki temu jest pewnie mniej kieszonkowców w centrum Bagdadu. Bo dopiero co wygraliśmy wojnę, rozumiesz? Nie chcieliśmy słuchać o następnej, jeszcze nie.

– Nie jestem pewna, czy powinien pan się doprowadzać do takiego stanu.

– Ale Frank uważał, że powinniśmy się przygotować. Bo to się szybko nie skończy, powiedział. Kiedy ma się wroga dysponującego bronią nuklearną, wszystko może się skończyć w ciągu kilku sekund. Ale kiedy wróg jest uzbrojony w kamienie i noże, będzie podchodzić powoli. Wychowa swoje dzieci tak, żeby cię nienawidziły. Będzie mierzyć cię wzrokiem przez całe pokolenia, szykując się do wojny, która potrwa stulecia.

– Naprawdę nie wydaje mi się...

– I widzisz, on miał już swoją siatkę. Siatkę, której jeszcze rok wcześniej nikt nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić. Dwóch agentów KGB i innych z bloku wschodniego. Kilku Niemców, Francuza. Nazywał ich swoją tęczową koalicją. Ha! – Śmiech zabrzmiał jak szczeknięcie. – Jeśli się połączyło ich doświadczenie, mówili, ci ludzie wiedzieli więcej o zwalczaniu terroryzmu niż jakiejkolwiek oficjalne służby na świecie, ponieważ działali po obu stronach, rozumiesz? Tajne operacje. Wystarczy dać im środki, powiedział Frank, a stworzą taką wersję Kukułki, która będzie w stanie stawić czoła przyszłości. Zwalczaj ogień ogniem, taka była jego filozofia. Jeśli chcesz zwalczać ekstremistów, musisz wychować ekstremistów.

Spojrzał na kobietę. Nic nie zapisywała.

– I do tego go pan upoważnił? – spytała.

– No cóż, nie. Oczywiście, że tego nie zrobiliśmy – odparł David Cartwright. – To był szaleniec. Kazaliśmy mu spadać.

Coe miał sucho w ustach; z trudem przełknął i odkaslnął. Lamb, uosobienie empatii, nalał sobie kolejnego drinka.

Catherine odezwała się z ciemności:

– Na litość boską, dajcie mu chociaż wodę.

– Och, chce mu się pić? – spytał Lamb. – Chce ci się pić? Trzeba było powiedzieć.

– Mówienie nie jest jego mocną stroną – odparła Catherine. – W tym sęk.

Coe, zaskakując wszystkich i samego siebie, rzekł:

– Nic mi nie trzeba.

– No i widzisz – odezwał się Lamb. – Niczego mu nie trzeba. – Zapadł się jeszcze głębiej w swój fotel. I tak już przypominał portret Dalego. – I dopóki nie zobaczy żadnego noża, nic mu nie będzie.

Od tych słów powietrze zaczęło wibrować. Coe to słyszał i wiedział, że jeśli zamknie oczy, poczuje to: ostrze rozcinające jego miękką brzuch, a potem mokry, oślizły plask, gdy wszystko, co miał w sobie, uderza o podłogę.

– Chyba nie masz ataku paniki, prawda? – spytał uprzejmie Lamb.

– Nie.

– A czy myśl o tym, że mógłbyś mieć, cię przeraża?

– Na litość boską, Jackson, daj mu spokój!

– Krążyły plotki. O Kukułce – powiedział Coe.

Zawsze krążyły jakieś plotki. Szpiedzy uwielbiają swoje opowieści – to dlatego są szpiegami.

Ale Catherine spytała:

– Skąd pochodziły? Te plotki.

– Od jednego z nauczycieli na kursie – odparł po chwili zastanowienia Coe. Czuł się dziwnie, grzebiąc we wspomnieniach z tamtej części swojego życia, gdy jeszcze się trzymał. To jak szperanie na cudzym strychu. – Ten scenariusz przedstawiono jednemu z zespołów od strategii w czasach, kiedy runął mur.

– Mózgowcy – stwierdził Chapman.

– Tak – mruknął Lamb. – Ci, którzy zamiast operacji mają konsole. Opowiedz mi o tym scenariuszu.

– Z ludźmi z Regent's Park skontaktował się amerykański agent, facet z Firmy, który zamierzał dopracować pomysł Kukułki. Zamiast wymierzyć go w konkretne nacje, chciał zobaczyć, czy dałoby się... stworzyć ekstremistę. Wychować prototyp fanatyka. Miał proroczą wizję, trzeba mu to przyznać.

Myślał w kategoriach zamachowców samobójców na długo przed tym, nim Zachód uświadomił sobie to zagrożenie.

– A w jaki sposób zamierzał stworzyć tego fanatyka? – spytał Chapman.

– Przez indoktrynację. Wychowywałoby się dzieci w odpowiednim otoczeniu, byłyby tym, czym chciałbyś, żeby były. Katolikami. Komunistami. Tancerzami baletowymi. Fanatykami.

Chapman zerknął na Lamba.

– Amerykanin. Frank?

– Les Arbres jest w środkowej Francji, to nie jakiś obóz szkoleniowy na pustyni – zauważył Lamb. – Prędzej wychowaliby tam obżerających się serem hipisów niż oddział samobójców.

– Ale nigdy tego nie zrobiono, prawda? – odezwała się ukryta w półmroku Catherine. – Nigdy nie dostał zielonego światła. Czy nie dlatego to były tylko pogłoski i opowieści? Bo nigdy nie było tego w programie.

– Tak jak mówiłem, okazało się, że nie był z Firmy – odparł Coe. – Wcześniej był agentem CIA. Skreślono go, bo okazało się, że nie jest niezawodny; kiedy się o tym dowiedzieli, pokazali mu drzwi. A więc nie, jego projekt Kukułka nigdy nie doszedł do skutku. Stał się po prostu jedną w tych anegdotek, które ludzie opowiadają sobie, gdy pogasną światła.

– W takim razie co się działo w Les Arbres? – spytał Chapman.

– Jeśli nie dostał oficjalnego poparcia od swoich i w Regent's Park też go nie uzyskał, to wygląda na to, że skorzystał z tylnych drzwi. I zgadnij, kto mu je przytrzymał, żeby się nie zatrzasnęły? – zabrał głos Lamb.

– Cartwright? – spytał Chapman. – No nie, daj spokój... Cartwright?

– A teraz, po tych wszystkich latach, oni próbują te drzwi zamknąć – stwierdził Lamb. – A więc tak, Cartwright.

– O mój Boże – westchnęła Catherine.

– A tobie co się stało?

– Dlaczego teraz? – spytała. – Po co próbują zakopać to teraz, gdy minęło już tyle czasu?

Lamb zmrużył oczy i zmiażdżył papierosa w kubku na kawę, który do połowy był już zapelniony petami.

– Co? – spytał Zły Sam.

– Nie rozumiesz? – powiedziała Catherine. – Projekt Kukułka. Fanatycy tworzeni do konkretnych celów...

– O cholera – zaklął J.K. Coe.

– Westacres – rzucił Lamb.

Wiele musi popłynąć łez², pomyślał niejasno Claude Whelan. Słowa zapomnianej piosenki, chwila z jego przeszłości. Wysokie kieliszki na krochmalonym obrusie. Jadalnia z widokiem na morze; szyby mokre od deszczu. Gdyby zapytał, Claire potrafiłaby powiedzieć, które to były wakacje, jaki miesiąc i rok, który hotel. Sam był beznadziejny, jeśli chodzi o takie szczegóły, jego zdolność zapamiętywania faktów ograniczała się do pracy. Poza pracą miał po prostu rozległy widok, taki jak z okien tamtego hotelu, i mało charakterystyczne szczegóły, które mogłyby się pojawić wszędzie: wysokie kieliszki, nieskazitelny obrus.

Był na klatce schodowej; chciał chwilę odpocząć od centrali. Okazja, by szybko zadzwonić do Claire, dać jej znać, że się spóźni. Ona to rozumiała, oczywiście, że tak. Był Pierwszym Biurkiem. Całemu krajowi jeszcze drżały kolana, wstrząsy z Westacres wciąż poruszały stolicą. Bardzo poważnie traktowała kwestie lojalności. Byłaby zszokowana, gdyby zasugerował, że wyjdzie wcześniej.

- Zostań tak długo, jak będzie trzeba – powiedziała.
- Dziękuję, kochanie.
- Pościelę ci łóżko dla gości.

A teraz obserwował krople deszczu spływające po szybach, wiele kilometrów od tamtego hotelu, w którym spędzał urlop, i rozmyślał nad kwestią lojalności; nad tym, jak popycha człowieka w różnych kierunkach. Dziś rano pierwszy raz przemawiał na spotkaniu sztabu kryzysowego COBRA i jego Drugie Biurko zrobiło z niego kłamcę. Miała ku temu dziwnie przekonujące powody, ale zdrada zawsze ma przekonującą stronę. I oczywiście było z tego jakieś wyjście: zrobić to, co do niego należy, złapać tych złych ludzi, a wtedy problem sam zniknie. A i tak zamierzał to zrealizować, więc właściwie w czym tkwił problem?

Wiedział jednak, że Claire ze swoim bezkompromisowym podejściem do etyki uważałyby zupełnie inaczej: spodziewałyby się, że w tym momencie będzie już rozmawiał przez telefon z premierem, żeby złożyć dymisję – tajne służby upuściły piłkę; do diabła, tajne służby naoliwioną szmatką wypolerowały piłkę, napompowały ją i przekazały opozycji. „Proszę, to dla was. Zróbcie z tym najgorsze, co możecie”. To wszystko było przed mianowaniem go na to stanowisko, ale to nie miało znaczenia. Nie musiałeś być przy tym, gdy upuszczono piłkę. Wystarczyło stać w niewłaściwym miejscu, gdy ktoś to zauważył.

I Whelan wiedział, że to honorowe wyjście, pewnie też najbezpieczniejsze, ale... ale niech to szlag, „zablokowaliby nas, Claude. Grupa Specjalna przetrząsnęłaby każde biurko. Przy tym sprawa siatki szpiegowskiej Cambridge byłaby jak pogaduszki na przyjęciu w ogrodzie”.

A więc nie tylko zostałyby najkrócej urzędującym Pierwszym Biurkiem w historii, ale też takim, za którego mikroskopijnej kadencji tajne służby skuto łańcuchem; miałby okazję zobaczyć, jak działa sąd wojskowy w MI5.

Zdjął okulary i wyczyścił szkła rękawem marynarki. W chwilach słabości lubił przypominać sobie pseudonim, jakiego używał za rzeką: Galahad. Wszyscy analitycy mieli przydzielone pseudonimy, głównie po to, by świecić odbitym blaskiem prawdziwych szpiegów. A więc Galahad, a Claire była tym zachwycona. „Mój rycerz na białym koniu”, powiedziała. Czy naprawdę kiedyś istnieli tacy rycerze, czy też byli zaledwie bandą utalentowanych zbirów? To nie miało znaczenia; przypomnianie sobie, że

był Galahadem, podnosiło go na duchu. Gdy został Pierwszym Biurkiem, był zmuszony zmienić pseudonim: stał się RP1, funkcjonalne, owszem, ale nudne. I nie był już sam; ostatni raz przetaił okulary i włożył je z powrotem na nos.

Znalazła go Diana Taverner.

– Nowe wiadomości – powiedziała.

Czekał.

– Adam Lockhead. Jeden z...

– Zasobów – powiedział.

Zimnych trupów.

– Pojawił się.

Whelana zalała fala ulgi.

– Gdzie?

– W Eurostarze. Paszport uruchomił alarmy, gdy przechodził przez kontrolę graniczną. Jego pociąg przyjeżdża za pięć minut.

– Kazałeś go aresztować?

– Wysłałam Flyte. – Przerwała na chwilę. – Byłoby najlepiej, gdyby nie pozostał żaden... oficjalny ślad z aresztowania. Na wszelki wypadek.

Whelana znów spojrzał w stronę okien: bardziej na nie niż przez nie. Krople deszczu kreśliły zygaki, spływając na parapet, jakby to był najbezpieczniejszy sposób nawigowania po szkle.

Złapać złych ludzi, pomyślał, i problem zniknie.

– Cóż... – powiedział w końcu. – Informuj mnie na bieżąco.

Przechodząc przez kontrolę bagażową przed wejściem do pociągu, River odniósł wrażenie, że uruchomił jakiś cichy alarm. „Miłej podróży, sir”. Jasne, dzięki, ale River wyczytał w zmarszczonych brwiach pucufowanej, lecz ładnej strażniczki, że coś pojawiło się na jej ekranie, gdy podawała mu „jego” paszport. Czerwona lampka. Ale nie na tyle czerwona, żeby nie pozwolili mu wsiąść do pociągu.

A to równie dobrze mogło oznaczać, że chcą, by wrócił do Anglii, robiąc przy tym jak najmniej zamieszania.

A więc w pociągu, gdy szary zimowy krajobraz umykał w ciemność, jeszcze zanim pociąg wjechał do tunelu pod morzem, River zastanawiał się, w jak wielkie wpadł kłopoty. Podróżowanie z cudzym paszportem? Nie za dobrze, choć mógł przekonująco stwierdzić, że to przykrywka; wciąż pracował w MI5, choć takie stwierdzenie zabrzmiałoby pusto w uszach każdego, kto kiedykolwiek słyszał o Slough House. Ale podróżowanie z paszportem kogoś, kto niedawno zginął od dwóch strzałów w twarz? To mogło wymagać więcej pewności siebie, niż udawał przed tamtą strażniczką.

W końcu zasnął i obudził się dopiero, gdy pociąg wjeżdżał do Londynu: był wczesny wieczór, a pogoda wciąż była paskudna. Ponieważ River nie musiał się martwić żadnym bagażem, jako pierwszy wysiadł na peron i dołączył do rzeszy ludzi kłębiących się wokół St. Pancras w nieskoordynowany sposób, typowy dla tłumów na całym świecie. Metro, zdecydował. Ruszy w stronę metra. To będzie najlepszy sposób, żeby się ich pozbyć.

Bo nie wątpił, że jest ktoś, kogo trzeba zgubić. Może nie był już na wrogim terenie, ale zdecydowanie wrócił na Ulicę Szpiegów.

Emma Flyte wypatrzyła go, gdy wysiadł z pociągu. Dość młody, o raczej jasnych włosach, stosunkowo wysportowany, bez bagażu – z pewnością byli inni kandydaci, ale miała pewność, że to ten. Trzymała przy uchu telefon, co było dobrym kamuflażem w większości miejsc.

- Myśle, że to on – powiedziała do Devona Wellesa.
- Zrozumiałem – odpowiedział Welles. W chwili, gdy Emma zadzwoniła, właśnie wrócił do centrum i siedział teraz na stołku przed knajpką z sushi. – Gotowa się zabawić?
- Kiedy tylko zechcesz – zasugerowała i wsunęła telefon do kieszeni. Jest taki typ roboty, w której potrzebuje się obu wolnych rąk.

Spanie w pociągu go rozkojarzyło, wytrąciło z równowagi i jego niespodziewany wyjazd do Francji wydawał się już czymś odległym. Wyraźniej pamiętał wydarzenia z tamtej nocy – ciężar broni w ręce, gdy zatarł twarz martwego Adama Lockheada. Czerwone smugi na ścianie i u góry klatki schodowej; ślady, które pozostawił jego dziadek, schodząc do kuchni, gdzie River zastał go po przybyciu.

„Wiedziałem, że to nie ty”.

Ale teraz River był nim, a przynajmniej używał jego paszportu. Adam Lockhead; czyli Bertrand, syn Franka. Francusko-amerykańska hybryda używająca angielskiej przykrywk. Zastanawiał się, co stało się w Les Arbres i ile z tego wiedział jego dziadek; zastanawiał się, czy smugi krwi pozostawione przez dziadka na meblach nie były jedynie wierzchołkiem góry lodowej. River zawsze wiedział, że S.D. był szpiegiem, ale pewne części swojego wizerunku umyślnie pozostawił niejasnymi. Jego dziadek musiał być odpowiedzialny za zabicie wielu osób: przez zaniedbanie, poświęcenie ich, umyślnie wyznaczenie na cel. River zastanawiał się jednak, ile razy S.D. rzeczywiście pociągnął za spust. Byłoby to ironią losu – choć nie był pewien, czy „ironia” jest tu właściwym słowem – gdyby jedyny człowiek, którego David Cartwright zabił własnymi, poplamionymi krwią rękoma, zginął, gdy ten nie panował już nad własnym umysłem.

River zdążył już wyjść z St. Pancras i kierował się w stronę podziemnych peronów, które ta stacja dzieliła z King’s Cross. Kiedy tu był, nie potrafił nie przypomnieć sobie ranka, gdy sparaliżował tutaj ruch: spierdalone ćwiczenie w godzinach szczytu, błędnie zidentyfikowany „terrorysta” – niebieska koszula, biały T-shirt – i prognozowane stu dwudziestu zabitych lub okaleczonych, dwa i pół miliarda funtów strat w turystyce... Nie wiedział, jak wyliczono te liczby, ale to nie miało znaczenia, bo jakkolwiek by im się przyglądać, efekt zawsze był taki sam: teraz River był kulawym koniem, a King’s Cross – przeszkodą, na której poległ. Przebywanie tutaj to jak wbijanie wykałaczki pod paznokiec. Gdyby to od niego zależało, wysadziłby w powietrze to cholerne miejsce, ale to właśnie dlatego w ogóle wpakował się w te kłopoty.

Potem poczuł, że ktoś jest zbyt blisko za nim, i nim zdążył się odwrócić, ciężka jak kamień ręka chwyciła go za ramię.

– Adam Lockhead?

Złapał go jakiś mężczyzna, ale powiedziała to kobieta – uderzająco atrakcyjna blondynka.

– Chyba z kimś mnie pani pomyliła – odparł.

– Cóż, wkrótce się o tym przekonamy, prawda?

W ręce jakimś cudem trzymała jego paszport – na każdej wolnej powierzchni wisiały plakaty ostrzegające przed kieszonkowcami, ale żaden z nich nie sugerował, że ci profesjonalni cwaniacy mogą być tak bezczelni.

– Nie, to pan – powiedziała, otwierając go. – Adam Lockhead. A może pan nie dosłyszał?

Wyprowadzili Rivera na ulicę, szli we troje obok siebie, jak koledzy z pracy udający się na zebranie.

– Jestem z tajnych służb – oznajmił, gdy wychodzili na szare wieczorne światło.

– Doskonale – odparła. – Bo to daje mi tak wiele uprawnień, że nawet by pan w to nie uwierzył.

Niewiele rzeczy dawało uczciwemu gliniarzowi tyle satysfakcji co dokonanie aresztowania; dopiero później, gdy pojawiali się prawnicy, prokuratura i cała machina prawna, wszystko zmieniało się w papierkową robotę i szukanie furtek. Nie była już policjantką, a to nie do końca można było nazwać aresztowaniem, a jednak Emma Flyte czuła przyjemny dreszczyk, wsiadając razem z więźniem na tylne siedzenie. Devon też wczuł się w tę chwilę: wyczytała to z ułożenia jego ramion i z tego, jak niedbale rzucił na podłogę mandat za parkowanie, który dostali.

Ale to też policyjna cecha – owo dziwne uczucie, jakby coś próbowała sobie przypomnieć, gdy patrzyła na Adama Lockheada.

Z wolna dobiegały końca godziny szczytu i gdy Devon włączył się do powoli płynącego ruchu na Pentonville Road, Lockhead się rozejrzył.

– To nie jest droga do Regent's Park.

To była prawda. Kierowali się do innego bezpiecznego domu – gdyby MI5 kiedykolwiek zdecydowało się na wynajmowanie prywatnych lokali, nie musieliby się martwić o koszty. Ale też nie mieliby gdzie upchnąć takich ludzi jak Adam Lockhead na czas, gdy będą się zastanawiać, co z nim zrobić.

Trzymajcie go w izolacji. Nie przesłuchujcie go. W razie potrzeby – skrupujcie. Tak brzmiały instrukcje Diany Taverner. Emma zaczynała coraz bardziej czuć się dziewczynką na posyłki Lady Di, a nie szefową wydziału wewnętrznego.

– Kim on jest? – spytała. Uważała, że nie jest to niedorzeczne pytanie.

Od reakcji Taverner niemal roztopiła jej się komórka: to był dwudziestosekundowy wybuch kontrolowanej furii, po którym powtórzyła swoje wcześniejsze instrukcje. Trzymajcie go w izolacji. Nie przesłuchujcie go. W razie potrzeby – skrupujcie.

Gdyby nie to, Emma z pewnością nie powiedziałaaby do Lockheada tego, co powiedziała teraz, a mianowicie:

– Poznaliśmy się?

Wpatrywał się w nią z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Myślę, że bym to zapamiętał.

To przez ten pieprzyk nad jego górną wargą. Nie chodziło o to, że go rozpoznała, ale poruszył coś w jej wspomnieniach; miała irytujące poczucie, że lada chwila sobie to przypomni. Znów otworzyła jego paszport i zerknęła na zdjęcie. To nie był ten sam człowiek. Podobny, ale nie miał pieprzyka. I wtedy w jej głowie pojawiły się słowa. „Będziecie potrzebować pęsety i sitka”. I już prawie dotarła do tego wspomnienia – właśnie miała wyciągnąć je jak rybę z wody i rzucić na pokład swojej świadomości – gdy coś mocno uderzyło w bok samochodu, jej zęby zazgrzytały od zderzenia z Lockheadem i cały świat pociemniał.

Nie był w stanie osiągnąć prędkości, którą lubił – w końcu to centrum Londynu, zwykle pułapem było tu tempo spacerowe – ale w tych okolicznościach mocno uderzył w cel. Gwałtownie skręcił na przeciwny pas, gdy ruch z przeciwnej strony chwilowo osłabł, a potem z całej siły uderzył w bok samochodu od strony kierowcy. W kilka sekund opuścił pojazd, który dopiero co ukradł. Po wydarzeniach poranka lekko utykał, ale poza tym nic mu nie dolegało. Kierowca samochodu, którym jechał cel, był potężnie zbudowanym czarnoskórym mężczyzną, którego reakcje były znacznie poniżej normy i sprowadzały się głównie do tego, by połknęła go poduszka powietrzna.

Wokół nich samochody zatrzymywały się z piskiem opon, piesi wskazywali palcami. Oczywiście wciąż padało; idealne warunki do wypadku.

Drugiego, w którym brał udział tego dnia.

Po tym, jak z boku najechała na niego taksówka na parking przed warszatem samochodowym – na co ledwie miał czas się przygotować – kontrolę przejęły instynkty. Ciało zignorowało umysł i skoczył na dach, wciągnął się na taksówkę, nim z piskiem opon zahamowała – Patrice zniknął w tych samych bocznych uliczkach, w których wcześniej próbował się rozplątać Sam Chapman, ale ze znacznie lepszym skutkiem, bo nikt za nim nie podążał. Wciąż byli zbyt zajęci zbieraniem się z ziemi. Nadal lało, a od czasu do czasu słychać było groźny pomruk z nieba, jakby niechętnie dawało znać, że bardzo się stara. Nim ponownie wyszedł na główną ulicę, chodniki w znacznej mierze opustoszały, w studzienkach kotłowała się poplamiona olejem woda, a na skrzyżowaniach utworzyły się kałuże.

Nic tak dobrze nie oczyszcza ulic jak deszcz.

Zadzwoił do domu. Ta część Patrice'a, która nie miała ochoty tego robić, nie miała szans z tą, która uparcie przestrzegała protokołu.

– Paczka wciąż niedostarczona.

Odpowiedziało mu milczenie, które aż gwizdało na linii przez całą Europę. Nie był do końca pewny, skąd dochodziło. To również należało do protokołu.

W końcu Frank się odezwał:

– Jesteś skreślony?

To oznaczało ranny lub schwytyany.

– Jestem złoty – odpowiedział Patrice, bo każdy inny metal oznaczałby coś przeciwnego. Obrażenia, jakich doznał, przetaczając się po dachu taksówki, nie były warte tego, by o nich wspominać. Takie rzeczy miały znaczenie, tylko kiedy cię spowalniały; jeśli cię nie spowalniały, byłeś złoty. – Jestem złoty.

– Bertrand się pojawił.

Słyszac to, Patrice się rozpromienił. To było nieprofesjonalne z jego strony, ale nic nie mógł na to poradzić; skoro Bertrand żył, wszystko jeszcze mogło dobrze się ułożyć. Yves'a oczywiście już nie było, został rozerwany na kawałki w akcie szalonego męczeństwa, co nie znaczyło jednak, że to już koniec. Musieli po prostu posprzątać bajzel, który po sobie pozostawił, przykrywając grubym zimnym kocem wszystkich, którzy potrafili ich rozpoznać. To była prawdziwa spuścizna Yves'a. Chciał wypełnić coś, co uznał za swoje przeznaczenie, ale osiągnął jedynie tyle, że zniszczenie wszelkich śladów jego przeszłości stało się koniecznością.

Przeszłość ta istniała wyłącznie w postaci fragmentów. Podobnie jak Patrice, jak Bertrand i reszta z nich, Yves nie miał prawdziwego dzieciństwa; zabrano mu je i zastąpiono wartościami uznanymi za cenne przez Franka: posłuszeństwem wobec niego i brakiem zaufania wobec wszystkich innych. Zachęcano ich do przywiązywania się tylko dlatego, że bez tego nie byłoby czego oczyszczać. Patrice pamiętał, jak na siódme urodziny Yves'a Frank dał chłopcu zdjęcie jego matki, pierwsze, jakie Yves dotąd widział. Frank pozwolił mu przyglądać się fotografii przez całe pięć minut, a potem podał mu pudełko zapatek. Yves nie wahał się ani chwili. Miał radość w oczach, kiedy deptał kleiste resztki zdjęcia.

Zawsze posuwał się dalej niż którykolwiek z nich. Patrice trochę bał się Yves'a. Czasami zastanawiał się, czy Frank także.

Bertrand był jednak obiektem przywiązania, którego Patrice nigdy się nie pozbył. Jeśli Bertrand żył, razem mogli dokończyć misję i wypierdalać z tej zapomnianej przez Boga wyspy.

Ale spytał tylko:

– Gdzie?

– Na St. Pancras. Paszport Lockheada.

Nie należało pytać, skąd Frank ma informacje. Po prostu się wiedziało, że ma swoją siatkę, widmowe pozostałości kontaktów z CIA. Kiedy paszport Bertranda został wychwycony podczas kontroli granicznej, ktoś gdzieś sięgnął po telefon. Ale to z kolei mogło oznaczać, że tożsamość Lockheada jest spalona...

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w czasie, jaki zajęło mu powiedzenie:

– Już się do tego biorę.

Rozłączył się. Nie było sensu czekać na instrukcje. Życie w Les Arbres nauczyło go, co trzeba zrobić, a w tym przypadku oznaczało to dotarcie na St. Pancras, zanim wydarzenia go wyprzedzą. Jeśli paszport Bertranda został wychwycony, będą na niego czekać służby. A spośród wszystkich rzeczy, do których nie wolno było dopuścić, wpadnięcie Bertranda w ręce MI5 znajdowało się bardzo wysoko na liście.

Co robił w pociągu Eurostar? Dokąd pojechał i po co? Te pytania mogły na razie zaczekać. Tym, czego Patrice w tej chwili potrzebował, był samochód.

Na szczęście w jego najbliższym otoczeniu stało ich kilka.

Gdy wjechało w nich auto, River uderzył głową w sufit, a potem jeszcze raz w głowę tej blondynki, kiedy na niego wpadła. Ich wóz – oczywiście nie jego, ale w tych okolicznościach się z nim identyfikował – został zepchnięty bokiem na barierkę, a samochód, który ich zaatakował, odbił się kilka metrów w tył i znieruchomiał pośrodku drogi, blokując ruch. River nie czuł dymu, ale powietrze aż zgęstniało od zapachów uszkodzonego samochodu: woni benzyny i rozdartego metalu.

To, co widział przed sobą, było pofałdowane i jakieś zupełnie nieprawdopodobne; dopiero po chwili zrozumiał, że to poduszka powietrzna.

Uniosł rękę przed oczy – wydawało się, że wykonanie tego gestu trwa całą wieczność. Nie miał wstrząśnienia mózgu, ale znalazł się w bańce czasu, która uniemożliwiała swobodne poruszanie się. Jego dłoń nie przypominała niczego, co mógłby rozpoznać. Na chwilę powróciło wspomnienie martwego królika na blacie, nie było jednak żadnego wyraźnego powodu, by o tym teraz myśleć, i w następnej chwili wspomnienie znikło. Jego dłoń była tylko jego dłonią. Bolała go głowa, ale nie miał wstrząśnienia mózgu.

Poduszka powietrzna stłumiła jęk kierowcy. Tymczasem kobieta wyprostowała się i potrzęsła głową. Jej idealna twarz będzie potwornie posiniaczona – zakładając, że przeżyje następnych kilka minut.

Ktoś wysiadał z samochodu, który ich staranował.

Marynarka blondynki wcześniej się rozsunęła i River widział kaburę z heckler & kochem – miał dłoń na rękojeści, ale teraz jej ręka zacisnęła się na nadgarstku Rivera i kobieta warknęła; to nie były słowa, tylko pełne wściekłości dźwięki. River się cofnął i spróbował otworzyć drzwi, ale zablokowała je barierka. Blondynka niezgrabnymi, mechanicznymi ruchami wysunęła broń.

– Devon – powiedziała. Miała wstrząs mózgu. Albo poważne braki z geografii. A jego drzwi wciąż nie chciały się otworzyć.

Otworzyły się natomiast te od strony blondynki. Do środka zajrzał młody mężczyzna, ciemnowłosey, w skórzaną kurtkę mokrej od deszczu. I River go rozpoznał, bo widział jego zdjęcie. Być może ten młody mężczyzna też go znał, bo przez chwilę na jego twarzy malowały się różne uczucia: rozpoznanie, zdumienie, rozczarowanie. Potem znów stała się nieodgadniona, dokładnie w chwili, gdy blondynce wreszcie udało się wyjąć broń i wymierzyć ją w niego.

– Cofnij się – powiedziała. – A potem połóż się na ziemi.

Jej głos brzmiał imponująco stanowczo.

Ale młody mężczyzna w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w Rivera.

Blondynka odpięła pasy i pochyliła się w stronę otwartych drzwi. Jej broń znalazła się o kilka centymetrów od twarzy mężczyzny.

– No już!

Cofnął się z uniesionymi rękoma, ale tylko na wysokość ramion.

Kobieta wysiadła z samochodu.

Patrice nie przejął się zbyt bronią – a przynajmniej nie tą, którą widział. Ta, którą widział, była dla efektu; do mierzenia, kiedy ktoś wrzeszczał, a wrzeszczeli zawsze to samo: ręce do góry, na ziemię, nie ruszaj się. Ale nic z tego nie wynikało. Ludzie, którzy chcieli, żebyś położył się na ziemi, nie strzelali do ciebie, jeśli tego nie zrobiłeś, bo gdyby byli typem, który zamierza cię zastrzelić, nie kazaliby ci się kłaść na ziemi. Zastrzeliliby cię.

A więc kobieta nie była problemem, ale mężczyzna tak. Bo to nie był Bertrand, ale w pierwszej chwili Patrice'owi zdawało się, że tak: mieli prawie te same rysy; takie same włosy. Oczywiście. Coś się tu działo; pełzało pod skórą jak robak w jabłku.

Niebo wydało gniewny pomruk, deszcz dalej padał.

Gdzieś niedaleko zawyła syrena.

Kobieta zdążyła już wysiąść z samochodu; nogi rozstawione w prawidłowej odległości od siebie, wyciągnięte ręce, lewa dłoń stabilizująca prawy nadgarstek. To mogło oznaczać, że wcześniej używała już broni albo że po prostu obejrzała parę filmów.

– Kazałam ci położyć się na ziemi.

– Co się tutaj dzieje?

Patrice nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że to cywil.

Nie odrywając wzroku od Patrice'a, kobieta powiedziała:

– Proszę pana, proszę wracać do samochodu. Wszystko jest pod kontrolą.

– Jesteś tego pewna? – spytał Patrice.

– Zamknij się. I połóż się na ziemi. – A potem powtórzyła do nieznajomego, który się wtrącił: – Niech pan wraca do samochodu!

– Zadzwoń na policję.

– Świetnie. Niech pan tak zrobi. Z samochodu.

– Wszystko się komplikuje – powiedział Patrice. – Wtrącili się cywile. Deszcz tylko wszystko pogarsza. A policja będzie miała problem, żeby tu dojechać w tym korku.

– Kazałam ci położyć się na ziemi.

– Jest mokro. I muszę porozmawiać z twoim więźniem. Bo to twój więzień, prawda?

Czy nim był, czy nie – on też właśnie wysiadł z samochodu i przytrzymał się ręką dachu, żeby nie stracić równowagi; to zdumiewające, pomyślał Patrice, jak coś tak trywialnego jak wypadek samochodowy potrafi wstrząsnąć ludzkim ciałem. Ale wszystko zależało od tego, czy się tego spodziewałeś.

– Na. Ziemi.

Znów ta kobieta. Próbowwała przybrać ton kogoś, kto nie zamierza się powtarzać, ale Patrice mógłby jej pokazać, że zrobiła to już kilka razy, a wciąż do niego nie strzeliła.

Zbliżył się o krok z rękoma wciąż uniesionymi na wysokość ramion. Za jego plecami ten sam głos co wcześniej krzyknął coś o policji, ale większość słów zagłuszyło bębnienie deszczu o dachy samochodów. I było też słychać przyjemny syk silnika wozu, który Patrice ukradł i który teraz wymagał poważnego remontu. Na chodnikach parasole przytuliły się do siebie w obronnej formacji. Wyglądało to niemal jak początek musicalu.

– Nie zamierzam... – zaczęła kobieta.

W tej samej chwili mężczyzna powiedział:

– Patrice.

– ...ci tego powtarzać.

– Patrice.

Powiedział to mężczyzna za jej plecami, ten, którego znała jako Adama Lockheada, i jeden z kawałków układanki wskoczył na swoje miejsce – znali się; to był ratunek. Przesunęła się w bok, żeby mieć na oku ich obu. Devon wciąż był w samochodzie. Emma miała nadzieję, że nie jest ranny, bo w tej chwili naprawdę przydałoby jej się wsparcie.

Znów zasyczała w jej mózgu ta iskra, „będziecie potrzebować pęsety i sitka”, i powiedział to Jackson Lamb, ten obleśny szpieg, który śmierdział wodą, petami i milionem grzechów. I który błędnie zidentyfikował zwłoki jako Rivera Cartwrighta, bo ten tutaj to był Cartwright, z pieprzykiem nad wargą.

A facet, który ich staranował, wciąż się nie położył na ziemi; nawet podszedł bliżej. Jeśli wydawało mu się, że do niego nie strzeli, to śmiertelnie się mylił. Mógł zginąć w każdej chwili, bo minęły zaledwie trzy marne dni, odkąd bomba w Westacres zabiła te wszystkie dzieciaki, i jeśli nawet nie był to otwarty sezon na złych facetów, to brukowce i tak nie narobiłyby zamieszania.

– Patrice? Właśnie wracam z Les Arbres.

– Zamknij się – rzuciła, nie odrywając wzroku od Patrice’a. – I wracam do wozu.

– Ono spłonęło, Patrice. Już nic tam nie ma.

– Wiem – powiedział Patrice i Emma otworzyła usta, by po raz ostatni kazać mu położyć się na ziemi, zanim do niego strzeli; i mniejsza z tym, że w czasie, kiedy będzie to mówić, ktoś wrzuci to na YouTube’a.

Tyle tylko że nic nie powiedziała, bo Patrice’a nie było metr od niej – znajdował się tak blisko, że mógłby jej dotknąć, a jej wyciągnięte ręce celowały w niebo. Pistolet wystrzelił i zapanował chaos.

Parasole na chodnikach się rozpięrzyły. Na ulicy samochody znów ruszyły, choć nie miały dokąd jechać.

Nie trzymała już broni. Miał ją Patrice i mierzył w jej twarz.

Gdyby Patrice coś powiedział, pomyślał River – gdyby zażądał od niej tego samego: „połóż się na ziemi” – to w jakiś sposób można by było poczuć się bezpieczniej; jak gdyby zmieniła się osoba, która kontroluje sytuację, ale jakby ta kontrola wciąż była ważna.

Ale teraz wyglądało na to, że Patrice zaraz zabije tę kobietę.

Po części był to efekt wyrzutu, który wciąż odbijał się echem nad ich głowami. Zbłąkana kula wyrывa w normalności dziurę, przez którą może się wśliznąć więcej przemocy.

– Patrice? – powtórzył takim tonem, żeby brzmiało to jak pytanie. – Patrice? Nie chcesz teraz zrobić nic głupiego.

Jeśli wziąć pod uwagę, że ostatni wyczyn Patrice’a obejmował staranowanie jadącego samochodu na ruchliwej londyńskiej ulicy, słowa te nie miały w sobie takiego ciężaru, na jaki liczył River. Postąpił

więc krok naprzód i wyciągnął rękę przed tę kobietę. Skoro już mowa o robieniu czegoś głupiego – to powstrzymałoby kulę tak jak masło powstrzymuje nóż.

– Nie tego chciały Jewgienij – powiedział.

– Kim... jesteś?

– Powiedz mu, żeby odłożył broń. Zaraz zjawią się tu wściekli chłopcy – głos blondynki brzmiał nadnaturalnie spokojnie. Jej włosy posklejały się od deszczu. River znał kobiety, u których samo to wywołałoby atak hysterii, nie wspominając o wypadku i o broni.

Ale jej interwencja nie pomogła.

– Zamknij się – powiedział jej. A potem do Patrice'a: – Ale ona ma rację. Masz niecałą minutę.

– Dwadzieścia sekund – dodała kobieta. – Najwyżej.

Ale to, pomyślał River, nie było tak pocieszające, jak wydawała się sądzić – gdy już zjawi się policja, ostatnim miejscem, w którym chciałoby się znaleźć, będzie to obok osoby trzymającej broń. Jak na organizację szczyczącą się tym, że nie nosi broni, londyńska policja spowodowała ostatnio imponującą liczbę cywilnych ofiar. Jasne, gwoźli sprawiedliwości należałoby wziąć pod uwagę wszystkich podejrzanych, którzy nie zostali postrzeleni, ale to najlepiej robić gdzieś na uboczu, a nie w publicznym miejscu.

A naprawdę chciał usłyszeć opowieść Patrice'a, zanim kule na ulicy skoszą ich obu.

– Kim jesteś? – powtórzył Patrice.

– Jestem Adam Lockhead – odparł River.

To nazwisko sprawiło, że wyraz twarzy Patrice'a wyraźnie się zmienił.

– Nie. Gdzie jest Bertrand? I dlaczego...

Syreny. Choć należało się przejmować tymi, których się nie słyszało – tymi, którzy skulili się pod osłoną samochodów albo obserwowali ich trójkę z jakiegoś położonego wyżej punktu.

Patrice najwyraźniej pomyślał o tym samym. Opuścił broń.

– Dobra. Zwijamy się.

– My? – spytała blondynka.

I w tej samej chwili Patrice ruchem tak płynnym jak ruch węgorka w wodzie uderzył ją wolną ręką w gardło. Osunęła się, nie wydając żadnego dźwięku. Na to przyjdzie czas później.

River zamachnął się i wyprowadził cios, ale z jakiegoś powodu trafił Patrice'a nie w skroń, jak zamierzał, tylko w otwartą dłoń, która zacisnęła się na jego pięści tak mocno, że aż poczuł to w palcach u nóg.

Patrice odezwał się tak spokojnie, jakby kupował owoce na straganie:

– My. Ty i ja. Albo cię tu zabiję.

Zabrzmiało to tak, jakby zastrzegał sobie możliwość, że zrobi to później w jakimś innym miejscu, ale River uznał, że nie za bardzo ma wybór.

– Tam – powiedział Patrice, wskazując nad korkiem w stronę wąskiej uliczki, gdzie wciąż zostało się trochę gapiów, choć większość się rozpierzchnęła, gdy Patrice oddał strzał nad ich głowami.

A potem River stwierdził, że biegnie, Patrice był tuż za nim, a za ich plecami dźwięki stały się przytłumione: zawodzenie syren pulsujące w deszczu; trąbiące samochody, których kierowcy wciąż nie połapali się, co się dzieje; i rżenie blondynki klęczącej na ulicy i uczącej się od nowa, jak oddychać.

* Tłumaczenie pierwszych słów piosenki *It's All in the Game*.

Jakiś czas temu Shirley zrobiła wykres na ścianie inspirowany znakami, które można zobaczyć przy wejściu na plac budowy. DZIAŁAMY ___ DNI BEZ WYPADKU. Na jej wykresie napisane było: DZIAŁAMY ___ DNI, PODCZAS KTÓRYCH HO NIE BYŁ FIUTEM, i zrobiła specjalną kartkę z numerami do wsuwania w to puste miejsce. Na jednej stronie widniało 0. Po drugiej tak samo. Bawiło ją odwracanie od czasu do czasu tej kartki. To właśnie dzięki takim drobiazgom życie w biurze było do zniesienia.

Zrobiła to teraz i opadła na swoje krzesło. Minęła już pora, o której zwykle kończyli pracę – a kulawe konie nie tyle przestrzegały godzin pracy, co wręcz dopieszczały je i dokarmiały – ale dziś nie był zwyczajny dzień i nikt nie szykował się do wyjścia. Nie bez powodu wstąpiła do MI5 i o ile impuls, który ją ku temu pchnął, został w znacznej części stłamszony pod przewodnictwem Jacksona Lamba, to wciąż jeszcze mógł obudzić się do życia za sprawą uczucia, że dzieje się coś wielkiego; coś, co gwarantuje akcję, a ją, Shirley, wyklucza.

Jak na przykład to: alerty Google wpadające do jej skrzynki e-mailowej.

– Widzisz to? – spytała.

Zwracała się do Marcusa. Louisa wciąż tu była – ze stopami w misce, niczym jakaś postać z sitcomu z lat siedemdziesiątych – ale miała zamknięte oczy i nie zareagowała. Marcus też nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w skupieniu w swój monitor i na podstawie jego grymasu Shirley mogła powiedzieć, że albo żałuje bardzo kiepskiej decyzji w internetowym kasynie, albo przegląda stan swojego konta w banku. Ostatnio Marcus miał problemy finansowe – delikatnie mówiąc. Ostatnio Marcus i pieniądze byli w próbnej separacji. I nie zapowiadało się do dobrze. Shirley przypuszczała, że wkrótce pieniądze opuszczą Marcusa na dobre; rzucą go i zostawią na świecie zupełnie samego, z wyjątkiem żony i dzieciaków.

A on uparcie myślał, że to Shirley ma problemy.

– Czy co widzisz? – spytał, nie podnosząc wzroku.

Wśród jej alertów było między innymi „uzbrojony terrorysta, Londyn”.

– YouTube’a – odparła. – O ja pierdołę! Czy to River?

Jeszcze raz kliknęła i odtworzyła filmik. Obraz był rozmyty, tym bardziej że padało: ktoś nagrał telefonem następstwa zdarzenia na skrzyżowaniu z Pentonville Road. Jeden samochód wpełznął drugi na barierki i stał obrócony bokiem z parą buchającą spod maski. Do staranowanego pojazdu zaglądał jakiś mężczyzna: można by pomyśleć, że sprawdza, czy nic się nikomu nie stało, tyle tylko że nagle uniośł ręce i cofnął się na widok broni.

– Kiedy to się pojawiło?

Za jej plecami stała boso Louisa i wpatrywała się w monitor.

– Parę minut temu.

Broń znajdowała się w rękach blondynki, która wysiadła z samochodu, wciąż celując, a po niej...

– Tam, widzisz? Czy to River?

...mężczyzna, który wyglądał na nieuzbrojonego. Nie było jednak jasne, po czyjej jest stronie, ponieważ kobiecie wyraźnie zależało, by trzymać go na muszce.

– To może być on – stwierdził Marcus, który do niej dołączył. – Widać, że ją wkurzył.

Ale obraz był zbyt niewyraźny, by mogli mieć pewność. Wizerunek postaci na przemian wyostrzał się i rozmywał w rytm zmiany poziomu podniecenia osoby trzymającej telefon.

A potem coś się stało tak szybko, że żadne z nich nie było w stanie powiedzieć, co to było: pierwszy mężczyzna wykonał jakiś ruch i broń wystrzeliła. Niewidoczni ludzie wokół krzyknęli i w kadrze najpierw znalazło się niebo, a potem pojawił się kolaż chodnika i poruszających się stóp, a w tle słychać było przekleństwa i ludzi pytających się nawzajem, co właśnie widzieli.

Filmik dobiegł końca.

– Puść to jeszcze raz – powiedziała Louisa. – Zatrzymaj na Riverze.

Ponownie obejrzeli pierwszych dwadzieścia sekund i pochylili się nad monitorem, gdy Shirley wcisnęła pauzę.

Zatrzymany deszcz rozmył trzy postacie do ciemnych konturów.

– Tak – powiedziała Louisa. – Tak, to chyba on.

Shirley wznowiła odtwarzanie i znów nastąpił ruch, wystrzał, świetliste smugi deszczu i tratujące chodnik stopy.

– Kiedy to się stało? – zapytała Louisa.

– Niedawno – powiedziała Shirley. – Jakieś piętnaście minut temu...

– Jakiś opis?

Shirley przewinęła w dół do bardzo pomocnego podpisu – brzmiał: „Ożeż kurwa!”, a poniżej znajdowały się elaboraty internetowych ekspertów.

ziomek z bronią

terroryści nie potrafią jeździć lol

OMG co się dzieje z Londynem!!!

– To była Pentonville Road? – spytała Louisa, kuśtykając w stronę krzesła i schylając się po skarpetki.

– Naprawdę się tam wybierasz?

– Jestem poobijana, nie okaleczona – warknęła, ale skrzywiła się, wycierając stopy chusteczką.

Marcus wzruszył ramionami.

– Jak tam sobie chcesz. Ale wciąż leje jak z cebra.

Shirley znów puściła filmik.

– Czyli na cały dzień zmył się do Francji, a jak tylko wraca, trafia w sam środek jakiegoś gówna? Dlaczego to jemu trafia się cała zabawa?

– Możesz trochę wyostrzyć obraz? – spytał Marcus.

– Nie. Ale jestem pewna, że to River.

– Patrę na tego drugiego. – Marcus popukał palcem w monitor. – Wydaje mi się, że to ten żartowniś, z którym mieliśmy do czynienia dziś po południu.

Oboje podnieśli wzrok, ale Louisa już wyszła.

– Pójdziemy z nią? – spytała Shirley.

– Da sobie radę. Będzie się tam roić od glin.

Shirley nie tyle martwiła się o Louise, ile bała się, że coś ją może ominąć. Ale jeśli były tam gliny, to oznaczało, że prawdziwa akcja już się gdzieś przeniosła. Ogólna zasada głosiła, że policja zjawia się na miejscu, gdy jest już po wszystkim.

– Coe przed chwilą był u Lamba, prawda? – spytała.

– Wydaje mi się, że słyszałem, jak wraca na dół.

– Muszę z nim pogadać – powiedziała. – Chcę wiedzieć, o czym rozmawiali.

– No i co teraz? – spytał Sam Chapman.

– Napijemy się jeszcze po jednym?

– To twoja odpowiedź?

– A masz lepszą?

Zły Sam westchnął i pchnął swoją szklankę po blacie.

J.K. Coe chwilę temu wyszedł z pokoju, po tym, jak Lamb kiwnął mu głową. Deszcz wciąż bębnił o szyby, a jego perkusyjny atak tłumiał myśli. W całym mieście w powoli wypełniających się pubach głównym tematem rozmów stała się pogoda, a zamach w Westacres pozostał tłem niczym uporczywy kac; jak coś, z czym trzeba żyć, ale co nie wymaga nieustannych dyskusji. Londyn zawsze opierał się próbom złamania jego ducha. Nawet zamachy z 7 lipca nie sparaliżowały miasta. Jednak, jak lubił podkreślać Lamb, dwuminutowe chwile ciszy w rocznicę tych zamachów trochę je spowalniały.

Obserwując, jak Lamb dolewa Chapmanowi do szklanki, Catherine powiedziała:

– To na pewno bardzo dobre dla integracji, ale niezbyt pomocne. Naprawdę myślimy, że projekt, który David Cartwright uruchomił ponad dwadzieścia lat temu, doprowadził do wydarzeń w Westacres?

– Jeśli tak to ujmijemy – stwierdził Lamb – to faktycznie brzmi to jak coś, co mogliby wymyślić tylko alkoholiczka, emerytowany szpieg i ktoś, kto przeżył traumę.

– Domyślam się już, którą z tych postaci jestem – odparła. – Nie mogę tylko zgadnąć, którą jesteś ty.

– Siebie pominąłem. Próbuję tylko ułatwić burzę mózgow.

– W każdym razie nie wydaje wam się, że powinniśmy przekazać to wyżej? – spytał Chapman. – Diana Taverner wciąż kieruje działem operacyjnym?

– O tak – odezwał się Lamb.

– Zakładam, że nie jesteście przyjaciółmi.

– Rozmawiamy przez telefon, czasem się spotykamy. Od czasu do czasu Diana próbuje doprowadzić do mojej śmierci. – Przeniósł ciężar z jednego pośladka na drugi. – Nawet nie pamiętam, czy kiedyś miałem żonę, ale pewnie jakoś tak musi wyglądać małżeństwo.

– On nie żartuje, prawda? – Chapman zapytał Catherine.

– Nie.

– A co z tym nowym gościem? Whelanem?

Lamb dalej torturował swoje krzesło, odchylając się do tyłu; gdyby coś żywego wydało taki odgłos jak to krzesło, wezwano by weterynarza. Albo policję.

– Już sobie wyobrażam, jak by to wyszło – odparł. – „Cześć, Claude. Kojarzysz tę bombę? Cóż, okazuje się, że to twoje tajne służby ją zbudowały, uzbroiły i odpaliły. Chcesz zwołać konferencję prasową czy ja to mam za ciebie zrobić?”

– Nikt nie twierdzi, że się ucieszą, kiedy się o tym dowiedzą – stwierdził Chapman. – Ale trzeba im powiedzieć.

– Może ktoś już to zrobił – odparł Lamb. – Ktokolwiek próbował załatwić starego Cartwrighta, przyjechał z Francji, zgadza się? Ale co z tym dowcipnisiem z dzisiejszego popołudnia? Też wziął się z tego samego miejsca? A może w Regent's Park o wszystkim wiedzą i zaczęli sprzątać ten bajzel? Bo dla starej gwardii byłaby to standardowa procedura, a o tym nowym chłopasiu nic nie wiem; równie dobrze mógł nam podesłać matkę Grendela. A więc nie trafił jeszcze na listę osób, którym zamierzam kupić prezent na święta.

– I tak podejmujesz decyzje operacyjne?

– Kiedy nie mam pod ręką monety.

– To miejsce jest tak porąbane, jak na to wygląda, prawda?

– Znasz mnie przecież – odparł Lamb. – Zawsze wymagam najwyższych zawodowych standardów. Pierdnął, choć trudno było powiedzieć, czy miało to być ilustracją, czy znakiem przestankowym.

Zły Sam pomachał ręką przed nosem i powiedział:

– Jezu, Lamb, coś w tobie zdechło?

– Sama się kiedyś nad tym zastanawiałam – wtrąciła cicho Catherine. – Ale on chyba zawsze taki był.

– Dzięki za wsparcie – rzucił Lamb. – A teraz może się na coś przydasz i ściągniesz tu tego Starego Drania?

W jego ustach czułe określenie używane przez Rivera zabrzmiało obraźliwie.

– Mówisz poważnie? – spytała Catherine. – Chcesz go przesłuchiwać?

– Kiedy to mówisz, brzmi to tak brutalnie – odparł Lamb. – Nie zrobię mu krzywdy. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – Najprawdopodobniej.

– Nie tknijesz go palcem.

– Ona tak ma ze starszymi facetami – Lamb zwrócił się do Złego Sama. – Jej ostatni szef strzelił sobie w łeb, ale to pewnie zbieg okoliczności.

– Była dziewczyną od wszystkiego Charlesa Partnera – powiedział Sam Chapman. – Wiedziałem, że skąds cię znam.

– „Dziewczyną od wszystkiego”?

– Ucieliśmy sobie pogawędkę po jego śmierci, prawda?

– Miło z twojej strony, że uważasz to za pogawędkę – odparła Catherine.

Pamiętała, że trwało to godzinami. W atmosferze paranoi, która nastąpiła po śmierci Partnera, każdego podejrzewano o to, że wiedział więcej, niż powinien. To na Catherine, która wiedziała znacznie mniej, skupił się główny impet dochodzenia psów, a ponieważ na krótko przed tym przestała pić, natychmiast zatęskniła za stanem, gdy po pijanemu urywał jej się film.

Byli tacy, którzy by ją teraz zapewniali, że robili tylko to, co do nich należało. Chapman był na tyle mądry, by się do nich nie zaliczać.

– Stary albo wie więcej, niż udaje, że wie, albo mniej, niż powinien – stwierdził Lamb. – Tak czy inaczej, zbadajmy te luki w jego historii, co? – Znow przesunął ciężar i krzesło głośno się poskarżyło. – Jeśli ty go tu nie sprowadzisz, ja to zrobię.

Potrząsnęła głową, jakby tylko do własnych myśli, i na tym skończył się jej opór. Bo to była prawda, musieli się dowiedzieć, co wie David Cartwright. Wstała więc i wyszła z ponurego gabinetu, żeby go przyprowadzić.

Pokój Rivera – albo pokój Rivera i Coego, bo Shirley przypuszczała, że tak właśnie powinna go nazywać – był pogrążony w półmroku. Jedyne stołowa lampka Coego rzucała gęsty żółty stożek światła na jego biurko. Dla odmiany nie miał w uszach słuchawek od iPod'a i choć jego ręce spoczywały na biurku z rozcapierzonymi palcami, nie wygłupiał się z tym udawaniem, że gra na fortepianie. Przez chwilę Shirley zastanawiała się, czy nie zawrócić; nie zostawić go z własnymi myślami, które były pewnie tak mroczne, że nie chciałoby się nimi czegoś poplamić. Wszyscy faceci są kretynami, póki nie udowodnią, że jest inaczej – to pewne. Ale to, co Coe powiedział do Marcusa – „A co, przywiążesz mnie do krzesła i obetniesz mi palce nożem do mięsa?” – było zbyt specyficzne, by zostało powiedziane przypadkiem. A więc tak, mroczne myśli. Był jednakże czas na rozpamiętywanie w milczeniu i ten czas nie przypadał wtedy, gdy Shirley potrzebowała informacji. A więc powiedziała:

– Zostałeś wezwany.

Przyglądał się, jak wchodzi do jego pokoju i zatrzymuje się przy biurku.

– Halo? Wszystko się wydało, Panie Pianisto, już wiemy, że umiesz mówić.

Jego oczy lśniły pod kapturem jak wilgotne ciemne kamienie.

– Zostałeś wezwany przez Lamba. Cokolwiek miałeś mu do powiedzenia, musisz to też powiedzieć mnie i Marcusowi. Bo za chwilę spadnie nam na głowę jeszcze więcej gówna i to znaczy, że chcemy wiedzieć o wszystkim, co możemy wykorzystać jako łopatę.

Była dość dumna z tej ostatniej uwagi, ale nic jej to nie dało. Co budziło irytację. Każdego by zirykowało, prawda? Ten brak reakcji z jego strony.

– Ktoś próbował załatwić Chapmana – powiedziała. – A Rivera właśnie wychwytiła kamera, jak odgrywa scenkę strzelaniny dla turystów. I to wszystko, czymkolwiek jest, dotyczy Slough House, a to znaczy, że dotyczy też mnie. Więc lepiej zacznij gadać, chłopczyku, albo ja cię do tego zmuszę. A wiesz, jak to będzie wyglądać, prawda?

Musiał to wiedzieć – wszyscy wiedzieli, że w zeszłym roku w pobliżu Hayer Shirley zebrała całą torbę skalpów. Ale cokolwiek Pan Niby-Pianista sobie myślał, zachował to dla siebie. I żeby jeszcze wyraźniej dać to do zrozumienia, sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął iPoda.

Nie zrobisz tego, pomyślała.

Ale to zrobił. Położył go przed sobą na biurku i wsunął do uszu słuchawki.

Zrobiła więc jedyną sensowną rzecz w tych okolicznościach – zerwała mu je.

To, co nastąpiło później, było dziwne. Jej zamiarem, jeśli można tak powiedzieć – tym, czego się po sobie spodziewała – było uderzyć go otwartą dłonią. Nic wielkiego: nawet w dziale kadr by się zgodzili, że sobie na to zasłużył. Ale zanim jej ręka go dotknęła, Shirley miała już pod podbródkiem coś ostrego, skierowanego w górę – Coe był na nogach, a ciemne, wilgotne kamienie jego oczu poczerniały z wściekłości. Shirley stwierdziła, że stoi na palcach i kurczowo ściska biurko, by nie stracić równowagi. Pochylił się w jej stronę, a naciskający jej podbródek nóż zmusił ją, by jeszcze wyżej zadarła głowę.

– Nie dotykaj mnie – powiedział.

Zamrugła.

– Nigdy – dodał.

Istniały różne sposoby, pomyślała. Odepchnąć na bok jego rękę, a potem cios w szczękę lub w brzuch. Albo po prostu wyciągnąć rękę i jednym brutalnym skrzętem urwać mu jądra – wszystkie te ruchy nie trwałyby dłużej niż uderzenie serca.

Tyle że nim zdążyłaby zrobić którykolwiek z nich, miałyby w głowie jego nóż.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ożeż kurwa! – rzucił od drzwi Marcus.

Żadne z nich się nie odwróciło, by na niego spojrzeć.

– Hej, ty! Coe. Odłóż ten nóż, dobra? – powiedział Marcus.

Coe milczał.

– Jeśli będę musiał podejść i ci go zabrać, wsadzę ci go tam, gdzie słońce nie zagląda, ostrzegam cię.

– Odłóż go – zadeklarował Coe.

– To dobrze.

– Ale najpierw ona musi to powiedzieć.

– Co musi powiedzieć? Wujku?

– Ona wie co.

Po szczęście Shirley coś spłynęło – to mógł być pot albo krew. Nie sposób było powiedzieć co. Gdyby spojrziała w dół, nadziałyby się na jego nóż.

– Shirley? – odezwał się Marcus. – Wiesz, o co mu chodzi? – Umilkł na chwilę. – Może lepiej nie kiwaj głową.

Oblizła wargi.

Każdy normalny człowiek chociaż zerknąłby w stronę Marcusa. Ale przez całą tę rozmowę Coe ani na chwilę nie przestał patrzeć jej w oczy.

A chciała go tylko delikatnie puknąć. Nauczyć go dobrych manier.

Przełknęła.

– Shirley? – znów odezwał się Marcus.

– Rozumiem – szepnęła.

Coe kiwnął głową i nóż zniknął – ot tak, po prostu. Coe schował go do kieszeni bluzy i usiadł.

Shirley dotknęła ręką podbródka i spojrziała na swoje palce.

Pot.

Marcus pokręcił głową.

– Obserwowali mnie od wielu tygodni – powiedział S.D. – Myśleli, że nic nie zauważyłem. Latarnie uliczne zapalały się i gasły. Wypytywała mnie kobieta na poczcie. Było jasne, co się dzieje. Nie zapisujesz tego.

– Mamy od tego niewidzialne skrzaty – zapewnił go Lamb.

– Myślisz, że to pomaga? – spytała go Catherine.

Zamiast odpowiedzieć, nalał sobie kolejnego drinka, a przynajmniej spróbował. W butelce niewiele już zostało.

S.D. siedział pośrodku pokoju. Catherine postawiła tam krzesło i tak poprzestawiała lampy Lamba, by światło padało wokół, a nie prosto na niego. To nie było przesłuchanie. Tak sobie wmawiała, choć ktoś przypadkowy z łatwością mógłby tak pomyśleć.

Teraz uderzyła ją myśl, że najbardziej niepokojące w tym wszystkim było to, że powróciła do swojej dawnej roli: pani na zamku Slough House, odzwierciana Lamba. Czy taka była jej przyszłość? Kolejny sezon orbitowania wokół ciemnej gwiazdy Jacksona Lamba? Dziś zostanie do końca – zadba o to, by starszek pozostał bezpieczny – a potem strząśnie z butów kurz tego miejsca i wypierze sobie ubrania, by nie śmierdziały papierosami Lamba.

Na razie jednak była tutaj, starszek wydawał się całkiem zadowolony z tego, że może sobie pogadać, i choć faktycznie jego odpowiedzi miały niewielki związek z pytaniami, krążyły jednak wokół głównego tematu, jakby coraz bardziej zbliżały się do jakiejś śliskiej prawdy.

– A ty? – powiedział, zwracając się do Chapmana. – Wpuszczają cię teraz do środka, co? Myślałem, że twoja robota polega na czekaniu przy samochodzie.

– Czasy się zmieniły – odparł cicho Zły Sam. – Opowiedz nam, co się stało dwie noce temu.

– Jakie dwie noce temu?

– Ktoś zapukał do drzwi twojego domu – powiedział Lamb. – A ty z jakiegoś powodu strzeliłeś mu w łeb.

Oczy S.D. błysnęły przebiegle.

– Skąd o tym wiesz?

– Założmy, że to my majstrowaliśmy przy tych latarniach – ciągnął Lamb. – Udawał twojego wnuka, prawda?

– Miał tupet, trzeba mu to przyznać – odparł Cartwright. – Wypytywał mnie o ogrzewanie, chciał, żebym mu opowiedział, jak mi minął dzień. A wszystko to była tylko gra, rozumiesz? Tak, miałem pomyśleć, że był... tym, kim mówisz. Moim wnukiem. Tym, który ma tak dziwnie na imię.

Lamb otworzył usta.

– Nie rób tego – powiedziała Catherine.

– Powiedział, że przygotowuje mi kąpiel. Zupełnie jakbym sam nie umiał tego zrobić, gdyby naszła mnie ochota.

Cartwright stanowczo zamknął usta, jakby powiedział na ten temat za dużo.

Nie pozbiarał się, pomyślała Catherine. Nie do końca. A jeśli to zrobił, to gdzie indziej teraz właśnie zderzył się ze ścianą.

– On był wrogiem – powiedział Chapman.

S.D. gapił się na niego.

– A ty się broniłeś.

– Nie wiedział, że mam broń, prawda? Teraz dwa razy się zastanowię, zanim znów mi wytną taki numer.

Chapman chciał coś powiedzieć, ale Lamb go wyprzedził.

– Myślmy, że przyjechał z Les Arbres. Czy to ma dla ciebie sens?

– Francja – powiedział S.D.

– Tak, Francja. Stąd ta dziwna nazwa. To w Les Arbres odwiedzałeś Henry'ego, swojego starego przyjaciela, pamiętasz? W latach dziewięćdziesiątych, kiedy z twoją głową było jeszcze wszystko w porządku. Ale Henry wcale nie miał na imię Henry, co? I...

– Wystraszysz go, Jackson – wtrąciła się Catherine.

– I prowadził projekt Kukułka. Pamiętasz? Kuku, tak jak z tobą, chyba że... udajesz. Kukułka: wychowywanie dzieci, by stały się kimś, kim nie są. W tamtych czasach moglibyśmy chcieć wychowywać małych sowieckich generałów, żeby mieć jakieś pojęcie o tym, jak mogą myśleć ci prawdziwi. Tyle tylko że w końcu tego nie zrobiliśmy, bo nawet w okresie zimnej wojny to był kompletnie zwariowany pomysł. Ale ty...

– Jackson...

– ...ty nie pozwoliłeś, żeby to cię powstrzymało, co? I tak to zrobiłeś.

Mówił coraz głośniejszym głosem, aż jego głos wypełnił cały pokój, a gdy umilkł, powietrze zadrżało, jakby opadło z powrotem na swoje miejsce. Twarz staruszka zastygła w wyrazie, który był czymś pomiędzy strachem a dezorientacją. Catherine pomyślała: powinnam to zakończyć. Wyprowadzić stąd tego staruszka. Czułby się lepiej, tkwiąc na deszczu albo w Regent's Park, zamiast siedzieć tu i słuchać, jak Lamb próbuje wypędzić z niego demona, który go opętał.

I może tak by właśnie zrobiła, wmawiała sobie później, ale Cartwright znów zaczął mówić.

W połowie drogi na Pentonville Road Louisa niemal przegapiła miejsce, gdzie miała skrócić: nie w tym sensie, że zapomniała to zrobić, tylko prawie to zignorowała, by skierować się prosto na północ; mijała sklepy i kościoły, meczety i synagogi, które szybko stały się dla niej znajomymi punktami orientacyjnymi; supermarket, w którym robiła zakupy w drodze do domu; park, który był sygnałem, że miejski pośpiech ulatuje. Wycieraczki pracowały jak szalone. Za dwadzieścia minut mogłyby wjechać na parking na swoim osiedlu i zaraz potem zrobić sobie gorącą kąpiel; nalać kieliszek wina, włączyć spokojną muzykę. Bębnienie deszczu o szybę byłoby obietnicą snu. Ale obowiązek zwyciężył, więc skręciła i skierowała się w stronę miejsca wydarzeń na Pentonville Road.

Wyglądałoby to jak cyrk, gdyby w cyrkach było więcej klaunów. Policyjne wozy zjechały się całymi stadami i gliniarze stali na każdym rogu. Jedni rozmawiali z grupkami kulących się cywilów, inni zebrali się wokół samochodu, który – jak wiedziała z filmiku na YouTube – staranował inny pojazd. Sam wyglądał jak mechaniczna ofiara napaści – wgnieciony przód i szkło z reflektorów rozsypane jak zamrożone łyż. Natomiast samochód, który został staranowany, stał wciśnięty bokiem w barierki. Miejsca wypadków zawsze miały w sobie atmosferę czegoś nieuniknionego, jakby powstałe szkody już wcześniej widniały w specyfikacjach pojazdów. Równie dobrze zadaniem policji mogłoby być potwierdzenie, że wszystko przebiegło zgodnie z wymogami i niczego nie pominięto.

Sama czuła się pokiereszowana: podarte dżinsy, obolałe nogi. Ale adrenalina była potężnym środkiem przeciwbólowym. „Wydaje mi się, że to ten żartowniś, z którym mieliśmy do czynienia dziś po południu”, usłyszała słowa Marcusa, gdy utykając, schodziła po schodach w Slough House. Gdyby potrzebowała dodatkowego bodźca, ten byłby idealny.

Zaparkowała najbliżej, jak się dało, a potem pokazała identyfikator MI5 gliniarzowi, który wyglądał na dość doświadczonego, czyli takiego, który znalazł sobie jakieś osłonięte miejsce do stania. I zrobiło to na nim odpowiednie wrażenie. Pewnego dnia, pomyślała, ktoś w Regent's Park się zorientuje, że oficjalne identyfikatory kulawych koni wyglądają dla niewtajemniczonych tak samo, jak te autentyczne dla personelu MI5, a wtedy im je zabiorą i zamienią na kartonowe odznaki wycięte z opakowania po płatkach śniadaniowych. Ale na razie tak się jeszcze nie stało i Louisie udało się uzyskać odpowiedzi na całą serię pytań.

Tak, ktoś wystrzelił z broni palnej.

Nie, nikogo nie aresztowano.

Nikogo nie zatrzymano.

Teren był właśnie przeszukiwany.

Tych dwoje waszych w samochodzie, który został staranowany...

– Naszych?

– Bardzo zabawne – powiedział policjant.

Rezejrzała się w obie strony na drodze. Palily się latarnie uliczne, witryny sklepów rzucały żółte i złociste kwadraty na chodniki, ale widoczność była kiepska, a deszcz sprawiał, że piesi zacierali się do komiksowych konturów. Dotąd zastanawiała się, jak dwóch mężczyzn mogło tak łatwo zniknąć w samym środku miasta, ale odpowiedź na to pytanie znalazła się sama. Było ciemno, a deszcz zataił kolory i różnice, zmieniając każdego w jakąś inną osobę. Byli świadkowie tego wydarzenia, większość jednak będzie zaprzeczać sobie nawzajem w ten szczególny sposób, w który tylko świadkowie potrafią, i przedstawią ten sam incydent w kilkunastu różnych odcieniach szarości. Będą też nagrania z kamer monitoringu, ale wiedziała, ile pracy wymaga zdobycie takich materiałów. W ten sposób można było uzyskać dowody, które przydawały się w sądzie, wiele miesięcy po samym zdarzeniu. Kiedy szukało się czegoś na miejscu, lepiej wychodziło rozlepianie ogłoszeń na słupach latarni.

Teraz, gdy już tu była, stało się dla niej jasne, że dokonała niewłaściwego wyboru na tamtym skrzyżowaniu. Powinna była jechać prosto do domu. Cholerny River; wystarczyłby jeden szybki telefon i Cartwright oszczędziłby jej niewypowiedzianego smutku... Niewypowiedziany smutek to było to, co czuła, kiedy zginął Min; niewypowiedziany, bo nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Myśl o tym, że to samo stało się z Riverem, mogła zniszczyć wszystkie postępy, jakie zrobiła od tamtego czasu: nowy dom, nowe życie, wieczory spędzane na patrzeniu, jak drzewa kołyszają się w ciemności. Niech go cholera za to wszystko; ale gdzie on był i co się działo?

Jedna z grupek skupionych wokół samochodu, który staranował ten drugi, odsunęła się od pojazdu, a potem zaczęła się do niej zbliżać. Dostrzegła wśród nich przemoczoną blondynkę; jej marynarka wyglądała, jakby była w połowie cyklu płukania, a jedna strona jej twarzy nosiła paskudne ślady niedawnego wypadku. Była w staranowanym samochodzie, pomyślała Louisa; to ona trzymała broń. Broń, którą tamten cwaniak wyrwał jej ruchem tak płynnym, jakby to był taniec.

Bardzo zabawne, bez dwóch zdań.

Pierwsze słowa, jakie padły z jej ust, potwierdziły tę ocenę.

– Tajne służby? – Louisa znów pokazała identyfikator. – Jesteś z ekipy Lamba. Z kulawych koni.

– Tak nas nazywają – przyznała Louisa.

– A Cartwright też jest jednym z was.

– To on był z tobą w samochodzie?

– Wszyscy ciągle udajecie głupich? A może nie udajecie?

– Po kolei – powiedziała Louisa. – To on był w samochodzie, prawda?

– Dopóki jego koleżka nie przybył mu na ratunek?

Louisa się zaśmiała.

– Co?

– To, że River miałby mieć koleżkę. Nieważne. Czyli nie wiesz, kto to był?

– Wiem, że ma na imię Patrice. Tak jak mówię, jakiś koleżka.

– No cóż. W każdym razie poradził sobie z tobą.

Louisa przypomniała sobie, co słyszała o psach i o tym, kto teraz nimi dowodzi.

– Jesteś Emma Flyte, prawda? – spytała. – Ta nowa.

– Tak mi ciągle powtarzają.

– Twoje piętnaście sekund sławy trafiło na YouTube’a, powiedzieli ci o tym? Ten Patrice jest dość... rozbijający.

– Próbuje być zabawni, agentko Guy?

– Chodziło mi o to, że to naprawdę uroczy typ. To on ci to zrobił z twarzą? Wcześniej przywalił mi łomem w kostki. – Louisa wskazała na swoje stopy. – Załóż się, że River nie poszedł z nim z własnej woli.

– Co się tak właściwie tutaj dzieje? – spytała powoli Emma Flyte.

– Chciałabym wiedzieć – odparła Louisa. – Ale powiem ci tyle: ten Patrice... jesteś pewna, że tak ma na imię?

– Patrice – potwierdziła Flyte.

– Dziś próbował zabić byłego szpiega. Więc cokolwiek robisz, żeby go znaleźć, rób to szybciej. Zanim zabije też Cartwrighta.

Flyte odwróciła się i obejrzała w stronę King’s Cross, gdzie natłok pojazdów sprawiał, że prawie stały w miejscu.

– Oho! – powiedziała. – Nie wydaje mi się, żeby taki był jego plan.

– Dokąd idziemy? – spytał River.

Patrice na niego spojrział. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

– W porządku. Po prostu pomyślałem, że może warto zapytać.

Minęło trzydzieści minut, odkąd opuścili miejsce wypadku na Pentonville Road, i od tego czasu przeszli pół miasta; zawrócili na King’s Cross, tam złapali taksówkę i pojechali na Great Portland Street.

– Tam, skąd jadę, zrobił się niezły bajzel – poinformował ich taksówkarz, ruszając. – Jakiemuś świrowi z bronią odbiło. Za chwilę zamkną przejazd tą drogą.

– Zastanawiałem się, po co te wozy policyjne – odparł Patrice, pisząc SMS-a.

Przemknął obok nich kolejny – nieoznakowany, z niebieskim światłem obracającym się za tylną szybą – przeciskał się między stojącymi w korku samochodami.

– To przez pogodę – powiedział taksówkarz jak ktoś wygłaszający uniwersalną prawdę: że zawsze, kiedy pada, w mieście dochodzi do strzelaniny.

Kiedy wysiedli z taksówki, poszli na Baker Street. Patrice wciąż miał broń, choć River nie wiedział, gdzie ją ukrył. Jeśli z tyłu, za paskiem spodni, tak jak River podejrzewał, to musiał godzinami ćwiczyć chodzenie, siedzenie i poruszanie się, żeby nie wyglądać jak ktoś cierpiący na hemoroidy.

A jeśli rzucę się do ucieczki, zastanawiał się, czy wtedy strzeli mi w plecy?

To nie miało znaczenia. Albo raczej miało, ale nie było takiego problemu. Ostatnią rzeczą, jaką zamierzał zrobić, było odłączenie się od Patrice’a; najpierw musi mieć okazję wypytać go o Les Arbres, o komunę i o to, dlaczego jego towarzysz broni przyjechał zabić S.D. Choć byłoby idealnie, gdyby udało mu się odebrać Patrice’owi broń, zanim rozmowa zejdzie na to, co tak właściwie stało się z Bertrandem.

Nie do końca był więc więźniem, ale nie był też współnikiem Patrice’a. Trzymał się go, gdy weszli na stację na Baker Street i po raz kolejny zeszli do metra.

Obława na pewno się już zaczęła. Musiały być jakieś nagrania z Pentonville Road, ktoś na pewno nagrał komórką, jak Patrice wymachiwał bronią. A więc najlepiej było zejść do metra. Nie było tam wi-fi, więc przynajmniej nikt nie zarejestruje ich wizerunków, kiedy będą się przemieszczać z jednej stacji na kolejną. Patrice trzymał się blisko niego; położył rękę na ramieniu Rivera, jakby dla utrzymania równowagi. A więc tak, myślał River, siedzieli w tym razem. Czymkolwiek „to” było. I niezależnie od tego, jak się skończy.

Kiedy zbliżali się do Embankment, Patrice zacisnęła palce. Dobra, dobra, rozumiem. River wysiadł pierwszy z pociągu, wjechał na górę ruchomymi schodami i skierował się do wejścia od strony rzeki. Oczywiście wciąż padało. Nie zdążył nawet do końca wyschnąć po francuskim deszczu, a już kompletnie przemoczył go ten angielski. Mimo to dobrze znów być w domu.

Stanęli u szczytu schodów i spojrzeli na mokre samochody na ulicy, mokry most i mokre South na drugim brzegu mokrej Tamizy.

– Masz jakiś plan? – spytał River.

– Zawsze jest jakiś plan – odparł Patrice.

– Dobre. To Sartre? – Nie spodziewał się odpowiedzi, więc na nią nie czekał. – Do kogo pisałeś SMS-a w taksówce?

– Lubisz mówić – stwierdził Patrice. – Może powinieneś opowiedzieć mi o Bertrandzie. O tym, co się z nim stało. I dlaczego masz jego paszport.

– To był paszport Bertranda? Bo nie widziałem tam jego imienia. A wiesz, po paszporcie można się w sumie spodziewać...

– Wiesz, że mam broń. – Odwrócił się i spojrzął Riverowi w oczy. – A wciąż żyjesz tylko dlatego, że potrzebuję od ciebie odpowiedzi.

– Słuchaj, to nie jest najlepsza technika prowadzenia przesłuchania. Bo widzisz, to sugeruje, że kiedy już udzielę ci odpowiedzi...

Patrice uderzył go tak szybko, że nikt nawet tego nie zauważył: ani przechodnie przemykające w deszczu, ani inni podróżni, którzy wciąż chronili się przed ulewą. A już na pewno nie River.

Zrozumiał to dopiero, gdy Patrice opuszczał go do pozycji siedzącej, mrużąc uspokajające słowa.

– Nic mu nie jest. – To było skierowane do ludzi stojących najbliżej. – Czasem dostaje klaustrofobii, to wszystko.

I do Rivera:

– Może opuść głowę między kolana?

Ktoś spytał:

– Jest pan pewien, że nic mu nie dolega? Może powinniśmy wezwać pomoc?

– Nic mu nie będzie. Zawsze mu powtarzam, że powinniśmy jeździć taksówkami. Ale nie, wiesz, wiecznie się upiera, żeby jechać metrem. No i znowu to samo.

– Mój chłopak też tak ma.

Przy każdej innej okazji River zaprotestowałby, słysząc, jaki nacisk położono na słowo „mój”, ale teraz musiał sobie poradzić z mnóstwem porażonych zakończeń nerwowych, jakby Patrice potraktował go elektrycznym poganiaczem do bydła, a nie małym palcem czy czego tam użył.

– Czy ma ktoś wodę? – zapytał ktoś inny i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nie przejmujcie się mną. Bawcie się dobrze.

Patrice podtrzymał stworzoną przez siebie fikcję, siadając obok Rivera i obejmując go ramieniem. Pochylił się w jego stronę, jakby słodko go pocieszał, i przypomniał mu:

– To nie wymagało zupełnie żadnego wysiłku z mojej strony.

– Kiedy ostatni raz ktoś zrobił mi coś takiego... – zaczął River.

Przerwał, by złapać oddech.

– Tak?

– ...wywaliłem mu na wierzch pół mózgu kawałkiem ołowianej rury.

Patrice ostentacyjnie rozejrzył się wokół.

– Nie widzę tu żadnej ołowianej rury.

– I nie zobaczysz.

Telefon Patrice'a zaszczebotał.

– Nie masz nic przeciwko? Naprawdę powinienem to odebrać.

Wstał i odszedł kilka kroków dalej. River rozejrzył się za kawałkiem ołowianej rury, ale bez większego przekonania.

Pozostali podróżni ruszyli dalej, rzucając wyzwanie pogodzie, bo wyglądało na to, że mają niewielki wybór. Zastanawiał się, czy później będą oglądać wiadomości i pytać się nawzajem: „Czy oni wyglądają jak...”. A potem mówić: „Nie, na pewno nie”.

Patrice zakończył rozmowę. River obserwował go, gdy wpatrywał się przez chwilę w Tamizę, jakby nagle uderzyło go jej nocne piękno; światła wzdłuż Embankment zamazały się w deszczu. Potem spojrzył na Rivera.

– No dobra – powiedział. – Co to jest „statek w kamuflażu” i gdzie to znajdziemy?

– Miał na imię Frank – powiedział S.D.

I zamilkł.

Catherine przygotowała się na kolejny atak Lamba, ale nic takiego nie nastąpiło. Bo zrobił wszystko, co musiał, pomyślała; przestawił przełącznik i teraz napłyną wszystkie wspomnienia starszka.

Powinna była go stąd zabrać od razu, gdy jej to przyszło do głowy.

– Zjawił się w Regent's Park z tym swoim niedorzecznym planem. Kukułka z nazwy, kukułka z natury. Nawet jankesi na to nie poszli. Przynajmniej za drugim razem. Oczywiście próbowali tego jeszcze w latach sześćdziesiątych, ale to była klapa. Wszystko wyciszyli. Nie żeby wyciszanie kiedykolwiek działało. Pierwsze prawo Ulicy Szpiegów: sekrety nie pozostają sekretami.

Przerwał. Catherine byłaby gotowa przysiąc, że coś błyszczało w jego oczach: nieprzelane łyż lub zabutelkowane sekrety. Coś, co tylko czekało, żeby się wydać.

– No więc powiedzieliśmy mu, żeby zabierał swoje zabawki i spał.

I znów ta chwila milczenia. Catherine przypomniała sobie, że dziś rano wydawał jej się człowiekiem, który dryfuje; cumy zerwała postępująca demencja, a wydarzenia ostatniej nocy pchnęły go dalej w morze. A teraz został wyrzucony na jakiś brzeg, ale to nie było do końca tutaj i do końca teraz, i nawet jeśli w wypowiedzanych słowach pobrzmiwało echo jego młodszej wersji, były to wiadomości z butelki wrzuconej do morza dawno temu i Catherine wątpiła, czy w ogóle kojarzy, z kim rozmawia. Całą robotę wykonywała jego pamięć, dęła w staruszka, jakby był muszlą, a kiedy to się skończy, będzie gładki i pusty.

– Ale ty nie odrzuciłeś jego propozycji, prawda? – spytał Chapman.

Ku zaskoczeniu Catherine mówił łagodnie. Miała trochę inne doświadczenia z jego technikami prowadzenia przesłuchania.

David Cartwright zamrugał. Potem zamrugał jeszcze raz i coś wymamrotał. Musiała kilka razy odtworzyć sobie w głowie te dźwięki, zanim wychwyciła: powtórzył to, co mówił wcześniej: „Pierwsze prawo Ulicy Szpiegów”.

– Przyszedł do mnie do domu. Kilka tygodni później. Wtedy mieszkałem w centrum miasta. W Bayswater. Był sam koniec lata, a on... zmienił się. Zaproponował drinka. Ja zaproponowałem, żeby się zmył, jeśli nie ma zamiaru trafić do ciupy.

Przypomniała sobie, jak River jej opowiadał o wieczorach spędzanych tak jak ten: młody człowiek słuchający starego, który snuje szpiegowskie opowieści, popijając brandy. Zastanawiała się, czy to tam David Cartwright wycofuje się w swoich myślach.

On potrzebuje Rivera, pomyślała. Ale River wyruszył zabijać smoki albo szukać jakichś smoków do zabicia.

– Oczywiście wiedziałem, czego chciał. Widziałem to w jego oczach, kiedy zjawił się w Regent's Park. Bo on w to naprawdę wierzył. Jego projekt Kukułka to nie była po prostu jakaś strategia, którą by wybrał. Nie, on uważał, że to dla nas jedyny możliwy kierunek, że bez tego będziemy zgubieni. Wierzył w to, rozumiecie? To dlatego Agencja się go pozbyła. Nikt nie jest bardziej niebezpieczny niż ten, który wierzy.

Bo tacy ludzie zawsze mają jakąś misję, zawsze szukają tego czy innego Świętego Graala. A paliwem dla takich misji była krew każdego, kto akurat wszedł im w drogę.

– Pomyślałem więc, że przyszedł, żeby jeszcze raz spróbować mnie przekonać. Wiedział, że jeśli ja to kupię, pociągnę za sobą całe Regent's Park. Większą władzę ma ten, kto stoi za tronem, niż ten, kto na nim siedzi. – Na jego twarzy pojawiło się coś przebiegłego, jak u człowieka, który ma w kieszeni magiczny pierścień i za chwilę pokaże, co on potrafi. – Teraz musicie wyłączyć nagrywanie.

– Nie nagrywamy tego – powiedział Zły Sam. – Możesz swobodnie mówić.

Staruszek dotknął czubka nosa.

– A wyglądam, jakby to był mój pierwszy raz?

Lamb teatralnie westchnął, wysunął szufladę biurka i do niej sięgnął. Coś w środku kliknęło. Prawdopodobnie dziurkacz.

– Już – powiedział. – Ale wróćmy do twojego amerykańskiego krzyłowca. Czego chciał? – Lamb obracał w dłoni szklankę i w żółtym blasku lampki Catherine widziała jej lepką powierzchnię, pokrywającą ją rozmazane ślady palców. – Ale w sumie wiemy, czego chciał. Tylko w jaki sposób to dostał? I dlaczego mu to dałeś?

– Ja nigdy...

– W Regent's Park go odprawili. Ustaliliśmy to już. A jankesi dali mu kopa w tyłek. Ale rok później, proszę, zjawia się w środkowej Francji, prowadzi swoją małą kolonię i wychowuje dzieci na prototypowych terrorystów. A ty tam jeździłeś i sprawdzałeś, jakie robi postępy. Tylko nieoficjalnie. Bo jeśli chodzi o oficjalną wersję, to z dobrego serca odwiedzałeś jakiegoś starego szpiega. A więc cokolwiek się wydarzyło, zrobiłeś to nieoficjalnie. Dlaczego?

Znów pomyślała, że nie powinna brać w tym udziału, ale było już za późno; za późno na wszystko. Jackson Lamb będzie naciskał i ustępował, a staruszek mu ulegnie. Nie sposób było odgadnąć, czy cokolwiek z niego pozostanie, kiedy to się skończy. A ona obiecała Riverowi, że zaopiekuje się jego dziadkiem, ale – Boże, dopomóż – sama też chciała się tego dowiedzieć. Cokolwiek się wtedy wydarzyło, zasiało nasiona zamachu w Westacres i bardzo chciała wiedzieć, co to było. Bo jeśli jej się wydawało, że uciekła ze Slough House, to oszukiwała samą siebie. Nie miało znaczenia, gdzie się znajdowała, bo była szpiegiem w każdym calu, tak samo jak Lamb, i aż zżerała ją ciekawość, by poznać te sekrety.

– Miał coś na ciebie – powiedział Lamb. – Przykręcił ci śrubę. Co wiedział?

– On ma dość – odezwał się Zły Sam. – Zostawmy to na razie, dobrze?

– Będzie miał dość, kiedy ja powiem, że ma dość. Co Frank na ciebie miał, Cartwright? Co takiego wiedział, co tak bardzo chciałeś zachować w tajemnicy?

– Jackson...

– Sam to powiedziałaś. Sekrety nie pozostają sekretami. Nie na Ulicy Szpiegów.

– Przestań, albo cię do tego zmuszę – zagroził Zły Sam. – Nie żartuję.

– Frank coś miał. Co to było?

– Zostaw go, Jackson – zaprotestowała Catherine.

A staruszek powiedział:

– Isobel. – I się rozplakał.

Cóż – powiedziała Louisa – tego się nie spodziewałam.

Jej towarzyszka odparła:

– Jestem na nogach od osiemnastu godzin. Większość tego czasu spędziłam w samochodzie, a przez resztę oglądałam zwłoki, byłam okłamywana, zamykałam niewinnych ludzi i pozwoliłam, żeby jakiś francuski pojeb ukradł mi broń. Och, i jeszcze wyjątkowo twarda głowa tego twojego kolegi prawie złamała mi kość policzkową. A kiedy mój dzień się zaczynał, on był trupem. Po tym wszystkim zasłużyłam sobie na drinka. Albo na siedem.

– Nie zamierzam protestować – odparła Louisa, której nie speszył fakt, że jest w barze, tylko samo zaproszenie Flyte. Dotąd piła jedynie gazowaną wodę: zaparkowała kawałek dalej, przy ulicy. Ale Emma Flyte wychylała szoty z tequili, popijała je meksykańskim piwem i nic w sposobie, w jaki to robiła, nie wskazywało na to, że jest amatorką.

– Dziś rano poznałam twojego szefa – oświadczyła Emma.

Ach, pomyślała Louisa. Rzadko ma się okazję poznać pierwsze wrażenie, jakie wywarł na kimś Lamb.

– I jak się dogadywaliście?

– Dał mi kilkanaście solidnych powodów, żeby wysunąć przeciw niemu oskarżenie o złamanie dyscypliny.

Louisa z powagą pokiwała głową.

– Jeśli się na to zdecydujesz, bardzo bym chciała przy tym być.

– Nie zdecyduję się – odparła Emma. Jej butelka z piwem miała z jakiegoś powodu kawałek owocu na brzegu i teraz wepchnęła go kciukiem do środka. Piwo przez chwilę musowało mocniej. – To znaczy Lamb jest świnią. I okłamał mnie na temat tych zwłok, które oglądał, a to może się jeszcze na nim zemścić. Ale wolę już, kiedy on mnie okłamuje, niż gdy robi to Diana Taverner. Kiedy ta damulka bawi się w chowanego, robi to wyłącznie z myślą o sobie.

Louisa pozwoliła, by ten obraz zaiskrzył i przygasł, a potem powiedziała:

– Może ty i Lamb macie ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

Telefon Emmy zabrzczał i zerknęła na niego.

– To z Regent's Park.

– Oho.

– Pewnie chcą wiedzieć, co się tutaj stało. – Emma wskazała głową w stronę drzwi, na świat poza pubem i Pentonville Road. – I w jaki sposób Adam Lockhead... uh... uniknął zatrzymania.

– Mówiała chyba, że ma na imię Patrice.

– Mówię o Cartwrightcie. – Mimo ilości wypitego alkoholu mówiła całkiem wyraźnie. – Takiego paszportu używał. Adam Lockhead. To dla ciebie coś nowego?

– W tej chwili zostałam chyba ze trzy okrażenia za całą resztą – odparła Louisa. – Wiem tylko tyle: ten Patrice to zawodowiec. I jak ustaliliśmy, ma broń. Moment, kiedy tę broń zdobył, na pewno zgarnia w tej chwili coraz więcej wyświetleń na YouTube. A więc w sumie może lepiej byłoby pójść go poszukać, zamiast tu siedzieć i lizać rany.

– Kiedy go znajdziemy, to nie dlatego, że będę się tam szwendać i moknąć – odparła Emma. – Poinformuje o tym przez telefon jakiś krawężnik, który słuchał tego, co mówią przez radio.

– A myślisz, że to będzie przed czy po tym, jak już zabije Cartwrighta? Bo zdaję sobie sprawę, że nie za bardzo cię to obchodzi.

– Nie wyglądało mi na to, żeby chciał zabić Cartwrighta. Odniosłam wrażenie, że wyglądał na zaniepokojonego. Tym, że go widzi.

– River potrafi być upierdliwy – przyznała Louisa. – Ale niepokoju raczej nie budzi. Nie na pierwszy rzut oka.

– Gdzie był?

– Domyślam się, że spędził dzień we Francji.

– Dlaczego?

– Kiedy go spotkam, zapytam go o to. Wcześniej pracowałaś w londyńskiej policji, prawda?

– Tak.

Louisa uśmiechnęła się szeroko.

– Zaczęłaś już za tym tęsknić?

Telefon znów zabrzączał, tym razem wścieklej, jak to telefony mają w zwyczaju. Emma westchnęła i odeszła kilka kroków dalej.

– Flyte.

– Powiedz mi, że to nie ciebie oglądam. Razem z połową ludności zachodniego świata.

– Wątpię, żeby było ich aż tyle – odparła Emma. – A poza tym większość z nich obejrzy to dwa razy. Musisz to uwzględnić.

– Jesteś pijana? – spytała Diana Taverner.

– Jeszcze nie.

– Jak do tego doszło? Jak w ogóle do tego wszystkiego doszło?

– Doszło do tego, bo dostałam za mało informacji – wyjaśniła Emma. – A więc kiedy taranował nas z boku zawodowy zabójca, nie spodziewaliśmy się tego. W tych okolicznościach można powiedzieć, że nam się upiekło. Pomijając niepożądany rozgłos.

– Tak to widzisz, że wam się upiekło? A co gorszego mogło się stać?

– Moje zwłoki mogły leżeć na ulicy. Kim miał być ten Adam Lockhead?

– To znacznie wykracza poza to, co musisz wiedzieć.

– Świetnie. A chcesz, żebym zapomniała, kim jest naprawdę? Bo jeszcze kilka tequili i to będzie całkiem możliwe.

– O czym ty mówisz? – spytała Taverner.

– Ten facet, którego kazałaś mi zgarnąć, ten z paszportem Adama Lockheada, to River Cartwright. Tan sam, o którym w nocy przez chwilę sądziliśmy, że nie żyje. Przerwij mi, jeśli zacznę mówić z sensem. To byłby dobry akcent na zakończenie mojego dnia.

W ciszy, jaka nastąpiła, normalne barowe odgłosy wydały się głośniejsze, jakby chciały wypełnić każdą pojawiającą się pustkę. Emma zastanawiała się, czy Taverner po raz kolejny ogląda filmik, by sprawdzić to, co jej właśnie powiedziała.

I może faktycznie tak było, bo gdy znów się odezwała, stwierdziła:

– Rzeczywiście wygląda jak Cartwright. Mówił coś?

– Znał zabójcę.

– Czemu wciąż go tak nazywasz?

– Wjechał w nas samochodem. To najkrótsza wersja tego, co przychodzi mi do głowy. – Emma zataśknęła za swoim drinkiem, więc wróciła do stolika. Wszystko sypało się w takim tempie, że wydawało się bez znaczenia, kto co słyszy. – Cartwright zwracał się do niego po imieniu. Patrice.

– Gdzie w tej chwili są?

– Wiesz, to naprawdę bardzo dobre pytanie – odparła Emma, sięgając po szota. – Nie jestem pewna. W Londynie?

– Pali ci się, żeby stracić pracę?

– Domyślam się, że to nie ode mnie zależy. – Zrobiła krótką przerwę, by przełknąć tequilę. – W każdym razie teraz sprawę prowadzi londyńska policja. Nie uda się tego wyciszyć. Strzelał z broni palnej na ulicy.

– Z twojej broni.

– Nie zapomniałam o tym. Nie spytałaś jeszcze, co z Devonem.

– A co, u diabła, ma z tym wspólnego Devon?

– Devon Welles. To on prowadził.

– Och. Racja. Chyba nie zginął ani nic takiego?

– Dwa złamane żebra. Zawiozłam go na urazówkę. Chcesz, żebym wypuściła Giti Rahman?

– Dlaczego miałabym tego chcieć?

– Bo wydaje się, że dalsze jej przetrzymywanie nie ma wielkiego sensu. Cokolwiek tak rozpaczliwie próbujesz zataić, przecieka gorzej niż dziurawe sito. Nie wiem, co będzie pierwsze: żądanie ujawnienia w oparciu o ustawę o swobodnym dostępie do informacji czy oferta wykupienia praw do filmu.

– Flyte... Wszystko, co jak dotąd miał okazję obejrzeć łatwy do zadowolenia świat, to twoja własna niezdolność, by przeprowadzić proste aresztowanie. I jeśli chcesz, by twoja kariera przetrwała tę czkawkę, sugeruję, żebyś od tej chwili spróbowała nie rzucić się w oczy. – Taverner przerwała na chwilę. – Rozczarowujesz mnie. Wracaj do bezpiecznego domu. Wracaj panią Rahman. I jeśli kiedykolwiek zwolnię cię z tego niezbyt uciążliwego obowiązku, to będziesz wiedzieć, że w piekle właśnie założyli klimatyzację.

Emma odstawiła kieliszek. Pomyślała, że jeszcze jedna taka runda, a cały ból, upokorzenie, zażenowanie i wściekłość, jakie czuła, zbiją się w jedną płynną masę, z której nie będzie się musiała wyrzucać aż do rana. Może nawet do tego czasu przestanie padać.

– Lady Di? – powiedziała. – Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. To znaczy, że mnie rozczarowałaś. Ale nie, znacznie przerastasz to, co wszyscy o tobie mówią.

Rozłączyła się.

– Wow! – powiedziała Louisa. – Czy to było właśnie zakończenie twojej kariery?

– Powiedz mi, że nie wiesz, jakie to uczucie.

– Chcesz jeszcze jednego drinka?

– Chcę się napić kawy. Możesz to załatwić? Bo ja muszę iść do toalety.

Obserwując, jak Emma przechodzi na tyły baru, Louisa postanowiła zostać jeszcze przez jakiś czas; napić się z nią tej kawy. Jej mieszkanie, pełne spokoju i wszystkich wygod, nigdzie w tym czasie nie zniknie. A jeśli będzie się trzymać Flyte, może gdy River i Patrice gdzieś się pojawią, dowie się o tym jako jedna z pierwszych.

Choć była na niego wkurzona, musiała przyznać, że wszystkie ekscytujące rzeczy dzieją się wokół Rivera.

Gdzieś niedaleko – albo nie dalej, niż doleciałyby gołąb, choć niewiele z nich miało ochotę latać przy tak zimnej i deszczowej pogodzie, bo nawet dla londyńskich gołębi istnieją jakieś granice – River do swojej listy rzeczy, które zaskakiwały swoim pięknem, dodawał właśnie następującą: statek w kamuflażu rozpraszającym*. W deszczu jego mylące perspektywę wzory jakby mocniej rozmywały kontury, czarno-białe wykończenie rozdymało całość do jeszcze bardziej komiksowych kształtów. Wydawał się lśnić w ulewnym deszczu, jakby rzucane na niego światła były jedynym, co trzymało go na kotwicy.

– To jest coś – stwierdził Patrice.

River odparł, jakby wyjaśniał znaczenie tego przedmiotu narodowej dumy jakiemuś turyście:

– Malowano je w ten sposób, żeby zmylić łodzie podwodne. Dzięki temu trudniej było je zatopić, wskazać jako cel.

– I to działało?

– Cóż, ten wciąż tu jest.

Jednak wzór na tym statku nie był dokładnie taki, jaki stosowano w czasie pierwszej wojny światowej, to był współczesny *hommage*, weselszy niż oryginał.

HMS President stał przycumowany przy Embankment, w pobliżu Blackfriars Bridge. W tle samochody i autobusy przejeżdżały przez Tamizę, słychać było szum opon. Ta ulica biegnąca brzegiem rzeki była spokojniejsza; jedno pasmo zamknięto dla ruchu. Ktoś ciągle próbował poprawić stan dróg w stolicy i jeśli kiedykolwiek ukończy to zadanie, może się okazać, że mu się udało. Tymczasem wzdłuż krawężnika postawiono okryte płótnem ogrodzenie sięgające aż do samego mostu od pomostu zbudowanego specjalnie ze względu na ten statek. W regularnych odstępach przymocowano do niego latarnie. One również kołysały się na wietrze i rzucały chwiejne aureole światła na masywne budynki po drugiej stronie ulicy: banki, wydawnictwa i inne podejrzane instytucje.

River i Patrice szli pieszo, bo byli już tak przemoczeni, że nie robili to żadnej różnicy, a poza tym nie wydawało się czymś, co mogłoby zrobić dwóch uciekinierów – ktoś taki nie przechadzałby się w strugach deszczu, podziwiając po drodze widoki.

Ich pozorne koleżeństwo nie przeszkodziło jednak Riverowi w zastanawianiu się, czy Patrice go zabije, nim ta noc się skończy.

Oczywiście mógłby rzucić się do ucieczki. Ale uciekanie od kłopotów nigdy nie było jego mocną stroną. Jeśli już, to na odwrót. A poza tym ucieczka nie dałaby mu odpowiedzi, które chciał uzyskać.

W pobliżu statku w kamuflażu na odsłoniętej platformie prowadzącego do niego pomostu czekała jakaś postać. Zanim do niej dotarli, River powiedział:

– Jest coś, o czym powinienś wiedzieć.

Patrice nie przejawiał specjalnego zainteresowania, ale jak dotąd – z wyjątkiem chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył River'a – w ogóle nie okazywał emocji. Po prostu emanował monotonnym szarym pulsem i każde działanie wykonywał tak, jak należało; jakby był nakręconym, idealnie naoliwionym mechanizmem.

– Dziś poznałem twoją matkę – powiedział River. – Nataszę. – Patrice milczał. – Tęskni za tobą.

Patrice potrząsnął głową, lecz wciąż się nie odezwał.

– Chce wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku. Zmartwiła się, kiedy spłonęło Les Arbres. Każda matka by się zmartwiła.

– Ja nie mam matki.

– Wiesz, ona cię nie porzuciła. A przynajmniej wróciła po ciebie. Chciała cię zobaczyć i być z tobą. Nie pozwolili jej na to.

– Ja nie mam matki – powtórzył Patrice.

– Była tam przez wiele lat. Cały czas niedaleko. Na wypadek, gdybyś jej potrzebował.

Patrice spojrział na niego i powiedział:

– Nic takiego nigdy nie miało miejsca. Przestań gadać.

– Przestanę, jeśli chcesz. Ale nie wydaje mi się, żebyś tego chciał.

Od niechcenia, jakby zamierzał pacnąć muchę, Patrice wyciągnął rękę, żeby uderzyć Rivera w policzek, lecz River spodziewał się tego lub czegoś podobnego i zablokował uderzenie. Ale drugiego, wymierzonego w gardło, już nie. Patrice zatrzymał cios w ostatniej chwili, bo inaczej River poleciałby jak długi na chodnik.

– Przestań – powiedział Patrice. – Albo cię do tego zmuszę.

Może i miał trochę racji.

Postać pod zadaszeniem obserwowała, jak się zbliżają. Mężczyzna w prochowcu z postawionym kołnierzem, i było w nim coś znajomego, w tym, jak tam stał. Bo to był oczywiście Frank. Zaczynał łyścić i miał bardziej wydatne kości policzkowe, ale pozostał wysoki i barczysty, o dość jasnych włosach. Silny i sprawny. Sposób, w jaki się starzał, sprawiał, że był sobą jeszcze bardziej.

Gdy do niego dotarli, rozłożył ramiona. Patrice posłusznie pozwolił się objąć, a Frank pocałował go najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Wydawało się, że w tym geście było niewiele czułości. River odniósł wrażenie, że to było bardziej tak, jakby generał witał żołnierza wracającego z linii frontu.

– Nie wiedziałem, że jesteś w Anglii – powiedział Patrice.

– Ta wiedza nie była ci do niczego potrzebna – odparł Frank. Zwrócił się do Rivera: – Ty jesteś River Cartwright.

– A ty Frank. Nie poznałem nazwiska.

– Harkness. Frank Harkness.

Mówił z amerykańskim akcentem, ale jego ostre krawędzie stało wygnanie w Europie.

– To świetnie, że mamy okazję pogadać – powiedział River. – Wysłałeś kogoś, żeby zabił mojego dziadka.

Od strony statku, na którym mieścił się między innymi bar, dochodziły różne dźwięki; głosy nakładające się na siebie, ostry brzęk szkła, w większości stłumiony przez deszcz. Nikogo nie było widać. Nawet gdyby River krzyczał, i tak nie było ryzyka, że ktoś ich usłyszy.

Ku jego zaskoczeniu Frank się roześmiał.

– Wiesz, co się stało, prawda? – powiedział River. – Z tym twoim całym Bertrandem?

Patrice podszedł o krok bliżej, niczym pies reagujący na zagrożenie.

– Możesz go uspokoić? – spytał River.

– W porządku, Patrice – powiedział Frank. – Są pewne rzeczy, które musi powiedzieć.

– Dlaczego miał paszport Bertranda? I mówił, że był w Les Arbres...

– Nie ma tam nic do zobaczenia – odparł Frank. – Już nie.

– Ale czemu...

– Wybacz na chwilę – zwrócił się Frank do Rivera. – To nie potrwa długo.

Do Rivera dopiero z opóźnieniem dotarło, że poproszono go, by dał im trochę prywatności.

Cóż, bardziej przemoknąć już nie mógł.

Stojąc pod pobliskim drzewem, które zapewniało śmiesznie słabą ochronę przed deszczem, obserwował, jak Frank obejmuje Patrice'a ramieniem i pochyla się w jego stronę. Instrukcje czy rady, jakich udzielał, wymagały bliskości... Deszcz spływał Riverowi po plecach i wstrząsnął nim niekontrolowany dreszcz; spazm przenikający całe ciało. Od jak dawna trwało dla niego dzisiaj? Ten

dzień był już całkiem długi, gdy dotarł do domu dziadka i zastał zwłoki w łazience. Ile jeszcze będzie trwać i co się jeszcze wydarzy?

W końcu Frank znów ucałował Patrice'a i odsunął się od niego.

Gdy Patrice się zbliżał, River cały się spiął; zastanawiał się, czy przed chwilą był właśnie świadkiem sceny jak z *Ojca chrzestnego*: starszy mężczyzna wyjaśniający młodszemu, dlaczego on, River, musi umrzeć. Ale Patrice przystanął, a potem pochylił się w jego stronę z rękoma w kieszeniach, po czym pocałował River'a w policzek. Tylko w jeden policzek.

– Niedługo znów porozmawiamy – powiedział.

Następnie odszedł drogą, którą tu przyszli – zwyczajny człowiek, idący pośpiesznie w deszczu, szukający kolejnego miejsca, gdzie będzie się mógł schronić.

– Przepraszam za to – odezwał się Frank. – Patrice ma w tej chwili mętlik w głowie. – Wyjął paczkę papierosów i podsunął ją Riverowi, który pokręcił głową. Frank użył zapalniczki i otoczył go siny francuski dym. – To przez to, że twój dziadek zabił jego najlepszego przyjaciela.

– I twojego syna.

– Mhm. – Zabrzmiało to tak, jakby chodziło o kogoś, z kim łączył go mniej osobisty związek. Na przykład kogoś, z kim razem jechał windą. – Nie mogę uwierzyć, że pozwolił się zabić temu staremu draniowi. To przecież takie proste. Nie trać czujności tylko dlatego, że cel wydaje się bezbronny.

– Ten cel był moim dziadkiem – powiedział River.

– Pamiętam o tym.

River miał ochotę wybić mu papierosa z ust. Złamać nos, podbić oczy, patrzeć, jak kuli się na deszczu. Ale zamiast użyć pięści, powiedział:

– Strzeliłem w twarz trupowi twojego syna. Żeby utrudnić identyfikację. Pomyślałem, że w ten sposób zyskamy ze dwadzieścia minut.

– Miał na imię Bertrand.

– Mam to gdzieś.

– A nie powinienes – odparł Frank. – Był twoim bratem. Dobrze cię widzieć, synu. Co u ciebie?

Taverner rozłączyła się i powiedziała:

– Przysięgam na Boga, czasem mi się wydaje, że jestem jedyną osobą, która chroni to miejsce przed całkowitym chaosem.

Claude Whelan podniósł wzrok znad laptopa. Obejrzał filmik na YouTubie już cztery razy, a z piątego obejrzenia raczej nie wynikną żadne dalsze informacje. Młody mężczyzna, który przyniósł laptop do gabinetu Diany, zapewnił ich, że film jest oceniany przez ekspertów, którzy analizują każdy piksel. Czy uzyskana w ten sposób wiedza pomoże uratować skórę Claude'a, czy może sprawi, że zostanie schrupany – to bez wątplenia okaże się w swoim czasie.

– Ten drugi mężczyzna w samochodzie, ten, który używał tożsamości Lockheada... Flyte twierdzi, że to był River Cartwright – powiedziała Diana.

Przez chwilę umysł Whelana nie fatygował się, by to sobie przyswoić. Potem Claude spytał:

– River Cartwright? Przecież miał być martwy. Co on robi z paszportem zimnego trupa?

– Niech no się zastanowię.

Z radością jej na to pozwolił. Dopóki była tym zajęta, nie wplącze go jeszcze bardziej w ten szalony spisek, który właśnie dodatkowo się zapętlili. Bajzel z Cartwrightami – tak to nazwała dziś rano, gdy jeszcze mu się wydawało, że to on tu rządzi – cały ten bajzel z Cartwrightami nie miał nic wspólnego

z Westacres. Starszy Cartwright był legendą MI5, cierpiał na demencję, zastrzelił własnego wnuka i zgubił się gdzieś w hrabstwie Kent. Choć najwyraźniej to jednak nie był jego wnuk...

Fakt, że to Taverner zajęła się myśleniem, nie przeszkodził Claude'owi również wpaść na kilka pomysłów.

– David Cartwright? – powiedział.

– Tak – odparła, zastanawiając się już nad tym samym.

– Czas by się zgadzał. Dwadzieścia lat temu.

– Mógłby zabrać zasoby. Nikt nie kwestionowałby niczego, co zrobił. Był prawą ręką Charlesa Partnera.

– Ale po co?

– A po co ludzie robią takie rzeczy? Pieniądze, władza, seks, to nie ma znaczenia. Jeśli jeden z zimnych trupów zapukał do jego drzwi i skończył martwy, to wiesz, co to oznacza?

– Sprzątają – stwierdził Whelan.

Kiedyś późną nocą w centrum Nowego Jorku siedział z Claire na tylnym siedzeniu żółtej taksówki pędzącej Broadwayem i patrzył, jak wszystkie światła uliczne zmieniają się na zielone, gdy się do nich zbliżali. Czasem problemy rozwiązują się same: każde pytanie znajduje właściwą odpowiedź, zanim sam do tego dojdiesz.

– Dawno temu Cartwright dostarczył komuś zimne trupy – powiedział. – A teraz, gdy zaczęli działać, zacierają ślady po sobie. Gdyby Cartwright zginął, byłiby bezpieczni.

– Wiesz, co jest nie tak z tym obrazkiem? Wisi malunkiem do ściany. Gdybyś należał do grupy terrorystycznej planującej zamach w Westacres, najpierw zajęłbyś się takimi niedokończonymi sprawami. Powinni byli przyjść po Cartwrighta przed zamachem.

– Ale tego nie zrobili. Więc może...

– Nie wiedzieli, że dojdzie do zamachu – powiedziała Diana.

Na zewnątrz centrali praca w MI5 trwała nadal. Na ścianie wisiał wyciszony płaski telewizor ustawiony na kanał z wiadomościami, w których nieustannie pokazywano wydarzenia związane z Westacres. Krewni ofiar nie mieli już taryfy ulgowej, bo okres trzech dni uznano za wystarczający na opłakiwanie bliskich, a transformująca moc zaangażowania w światowe wydarzenia zmieniła kilku z nich w ekspertów od walki z terroryzmem. Właśnie produkowała się jedna z takich osób; głowa mężczyzny kołysała się ze złością, gdy wyjaśniał zaniedbania służb wywiadowczych, pomstował na ich opieszałość i niekompetencję. Whelan widział go przez szklaną ścianę gabinetu. Udawanie, że rozumie się, jak działa świat, musi być pocieszające, pomyślał. Zwłaszcza jeśli coś potoczyło się nie tak i w efekcie doszło do jatki; zmasakrowane zwłoki, porozrywane ciała i na zawsze zrujnowane życia.

– Sam nie wiem, co jest gorsze – powiedział. – Fakt, że ktoś to zaplanował, czy że wszystko to jakaś jedna wielka prowizorka.

– Witaj w Regent's Park.

– Podsumujmy. Młody Cartwright ma paszport Adama Lockheada. W domu Cartwrighta były zwłoki. Ergo...

– To były zwłoki Adama Lockheada – stwierdziła Diana.

– Czyli młody Cartwright zjawił się w porę, by powstrzymać zabójcę, a potem wybrał się na drugą stronę kanału, posługując się jego paszportem. Cofał się po śladach. Próbował ustalić, kto chciał zabić jego dziadka.

– Cóż, w każdym razie to pokazuje, że stary Cartwright naprawdę ma demencję – powiedziała Diana Taverner. – Gdyby było inaczej, mógłby go po prostu o to zapytać. Oszczędziłyby sobie podróży. –

Na moment uniosła palce do ust i do Whelana dotarło, że jest palaczką i nieświadomie naśladuje moment wdychania nikotyny. – Czyli pytanie brzmi, czego dowiedział się młody Cartwright. Ile wie.

– I kto go ścigał – dodał Whelan. Wyciągnął rękę i przesunął palcem po touchpadzie uśpionego laptopa. Rozedrgany filmik z Pentonville znów ożył.

– Jedyne sensowne wyjaśnienie jest takie, że to drugi zimny trup – powiedziała Taverner. – Paul Wayne.

– I nie próbuje ratować Cartwrighta, tylko go porwał – dodał Whelan. – Żeby się dowiedzieć, gdzie jest w tej chwili stary.

Mimowolnie oderwał wzrok od niewielkiego ekranu przed sobą i spojrzął na większy w centrali. Zupełnie jakby to było częścią jakiejś artystycznej instalacji o powracających aktach przemocy w wielkomijskiej ikonografii, tam również odtwarzany był w tej chwili filmik z YouTube'a: więcej pożywki dla debaty o tym, dlaczego przegrywa się walkę o bezpieczeństwo na ulicach. Najpierw Westacres, a teraz to. Pojawili się już tacy, którzy próbowali połączyć ze sobą te dwa wydarzenia. Gdyby komuś się to udało, ryk oburzenia dotarłby aż tutaj, nawet przy wyciszonym telewizorze.

– Zdajesz sobie sprawę, że im bardziej sytuacja się komplikuje, tym prostsze staje się rozwiązanie? – odezwała się Diana Taverner.

– Chyba nie chcę tego słuchać.

– Nie obchodzi mnie to. Dopóki jesteś Pierwszym Biurkiem, będziesz musiał podejmować pewne decyzje. Nie ze względu na siebie czy na mnie, nawet nie ze względu na swoją żonę...

– Claire do tego nie mieszaj.

– Oczywiście. Stwierdzam tylko fakty. Twoje wybory nie mogą być już podporządkowane twoim moralnym potrzebom. Powinny służyć wyższemu celowi.

– A ten wyższy cel w twoim mniemaniu...

– To przetrwanie MI5. – Wskazała w stronę centrali. – Doszło do zamachu w Westacres. Nic nie możemy na to poradzić. Powstrzymywaliśmy jednak podobne wydarzenia w przeszłości i w przyszłości znów to zrobimy. Pod warunkiem że nam na to pozwolą. Pod warunkiem że nie stracimy zaufania, jakim wciąż się nas obdarza.

– Jakoś strasznie dużo tego nie ma – zauważył Whelan, wskazując na telewizor.

– Zawsze znajdują się tacy, którzy będą wytykać nas palcami. Ale przeważająca większość ludzi ufa, że zapewnimy im bezpieczeństwo. Bo gdyby było inaczej, nie robiliby tego, co robią. Nie jeźdźliby pociągami, nie chodziliby po ulicach, nie zaglądaliby do sklepów. Zaszyliliby się w swoich sypialniach, jedliby konserwy i pili wodę z butelek. To jest miarą naszego sukcesu, Claude. Że ten kraj wciąż normalnie funkcjonuje, nawet gdy musimy grzebać ofiary.

– Nie wiem, czy dział marketingu zgodziłby się na taki slogan. – Zamknął laptop. Dobrze było mieć takie widoczne znaki przestankowe; bez nich rozmowy mogłyby się ciągnąć w nieskończoność. – Co sugerujesz?

– To, co oczywiste. Mamy na ulicach uzbrojonego terrorystę, któremu towarzyszy zbuntowany agent. Stanowią oczywiste i bezpośrednie zagrożenie dla ludności.

– Chcesz, żebym wydał rozkaz, by do nich strzelać.

– Cóż, ale nie ma sensu tak strzelać, żeby ich tylko zranić. Mogliby wtedy ucierpieć cywile.

– Diano...

– To bym sugerowała, nawet gdyby nie... dodatkowe aspekty tej sytuacji.

– Z pewnością by nam odpowiadało, gdyby tych dwóch zginęło i nie dałoby się ich przesłuchać – stwierdził. – Tyle tylko że młody Cartwright nie jest zbuntowanym agentem, prawda? To znaczy...

– Jego działania są nieuzasadnione i niezatwierdzone i był zamieszany w zabicie człowieka. Jeśli chcesz, możemy się spierać o semantykę, ale nic z tego, co dzisiaj zrobił, nie poprawiło mu CV. Które zresztą już i tak było niezbyt imponujące.

– Mimo wszystko...

– I mamy powody, by sądzić, że jego dziadek umożliwił jeden z najgorszych zamachów terrorystycznych na brytyjskiej ziemi.

– Trudno winić o to jego wnuka.

– To dlaczego go ukrywa?

– Raczej się tego nie dowiemy, jeśli każemy zastrzelić go na ulicy.

– A jeśli pozwolimy mu mówić, wtedy relacje w mediach, jakie do tej pory widzieliśmy, będą wyglądać jak skrypt naszych ekspertów od public relations. To punkt zwrotny, Claude. To byłby nie tylko koniec twojej kariery. I mojej. To by oznaczało koniec MI5, jakie znamy. Które jest niedoskonałe, zgadza się, i czasem reaguje zbyt wolno, ale możemy to poprawić, ty i ja. Ale nie, jeśli o tym fiasku usłyszysz opinia publiczna. Gdy do tego dojdzie, nie zostanie nam nic, na czym moglibyśmy budować. Bo opinia publiczna nie będzie nam już ufać. Wszystko pogrzebią gruzy Westacres.

Gdyby Taverner tu nie było, sięgnąłby po zdjęcie żony. To by mu dodało sił, choć nigdy nie zgodziłaby się na to, co mu proponowano: na szybkie wyjście z sytuacji, do której to nie on doprowadził. Ale przecież już mu się to zdarzało, prawda? Znajdował takie wyjścia z sytuacji, których Claire nigdy by nie zaakceptowała. Z sytuacji, o których nie wiedziała, że się w nich znalazł.

– A co z Davidem Cartwrightem? – spytał wreszcie.

– W końcu się gdzieś pojawi. Ale to, co powie, nie będzie miało żadnego sensu. To nasza szansa, żeby się od tego wszystkiego uwolnić. I to nawet nie będzie pchnięcie, Claude. Tylko szturchaniec. Londyńska policja nie będzie się cackać, bez względu na to, jakie będą twoje rekomendacje.

– Nie mogę wydawać instrukcji policji.

– Ale możesz zadzwonić do premiera.

Odnosił wrażenie, że możliwość jakiegokolwiek wyboru wyslizguje mu się z rąk.

– Młody Cartwright nie jest wrogiem publicznym.

– Jeśli dowiedział się, co zrobił jego dziadek, to najprawdopodobniej nim jest. Bo to by oznaczało, że posiada informacje, które mogą poważnie i nieodwracalnie zaszkodzić MI5. A jeśli to nie czyni z niego wroga publicznego, to sama nie wiem, co by go z niego uczyniło.

Pomyślał, że minęło kilka godzin, odkąd ostatni raz wspomniała o mieczu, który zawiesiła nad jego głową; o nieprawdziwych informacjach, które podała podczas spotkania sztabu kryzysowego COBRA.

Wolała, aby zamiast tego sam doszedł do decyzji, którą mu podsunęła.

Jeśli zrobi to, czego od niego chciała, będzie na zawsze uwikłany w jej siłą.

Jeśli nie, rzuci go wilkom na pożarcie.

Z uczuciem nostalgii przypomniał sobie życie po drugiej stronie rzeki, gdzie najgorszym, z czym musiał się mierzyć, było pasywno-agresywne wbijanie sobie szpilek przez analityków.

– To nie w porządku – powiedział.

– Może i tak. Ale to jest właściwa decyzja.

Pomyślał, że nic w jej zachowaniu nie świadczyło o tym, by kiedykolwiek w życiu w siebie zwątpiła.

Starając się, by jego twarz pozostała bez wyrazu, Claude Whelan sięgnął po telefon.

Obok przemknął wóz policyjny, a może nie. Niebo wydało dramatyczny pomruk albo wstrzymało oddech. Całkiem możliwe, że syreny wynurzyły się z Tamizy, a statek w kamuflażu deformującym uniósł się w powietrze. Prawdopodobnie jednak dalej tylko padał deszcz. Gdyby Rivera później poproszono, by odtworzył tamtą chwilę, tylko tego jednego byłby pewien.

– Co powiedziałeś?

– Słyszałeś mnie, River. Jestem twoim ojcem.

– Moim ojcem?

– Mam ci to powiedzieć głosem Dartha Vadera?

River w ogóle nie chciał tego słyszeć.

Kilka razy zamrugał, ale to nic nie zmieniło. Wciąż byli pod zadaszeniem na brzegu Tamizy, w której odbijające się nocą światła zostały przekształcone w impresjonistyczne obrazy przez nieustannie padający deszcz. Z baru na statku w kamuflażu dobiegał stłumiony gwar głosów i jakaś bliżej nieokreślona melodia. A obok stał Frank Harkness, który prowadził jakąś tajemniczą komunę w samym sercu Francji, wychowywał chłopców takich jak Patrice czy Bertrand i robił z nich zabójców.

„I miał kobietę, Angielkę, pamiętam to. Raz ją widziałam albo więcej niż raz. Może złało mi się to w jedno”.

Słowa Nataszy, które przypląnęły do niego tak jak te unoszące się na wodzie odbicia.

„Była bardzo piękna i bardzo zła, kiedy ją widziałam, i strasznie się pokłócili. Frank kazał wszystkim wyjść... A kiedy wracamy, już jej nie ma”.

Jego matka z nikim nie zostawała na długo. Nawet małżeństwo, które dało jej większe poważanie i pozwoliło się usatkwować, po trzech latach dobiegło końca, gdy umarł jej mąż, który miał słabe serce.

Całą odległość, jaką pokonała, i całe poważanie, jakie zdobyła, podsumowywało to, jak używała tego zwrotu: słabe serce.

– Ale jak to możliwe, żebyś...

Te słowa kosztowały go tyle wysiłku, że niemal widział, jak zawisły w powietrzu. A potem runęły na ziemię, gdy nie zdołał dokończyć zdania.

– Lepiej wejdźmy do środka – powiedział Frank. Wskazał głową bar za ich plecami; salonik na statku. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował czegoś mocniejszego.

– Jak to możliwe, żebyś był moim ojcem?

– Poważnie? Musimy o tym rozmawiać? – Frank pokręcił głową. – Domyśliłem się, że późno zacząłeś, ale...

River chwycił go za kłapy i nim potrząsnął, ale było jasne, że Frank mu na to pozwala. Było w nim coś solidnego, jak w pniu drzewa – można było go szarpać i ciągać dzień i noc, ale nie było mowy, by go powalić bez użycia ciężkich narzędzi.

– Tak już lepiej – powiedział Frank. – Przez chwilę myślałem, że zemdlejesz. Ale tak już lepiej. Jesteś silny. Nadasz się.

– Kłamiesz.

– Wiesz, że nie. Gdybyś myślał, że kłamię, to byłaby pierwsza rzecz, jaką byś powiedział.

River go puścił.

– Tylko sobie ze mną pogrywasz. To wszystko bzdury. Nie możesz przecież...

Ale już teraz czuł się tak, jakby do tej pory umyślnie opierał się tej wiedzy. Już teraz czuł się tak, jak gdyby dowiedział się jako ostatni.

– Poznaliśmy się, zakochaliśmy się w sobie, ona zaszła w ciążę. Twój dziadek tego nie pochwalał, naprawdę muszę ci to mówić?

S.D. i jego matka, ta przepaść, która ich podzieliła. Przez całe lata przyglądała się temu z boku, ale żadna ze stron nie uchyliła rąbka tajemnicy. „Prawdziwa zimna wojna ominęła go o kilka lat. Ta musiała się nadać, dopóki nie pojawi się następna”.

– Wbił między nas klin. Co ci o mnie powiedziała?

– Nic. Nic mi nie powiedziała. Nigdy o tobie nie wspomina.

– Cóż, to już zasługa starego. Kiedy on wbije klin, nic się na to nie da poradzić.

Tym razem faktycznie przemknął obok policyjny wóz, choć „przemknąć” nie było właściwym słowem. Samochód zwolnił, policjanci obrzucili ich uważnym spojrzeniem, a potem objechali miejsce, gdzie prowadzono roboty drogowe. Przejeżdżały też inne pojazdy, ale nie miało to żadnego znaczenia.

– Dlaczego to zrobić?

– Dlaczego nas odsunął od siebie?

– Tak. Dlaczego miałyby to zrobić, zwłaszcza że... że byłam ja? Skoro była w ciąży? Dlaczego miałyby to zrobić?

– Może nie podobała mu się myśl, że będzie miał zięcia jankesa. Albo martwił się, że zabiorę jego ukochaną córeczkę za wielkie morze.

– Nie.

– Nie była jego ukochaną córeczką czy...

– Nie. Kłamiesz. Nic z tego nie jest choćby blisko prawdy.

Myślał o wszystkich tych latach, o wszystkich tych rozmowach. O tym, jak dziadek pytał go, „czy matka się do niego odzywała”. Nigdy nie mówił o niej „Isobel”, jakby to miało sugerować bliższą znajomość... Przez całe życie River strasznie za nią tęsknił i nigdy głośno tego nie przyznał. A powody, które mu teraz przedstawiono, zupełnie nie wystarczały, by to wyjaśnić.

– No dobra, było coś jeszcze – powiedział Frank. – Twój dziadek... umiał świetnie dobijać targu.

– Opowiedz mi, co się stało.

– Potrzebowałem pewnych rzeczy. Musiałem rozpocząć realizację pewnego projektu. Gdybym trzymał się z dala od Isobel, twój dziadek... mógł mi to ułatwić. Umożliwić mi pewne rzeczy.

– Les Arbres – powiedział River.

– Ile o tym wiesz?

Równie dobrze można by o coś zapytać tym tonem podczas uroczystej kolacji.

– Prowadziłeś tam jakąś komunę – powiedział River. – I spaliłeś ją do gołej ziemi w dniu, w którym wysłałeś swojego syna, żeby zabił mojego dziadka. – Przechesał ręką włosy i teraz była cała mokra. – To mi śmierdzi zacieraniem śladów. Ten twój projekt nie wypalił, prawda?

– Popelniliśmy błędy – odparł Frank. – Będę pierwszy, który to przyzna. Ale to nic, czego następnym razem nie można by naprawić.

– I próbowałeś to zatuszować, zabijając mojego dziadka!

– Przykro mi. To było niewłaściwe podejście. Teraz to rozumiem.

– Niewłaściwe podejście? Kim ty, do diabła, jesteś? Samozwańcym pierdolonym guru? Wysłałeś własnego syna, który, nawiasem mówiąc, zginął. Twój syn zginął.

– Znał ryzyko – powiedział Frank.

– I to wszystko, co masz do powiedzenia? Że znał ryzyko?

– Myślisz, że w środku nie chce mi się wyc? Cierpię, River. Możesz mi wierzyć, naprawdę. Ale Bertrand był... mieliśmy misję i ona wciąż trwa, a kiedy jesteś w terenie, trzymasz takie rzeczy w sobie. Później będzie na to czas. – Przerwała na chwilę i dodał: – Dla nas obu.

Nie dam się w to wkręcić, pomyślał River. Nie dam się w to wkręcić. Ale część niego i tak się w to wkręciła, zaczęła dodawać dwa do dwóch i wypełniać puste miejsca. Jego przyrodni brat... Coś więcej niż powierzchowne podobieństwo. Nic dziwnego, że myślał, że zjawi się w domu S.D., udając Rivera. Nic dziwnego, że River mógł korzystać z jego paszportu.

A on skasował tę twarz ze względów praktycznych.

Ale nie da się w to wkręcić.

– Co to za misja? – spytał.

Frank uśmiechnął się krzywo.

– W tej chwili? W tej chwili misją jesteś ty, River.

Strzały na Pentonville Road jeszcze mocniej wstrząsnęły miastem. Starzy i bezbronni byli załknieni, ale w nocnym życiu młodych pojawił się słodki dreszczyk. Te ciarki, jak na Dzikim Zachodzie, miały swoje zalety. Wzrosło ryzyko nagłej śmierci – podobnie jak w miasteczkach z westernów – ale wzrosły też szanse na to, że ktoś cię przeleci.

Patrice wyczuwał to w scenkach, które widział w oknach, przemierzając ulice w samym sercu Londynu. Interakcje społeczne odrobinę się zacieśniły. Ludzie promiennie się uśmiechali, ich śmiech uderzał w nieco wyższy ton, wszystko zdawało się bardziej kruche. To pomagało. Z baru wyłoniła się jakaś grupka uzbrojona w parasolki i zajęta wybuchami wesołości. Dołączył do nich, z łatwością przybierając odpowiedni wyraz twarzy, jakby należał do ich towarzystwa.

– Nie załapię się na żadne schronienie przed deszczem aż do następnej stacji metra, prawda? Okropnie dzisiaj zmokłem!

– Oczywiście, że się załapiesz, kochany.

– Hej, nie wyjeżdżaj tak z tym kochanym!

– Nie zwracaj na niego uwagi.

Parasolka lekko się przesunęła i osłoniła go przed deszczem.

– Wspaniale – powiedział Patrice. – Dzięki.

– Nie tylko na deszcz musisz uważać – odezwał się ktoś bełkotliwie. – Jacyś szaleńcy wymachują tu bronią.

Przemieszczając się w formacji żółwia, minęli dwóch policjantów na rogu, którzy wypatrywali podejrzanych osób poruszających się dwójkami.

– Dobry wieczór, panowie z policji.

– Dbajcie o bezpieczeństwo na ulicach!

Patrice uśmiechnął się tak jak inni i kiwnął im głową, a na następnym rogu odłączył się od grupki. Dwie dziewczyny zaprosiły go, żeby został na imprezie – zawsze była jakaś impreza – ale miał broń w kieszeni i cel. I instrukcje od Franka, który wydawał mu polecenia, odkąd Patrice nauczył się chodzić, i który już wtedy zadbał, by nie było nawet mowy o tym, że Patrice może ich nie wykonać.

– Adres – powiedział Frank, gdy znaleźli na tyle daleko, by ten młody udający Adama Lockheada szpieg nie mógł ich usłyszeć. Powoli go wyrecytował. Aldersgate Street.

Patrice wiedział, że nie powinien pytać dlaczego. Frank mimo to mu wyjaśnił.

– To tam stacjonuje – rzekł, wskazując na młodego szpiega. – A w tym departamencie nie uciekają do bezpiecznych domów.

– Czyli Chapman może tam być – domyślił się Patrice.

– I stary Cartwright też. Wiesz, co robić.

Patrice wiedział, ale Frank i tak mu powiedział.

– Zabij ich wszystkich. Zadzwoń do mnie, kiedy skończysz.

Patrice kiwnął głową.

Mijał teraz Smithfield Market, z opuszczonymi już na wieczór roletami.

Aldersgate Street była kilka minut drogi stąd.

* Ang. *dazzle camouflage*.

W Slough House Shirley przeżywała swoje bliskie spotkanie ze śmiercią.

– To pierdolony psychol – oświadczyła radośnie.

– A bawi cię to, bo...?

– Dzięki temu życie ma smaczek. Hej, a może zrobimy tak, żeby wkurzył się na Ho? Roddy się zesra, jak ten Szalony Mnich wytnie mu tę sztuczkę z nożem.

– Cóż, to była nie tyle sztuczka z nożem, co po prostu nóż – zauważył Marcus.

Byli z powrotem w swoim pokoju i blask żarówek nad głową wydawał się coraz bardziej jaskrawy, w miarę jak na zewnątrz gęstniała ciemność. Shirley raz za razem odtwarzała filmiki na YouTube – teraz już dwa, bo kolejny dziennikarz amator zamieścił swój materiał – i była coraz bardziej przekonana, że to Rivera wychwyciła kamera. A to było fajne. Gdy ostatnim razem kulawe konie znalazły się na jakimś wojennym filmiku, bawiła się najlepiej od czasu, kiedy wywalono ją z zajęć jogi za to, że wdała się w bójkę. Jeśli się okaże, że to sprawa dla Slough House, może jeszcze nadarzy się okazja, żeby komuś zdrowo przywalić. A przynajmniej będzie miała dzięki temu o czym mówić podczas swojego kolejnego treningu kontroli złości.

Poza tym w domu nikt na nią nie czekał. Nie żeby chciała znów odtwarzać w głowie ten żalony scenariusz.

– Idę zrobić herbatę – powiedziała. – Też chcesz?

Ale Marcus tylko mruknął coś pod nosem.

Ho był w dzwonie nurkowym i spoglądał na świat z dna morza.

W każdym razie to było takie uczucie.

Po tym, jak przyniósł Chapmanowi łód na kolano, wrócił przed swoje monitory. Rany, aż go bolało od patrzenia, jak starzy ludzie się spią; Ho był tolerancyjny, to była jedna z cech, które jego dziewczyna Kim najbardziej w nim podziwiała, ale poważnie, od patrzenia na starych ludzi robiło mu się niedobrze. Zamierzał zostać do późna; były takie rzeczy, które wolał robić ze służbowego komputera. Chodziło o coś w rodzaju wyzwania – zadania, które mu przydzielono. A nawet misji. Nagrodą była ręka jego damy. Choć po czterech randkach i całej tej kasie, którą wybulił, była mu winna znacznie więcej niż rękę.

Nie chodziło o to, że na niego nie leciała. Roddy'ego Ho niełatwo było oszukać, a mama internet dobrze go wyszkoliła. Kiedy dziewczyna naprawdę na ciebie leci, są sposoby, żeby to poznać, a jednym z tych sposobów jest to, że mówi ci „naprawdę na ciebie lecę”, mówi to cicho i ochryple, prosto do ucha, jest przyjazna jak kociak i ociera się nogą o przód twoich spodni.

A więc tak, leciała na niego. Tyle tylko że jak dotąd, gdy wieczór się kończył, zawsze miała jakiś ważny powód, by wrócić sama do domu – chorą współlokatorkę albo konieczność wstania następnego dnia bardzo wcześnie rano. „Ale już niedługo, Roddy, niedługo” – kiedy wracał sam do domu, wtulał się w te słowa jak w termofor. Niedługo. Podobało mu się, jak to brzmi. A jeśli wykonanie misji sprawi, że niedługo nadejdzie jeszcze szybciej, to pisał się na to. Zdecydowanie mu to pasowało.

Ale w każdym razie: jego zadanie. Poprzedniego wieczoru jego dziewczyna Kim wypytywała go, jak robi to, co robi; w jaki sposób włamuje się do cudzych sieci, małych i wielkich, i niepostrzeżenie

z nich wychodzi. Musiał się roześmiać. „Hakuję je”, wyjaśnił, co sugerowało siekanie i rąbanie, jakby używał maczety, by przedzierać się przez dżunglę. Ale kiedy on to robił – „kiedy Roddy Ho to robi, kotku” – lepszym określeniem było, że udawał ducha, bo nie zostawiał żadnych śladów i nikt nawet nie wiedział, że tam w ogóle był.

– Czyli tak jakby nie możesz nic zmienić? Zostawiasz wszystko tak, jak było?

I znowu: ha! Była taka śliczna i seksowna, ale naprawdę nie pojmowała, co Rodster potrafi zrobić z klawiaturą.

– Kim, kotku – uwielbiała, kiedy ją tak nazywał – mogę zmienić wszystko, co tylko zechcę. Po prostu robię tak, żeby wyglądało, że zawsze tak było, kapujesz?

I kapowała, oczywiście, że tak, bo roześmiała się w ten swój seksowny sposób i spojrzała na niego maślanymi oczami.

– To wspaniale, jesteś taki cudowny, bo...

Okazało się, że miała przyjaciółkę i że ta przyjaciółka miała pewien problem.

Mówiąc w skrócie, została okantowana na kasę przez firmę, dla której pracowała, tyle tylko że zwolnili ją za jakieś wymyślone gówno, bo prawdziwy powód przedstawiał się zgoła inaczej: była zbyt dobra w tym, co robiła, i nie było ich stać na zapłacenie jej zaległej prowizji – „Parę tysięcy funtów, Roddy” – i teraz nie mogła pozwolić sobie na prawnika, żeby ich pozwać, więc jeśli istniał jakiś sposób, by Roddy jak ten duch wszedł do systemu tej firmy i tak pozmieniał im rzeczy na kontach, żeby pieniądze, które jej byli winni, trafiły na jej kartę kredytową albo coś w tym stylu, to byłoby naprawdę wspaniale. Bo chodziło o naprawdę dobrą przyjaciółkę, a do tego ładną, i byłaby bardzo wdzięczna Roddy’emu, Kim też byłaby mu wdzięczna i czy to nie byłoby miłe, gdyby dwie ładne dziewczyny chciały mu się odwdziżyć równocześnie?

Roddy przełknął i zmienił pozycję.

– Jasne, kotku – powiedział, ale zabrzmiało to trochę piskliwie.

Ale w każdym razie, wracając do tematu, Kim miała akurat dane tej firmy zanotowane na karteczce i teraz ta karteczka leżała przed Roddym. A więc była to tylko kwestia wejścia w tryb łodzi podwodnej i zanurkowania w dark webie i nie miało żadnego znaczenia, że pozostali wciąż snują się po Slough House, bo żadne z nich nie zorientowałyby się, co robił, nawet gdyby nad nim stali i zaglądali mu przez ramię.

Ponieważ najlepiej mu się pracowało, gdy było chłodno, otworzył najbliższe okno, by orzeźwiło go zimne wilgotne powietrze, a potem zabrał się do swojej misji.

Na skrzyżowaniu, gdzie droga prowadząca ze Smithfield przebiegała pod kompleksem Barbican, Patrice schronił się pod siłownią, z której wysypywali się wysportowani, spoceni pracownicy z centrum miasta, z torbami w jednej ręce, smartfonami w drugiej, już usiłujący nadrobić zaległości z czasu spędzonego na bieżni. Masywna struktura nad nim zapewniała ochronę przed deszczem, ale powietrze było wilgotne, a chodniki guzowate od okruszków betonu. Zupełnie jakby to było wejście do podziemnego garażu.

Na jedną krótką chwilę przypomniał sobie piwnicę.

W Les Arbres każdy z chłopców w dwunaste urodziny był zamykany w piwnicy bez dostępu naturalnego światła i z tylko jedną świeczką. Co rano dostawał jedną bułkę i kubek wody. Co rano mówiono mu, że zostanie wypuszczony, gdy tylko poprosi o uwolnienie. Patrice pamiętał, że Bertrand wytrzymał tylko siedemnaście dni, zanim poprosił, by go wypuszczono. Pamiętał wyraz pogardy na

twarży Franka na widok syna, jakby to był akt tchórzostwa albo zdrada. Sam Patrice wytrzymał cały miesiąc. Ustanowił wtedy nowy rekord.

Yves wytrzymał dwa miesiące.

Frank powinien był wiedzieć, pomyślał teraz. Powinien był wiedzieć, że przyjdzie taka chwila, gdy pragnienie Yves'a, że może posunąć się dalej niż którykolwiek z nich, doprowadzi go do przekroczenia każdej możliwej granicy. Za bardzo przyzwyczał się do ciemności. To był cud, że w ogóle tak długo przetrwał w świetle.

Ale ta myśl, że Frank powinien był wiedzieć, wymagała kary i Patrice uderzył w murowaną ścianę, a potem zlizął sobie krew z knykcii. Zasłużył na to. Nikt nie mógł wiedzieć, dokąd doprowadzą Yves'a jego demony. To w tym miejscu lęły się takie pomysły: w deszczowym Londynie, którego szarości i błękity wnikały w jego duszę. Cóż, Patrice nie zostanie tu długo. Gdy to ostatnie zadanie zostanie wykonane, on i Frank będą mogli wrócić na kontynent i zniknąć. Z Les Arbres zostały tylko popioły, ale znajdują jakieś miejsce. Wrócą pozostali – oczywiście z wyjątkiem Bertranda i Yves'a – i życie zacznie się na nowo.

Ale zanim to się stanie, stary David Cartwright, który był przy narodzinach Les Arbres, musi odejść. Podobnie jak Sam Chapman, jego szofer i goryl. To, że przetrwali pierwsze próby eliminacji, można było przypisać ich ślepemu szczęściu albo niekompetencji jego i Bertranda. A może, pomyślał teraz, to przez tę pogodę; ten nigdy niekończący się deszcz, który spowalnia stawy, przytępia reakcje. Cóż, w każdym razie to się miało skończyć. Ten młody szpieg pracował w tamtym budynku po drugiej stronie ulicy, tym, który Frank nazwał Slough House, i istniała całkiem spora szansa, że oba cele znajdowały się teraz właśnie tam. Istniała także możliwość, że Cartwright i Chapman podzielili się swoją wiedzą o Les Arbres z kolegami tego młodego szpiega, co poszerzało pulę celów. Dlatego było ważne, by tym razem nie popełnić żadnych błędów.

Postawił kołnierza i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Lamb przystanął na podwórzu, by zapalić papierosa, głęboko zaciągnął się dymem i wstrzymywał go tak długo, że niemal nie było czego wydychać. Deszcz bębniący w kapelusz wypełniał jego głowę rytmem bębnowym.

Drzwi za nim się otworzyły i pojawiła się Catherine. Stojąc w przedpokoju na tle światła, powiedziała:

- On cierpi.
- Ojejku!
- Zostawiłam go z Moirą. Zrobi mu herbaty.
- Czemu tylko tyle? Powiedz jej, żeby go okryła i przeczytała mu bajkę.
- To staruszek, Jackson.
- To staruszek, który ma krew na rękach. Nie udawajmy, że to on tu był ofiarą.
- Nie mógł wiedzieć, co się stanie. Myślał, że chroni swoją rodzinę.
- Raczej samego siebie. – Odwrócił się do niej. – Ostatnią rzeczą, której chciał, było, żeby jego córka zadawała się z jakimś dziwakiem, którego wyrzucili z CIA. Bo to mogło zмарnować jego szanse na zostanie Pierwszym Biurkiem, co? Dziś takie typy pojawiają się w *Newsnight* i recenzują filmy o Bondzie. Ale w tamtych czasach tajemność traktowano poważniej i nikt nie chciał, żeby plotki z tajnych służb trafiły do brukowców.

– Nigdy nie chciał być Pierwszym Biurkiem.

– Aha. A Buzz Astral nigdy nie chciał być pierwszy na Księżycu.

– Nie sędzę, żeby ci chodziło o Astralę. A poza tym danie Frankowi tego, czego chciał, nie pomogło, prawda? I tak nigdy nie został Pierwszym Biurkiem.

– Zanim wyposażył Franka, wysyłając pieniądze jakimś lewym kanałem, doszedł pewnie do wniosku, że lepiej będzie się nie wychylać – stwierdził Lamb. – Podkradanie pieniędzy to jedna rzecz. Ale podsyłanie ich jakiejś organizacji paramilitarnej... to już graniczy ze zdradą. Może uratował córkę ze szponów tego szurniętego Amerykanina, ale przy okazji zrujnował sobie karierę. Chyba jest w tym jakaś sprawiedliwość.

– Nigdy mu nie wybaczyła.

– Tego, że ją uratował?

– Wątpię, żeby uważała to za ratunek – stwierdziła Catherine. – Poza tym nie ratował tylko jej, prawda?

– Teraz próbujesz poruszyć moje serce? Przypominając mi, że był też płód?

– Gdyby nie przekupił Franka, oddałby w jego ręce swojego nienarodzonego wnuka. A Frank i tak w końcu dostałby to, czego chciał, bo tacy jak on zawsze to dostają. A to znaczy, że znalazłby inny sposób na sfinansowanie projektu Kukułka i...

– I River byłby jego częścią. Tak, dociera to do mnie.

– To dlaczego jesteś taki pewny, że ma brudne ręce?

Lamb nie odpowiedział.

– Założę się, że robiłeś rzeczy...

– Niektóre na jego rozkaz. – Lamb rzucił papierosem o ścianę i w ciemności na chwilę rozkwitł fajerwerk. Potem sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej coś, co wyglądało na skarpetkę. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym schował ją z powrotem.

– A tak w ogóle dokąd się wybierasz? – spytała Catherine.

– Nie mam już co pić.

– I teraz sam sobie przynosisz?

– No cóż, czasem ja też muszę pobrudzić sobie ręce.

Wymknął się przejściem prowadzącym na Aldersgate Street.

Catherine przez chwilę patrzyła za nim, a potem zamknęła drzwi i wróciła na górę.

Moira Tregorian znów miała pełne ręce roboty; czy kiedyś było inaczej?

Jeśli możesz, zrób mu filiżankę herbaty. Oczywiście to były słowa tej jaśnie pani, szanownej Catherine Standish, wydającej rozkazy, jakby żadna z nich nie wiedziała, że jej rezygnacja leży na biurku.

– No to proszę. – Postawiła przed nim herbatę i jeśli zrobiła to trochę gwałtownie, tak że odrobina się wylała, to cóż, przecież i tak nie będzie narzekał, prawda? – Już jest posłodzona – dodała.

A wtedy, ponieważ wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc, zawstydziła się i powiedziała łagodniej:

– Lepiej ją wypij, zanim wystygnie. Powinieneś napić się czegoś ciepłego.

To, czy ją zrozumiał, czy nie, wydawało się w jakiś sposób mniej istotne. Poza tym mogła zrobić dla niego bardzo niewiele.

Miała pracę do wykonania, bo zawsze ją miała. Jeszcze nikt nigdy nie oskarżył Moiry Tregorian, że nie wykonuje swojej pracy jak należy. Wciąż były tu teczki i spięte papiery z ubiegłego września i miała wielką ochotę wezwać panią Standish i spytać ją, czy zechciałaby jej pomóc, ponieważ znaczna część tego bałaganu powstała za czasów, gdy to ona tu pracowała. Potrafiła jednak wyobrazić sobie jej

lodowatą odpowiedź. Królowa całego wydziału, jakby była Panią z Shalott albo kimś takim. Nie, nie o nią jej chodziło. Tylko o tę drugą.

– Lady Ginewra – powiedziała na głos.

To ją miała na myśli.

Rozległo się paskudne siorbanie, gdy starszek pociągnął solidny łyk herbaty. Odstawił filiżankę i powiedział:

– Król Artur.

Dobry Boże, pomyślała, jemu się wydaje, że zadajemy sobie zagadki.

Ale wciąż czuła się winna, że wcześniej ostro go potraktowała. I miło do kogoś się odezwać, nawet jeśli to była jakaś dziecinada.

– Sir Lancelot – powiedziała.

– Sir Parsifal.

Szczerze, nie była nawet pewna, czy sir Parsifal naprawdę istniał, ale nie chciała psuć starszuskowi zabawy.

– Sir Gawain – powiedziała ze świadomością, że jeśli to potrwa dłużej, skończą jej się imiona.

– Sir Galahad.

Galahad, pomyślała. Zabawne, z czymś to jej się kojarzyło.

Gdzie ostatnio natrafiła na Galahada?

Nie mogła sobie tego przypomnieć.

Było jasne, że nikt nie używa frontowych drzwi – wystarczyło tylko spojrzeć na tę łuszczącą się czarną farbę, by zrozumieć, że nie otwierano ich od lat – a to oznaczało, że muszą być drugie na tyłach. Minął więc chińską restaurację z pożółkłym menu przytwierdzonym do brudnej szyby i dotarł do przejścia oświetlonego jedynie blaskiem z okien pobliskiego biurowca. To było jedno z tych zaginionych miejsc, które istnieją w każdym mieście; nieuwzględniona luka między kodami pocztowymi. Na lewo od niego znajdował się mur, w którym w równych odstępach tkwiły drewniane drzwi, i gdy spróbował otworzyć drugie z kolei, ustąpiły. Znalazł się na małym, śmierzącym grzybem podwórzu i spojrzał w górę na ponury budynek. To musiał być Slough House. Jak na część tajnych służb, nie wydawał się solidnie zabezpieczony. To dużo mówiło o tym, na ile ceniono ludzi, którzy tu pracują.

Patrice wyjął z kieszeni broń. Kobieta, do której należała wcześniej, też była z tajnych służb i uderzyła go myśl, jakie to będzie dla niej trudne, że jej broni użyto do zabicia jej kolegów. Ale to była jedynie zamazana smuga na jego mentalnym horyzoncie; niczym świadomość tego, jaka jest pogoda w innym miejscu.

Spróbował otworzyć drzwi, które trochę się zacinają. Musiał oprzeć się o nie i pchnąć w górę klamkę, by otworzyły się bezgłośnie. Ale to zajęło tylko chwilę. A potem był już w środku, na schodach, z bronią w opuszczonej ręce, jakby nie była cięższa i ważniejsza niż pół litra mleka.

Marcus słyszał, jak Catherine rozmawia w kuchni z Shirley. To, że zjawiała się z powrotem w Slough House, okazało się w pewnym sensie pocieszające, bądź co bądź oboje byli jedyni w swoim rodzaju. Hazardzista i pijaczka – zabawne, że nigdy nie porozmawiali o swoich uzależnieniach. Tyle tylko że w ich sytuacji nie było nic zabawnego. Jego życie rodzinne nie tylko strzępiło się na krawędziach; w tej chwili było naddarte pośrodku i jedno mocniejsze szarpnięcie mogło sprawić, że zostanie sam. Jeśli chodzi o Catherine, to cóż, wydawała się pogodna. Ale jakie życie tak naprawdę wiodła? Jakie demony ukryły się w zakamarkach jej duszy? A więc nie, oczywiście nigdy nie rozmawiali o takich rzeczach.

Poza tym sam nigdy nie przyznał się do tego na głos, prawda? Rzadko przyznawał się do tego nawet przed sobą.

– Mam problem z hazardem... – powiedział bardzo cicho.

Te słowa ledwo poruszyły powietrze. Poruszał ustami, ale to by było mniej więcej tyle.

Potrząsnął głową. Gdyby Shirley to słyszała, już nie dałaby mu spokoju. Ale ponieważ jej tu nie było, wysunął szufladę biurka i znów do niej zajrzał.

To była jedyna rzecz, którą mógł sprzedać za jakieś poważniejsze pieniądze – dostałby za nią co parę stów – tak by Cassie się o tym nie dowiedziała. Przyniósł ją dziś rano, niósł ją w godzinach szczytu w kieszeni płaszcza; po trochu się spodziewał, że Lamb się już o tym dowiedział – to upierne, że wiedział o wszystkim, co się działo wokół niego, choć mogło się zdawać, że nawet nie otwiera oczu. A dziś wieczorem, kiedy wyjdzie, zabierze to ze sobą, ale nie skieruje się prosto do domu. Było takie miejsce przy katedrze Świętego Pawła, sklep papierniczy, tyle że tak naprawdę wcale nim nie był. Na tyłach znajdował się pokój, gdzie przesiadywał człowiek, który wyglądał jak hobbit. Nazywał się Dancer. Dancer skupował broń i odsprzedawał ją ludziom, w których motywy lepiej było nie wnikać.

Czy naprawdę jestem w stanie zgodzić się, by moja broń trafiła na ulicę? – zastanawiał się Marcus. Ale potrzebuję tych pieniędzy.

Potrzebował pieniędzy i wiedział, że zawsze będzie ich potrzebował, tak samo jak Catherine zawsze będzie miała ochotę się napić. Tyle tylko że Catherine miała ochotę się napić, ale tego nie robiła. Marcus spojrział na broń w szufladzie i pomyślał o wszystkich tych rzeczach, do których może zostać użyta, gdy już ją wypuści z rąk. Nigdy się o tym nie dowie, ale też nigdy nie przestanie się nad tym zastanawiać. A tymczasem będzie miał parę stów i będzie mógł zapłacić kilka rachunków; a nawet więcej niż kilka, jeśli podejmie mądrą decyzję i rozdysonuje te pieniądze tak, by zapewnić sobie wyższą wygraną...

Albo mogę od razu iść na górę i porozmawiać z Catherine. Ona by mnie wysłuchała. Pomogłaby mi.

Tak, pomyślał. Powinienem tak zrobić... Ale nie, w sumie to nie. Bo przecież nie miał żadnego problemu. Miał tylko pechową serię, a z seriami tak już było, że w którymś momencie się kończyły.

Kilka stów w ręce. Potrzebował tylko iskierki nadziei i mógłby odwrócić całą tę sytuację. Potem odkupiłby broń od Dancera, zanim ktoś by ucierpiał. Uśmiechnął się do siebie na myśl, że niedługo tak zrobi.

A potem zaczął się zastanawiać, kto jest na schodach.

Złego Sama wciąż bolało kolano, mimo znieczulającego efektu butelki Lamba, ale i tak musiał wstać i wyjść z biura. Volkswagen nic nie miał na Lamba, jeśli chodzi o nadmierną emisję CO2... Upuścił okład z lodu na podłogę, spróbował przenieść na nogę ciężar ciała i stwierdził, że da się to jakoś znieść.

Utykając, zszedł piętro niżej na poziom, gdzie mieściła się kuchnia, zastał tam Catherine Standish i inną kobietę – Shirley? Tak, Shirley. Ta pierwsza była zajęta czajnikiem, druga się temu przypatrywała. Shirley była niska, ciemnowłosa, z fryzurą na Szwedkę; barczysta, ale nie pozbawiona pewnego uroku, o ile było się wiele młodszym niż Zły Sam i nie miało się nic przeciwko temu, że to może być jazda po krawędzi. To sporo przypuszczeń jak na tak krótką znajomość, ale z jej twarzy wiele dało się wyczytać. Gdy Zły Sam się zjawił, nic nie powiedziała, lecz zaczęła go uważnie obserwować.

Cóż, pomyślał, dobrze, że ktoś tutaj jest przynajmniej czujny.

– Przepraszam – powiedział do Catherine.

Kobieta pozbawiona klasy uniosłaby brew. Ona tylko na niego spojrziała.

– Za to, co było po śmierci Partnera. Za tamto przesłuchanie.

Kiwnęła głową.

– Ale trzeba to było zrobić.

Kiwnęła jeszcze raz.

Shirley spoglądała to na jedno, to na drugie z nich, jak kot podczas meczu tenisowego.

– Poszedł po więcej alkoholu – powiedziała Catherine. – Ale robię herbatę.

– To świetnie.

Sam poczuł, że od czegoś się uwalnia. Nie był pewien od czego. Tak jak powiedział, tamto przesłuchanie trzeba było przeprowadzić; gdyby nie zrobił tego on, zrobiłby to ktoś inny. Od lat w ogóle się nad tam nie zastanawiał. Ale w towarzystwie tej kobiety mimowolnie czuł, że ją skrzywdził, i cieszył się, że mu wybaczyła. O ile tak było. I...

Tę myśl przeciął wystrzał.

A raczej dwa wystrzały; jeden nastąpił po drugim tak szybko, że mogłyby być dwiema połowami tego samego dźwięku.

– Czy jest tu... – zaczął Sam.

– W biurku Lamba.

– Przynieś go.

Zniknęła na schodach, a Shirley szarpnięciem otworzyła szufladę. Znalazła tylko korkociąg i ścisnęła go w prawej pięści. Jego spiralny koniec zamienił się w dodatkowy, paskudny palec.

– Na górę – zarządził.

– A potem co?

J.K. Coe pojawił się w drzwiach swojego pokoju z kapturem zsuniętym na ramiona i nożem w ręce. Spojrzał na Shirley.

– Co to było?

– Piętro niżej zgasło światło.

Zły Sam rzucił:

– Wejdźcie za tamte drzwi. Zabarykadujcie je. – Mówiąc to, sięgnął po czajnik, który wciąż mruczał do siebie, gdy para unosiła się w stronę sufitu. – Już!

Przeczisnął się obok nich, zapominając o bolącym kolanie, i wychylił się przez balustradę. Piętro niżej pojawiła się jakaś ciemna postać. Sam zrzucił jej czajnik na głowę.

Catherine uklękła przy biurku Lamba i szarpnęła dolną szufladę, ale stwierdziła, że jest zamknięta. Na pewno gdzieś był klucz, ale nie miała na to czasu; na biurku leżała metalowa linijka, kupiona, żeby skończył z nawykiem łamania tych plastikowych. Wsunęła ją w szczelinę i pociągała, póki szuflada nie ustąpiła. Wyjęła z niej pudełko po butach i – bo umysł trudno utrzymać na wodzy – przyłapała się na myśli: kiedy to Jackson ostatni raz kupił sobie parę butów? Ta myśl pękła jak mydlana bańka. Wieszko pudełka było przyklejone taśmą, co kosztowało ją kolejną sekundę. A potem trzymała w ręce pistolet Lamba, zaskakująco mały, ale dość ciężki. W pudełku nie było nic więcej, żadnych nabojów, więc miała nadzieję, że jest naładowany; czas pokaże. Gdy wychodziła z pokoju, otworzyły się drzwi jej dawnego biura i pojawiła się w nich poirytowana Moira Tregorian.

– Co, na litość boską...

– Zostań tam! – Pistolet w jej ręce i tak by załatwił sprawę.

Moira zbłądła i wśliznęła się z powrotem do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Catherine była na schodach, gdy usłyszała trzeci wystrzał, i niemal poczuła go na policzku; powietrze poruszone i odepchnięte przez kulę.

Czajnik minął głowę Patrice'a o centymetr, ale trafił go w ramię i trysnął mu wrznięciem w twarz. Mężczyzna przywarł do ściany i potarł oczy. Czajnik spadał po schodach, odbijając się od stopni, jego zawartość tryskała na ściany, a gdzieś na górze zatrzasnęły się drzwi. Wciąż nie widział wyraźnie. Uniósł broń, a gdy usłyszał kogoś na schodach, strzelił na ślepo. Świsł kuli, która utknęła w suficie.

Umyślnie dwa razy uderzył głową w ścianę. To jakby przejaśniło jego postrzeżenie.

Ignorując poparzony policzek, Patrice zaczął przeskakiwać po dwa stopnie naraz i obrócił się na półpiętrze, by wycelować w postać znajdującą się wyżej.

Coe złapał Shirley i wciągnął ją do swojego pokoju. Zamachnęła się na niego pięścią z korkociągiem i spróbowała wydostać się z powrotem na korytarz. Podciął jej nogi, a gdy upadła, odrzucił na bok nóż, by złapać ją za kołnierz i dżinsy i pociągnąć do tyłu.

– Pierdol się...!

– Tak, ty też.

Wyciągał rękę do drzwi, gdy wyżej na schodach pojawiła się Catherine; rozglądała się dziko. Rozwiały jej się włosy, a w oczach było coś mrocznego i groźnego; w ręce trzymała broń Lamba.

– Z drogi! – krzyknął Sam Chapman. Wyłonił się właśnie z pokoju Louisy, do którego rzucił się po tym, jak cisnął czajnik w dół schodów. Teraz trzymał w rękach krzesło i poruszał się jak ktoś, kto zapomniał, że ma uszkodzone kolano.

Coe złapał Catherine, wciągnął ją przez otwarte drzwi i je zatrzasnął.

Zły Sam rzucił krzesłem w Patrice'a dokładnie w chwili, gdy ten uniósł broń i znów wystrzelił.

Frank miał rację albo przynajmniej pół racji: ten na piętrze to był Sam Chapman, na którego polował wczoraj i dzisiaj, jakiś czas temu. „Paczka niedostarczona”. Już nie, pomyślał Patrice i wystrzelił dokładnie w chwili, gdy w jego stronę poleciało krzesło.

Jedna z listew oparcia rozpadła się w locie, gdy kula odbiła się od niej rykoszetem; samo drewniane krzesło trafiło go w pierś. Nawet nie mrugnął. Zamierzali walczyć na czajniki i meble? Zatrzasnęły się jakieś drzwi, a potem kolejne; chowali się w swoich pokojach. Była taka bajka o domkach zbudowanych przez trzy małe świnki. Niedługo się dowiedzą, jak się skończyła.

Patrice kopniakiem odrzucił krzesło na bok i dotarł na piętro, na którym znajdowała się kuchnia.

Drzwi miały zasuwkę, taką jak w toaletach – coś, co dawało znać, że jest zajęta, ale nie było na tyle solidne, by powstrzymać atak. Coe i tak jej użył, a potem wszedł za biurko Rivera i pchnął je w stronę drzwi.

Shirley wyminęła go i odsunęła zasuwkę.

– Co ty, do diabła...

– Marcus – rzekła.

– Da radę albo nie, ale nie możesz...

– Nie mów mi, co...

Od strony schodów dały się słyszeć jakieś hałasy. Odgłosy czegoś, co rozpada się na kawałki.

– Shirley? – powiedziała Catherine. – Zamknij te drzwi. Albo cię zastrzelę.

– Albo – odparła Shirley – możesz dać mi tę broń i ja pójdę go zastrzelić.

Zły Sam nie wiedział, jak to się stało tak nagle i tak całkowicie, ale stało się – a kiedy sprawy stawały na ostrzu noża, człowiek robił, co mógł. A to nie będzie wiele. Ten chłoptaş miał broń, a Sam nie miał żadnej; a poza tym, sądząc po wydarzeniach z dzisiejszego popołudnia, ten chłoptaş nawet nie potrzebował broni. Gdyby chciał, mógłby rozerwać Sama na kawałki gołymi rękoma. A potem zrobić to samo z pozostałymi, a zwłaszcza ze starym Cartwrightem, który kiedyś pozostawał pod ochroną Sama, a teraz znów tak było – nie żeby to mu miało pomóc. Sam powinien zablokować czymś drzwi, żeby spowolnić tego gościa, ale wydawało się, że nie ma to większego sensu, i gdy dotknął ręką boku, zrozumiał, dlaczego tak czuje. Ten ostatni strzał, gdy Sam rzucił krzesłem... Cóż, kule muszą w coś trafiać. Takie były prawa fizyki albo przyrody; w każdym razie było takie prawo i nie działało teraz na rzecz Sama.

Żałował, że nie zdołał odnaleźć Chelsea Barker. Miał nadzieję, że ktoś inny zacznie jej szukać.

A potem drzwi wyleciały z zawiasów i nadzieje Sama prysły.

– Sir Bediwer – powiedział starszek.

Moira Tregorian zamknęła oczy.

– Sir Kay.

Z dołu dobiegły ich kolejne odgłosy wystrzałów.

Drzwi były tak spróchniałe, że gdy Patrice je kopnął, niemal rozleciały się na kawałki. Przeszedł nad nimi, strzelił Samowi Chapmanowi w głowę, a potem sprawdził pokój, ale nikogo więcej tu nie spotkał. Kuchnia – wnęka nie większa niż na łodzi – też była pusta, za to drzwi drugiego biura okazały się zamknięte. Za nimi z pewnością kryją się cele. Zebrał się w sobie i kopnął, trafiając w drzwi podbiciem prawej stopy.

Te wytrzymały jego pierwszy atak, ale drugiego już nie zniosą.

Drzwi próbowały wbić się do pokoju, ale w ostatniej chwili zmieniły zdanie. Wiedzieli, że ten po drugiej stronie kopnie jeszcze raz i wdrze się do środka.

– Naboje? – spytała Shirley.

Catherine żałośnie potrząsnęła głową.

J.K. Coe znów miał nóż w ręce, ale ostrze wydawało się małe i krucze; niewłaściwa broń na tę okazję.

– Rozproście się – powiedział. – Może nie dostanie nas wszystkich.

Catherine złapała pierwszą rzecz, która nawinęła jej się pod rękę – klawiaturę z biurka Rivera – i szarpnęła nią, zrywając kabel. Chwyliła ją oburącz, niepewna, czy chce nią rzucić, czy użyć jak rakiety tenisowej i odbić kulę wystrzeloną w jej stronę...

Naprawdę napiłabym się teraz czegoś mocniejszego, pomyślała.

Drzwi wyleciały z zawiasów.

– Sir Tristan – powiedział S.D. – Sir Bors, Sir Gareth.

– Siedź cicho! – krzyknęła Moira. – Zamknij się, zamknij, zamknij!

– Wiesz, oni wszyscy zginęli... – powiedział starszek, na którym nie zrobiło to wrażenia. – Zaczęli tak obiecująco... Ale na koniec wszystkich ich spotkał ten sam los.

Z dołu znów dobiegł hałas, gdy ustąpiły kolejne drzwi, i ponownie rozległy się wystrzały. Dwa? Trzy? W każdym razie to wystarczyło, żeby uciszyć starego.

Spojrzał na nią; wizje rycerzy z dawnych czasów uleciały.

Chwilę później usłyszeli, że ktoś pokonuje ostatni odcinek schodów.

Kiedy drzwi wyleciały, Patrice stanął w przejściu i uniósł broń. Były trzy cele: mężczyzna i dwie kobiety. Wybranie kolejności, w jakiej ich wyeliminuje, trwało ułamek sekundy – zagrożeniem była niższa kobieta, która trzymała broń; mężczyzna z nożem będzie kolejny; starsza kobieta, z klawiaturą w rękach, będzie ostatnia. Nie było wśród nich Davida Cartwrighta, ale wcześniejsze zamieszanie podpowiedziało Patrice'owi, że na samej górze jest więcej osób. Wyczuł, że pistolet kobiety jest nienabity, bo miała w oczach strach, a nie wyglądała na kogoś, kto by się bał, trzymając naładowaną broń. Te myśli trwały mikrosekundy. Mniej. To było częścią tego, czego nauczył się w Les Arbres, w jego lasach i piwnicach: że oceniasz sytuację w chwili, gdy stajesz się jej częścią, i że to, co robisz zaraz potem, to nie tyle działanie, ile reakcja. Stajesz się częścią tego, co nieuniknione – tego go nauczono. To, co miało stać się potem, było z góry ustalone od chwili, gdy kopniakiem wyważył drzwi. Pozostawało tylko sprawić, by ciała runęły na podłogę. Wymierzył do młodej kobiety, pociągnął za spust i w głowie już zmieniał cel na mężczyznę; był świadom tego, że druga kobieta rzuciła w niego klawiaturą i że zanim ta klawiatura go dosięgnie, obróci się i ją też zastrzeli; wszystko to było nieuniknione aż do chwili, gdy butelka whisky ciśnięta przez Jacksona Lamba z klatki schodowej uderzyła go w skroń, uniemożliwiając mu celne strzały – wystrzelił trzy razy, ale kule poleciały w powietrze, trafiły w szkło, w gips. Upadł na wyłamane drzwi i przez moment panowała absolutna cisza.

Pokonywała każde półpiętro jednym skokiem; gdyby była świadoma tego, co robi, złamałaby sobie nogę, kostkę, skręciłaby kark. Ale nie napędzał jej żaden plan, tylko prosty imperatyw; impuls, który gnał ją do drzwi jej pokoju i tam ją zawiódł. Musiała przytrzymać się framugi i kilka razy głęboko wciągnąć powietrze, nim zrobiła kolejny krok.

Pokój wyglądał niemal tak jak w chwili, gdy Shirley go opuściła. Jej komputer, który nigdy nie należał do najcichszych, dalej sobie szumiał, czekając na polecenia. Na zaporowanych oknach skraplała się woda; dywan był zdeptany i wytarty. Ale Marcus... Marcus był inny. Marcus siedział za swoim biurkiem, lecz został odrzucony na ścianę, a jego krzesło balansowało na dwóch nogach jak zwierzę wykonujące jakąś sztuczkę. Jego oczy były otwarte. Miał dziurę w czole. I na ścianie za nim malowała się straszna plama.

Na podłodze obok niego broń. Musiał oddać jeden strzał, ale zabił tylko swoje biurko.

Shirley czekała, aż ta scena się zmieni, ale nic takiego nie nastąpiło. Gdy usłyszała hałas dobiegający z za jej pleców, wiedziała, że to Ho wychodzi ze swojej kryjówki.

– Żyjesz – powiedziała, nie odwracając się.

– Mhm.

Jego głos nie zabrzmiał znajomo, ale jej własny też nie.

– Zwiesiłem się z okna – wyjaśnił Ho. – Prawie spadłem.

Nie odpowiedziała.

Po chwili spytał:

– Co z Marcusem?

– Marcus nie dał rady – odparła, po czym odwróciła się i poszła z powrotem na górę.

Ten deszcz nigdy nie przestanie padać. Znalazł jakąś lukę w prawach rządzących pogodą i odtąd będzie padać bez przerwy, na złość zarówno winnym, jak i niewinnym; choć głównie tym pierwszym, bo ze statystycznego punktu widzenia było to nieuniknione. Z zadaszanej platformy statku w kamuflażu River widział zamazaną smugę neonów na South Bank, szarą kurtynę przesłaniającą monolityczną bryłę Sea Containers House i London Eye, którego barwy Coca-Coli zatarły się do punktowanego konturu.

– Misją? – zapytał Franka. – Ja? O czym ty mówisz?

– Marnujesz się tam, gdzie jesteś.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Dołożyłem starań, by się dowiedzieć. Wybrałeś rodzinny biznes. Wiesz, jaki jestem z ciebie dumny? Kiedyś byłem w CIA. I wciąż walczę po dobrej stronie.

– Nie – powiedział River. – O cokolwiek walczysz, ta walka jest brudna.

– Nie wiesz wszystkiego. To, co próbowaliśmy zrobić w Les Arbres, jest korzystne dla wszystkich. Dla wszystkich. – Wykonał zamaszty gest ręką obejmujący Tamizę, co miało oznaczać cały Londyn. – Rozejrzyj się. Kiedy wstąpiłeś do MI5, zrobiłeś to, żeby chronić to wszystko, prawda? Chciałeś służyć, bronić. I jak skończyłeś? Slough House to ślepy zaułek. Kiepski dowcip. Pomyśl o tym, kim mogłeś być, jak się obiecująco zapowiadałeś, a spędzasz dni na znajdowaniu różnych sposobów na to, jak zszyć ze sobą kartki.

– Proponujesz mi pracę? Bo wysłanie kogoś, żeby zabił mojego dziadka, to naprawdę świetna strategia rekrutacyjna. A może pomieszało ci się prowadzenie naboru z byciem łowcą głów?

– W porządku, to był błąd. Już to przyznałem. Ale dzięki temu znaleźliśmy się tutaj. Ty i ja. I teraz masz okazję zdecydować, jak ma wyglądać reszta twojego życia. Bo jeśli zostaniesz w MI5, River, już zawsze będziesz tkwił w Slough House. A jeśli odejdziesz, to co zrobisz? Weźmiesz zwyczajną pracę w zwyczajnym biurze?

– Nie wybiegałem za bardzo myślami poza chwilę, gdy zobaczę, jak oskarżają cię o usiłowanie dokonania morderstwa.

– Nie dojdzie do tego, naprawdę, synu.

Synu. River potrząsnął głową. Wciąż ciężko mu było w to uwierzyć: jego ojciec? Ojciec? To było jak puenta nieudanego dowcipu i już wyobrażał sobie siebie, jak opowiada go w barach. „I zgadnij, co wtedy powiedział. No dalej, zgadnij!”

– Rozumiem, że jesteś wściekły – powiedział Frankowi. – I o ile wiem, wyciągasz ten tekst: „jestem twoim tatusiem”, za każdym razem, kiedy poznajesz kogoś nowego. Ale chcę się dowiedzieć, co do tego wszystkiego doprowadziło. Co sprawiło, że spaliłeś swój dom i wysłałeś syna, żeby zabił mojego dziadka. I tak niedługo wyciągną to z ciebie w Regent’s Park. Możesz już teraz mi to wstępnie naświetlić. Wyobraź sobie, że rekompensujesz mi w ten sposób wszystkie urodziny, które przegapiłeś.

– Synu...

– I przestań mnie tak nazywać.

– Dlaczego? Nim właśnie jesteś.

Uwagę Riveru przyciągnęły – choć były tu przez cały czas – czerwone światła wysoko w ciemności, oznakowania zakończeń i przegubów wszechdobylskich dźwigów.

Frank też miał czerwone światełko: żarzący się koniec jego gauloise'a. Zza zasłony dymu, która natychmiast się rozwiła, rzekł:

– Wiem, że po ostatnich kilku dniach brzmi to jak jakieś szaleństwo. Ale zastanów się nad tym, River. Możesz dalej tkwić w Slough House, który jest specjalnie tak pomyślany, żeby zabić w tobie ducha, wiesz o tym. Albo możesz dołączyć do mnie i zrobić coś naprawdę dobrego. Obiecuję ci. W tym, co robimy, co zaczęliśmy w Les Arbres, chodzi o to, by chronić wszystkie te rzeczy, które są ci drogie. O to, żeby zmienić świat.

– Jak to: po ostatnich kilku dniach? – spytał River. – Dla mnie to wszystko zaczęło się wczoraj w nocy. Co się stało przedtem?

I gdy koniec papierosa Franka znów się rozżarzył, uświadomił sobie, że już to wie.

– Zostawić was samych na pięć minut – powiedział Lamb.

Catherine znalazła w szufladzie jakieś plastikowe opaski, takie samozaciskowe, które trzeba przeciąć, żeby się uwolnić. Z ich pomocą Coe przytwierdził Patrice'a do kaloryfera, który – gdyby nie przekonała Shirley, by go zakręciła – zdążyłby mu już poparzyć skórę i do natłoku innych zapachów w Slough House, woni prochu z broi, z której oddano strzał, i tego, co wyciekło z dwóch śmiertelnych ran głowy, dołączyłby smród przypalonego mięsa. Tylko głos Lamba brzmiał normalnie. Wszystko inne było zduszone i stłumione niczym nagranie własnego echa. Nawet wyłączające się ogrzewanie nie wydawało tych dźwięków co zwykle: jęki i stukanie starych rur były symfonią na pół gwizdka, znużonym requiem.

– Powiedziałem...

– Słyszeliśmy. To nie jest dobry moment.

Lamb uśmiechnął się do niej dziko.

– A kiedy jest dla ciebie dobry moment? Gdybym nie wrócił, byłoby osiem trupów, nie dwa. Macie zachowywać się jak agenci tajnych służb, a nie wesoło stać na linii strzału.

Palce zaciskał na szyjce butelki, którą powalił Patrice'a, i robił to tak pieścizotliwie, że można by pomyśleć, że to jego ulubieniec pośród ocalałych.

Ale Catherine potrząsnęła głową. Nie. Wszyscy jesteśmy jego agentami i dopiero co stracił dwóch.

– Musimy zadzwonić do Regent's Park – powiedziała.

– Zadzwonimy do Regent's Park, kiedy ja tak powiem.

– Mamy dwóch zabitych, Jackson, i nie możemy tak po prostu...

– Tak jak mówiłem. Kiedy ja tak powiem. – Kopnął stopę Patrice'a. – Pokaż mi ten filmik.

Ho przez chwilę grzebał w telefonie, a potem mu go podał. Lamb obejrzał nagranie na YouTube, uśmiechnął się krzywo i odrzucił mu telefon. Ho prawie go złapał i schylił się, by podnieść go z podłogi.

Lamb znów kopnął Patrice'a.

– Cartwrighta też zabiłeś?

Patrice był przytomny, ale jeszcze się nie odezwał. Może nie mógł. Gdy runął na podłogę, Lamb nadepnął mu na twarz, tak na wszelki wypadek, i Patrice miał teraz mniej zębów niż w chwili, gdy zaczynał się ten dzień. Jego szczeka była fioletowa i w strasznym stanie. Kurtka i koszula przesiąkły krwią. Właściwie to but Lamba też nie wyszedł z tego bez szwanku, ale Lamb nie był nadmiernie wrażliwy, jeśli chodzi o takie szczegóły, więc mu to nie przeszkadzało.

– Słuchasz mnie?

– Mogę go zmusić do mówienia – powiedziała cicho Shirley.

– Nie wątpię.

Zrobiłaby to tak, jak pokazał jej Marcus: szmata na twarz i dzbanek wody.

– Naprawdę? Mogę...

– Nie. – Ale Lamb też mówił cicho.

Shirley miała broń Patrice'a, wciąż czuć było od niej prochem; to coś, o czym nie wspomina się zbyt często w filmach czy w książkach. Na rękach będzie miała osad. Każdy mógłby pomyśleć, że to ona pociągnęła za spust.

Pokój wydawał się dziwnie pusty, jeśli wziąć pod uwagę, że było ich tam pięcioro. Sześcioro, jeśli liczyć Patrice'a. Ale nie było Marcusa. Marcusa już nikt nigdy nie policzy.

Lamb spojrział na Catherine.

– Staremu nic się nie stało?

Pokręciła głową. To było pierwsze, co sprawdziła. Gdy Catherine otworzyła drzwi, Moira Tregorian zemdlała. Teraz wciąż siedziała na górze i jeszcze nie była w stanie zejść. Catherine uratowała z jej szuflady butelkę whisky – długofalowy plan był taki, by z jej pomocą ściągnąć Jacksona z krawędzi klifu albo nakłonić go do tego, by z niego skoczył, w zależności od tego, która z tych sytuacji nadarzy się pierwsza – i naląka porządną porcję Davidowi i Moirze. Co do samej siebie zawahała się na chwilę. Przez pół sekundy, a może krócej, w każdym razie całą wieczność spędziła, balansując na brzegu szklanki.

Ho znalazł telefon i opierał się teraz o biurko Rivera. Wydawał się jakby mniejszy, skulony – wszyscy tak wyglądali. Naprawdę musieli zadzwonić do Regent's Park. Albo nawet na policję. To było królestwo Lamba, ale władza króla miała swoje granice.

– Jeśli zabił Rivera – powiedział Lamb – to wątpię, żeby mu się chciało go pochować. Niech ktoś sprawdzi wiadomości, czy znaleziono jakieś zwłoki na ulicach.

Nikt się nie ruszył.

– Ja też umarłem i tego nie zauważyłem? Bo jeśli jestem duchem, to coś wam powiem: jak zrobić „buu”, wy macie, kurwa, skakać.

– Ja się tym zajmę – oznajmił Ho.

Catherine pomyślała, że brzmi jak dwunastoletni chłopiec.

Na biurku Rivera leżało to, co Patrice miał w kieszeniach. Paszport na nazwisko Paul Wayne, komórka, portfel zawierający euro i funty. Bilet na pociąg Chunnel. Czy wciąż go jeszcze tak nazywano? Od lat nie słyszała tego określenia. Zauważyła, że odchodząc od biurka, Ho zabrał komórkę. Była pewna, że Lamb też to widział, ale nic nie powiedział.

J.K. Coe stał oparty o ścianę. Miał odsłoniętą głowę, ręce wciśnięte w kieszeń bluzy. Catherine nie potrafiła nic wyczytać z jego oczu, które były utkwione w Patrisie. Ten ostatni mimo spustoszenia poczynionego przez Lamba pozostawał nie tylko przytomny, ale wręcz czujny, jakby cała krew i inne płyny kapiące z jego szczęki były tylko maską, pod którą planował ucieczkę.

Wzdrygnęła się. Kiedy wyważył kopniakiem te drzwi, z bronią w ręce, była pewna, że to jej ostatnia chwila.

Naprawdę napiłabym się czegoś mocniejszego, pomyślała. Nie była pewna, czy to wspomnienie tamtej chwili, czy znów ta sama potrzeba wynurzająca się na powierzchnię.

Nagle Lamb przykucnął; uczynił to bezgłośnie, choć nieraz się zdarzało, że stękał i jęczał, gdy musiał zrobić coś wymagającego wysiłku, na przykład sięgnąć do kieszeni. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od twarzy Patrice'a.

– Jesteś ostatnim z nich? – spytał. – A może twój szef Frank też jest w pobliżu?

Oczy Patrice'a nie zdradzały żadnych emocji. Jego usta się nie poruszyły. W każdym razie Catherine tak się wydawało. W sumie trudno byłoby to stwierdzić przy stanie, w jakim była jego twarz.

– To na nic, Jackson – powiedziała. – On nie będzie mówić.

Lamb spojrział na nią i przez chwilę w jego oczach było coś, czego nigdy dotąd w nich nie widziała. A potem to coś znikło. Nie była pewna, co to było.

Zjawił się Roderick Ho. Trzymał w ręce telefon Patrice'a.

– Dzwoniono z tego tylko na jeden numer – rzekł.

– Mhm.

– Jeśli podłączę się do programu MI5...

– ...możesz go namierzyć – dokończył Lamb. – To na co jeszcze czekasz?

Louisa wypila kawę i poszła się wysikać, a wtedy oczywiście zadzwonił jej telefon. Zignorowała by go, tyle tylko że to był Lamb.

Na ile go znała, nie umkną mu odgłosy w tle, a potem będzie o tym słuchała przez wiele tygodni.

– Tak – starała się mówić cicho, żeby jej głos nie odbijał się od wyłożonych kafelkami ścian.

– Gdzie jesteś?

– W barze niedaleko Pentonville. Co się stało?

Bo jego głos nie brzmiał normalnie.

– Jak szybko możesz dotrzeć na Embankment?

– Co się dzieje, Lamb? Komu coś się stało?

Nie chciała pytać, kogo „zabito”, ale to miała na myśli. Kiedy ostatnim razem głos Lamba tak brzmiał...

– Pytam, jak szybko możesz gdzieś dotrzeć, i oczekuję, że nie będziesz tracić czasu na zadawanie pytań. Zadzwoni do mnie, jak już będziesz w drodze.

Rozłączył się.

Skończyła, umyła ręce i w drodze do drzwi zgarnęła Emmę.

– Dokąd się wybieramy?

– Na Embankment. – Jej samochód był zastawiony, ale wystarczyło lekko szturchnąć wóz stojący przed nią i udało jej się wyjechać.

Lepiej myśleć o takich sprawach – o tym, że wciąż pada i jaką trasą najlepiej dotrzeć na Embankment – niż zastanawiać się nad czymś poważniejszym.

Na przykład tym, kto jest ranny, albo gorzej.

Ponieważ Lamb nie skorzystał z okazji, by rzucić jakiś kiblowy dowcip, prawdopodobnie było gorzej.

– Westacres – powiedział River. – O ty szalony pojebie. Chodzi o Westacres. To od tego się zaczęło.

– Synu...

River mu przywalił.

To było tak przyjemne uczucie, z tak wielu powodów, że zrobił to jeszcze raz: w nos, potem w prawy policzek. Franka odrzuciło na balustradę i trafił pod strugi deszczu z zadaszenia. Potrząsnął głową, rozbryzgując wodę, i dotknął krwawiącego nosa. Znalazł chustkę, otarł krew i powiedział:

– No naprawdę, dwa podejścia i tylko na to cię stać? Może faktycznie zasługujesz na Slough House.

Schował chustkę z powrotem do kieszeni.

Obok przejechały trzy samochody kierujące się na północ, gdzie rozgrywały się wcześniejsze wydarzenia.

– Nie miało do tego dojść – powiedział Frank. – To było ćwiczenie, by sprawdzić, co jest możliwe. Co może się stać, kiedy państwo nie chroni swoich obywateli, kiedy...

– Ty pierdolony szaleńcu, wysłałeś jednego ze swoich chłopaków...

– Nie. Nie wysłałem. Nie po to, żeby zrobić to, co zrobił. On... stracił kontrolę. Może powinienem był to przewidzieć. A może nikt nie byłby w stanie. Nie wiem. Ale do tego doszło i to cholerna tragedia, ale wiesz co? Może jeszcze z tego wyniknąć coś dobrego. Nie chciałbyś być tego częścią?

River nie był w stanie odpowiedzieć, brakowało mu słów.

Frankowi wciąż krwawił nos, ścisnął go palcami. Potrząsnął głową.

– Kończy nam się czas, synu. Muszę wiedzieć, co zamierzasz.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym do ciebie dołączyć?

– Miałem taką nadzieję. A może wiedziałem, że nie zechcesz. Może chciałem cię tylko zobaczyć, pogadać z tobą. Mogliśmy coś osiągnąć, wiesz? Kręci mnie to, że wstąpiłeś do MI5. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, a ty nawet o tym nie wiedziałeś.

– Wychował mnie dziadek – odparł River. – To dzięki niemu jestem, kim jestem. Ty jesteś tylko pojebanym świrem. Jeśli jesteś moim ojcem, to dlatego, że przypadkiem mnie zrobiłeś. Ale to ty byłeś wpadką, nie ja. – Zrobił coś, czego nie zrobił jeszcze nigdy w życiu: splunął Frankowi pod nogi. – I masz rację, kończy ci się czas. Zobaczyłeś mnie, pogadałeś ze mną. Teraz zamierzam cię zgarnąć.

– O cholera – powiedział Frank. – Naprawdę nie chciałem tego usłyszeć. Bo nie chcę zrobić ci krzywdy, synu, ale w tej chwili absolutnie nie potrzebuję, by tajne służby deptały mi po piętach.

– To kiepsko się składa – skomentował River.

– Domyślam się, że nie masz przy sobie telefonu, bo już byś go użył. Wiesz co? Daj mi dziesięć minut, dobrze? Więcej mi nie trzeba. Dziesięć minut. A potem bij na alarm, ile ci się żywnie podoba. – Błyskawicznie wysunął rękę, chwycił River'a za łokieć i pociągnął go w objęcia. Powiedział mu do ucha: – Twoje miejsce jest przy mnie, synu. Nie z tą bandą frajerów. Pomyśl o tym. Jeszcze porozmawiamy.

River spróbował się wyrwać, ale starszy mężczyzna trzymał go w żelaznym uścisku.

– Nie dam ci dziesięciu minut – powiedział. – Nie dam ci nawet jednej.

– Mój chłopak! Ale nie masz wyboru. – Mocno pocałował River'a w usta; szybko i brutalnie.

A potem go uniósł i zrzucił przez niski murek do Tamizy.

Broń w ręce Shirley stawała się coraz cięższa.

Dziwne, ale chciało jej się tylko spać. Wcześniej tego dnia była wkurzona, że cała akcja ją ominęła – nie złagodził tego nawet widok siniaków Louisy. To ona chciałaby być w tym warsztacie w Southwark i przekonać się, czy poradziłyby sobie lepiej. Ale teraz Patrice był przywiązany do kaloryfera i miał rozsmarowane na twarzy jakieś ćwierć litra krwi. A Marcus... Marcus wciąż był na dole. I poczuła się taka cholernie zmęczona, taka potwornie zmęczona. Miała ochotę odłożyć broń, wpełznąć pod najbliższą kołdrę i spać przez cały tydzień. Nie potrzebowałyby do tego żadnych leków. Po prostu by pozwoliła, aby jej głowa opadła na poduszkę, z nadzieją, że nic jej się nie przyśni.

A zwłaszcza nie Marcus i ta plama na ścianie za jego głową.

J.K. Coe przyglądał jej się i jego twarz jak zwykle była pozbawiona wyrazu.

– Co jest? – warknęła.

Zabawne, że wciąż to potrafiła: rozpedzić się od zera do setki na wkurwometrze w czasie, w którym Coe zdążyłby co najwyżej mrugnąć.

A potem to powróciło i uderzyło w nią jak fala: potężne tsunami znużenia, które lada chwila mogło porwać ją ze sobą jak zepsutą lalkę.

Lamb znów rozmawiał z Louisa.

– Nie, nie wiem, jak wygląda. Jest Amerykaninem, pomoże ci to w czymś? I może ma ze sobą Cartwrighta.

Słychać było jakieś trzaski, tak jak zawsze, gdy osoba, z którą się rozmawia, znajduje się gdzie indziej.

– A po co? Co ci z tego przyjdzie, że z nią pogadasz?

Z telefonu znów dały się słyszeć trzaski, po czym Lamb podał go Catherine.

– Z jakiegoś powodu chciała z tobą pogadać.

Catherine wzięła komórkę i wyszła z pokoju. Shirley słyszała, jak cicho rozmawia z Louisą, wchodząc po schodach. A potem zamknęły się drzwi i jej kojący szept ucichł.

Lamb rozejrzał się po reszcie towarzystwa – została Shirley Dander, Coe i Roderick Ho.

– Zaraz powie Guy, że straciliśmy dwóch ludzi. Myślicie, że to dobry pomysł? Myślicie, że to pozwoli jej w najlepszy sposób wykonać zadanie?

Nikt nie znał odpowiedzi. Nikt nie wiedział.

Choć raz dla odmiany Lamb nie drążył tematu, wyjął tylko nie wiadomo skąd papierosa i go zapalił. Wydawał się szary. Zawsze wydawał się trochę szary, ale teraz ta szarość pogłębiła się o ton. Zaciągnął się, wypuścił chmurę dymu w stronę sufitu i zapytał Shirley:

– Zdecydowałaś się już? – Gapiła się na niego. – Nie zamierzam się czepiać, ale głowa twojego partnera wygląda, jakby ktoś potraktował arbuza łopata. Jeśli zamierzasz pozwolić, żeby sprawy potoczyły się oficjalną drogą, to już twoja decyzja. Ale jeśli chcesz coś przedyskutować z tym terminatorem, to się nie krępuj. Ja wychodzę na fajkę. – Machnął ręką, w której trzymał papierosa. – Nie wolno już tego robić w budynkach.

Ho obserwował, jak Lamb opuszcza pokój, a potem spojrział nerwowo na Shirley.

– Co? – spytała.

– Nic.

– No to wypierdalaj.

I to właśnie zrobił. Ruszył za Lambem na dół, po czym skręcił do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

J.K. Coe wciąż stał tam gdzie wcześniej.

– Ty też – rzuciła Shirley.

– Ja też co?

– Wypierdalaj.

Pokręcił głową.

– Nie będę cię dwa razy prosić.

– Nie poprosiłaś jeszcze nawet raz. Powiedziałaś mi tylko, że mam wypierdalać.

– To czemu wciąż tu jesteś?

– Bo to mój pokój. Dokąd mam wypierdalać?

– Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś wypowiedział aż tyle słów. Naraz.

– Cóż. Wielki dzień.

Patrice zakaszłał; wydał z siebie gęsty, charkliwy odgłos.

Shirley się wzdygnęła. Niemal zapomniała, że tu jest; jakby przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie jako człowiek i został zredukowany do jednej z niewiadomych w równaniu, którego pozostałymi składnikami była sama Shirley, broń w jej ręce i te pół sekundy, które by jej to zajęło.

Broń, która wciąż wydawała się tak potwornie ciężka.

– Nie chcesz tego robić, prawda? – spytał ją J.K. Coe.

Ale tak naprawdę to chciała.

– Kurwa! – krzyknęła Louisa. – Kurwa, kurwa, kurwa!

– Co? – spytała Emma. – Co się stało. To był Lamb?

Louisa potrząsnęła głową. Światła Londynu się zamazały. Jechała w ulewie i właśnie się dowiedziała, że Marcus nie żyje. Zły Sam Chapman też...

Marcus nie żyje.

Uratował jej raz życie na dachu najwyższego budynku w Londynie. Zastrzelił faceta, który miał ją zabić, i Louisa żałowała tylko tego, że sama nie mogła wykończyć tamtego sukinsyna. I dziś po południu tak samo, kiedy rozwalili tę drewnianą bramę zarekwirowaną taksówką: gdyby tego nie zrobił – cholera, znów byłaby martwa. Martwa dwa razy, gdyby nie Marcus.

Nigdy nie poznała jego rodziny, nie odwiedziła go u niego w domu – Jezu, kulawe konie były taką dysfunkcyjną bandą; życie każdego z nich po części zależało od pozostałych, ale jakoś nigdy nie mieli czasu, by wspólnie przeżywać jakieś inne chwile.

A teraz będą umniejszeni, będzie ich o jednego mniej. Pomijając wszystko inne, Marcus był prawdopodobnie jedynym, dzięki któremu Shirley Dander codziennie nie świrowała.

– Wszystko w porządku? – spytała Emma.

Louisa kiwnęła głową i zamrugnęła, by ostrzej widzieć.

– Ścigamy Patrice'a?

– Jednego z jego ekipy.

– Może być. – Emma rozpięła płaszcz i sprawdziła broń.

– Myślałam, że go straciłaś.

– Wzięłam pistolet Devona. Nie będzie mu potrzebny na urazówce. – Zastanowiła się nad tym jeszcze raz. – Prawdopodobnie nie będzie mu potrzebny na urazówce. Daleko jeszcze?

– To tuż za Blackfriars Bridge – odparła Louisa.

Emma zmrużyła oczy, patrząc przez przednią szybę.

– Przed nami jest jakieś zbiegowisko. To tam się mamy zatrzymać, tak?

Przed nimi były roboty drogowe i ulicę podzielono na dwie części metalową siatką. Od strony rzeki nie było nawierzchni i drogę zagradzały plastikowe pachołki. Prowizoryczne światła uliczne kierowały przejazdem jednym pasmem w obie strony, zmuszając do zjazdu w lewo. Louisa zamiast tego zjechała na prawo, skosiła rząd pachołków i tak mocno wcisnęła hamulce, że tył samochodu na chwilę aż poderwało w górę.

– Jezu!

Grupka ludzi na końcu pomostu statku w kamuflażu wpatrywała się w wodę poniżej w sposób wskazujący, że zdarzył się jakiś wypadek.

Choć Emma była podpita, pierwsza wyskoczyła z samochodu.

Coś w niej – może siniak na twarzy – musiało wzbudzić szacunek, bo ludzie rozstąpili się przed nią i zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Nie widać go!

– Pewnie poszedł pod wodę!

– Było ich dwóch...

– Ten drugi zwiął.

– Co się stało? – spytała.

Louisa odezwała się niemal równocześnie:

– Kto jest w wodzie?

Odpowiedział im jakiś mężczyzna w niebieskim płaszczu.

– Było ich tu dwóch i zaczęli dziwnie się zachowywać. Jakiś starszy gość i młody mężczyzna z dość jasnymi włosami...

– Który jest w wodzie? – dopytywała Louisa.

– Ten starszy pchnął tego młodszego. Widziałem to z okna baru.

Woda w dole była czarna, pofałdowana deszczem i wściekła.

– O do kurwy nędzy – skwitowała Louisa.

Na powierzchni kołysało się samotnie pomarańczowe koło ratunkowe. Nie było widać nikogo, kto mógłby po nie sięgnąć.

Louisa ściągnęła płaszcz.

– Co? – rzuciła Emma.

– Goń go. Tego starszego. Znajdź go. Zatrzymaj. No już!

A potem powtórzyła „o do kurwy nędzy” i zsunęła buty.

– W którą stronę poszedł? – spytała Emma.

Mężczyzna w niebieskim płaszczu jej pokazał i puściła się biegiem.

Louisa wspięła się na murek i przyjrzała się wodzie. Nigdzie nie było widać Rivera. Łało jak z cebra i ona już była tak przemoczona jak jeszcze nigdy w życiu. Odczekała sekundę, by ktoś jej powiedział, żeby nie była głupia, ale z niewiadomego powodu wszyscy milczeli. Zbliżał się wóz policyjny, a jak wiadomo, w policyjnych wozach jest pełno bohaterów i wkrótce któryś z nich wykona bardziej profesjonalny i lepszy technicznie skok do Tamizy. O do kurwy nędzy, pomyślała jeszcze raz. Ale zanim dotarła do drugiej sylaby, znalazła się w powietrzu, a potem już nie.

Kiedy River uderzył w powierzchnię wody, urwał mu się film. Być może nie był to upadek z wysokości, ale nie spadł, tylko został zrzucony: każda powierzchnia gotowa była przyjąć go tak, jak grawitacja traktuje jabłko. To nim wstrząsnęło, wypchnęło mu powietrze z płuc, a potem pochłonęło jego ciało, otulając paralizującym zimnem, które w jakiś sposób obiecywało późniejsze ciepło. I nie wiedział, w którą stronę jest góra. Kopał i wydawało mu się, że się porusza, ale rozsadało mu płuca – spróbował się obrócić, lecz wszystko było takie ciężkie: buty, płaszcz, kończyny. Wszystko, co robił, spychało go tylko głębiej w mrok. Nie był pewny, czy ma otwarte oczy. Za chwilę jego płuca się poddadzą i będzie zmuszony wykonać wdech. A po tym ciemność będzie już całkowita.

Otarł się o coś ręką, ale nie wiedział, co to było. Sięgnął po to, ale już zniknęło. A potem poczuł, że wszystko w jego ciele zwalnia. Po co z tym walczyć? Był w rzece. Z tym imieniem to się musiało tak skończyć. Unosił się twarzą w dół. Gdzieś było światło, ale nie mogło do niego dotrzeć. Opadł zbyt głęboko. Powoli, powoli River się poddawał. Wziął głęboki wdech i jego płuca napełniły się wodą. Potem były już tylko dwa możliwe kierunki. Z pewną ulgą zauważył, że chyba zmierza w górę.

Przez większość dnia ścieżka nad Tamizą była od murku do krawężnika wypełniona wyłącznie uprawiającymi jogging, którzy mieli mniej niefrasobliwe podejście do pieszych użytkowników

chodnika niż rowerzyści, ale gdy Emma przebiegała pod Blackfriars Bridge, była sama. Kremowy kolor mostu zatarły mrok i pogoda. Wszystko pogrążyło się w odcieniach szarości z wyjątkiem dziwnych mroczków, które dostrzegała na pograniczu pola widzenia – żałowała, że wypita te tequile i piwo między jednym a drugim szotem, ale naprzód popychała ją myśl, że wreszcie kogoś ściga – dobry sposób na uratowanie tego dnia. Gdyby jej się udało, mogłaby zawiązać worek pełen żali, które wylała przed Louisa, i wrzucić go do rzeki.

Pocieszająca była myśl, że Dianę Taverner można by wrzucić do tego samego worka, może nawet w towarzystwie kilku wściekłych analityków...

Oddychała ciężko, krew dudniła jej w uszach, ale widziała przed sobą jakąś postać, więc przyspieszyła jeszcze bardziej. Jej kroki odbijały się echem od sklepienia mostu. Musiał ją usłyszeć, ale się nie odwrócił; zamiast tego wkroczył w aureolę blasku ulicznej latarni, która przekształciła deszcz w strugi klejnotów, a potem zniknął na schodach prowadzących do ulicy.

Emma pośliznęła się, wpadła na murek i ledwie udało jej się utrzymać równowagę. Jezu, sama o mało co nie wpadła do wody! Krzyknęła za znikającym mężczyzną i dopiero gdy usłyszała własne słowa, dotarło do niej, że krzyczy: „Policja!”. Była tak zdyszana, że zabrzmiało to jak szczeknięcie. Gdy dobiegła do schodów, zaczęła pokonywać je po trzy stopnie naraz, jakby jej nogi były z gumy. Za rogiem kolejne schody i znalazła się na samym moście, gdzie wszystko było głośniejsze, jaskrawsze – obok przejechał autobus; wielkie czerwone pudełko pełne dziwnych kształtów za zaporowanymi szybami, ale na chodniku było pusto jak w kredensie kogoś mieszkającego samotnie. Uciekającego mężczyzny nigdzie nie było widać. Odwróciła się i sprawdziła w drugim kierunku. To samo. Wszedł na schody, ale nigdy nie dotarł na górę.

Myśl.

Po drugiej stronie ulicy obracało się niebieskie światło; wóz policyjny skręcał z Embankment na most. I czarna furgonetka. Antyterrorysty. Po tym, co się stało na Pentonville Road, na pewno są czujni, a ona miała w kieszeni broń. Całkowicie legalnie, ale różnie to bywa. Odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach. Na wysokości miejsca, gdzie schody skręcały, w Tamizie tkwiła pionowa struktura, na której znajdowała się wyciągarka lub jakiś dźwig, budka operatora i różne graty, których nie sposób było zidentyfikować w ciemności. Bez względu na to, do czego służyła – do konserwacji mostu czy pogłębiania dna rzeki – było to jedyne miejsce, gdzie mógł uciec ten mężczyzna. Musiał skoczyć, a uwzględniając, jak blisko za nim była, musiał zrobić to bez wahania. Dotarł do miejsca, gdzie schody skręcały, zobaczył tę platformę, wspiął się na murek i skoczył. Miał jaja.

Przyjrzała się platformie. Jedna lampa na górze oświetlała most. Wszystko inne kryło się w mroku i nie było widać żadnego ruchu, którego nie można by wytłumaczyć deszczem i falowaniem rzeki. Tutaj, gdy wychylała się nad wodę, deszcz brzmiał inaczej. Uderzał w powierzchnię rzeki z nieustannym sykiem, jakby gdzieś w pobliżu pracowała jakaś potężna maszyna.

Odległość między niskim murkiem otaczającym schody a krawędzią platformy wynosiła najwyżej dwa metry.

To nie było dużo. W normalny dzień nawet by się nie zastanawiała, czy tam doskoczy, ale w normalny dzień nie padało, ona nie była urznięta, a na dole nie rozpościerała się głęboka zimna woda. Ale on nie mógł zbiec nigdzie indziej. Musiał być na tej platformie, za tą budką, skulony w cieniu dźwigu czy wyciągarki – nie myśl nad tym za dużo, po prostu skocz, do cholery. Weszła na murek i popełniła błąd początkującego, patrząc w dół. I wszystko mogło się skończyć w jednej sekundzie, gdyby nie włączył się jej jakiś instynkt przetrwania, który decyduje, czy skoczyć, czy może cofnąć się na bezpieczne schody. W takim razie może to nie był instynkt przetrwania, tylko jej własny idiotyzm?

Tak czy inaczej, skoczyła. Przez mgnienie oka była przypadkiem statystycznym, który jeszcze się nie wydarzył. A potem wylądowała na platformie, której deski były solidne jak droga, ale dwa razy bardziej śliskie. Opadła na czworaka i musiała chwycić się jednego z metalowych legarów dźwigu, żeby się podciągnąć. Niektóre kształty przyjęły wyraźniejsze formy: skrzynie, wiadra i skrzynka z narzędziami, jakieś metalowe pręty i wielka szpula z nawiniętym kablem. A potem coś się poruszyło za budką operatora wielkości kabiny w toalecie; to mógł być cień rzucony z drugiego brzegu rzeki. Tyle tylko że cienie nie przybierają solidnych kształtów człowieka. Ścigany mężczyzna, którego wcześniej straciła z oczu, wyszedł z mroku i znów był widoczny.

– Jesteś aresztowany – powiedziała.

Uderzył ją pięścią w twarz.

A raczej prawie mu się to udało; zrobiła unik i jego pięść chybiła o włos, ale Emma się pośliznęła i tak czy tak upadła. Płaszcz, pomyślała, tak strasznie zniszczę sobie płaszcz. Trochę dlatego, że wylądowała na plecach w jakiejś oleistej kałuży. Ale głównie dlatego, że jej ręka właśnie odnalazła służbową broń – broń Devona – i gdy wyciągała ją z kabury pod ramieniem, zahaczyła nią o podszewkę płaszcza i strzał, który oddała, wydarł paskudną dziurę na wysokości środkowego guzika. Nie trafiła go – nie zamierzała – ale sprawiła, że się zatrzymał.

– O kurwa, zapomniałam wspomnieć – poinformowała go. – Stój, bo strzelam.

I nagle wszędzie były pszczoły, chmara jaskrawoczerwonych pszczoł, które tańczyły wokół niej i wokół tego mężczyzny. Spojrzał na nią z góry z czarującym uśmiechem. Uniósł ręce nad głowę, ale nie odrywał wzroku od Emmy, zamiast spojrzeć na most, gdzie zebrali się antyterrorysty mierzący do nich z broni z laserowymi celownikami. Metaliczny głos zasugerował, żeby natychmiast rzuciła broń. Zrobiła to. A stado czerwonych pszczoł wciąż tańczyło, brzęczało wokół jej tułowia i głowy, jakby czekały na rozkaz, by dać nura i ukąsić. To mogło się stać tak łatwo, dowiedziałyby się o tym jako ostatnia. Ale nawet to nie mogło powstrzymać Emmy przed tym, co wtedy zrobiła: przetoczyła się na bok i wymiotowała dwie tequile, piwo i dwie czarne kawy.

Część z tego trafiła na jej płaszcz.

Shirley powiedziała:

– Jak to, kurwa, nie chcę? W tej chwili chcę tylko tego.

Wciąż trzymała broń; Patrice nadal był przywiązany do kaloryfera. J.K. Coe opierał się o ścianę i wyglądało na to, że to jego ulubione miejsce. Przyszło jej do głowy, że to dlatego, iż gdy tak stał, nikt nie mógł zajść go od tyłu.

Ale ją można było zajść od tyłu i ktoś to zrobił.

– Marcus nie żyje, Shirley – powiedziała Catherine. – Nic tego nie zmieni. A jeśli teraz zabijesz tego człowieka, będzie cię to dręczyć już zawsze.

– Zabijałam już wcześniej.

– Ludzi przywiązanych do kaloryfera?

Nie odpowiedziała.

– To co innego – wyjaśniła jej Catherine.

Shirley pomyślała: dam sobie z tym radę. Tym, z czym nie mogła sobie dać rady, była myśl, że ten facet będzie chodził po świecie, z którego wyrzucił Marcusa.

Uniosła broń i wymierzyła ją w Patrice'a, który obojętnie jej się przyglądał.

Ale pistolet wydawał się ciężki w jej ręce.

– Shirley, proszę – szepnęła Catherine. – Jeśli zabijesz go w ten sposób, może już nigdy nie będziesz mogła spać.

– Spanie jest przereklamowane.

– Uwierz mi, naprawdę nie jest. Czasem to jedyna rzecz, dzięki której możesz wstać rano z łóżka. Świadomość, że wieczorem będziesz mogła do niego wrócić.

– Był moim przyjacielem.

– Moim też. Był dobrym człowiekiem. I nie chciałby, żebyś to zrobiła.

– Tak myślisz?

– Wiem to.

– Ona ma rację – wtrącił się J.K. Coe.

– Co?

– Marcus by nie chciał, żebyś go zabiła.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Ocena psychologiczna. Pamiętasz?

Pistolet wydawał się tak strasznie ciężki.

– Marcus uważał, że jesteś dupkiem – powiedziała mu.

– Był twoim przyjacielem, nie moim.

– Shirley – wtrąciła Catherine. – To nie będzie operacja. To by była egzekucja.

– Mam to gdzieś.

– Ale za jakiś czas nie będziesz miała.

Wydawało jej się, że to najcięższa rzecz, jaką kiedykolwiek trzymała w ręce.

– Nie chcę, żeby żył, kiedy Marcusa już nie ma – powiedziała.

– Wiem.

– Powinien umrzeć.

– Ale ty nie powinnaś go zabijać.

Coe w milczeniu wyciągnął rękę. Spojrzała na nią, a potem na broń w swojej dłoni. Później na Patrice'a, który wciąż leżał na plecach przykuty do kaloryfera. Jeszcze tak niedawno był niezwyknięty; wtargnął do Slough House, zabił Marcusa, zabił Sama.

Shirley naprawdę chciała jego śmierci.

Ale nie chciała go zabić. Nie w ten sposób.

I czuła się taka potwornie zmęczona.

Usłyszała ciche westchnienie Catherine, gdy położyła broń w wyciągniętej ręce Coego.

Pieprzony trening kontroli złości. Marcus byłby z niej dumny.

I wtedy Coe strzelił Patrice'owi trzy razy w pierś.

– Proszę bardzo – powiedział i oddał Shirley broń.

River przetoczył się na bok i wymiotował wodę z Tamizy, a potem otworzył oczy. Patrzył na mokry chodnik. Przetoczył się jeszcze raz i zamazana twarz kilka centymetrów od jego twarzy nabrała kształtów, rozmyła się i znów wyostrzyła.

– Louisa – wydusił, a przynajmniej spróbował. Zabrzmiało to jak „lajha”.

– Na przyszłość – powiedziała mu – odbieraj, kurwa, telefon, dobra?

Potem się odsunęła i widział już tylko wciąż równo padający deszcz.

W blasku ulicznych latarni krople wyglądały jak diamenty.

Deszcz przestał padać, co było tak wyteśknione i niespodziewane, że w całym mieście ludzie powtarzali to po dwa razy: przestało padać. Przestało padać. Tamtej nocy, dwadzieścia cztery godziny po ataku, Slough House niemal świecił pustkami. Na ścianie za dawnym biurkiem Marcusa wciąż widniała plama; druga na dywanie w pokoju Louisy, gdzie upadł Zły Sam; a trzecia u Coego i Cartwrighta, pod kaloryferem. Ale zabrano zwłoki i ktoś, zapewne Catherine, posprzątała roztrzaskane krzesło i różne inne porozbijane rzeczy. Rozwalone drzwi oparto o ściany; miały tak czekać, aż papiery przejdą przez wystarczającą ilość kanałów, by ktoś gdzieś wreszcie się poddał i podpisał świstek pozwalający na ich wymianę. Aż do tego czasu Slough House miał być w znacznej mierze open space'em.

Drzwi Jacksona Lamba nie zostały uszkodzone, ale były lekko uchylone i na korytarz sączyło się szarawe światło. Pokój naprzeciw, kiedyś należący do Catherine Standish, pogrążony był w mroku, choć jego drzwi też stały otworem. A na schodach niósł się hałas, cała seria hałasów, bo ktoś wchodził na górę; ktoś nieprzyzwyczajony do skrzypiących schodów, zawilgoconych ścian i różnych zapachów zaniedbania na klatce schodowej, które usunąć mogłyby tylko przemysłowe rozpuszczalniki albo katastrofa ekologiczna.

Gdy Claude Whelan dotarł na najwyższe piętro, przystanął, jakby nie był pewny, czy warto tu wchodzić.

– Tutaj – warknęło coś.

Tłumiąc dreszcz, wszedł do środka.

Lamb siedział za biurkiem. Opierał na nim nogi w samych skarpetkach, przez dziurę w prawej widać mu było piętę, a przez dziurę w lewej większość palców. Przed nim stała butelka, w ręce trzymał szklankę, której pustka była prawdopodobnie tymczasową anomalią. Jedyne źródło światła znajdowało się na prawo od niego: była to lampa postawiona na sięgającym powyżej kolan zigguracie zakurzonych książek – książki telefoniczne, pomyślał Whelan. Analogowy człowiek w cyfrowym świecie. Czas pokaże, czy to nienadążanie za współczesnością, czy cecha ułatwiająca przetrwanie.

– Legendy nie oddają sprawiedliwości temu miejscu – stwierdził.

Wydawało się, że Lamb rozważa kilka możliwych odpowiedzi. I w końcu zdecydował się na pierdnięcie.

– Ani tobie – dodał Whelan.

– Może nie zamykaj drzwi – zasugerował Lamb.

Było tu krzesło dla gości, więc Whelan na nim usiadł.

W półmroku widać było bardzo niewiele w gabinecie Lamba. Jedyne okno było zasłonięte żaluzją; na jednej ze ścian wisiała korkowa tablica. I gdzieś był zegar, którego Whelan nie widział; zamiast tykać, wydawał miarowe stuk-stuk, którego monotonna powtarzalność wydawała się podkreślać, jak przerażający może być upływ czasu.

Jackson Lamb nalał sobie do szklanki, po czym niechętnie machnął butelką w stronę Whelana. Gdy ten pokręcił głową, Lamb odstawił ją, ale nie zakręcił.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio gościliśmy tu Pierwsze Biurko – powiedział. – Nie, poczekaj! Pamiętam. Nigdy.

– Zwykle nie praktykujemy takich wizyt – odparł Whelan. – Ale w takich okolicznościach...

– W jakich? Chodzi ci o zabitych agentów? Tak, to zawsze oznacza sesję zdjęciową. – Lamb oparł szklankę na piersi i objął ją grubymi paluchami. – Przywiązałeś już misia do słupa latarni?

– Chciałeś się spotkać – odparł Whelan. – Mogliśmy to zrobić w Regent’s Park.

– Tak. Ale wtedy to ja bym się musiał wysilić, a nie ty. Frank rzyga wspomnieniami? Jeśli ta nagła zmiana tematu speszyla Whelana, dobrze to ukrył.

– Jest... chętny do współpracy.

– Założę się.

– Nie musieliśmy stosować żadnych nieortodoksyjnych metod, by skłonić go do mówienia, jeśli to masz na myśli.

– Myślałem raczej, że będziecie musieli bardzo się starać, żeby zamknąć mu usta – powiedział Lamb. – Facet opowiedział Cartwrightowi całą historię swojego życia. Nie należy do nieśmiałych. – Uniósł szklankę do ust, nie odrywając wzroku od Whelana. Przypominał hipopotama, który z lubością tarza się w błocie. – Zaskoczyło mnie tylko, że wzięliście go żywcem. Można by pomyśleć, że Lady Di każe pociągnąć za spust, gdy tylko się pokazał.

– Powiedziała, że tak by wołała, owszem.

Lamb okazał zainteresowanie.

– Zignorowałeś jej zalecenia?

– Dotarliśmy do punktu, w którym mogłem albo zgodzić się na to, że już zawsze będę robić to, co mi każe, albo wytyczyć granicę. A na ulicach Londynu przelano dość krwi jak na jeden tydzień.

– Nie tylko na ulicach – skomentował Lamb. – I co miał do powiedzenia na swoją obronę?

Whelan zmienił pozycję na krześle. Trudno mu było nie gapić się na stopy Lamba. To było tak, jak zobaczyć sztukę mięsa w witrynie sklepu mięsnego i zastanawiać się, co to, u diabła, było, gdy jeszcze stanowiło część jakiegoś ciała.

– Lamb, twój zespół się narażał – powiedział – i doceniam to. Ponieśliście straty. Ale to was nie upoważnia do dostępu do tajnych informacji. To, co miał do powiedzenia Frank, jest w tej chwili analizowane. W swoim czasie pojawi się raport. Ale będzie ściśle poufny i obawiam się, że ciebie nie będzie na liście.

Ani nawet w jej pobliżu.

Lamb w zamyśleniu pokiwał głową.

– Słuszna uwaga. To znaczy: musi być tam sporo wrażliwych informacji, prawda?

– Właśnie.

– Na przykład to, że cała operacja Franka pierwotnie została sfinansowana i wyposażona we wszystko co niezbędne przez MI5. Domyślam się, że to będzie pierwszy punkt w raporcie, gdy już go skończycie.

Whelan uświadomił sobie poniewczasie, że owo stuk-stuk-stuk to nie tykający zegar, tylko kapiąca woda, być może z poluzowanej rynny. Przecieki mogą zdarzyć się wszędzie.

– Nie jestem pewien, czy byłoby w interesie wszystkich, by to... przypuszczenie nabrało oficjalnego charakteru.

– Czyli wpływ Lady Di jednak sprawił, że ubrudziłeś sobie ręce.

– Wiesz, nie zaczynałem jako skończony naiwniak.

– Do tego dojdziemy później – odparł Lamb. – Na pewno nie chcesz się napić?

– Nie chcę, żeby dla ciebie zostało za mało. Ta butelka jest już w połowie pusta.

– Wiem, gdzie znajdę nową. – Wskazał na drugą szklankę ukrytą za telefonem na biurku. Ku zaskoczeniu Whelana wyglądała na prawie czystą.

Nigdy nie przepadał za whisky. Był raczej typem pijącym brandy. Zaczynał jednak nabierać przeświadczenia, że nie przebrnie przez tę rozmowę bez wsparcia, więc tym razem przyjął propozycję.

Polewając, Lamb powiedział:

– No i proszę, dzięki temu to tylko przyjazna pogawędka, prawda? Koledzy z pracy relaksujący się po ciężkim tygodniu. Nie ma w tym zupełnie nic oficjalnego.

– Gdybyś przyszedł do Regent's Park – odrzekł Whelan – wszystko byłoby nagrywane.

– Widzę, że zaczynasz rozumieć. – Lamb rozparł się wygodnie. – Zły Sam Chapman poświęcił Regent's Park wiele lat życia i był dobrym żołnierzem. W każdym razie pomijając fakt, że zgubił tamte pieniądze. A Longridge miał dobre chwile, gdy nie przepierdalał całej pensji na automatach. Poza tym myślę, że coś mi się należy za cały ten bajzel, jaki zrobili mi na dywanach. Chętnie przyjrzałbym się przeglądowi najważniejszych wydarzeń z kariery Franka po tym, jak przestał pracować w Agencji. Co ty na to? Oczywiście wszystko nieoficjalnie.

Whelan słyszał kiedyś, że dobry agent potrafi sprawić, by groźba brzmiała jak dygresja.

Upił łyk whisky. Cały dzień spędził w Regent's Park; dotarł tam przed świtem, zostawiając śpiącą Claire – zjrzał do niej, ale nie chciał jej budzić – i przez większość czasu, jaki od tamtej pory upłynął, w kółko oglądał nagranie z Frankiem Harknessem. Lamb miał racje: przekonanie go do mówienia nie było problemem. W przypadku szalonych narcyzów to rzadko był problem.

– Wiesz o Les Arbres – powiedział.

– Szkółka dla terrorystów – odparł Lamb. – Tak, tyle zrozumiałem. Co tam robił? Szkolił ich do nielegalnych operacji, zanim nauczyli się abecadła?

– Coś w tym stylu. I był tam też facet z KGB, który specjalizował się w czymś, co Harkness nazywa kalibracją psychiczną. – Whelan westchnął i odchylił głowę na oparcie krzesła. Fragment sufitu, który widział, był ospowaty i pokryty pajęczynami. – Wiesz, co Harkness wskazał jako zagrożenie dla naszego sposobu życia? Tu, na Zachodzie?

– Radiową jedynkę BBC?

– To, że zachęcamy dzieci do samodzielnego myślenia. A tymczasem ci, którzy burzą nasze wieże, uczą swoje dzieci, by bez chwili refleksji poświęcały życie. I nie tylko to. Uczą je, że śmierć, ich własna i nasza, jest ich zwycięstwem, ich apoteozą. A my próbujemy z nimi walczyć, wysyłając na nie dzieciaki, które dorastały w przekonaniu, że posiadanie smartfona jest jednym z praw człowieka.

– I Frank uważał, że te paranoidalne bzdety czynią z niego wizjonera? – spytał Lamb. – Szkoda, że nie pisał bloga. Oszczędziłby nam wszystkim wielu zmartwień.

– To, co mówi, nie jest zupełnie pozbawione sensu.

– A Zachód nie jest zupełnie pozbawiony broni masowego rażenia. Nie udawajmy, że jesteśmy dziećmi, które zgubiły się w lesie.

– W każdym razie – mówił dalej Whelan – Harkness chciał tego samego oddania i takiego samego zaangażowania, tyle że, jak to ujął: po naszej stronie.

– Jezus się rozpląkał – powiedział Lamb. – I wyszło mu coś takiego.

– I wyszło mu coś takiego. W końcu. Grupa młodych mężczyzn wyszkolona we wszystkich brudnych metodach walki, jakie Frank miał do dyspozycji. Co, biorąc pod uwagę, że jego ekipa składała się z weteranów z czasów zimnej wojny, oznaczało właściwie wszystkie z dostępnych.

Lamb znów miał pustą szklankę. Zaradził temu i upewnił się, że w najbliższej przyszłości to się nie powtórzy, nalewając sobie po same brzegi.

– A potem co? – zapytał.

– Potem było kilka... zdarzeń w ciągu ostatnich lat.

– „Zdarzeń”. Takich określeń używają zarządcy nieruchomości.

– Zespół Franka przeprowadził operacje terrorystyczne w różnych miastach w całej Europie. W Düsseldorfie, Kopenhadze, Barcelonie i innych miejscach. Były wśród nich też dość małe miasta. Piza. Wydało mi się to dziwne, nie wiem dlaczego. Ale pewnie kręci się tam mnóstwo turystów.

– Zakładam, że to były dość dyskretne zamachy terrorystyczne? – stwierdził Lamb. – Bo jakoś sobie nie przypominam, bym o którychś z nich słyszał.

– To były tylko próby. W strategicznych miejscach umieszczano nieuzbrojone, choć w pełni sprawne bomby. Ujęcia wody „zatrutowano” nieszkodliwymi, ale widocznymi substancjami. Punkty dystrybucji żywności, sieci komunikacyjne, dostawcy energii, hotele; wszystko to było elementem operacji o wyraźnie określonym celu.

– Bawił się w gry wojenne.

– Twierdzi, że po każdej takiej operacji uszczelniano ochronę nie tylko w miejscu, które było celem, ale w całym mieście, a nawet w całym kraju. Zamykano furtki. Pozbywano się słabych ogniw.

– Nie przyszło mu do głowy, żeby napisać list?

– Obaj wiemy, że to by zupełnie nic nie dało – odparł Whelan.

– Mówisz, jakbyś pochwalał to, co robił.

– Każdą operację, którą przeprowadził, próbował powtórzyć po roku. We wszystkich przypadkach, prócz jednego, nie udało mu się to.

– No to, kurwa, brawo Frank.

– Twierdzi, że jego przekaz stanowiło to, że jesteśmy jak lunacy zmierzający do katastrofy. Gdyby ISIS, albo ktokolwiek po nim przyjdzie, zrealizowało swoje groźby, cytując jego słowa, mogłoby zrównać z ziemią całe miasta przy niewiele większym wysiłku i odrobinę lepszej koordynacji, niż potrzebowali dotąd, by stać się postrachem całego świata. W Paryżu dochodzi do zamachu, który wstrząsa całym światem, ale ile osób ginie? Sto trzydzieści? Harkness ocenia uzyskaną przez jego zespół teoretyczną liczbę ofiar na tysiące i uważa, że uratowali im życie. Bo coś takiego nie mogło się powtórzyć.

– Dopóki Westacres nie zepsuło mu średniej.

Whelan znów spojrział w sufit.

– Właśnie.

Po raz pierwszy, odkąd Whelan wszedł do jego gabinetu, Lamb odstawił szklankę. Wyciągnął z kieszeni jakąś szarą szmatę, która okazała się chustką do nosa. Wydmuchał go, przyjrzał się efektowi, uniósł brwi i schował chustkę. Później znów sięgnął po szklankę.

– Niech zgodnę. Jednemu z jego skalibrowanych umysłowo robotów przepaliły się obwody.

– Zawsze podejmował takie ryzyko – odparł Whelan. – Ale wygląda na to, że nie przyszło mu to do głowy. Wydawało mu się, że wyhodował oddział żołnierzy doskonałych. Potrafili świetnie posługiwać się bronią, materiałami wybuchowymi, wiedzieli, jak żyć, żeby nie rzucać się w oczy. Ale cały sens programu Kukułka polegał na tym, że biorący w nim udział musieli wierzyć, że są tymi, na których ich wyszkolono. Chciał mieć terrorystów i dokładnie to uzyskał. Przynajmniej w jednym przypadku. A tak w ogóle miał na imię Yves. O ile to ma znaczenie.

– A nie Robert Winters – zauważył Lamb.

– Nie. No cóż... Falszywe tożsamości były częścią tego procesu.

– I coś mi się wydaje, że zostały całkiem profesjonalnie spreparowane. – Lamb wyciągnął skądś papierosa i wetknął go w kącik ust. – To pewnie było częścią pakietu startowego, prawda? Razem z materiałami wybuchowymi, których użył pod swoim płaszczem samobójcy. To znaczy nie potrafię

sobie wyobrazić, żeby dotarł tu przez tunel z tym wszystkim w podręcznym bagażu. To by już była nie opieszłość, lecz pełny relaks u służb.

– Nie – odparł po dłuższej chwili Whelan. – To wszystko było już na miejscu. Frank miał ukryte zapasy po napadzie na skład broni na początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy sądzono, że to była operacja IRA, ale...

– Ale to Frank wykorzystał informacje, które zdobył. I wszyscy wiemy, skąd te informacje pochodziły. – Lamb zapalił papierosa i na chwilę spowił go siwy dym. Gdy się rozwiął, wydawało się, że ma żółte oczy. – Z tego samego miejsca co fundusze, których użył, by w ogóle założyć Les Arbres.

– Rozumiesz pewnie, że niespecjalnie nam zależy, by ten szczegół pojawił się w raporcie – powiedział Whelan.

– Och, rozumiem, że mógłby nie zostać dobrze przyjęty u Tego z Głębi Korytarza – zauważył Lamb. – To znaczy oczekuje się od nas, że będziemy chronić obywateli, a nie zapewniać świrom środki, by mogli ich masakrować. – Wypuścił dym. – Czyli jednemu z jego Mini-Me puszczają nerwy i zamiast próby przeprowadza prawdziwy zamach. I to dlatego Frank musi pozostawić po sobie spaloną ziemię. A na szczycie jego listy znajduje się David Cartwright.

– Wciąż nie jest dla nas jasne, jaką rolę odegrał w tym Sam Chapman – stwierdził Whelan.

– W tamtym czasie nosił za Cartwrightem walizki. Między innymi w Les Arbres.

– Ach. – Whelan machnął ręką, by rozgonić dym z papierosa Lamba. – To jeden z tematów, o których Harkness nie mówił tak chętnie.

– Podobnie jak o tym, w jaki sposób wciągnął w to Cartwrighta, robiąc dziecko jego córce? Tego podejścia nie uczą was w szkole dla szpiegów. Ale powiedzieć ci, co mnie najbardziej zainteresowało? – Lamb zaciągnął się głęboko i gdy odezwał się znowu, w jego głosie słychać było napięcie. – To, że użyłeś czasu przeszłego. „Nie mówił” tak chętnie... Miał jakiś wypadek, prawda?

– Niezupełnie...

Lamb wpatrywał się w niego i Whelanowi się wydało, że jego żółte oczy przebarwiają się na czerwone.

– Chyba mi, kurwa, nie chcesz powiedzieć, że go wypuściliście?

– Jak już ustaliliśmy – odparł Whelan – nie chcemy, żeby opinia publiczna poznała pełną wersję tej historii. I nie zapominaj, że on wciąż ma towarzysza na wolności. Jeśli... przewiążemy jego akta czarną wstążką...

– Albo wpakujecie mu kulkę w głowę...

– ...możemy być pewni, że to do nas wróci.

– A nie wróci, jeśli pozwolicie mu żyć?

– Robimy, co możemy – powiedział Whelan. – Ale jesteśmy zdani na łaskę wydarzeń. Mamy do czynienia z jednym wielkim bajzłem. Nie da się tego posprzątać. Najlepsze, na co możemy liczyć, to... zminimalizowanie skutków.

– Czyli facet sieje pierdolone spustoszenie, żeby jego historia nie wyszła na jaw, a na koniec to my wykonujemy za niego całą robotę? Następnym razem zażąda sponsoringu. Gdzie w tej chwili jest?

– Zerwał się ze smyczy jakieś dziesięć minut po tym, jak trafił na ulicę.

– Czyli nie ma w tym wszystkim absolutnie nic, co stawiałoby nas w dobrym świetle, prawda?

– Nie, niespecjalnie.

– Cholerne *plus ça change*. Przysięgam na Boga, że przeszedłbym na drugą stronę, gdyby w dzisiejszych czasach było dokąd przejść.

Opróżnił szklankę.

Whelan upił kolejny łyk ze swojej, a potem odstawił ją – wciąż prawie pełną – na biurko Lamba.

– Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, to uruchomiłem procedurę, by rodzina Longridge’a dostała odpłatną pośmiertną. Pięcioletnia pensja, wolna od podatku. Wszystko powinno być załatwione do końca tygodnia. Najpóźniej na początku przyszłego. Pomyślałem, że może będziesz chciał powiadomić jego żonę.

– Pięcioletnia – powtórzył Lamb.

– Standardowe warunki.

– Tyle tylko że Longridge zginął w trakcie operacji.

– Że co proszę?

– Przecież mówię. Brał udział w operacji.

– Z tego, co rozumiem, w Slough House pracuje się za biurkiem.

– Ale mam uprawnienia kierownicze. Jest tak gdzieś napisane, nie będę sobie zwracał dupy szukaniem papierów. W każdym razie wczoraj po południu wysłałem Longridge’a i Guy na ulice i do chwili, gdy podpiszę jego raport, pozostaje agentem biorącym udział w działaniach operacyjnych. Nie wydaje mi się, żeby w najbliższej przyszłości wystukał coś na komputerze. A w związku z tym...

– Mówisz poważnie?

– Przysługuje mu wyższe świadczenie dla aktywnego agenta. A raczej jego rodzinie. Tam, dokąd trafił, pieniądze nie są na nic potrzebne. Dziesięcioletnia pensja, nie pięcioletnia.

Whelan pokręcił głową.

– Dział prawny nigdy się na to nie zgodzi. I do mnie też to ledwie przemawia.

– To nieważne. To i tak nie trafi do działu prawnego. Podpisz to rano i przekaż do działu finansów. Lady Di wciąż pozwala ci podpisywać papiery, co?

– Lamb, naprawdę bardzo ci współczuję. Straciłeś agenta. Ale wyższe świadczenia przysługują tylko agentom pracującym w terenie i nawet przy najlepszej woli...

– Wiesz co? Zamknij się, kurwa. I pozwól, że wyjaśnię ci dlaczego. Moira Tregorian, pamiętasz ją? To ta podstarzała szkolna kucharka, którą tu wysłałeś w pierwszym dniu swoich rządów. Wczoraj spędziła mnóstwo czasu ze starym Cartwrightem i uwierz, zdała mi z tego bardzo szczegółowy raport. Wkurwiłem się, zanim zdołała dokończyć zdanie. W każdym razie jednym ze szczegółów, jakimi się ze mną podzieliła, było to, jak wymieniał imiona rycerzy Okrągłego Stołu. Wkręcił się w to, pomieszało mu się we łbie, a ona zaczęła się zastanawiać, gdzie ostatnio obito jej się o uszy imię Galahada. – Lamb rozparł się wygodniej. – Byłeś kiedyś przy tym, jak Moira Tregorian próbuje sobie przypomnieć, gdzie coś po raz pierwszy słyszała? Możesz sobie wtedy wypierdalać do domu i przeczytać *Władcę pierścieni*, a kiedy wrócisz, ona wciąż będzie o tym gadać. W każdym razie w wielkim skrócie wciąż sobie nie przypominała. Ale ja się domyślam, gdzie to mogło być. Mam mówić dalej?

Whelan przyłapał się na tym, że znów trzyma szklankę z whisky; zamarł w trakcie unoszenia jej do ust. Spróbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Odchrząknął i powiedział to jeszcze raz:

– Nie ma takiej potrzeby.

– A co tam, do diabła. Obaj jesteśmy obytymi ludźmi. Za rzeką byłeś Galahadem, prawda? Nie miała o tym pojęcia, ale ja dowiedziałem się tego w trzydzieści sekund. A mój człowiek, Ho, nie potrzebował wiele więcej czasu, by wyszukać w księdze dyżurów nocne, kiedy to Tregorian była oficerem dyżurnym. I wiesz co? Jesteś tam. Galahad zgłaszała, że trzeba go wyciągnąć z kłopotów.

– Słyszałem już dość, Lamb.

– Plotka głosi, że jesteś bardzo szczęśliwy w małżeństwie. Że robisz z tego faktu hollywoodzki musical. Więc jak to się stało, że trzeba było cię ratować ze szponów londyńskiej policji, Claude? Po

tym, jak zgarnęli cię za łowienie panienek w London Fields. Okazuje się, że robisz to bardzo regularnie. Że każdego wieczoru szukasz dziwek. Oglądasz, ale nie kupujesz, coś takiego zawsze martwi pracującą dziewczynę. Myślę, że pewnie trafiły na świra. – Lamb uśmiechnął się krzywo. – Czyli w sypialni nie jest za różowo? Twoja śliczna żona w pewnych sprawach jest nieco chłodna?

– Claire... ona... to się ciągnie już od kilku lat... Słuchaj, to nie twój interes. Nic ci do tego. Mamy bardzo szczególne małżeństwo.

– Tyle że niespecjalnie aktywne.

– Zamknij się! Jak śmiesz?! Co ty w ogóle możesz wiedzieć o... Po prostu, po prostu się zamknij. I tyle.

– Nie mój interes, masz rację. Albo raczej to nie był mój interes do chwili, gdy dowiedziałeś się, że zostałeś Pierwszym Biurkiem, i zacząłeś się martwić, że Tregorian zajmie się jakąś okropną matematyką. To znaczy, wiesz, doda dwa do dwóch. Nietrudno się dowiedzieć, który pies przyszedł cię wyrwać ze szponów policji. Nic nie zapewnia tak lojalności jak awans. Ale plotek nie da się przekupić, co? Albo i się da, ale to, kurwa, niewiele pomaga. Najlepiej było się jej pozbyć, zanim zaczęła coś kojarzyć. Niektórzy by powiedzieli, że to trochę niesprawiedliwe, ale tak już wygląda samo życie w najwyższej lidze, co, Claude?

– Powiedziałeś swoje.

– Dobrze. W każdym razie Tregorian przechodzi na emeryturę. Z powodów zdrowotnych. Zespół pourazowego moczenia się w łóżku czy jak tam to się teraz politycznie poprawnie nazywa. Wygląda na to, że wszystkie te zwłoki, które tu zobaczyła, zniechęciły ją do powrotu do pracy. A więc możesz dodać do swojej listy załatwienie jej emerytury. – Na twarzy Lamba pojawił się krokodyli uśmiech, równie fałszywy jak krokodyle łzy. – Wtedy obaj będziemy ją mieli z głowy.

Whelan wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, ale Lamba nie zbiło to z tropu. W końcu Claude spytał:

– A co z tobą?

– Jak to co ze mną?

– Czego trzeba, żebym ciebie miał z głowy? – Rozejrzał się po gabinecie. – Biurka w Regent's Park?

– Cóż, cieszę się, że ucieliśmy sobie tę miłą pogawędkę – powiedział Lamb. Wrzucił papierosa do kubka z bardzo starą herbatą. Niedopałek utonął w niej na chwilę, a potem wypłynął na powierzchnię z kilkoma innymi. – Oczekuję, że rano odezwą się do mnie z działu finansów. Z łaski swojej, zostaw drzwi otwarte. Dobrze? Lubię mieć lekki przeciąg.

Whelan się nie poruszył.

– O, przepraszam – dodał Lamb. – To ostatnie znaczyło: wypierdalał. Za rzeką nie nauczyli cię takich subtelności?

– Nauczyli mnie wielu rzeczy – odparł w końcu Claude Whelan. – Na pewno wkrótce znów się spotkamy.

Dopił to, co zostało w jego szklance, i postawił ją na biurku Lamba. Potem wyszedł. Tym razem pokonał schody bardzo szybko.

Kiedy drzwi na dole się zatrzasnęły, Catherine Standish wyszła z pokoju naprzeciwko i jak zwykle po cichu przeszła przez korytarz.

– Myślisz, że to ostatnie było groźbą? – spytał Lamb.

– Na pewno liczył na to, że tak pomyślisz.

– Hmm. – Lamb pochylił się nad biurkiem, by nalać resztę whisky do szklanki, której używał Whelan, a potem pchnął ją w stronę Catherine.

Usiadła.

– Jeśli przetrwa kolejny miesiąc z Dianą Taverner, może zacznę traktować go poważniej – powiedział. – Ale do tego czasu jest tylko gębą w garniturze. Miewałem wypróżnienia, które zmartwiły mnie bardziej niż on. – Zastanowił się nad tym przez chwilę. – W sumie to nawet całkiem niedawno.

– To już temat na inną okazję – rzekła Catherine. – Zrobiłeś coś dobrego. To znaczy dla Cassie.

– A kto to jest Cassie?

– Żona Marcusa.

– Po prostu lubię wkurwiać dział finansów, wiesz o tym.

– Nie powiedział nic na temat Patrice'a.

– Cóż, pewnie wciąż robią mu sekcję. Na pewno nie chcą wyciągać pochopnych wniosków co do przyczyny śmierci tylko dlatego, że było w nim parę dziur.

Catherine sięgnęła po szklankę i uniosła ją oburącz, jakby to był kielich. Lamb zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

– Powstrzymałeś Shirley, kiedy chciała zmusić go do mówienia – zauważyła.

– Mhm. Gdyby brakowało mu kilku paznokci albo miał wodę w płucach, mogłoby być trudno utrzymywać, że to była „samoobrona”.

– Zdajesz sobie sprawę, że na pewno ma otarcia po tym, jak go skuliśmy?

– To by wyjaśniało, dlaczego był taki wściekły i niebezpieczny, kiedy się uwolnił. Byliśmy zmuszeni użyć drastycznych środków.

– Lamb...

– Do kurwy nędzy. On zabił agenta, nie wspominając o byłym szpiegu. Myślisz, że kogokolwiek będzie obchodzić, kto go wysłał na tamten świat? Kiedy już skończą z jego zwłokami, spalą je i wywalą prochy. Nikt nie będzie drążył tematu.

– A co z Coem?

– No tak, Coe – powiedział Lamb. – Wiesz, myślę, że się może do tego nadawać.

– Zastrzelił nieuzbrojonego człowieka, Jackson. Przykutego do kaloryfera.

– Dobra, może temu, kto go wymalował, trochę trzęsły się ręce. Ale Coe wykonywał zadanie. Myślisz, że zamierzałem patrzeć, jak tego francuskiego gnojka wywożą suką? Kiedy miałem agenta rozsmarowanego na ścianie na dole?

– Czyli pozwoliłeś, żeby wykonał za ciebie brudną robotę? To do ciebie niepodobne.

– Dobry szef zapewnia pracownikom okazje do rozwoju. Myślę, że wszyscy coś zyskaliśmy tego dnia.

– Lamb, to nie jest śmieszne. Coego należałoby aresztować albo wysłać do specjalisty. Jedno albo drugie.

– Mam to gdzieś. Tracę ludzi z szybkością, którą można by mierzyć w węzłach.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że to nieważne, że ludzie odchodzą. Że zawsze znajdą się inni popieprzeńcy, którzy zajmą ich miejsce.

– Lubię, kiedy przeklinasz. Wypijesz to?

– A nie po to mi to dałeś?

– Siła przyzwyczajenia.

– O tak, dziękuję – powiedziała Catherine. – Zdaję sobie sprawę, jak działają przyzwyczajenia.

Na dowód tego, że nie tylko ona to wie, Lamb zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się, wyjął go z ust i kolejne pytanie skierował bardziej do niego niż do Catherine.

– To jak, wracasz?

– Prosisz mnie?

– Właśnie to zrobiłem.

– Nie, spytałeś mnie, czy wracam. To coś innego niż spytanie mnie, czy bym chciała.

– Dobrze, że nie pijesz – stwierdził Lamb. – Nie chcę nawet myśleć, co byś mogła nawywiijać pijana.

Catherine uniosła szklankę do ust i wciągnęła zapach whisky. Uśmiechnęła się pod nosem, ale bardziej do siebie niż do Lamba. Potem odstawiła ją z powrotem na biurko.

Lamb sięgnął po nią i przelał sobie jej zawartość.

– Shirley jest w okropnym stanie – powiedziała. – Roddy też. Bóg jeden wie, co będzie z Riverem. A Coe... cóż, rozmawialiśmy już o nim. Albo ma zespół stresu pourazowego, albo jest psychopatą. Zaslugujesz na to, żeby męczyć się z tym samemu.

– Zamknąłbym ich w jednym pokoju i kazałbym im walczyć o broń.

– Oczywiście zawsze pozostaje Louisa. Ona jest dość solidna.

– Cóż, to względne, nie sądzisz? – odparł Lamb. – Najmniej pojebany pracownik tygodnia. Powinniśmy mieć taką plakietkę.

– Zanotuję to sobie – powiedziała Catherine. Potem wstała i przesłała przez korytarz do swojego pokoju, z którego wyłoniła się chwilę później ubrana w płaszcz.

Narobiła niewiele hałasu na schodach, przyzwyczajona do ich repertuaru skrzypienia i jęków. Nawet drzwi na tyłach choć raz dla odmiany zachowały się jak należy i opuściła Slough House z niewielkim wysiłkiem i robiąc mało hałasu.

Kilka chwil później wyłączyło się ogrzewanie.

Slough House ogarnia chłód, tak jak to chłody mają w zwyczaju; chłód, któremu towarzyszy seria bulgotów i jęków, gdy prastary bojler rozpoczyna swoją nocną gehennę wysysania ciepła z powietrza. Z najwyższego piętra cały ten proces brzmi jak grzechotanie starych blaszanych kości, a nigdzie kości nie grzechoczą tak jak w gabinecie Jacksona Lamba. Lamb przysłuchuje się, jak jego kaloryfer umiera; pali ostatniego papierosa i wypija ostatnią szklankę. Potem wstaje, zostawiając włączoną lampę, by rzuciła znużony blask na pusty pokój; wbija się w prochowiec i wlece się piętro niżej, wyciskając głośne skargi z każdego stopnia schodów.

Zatrzymuje się przy kuchni. Pokoje na tym piętrze są teraz pozbawione drzwi i może zajrzeć do biura Louisy Guy z niedawno wyszorowanym i zdezynfekowanym fragmentem dywanu rozmiarów i kształtów martwego Sama Chapmana. Nie wie tego, ale nie zdziwiłby się, gdyby się dowiedział, że mimo wczesnej pory Louisa już śpi; podejrzewa, że w ostatnich miesiącach osiągnęła jakieś pozory wewnętrznego spokoju i że w tych okolicznościach też wybrałby sen. Po drugiej stronie znajduje się pokój Rivera Cartwrighta, który teraz jest też pokojem J.K. Coego. Cartwright zapewne nie planuje spania w najbliższym czasie, ale w końcu, myśli Lamb, Cartwright musi sobie przyswoić dość radykalne nowe informacje; na przykład, że zawdzięcza swoje przyjsięcie na świat i swoje istnienie mesjanistycznym planom szalonego szpiega, podobnie jak całe swoje późniejsze życie zawdzięczał marzeniom zaszczipionym mu przez innego agenta. Bo Lamb nie wątpi, że David Cartwright minął punkt, po którym nie ma już odwrotu; nieodwracalnie zapadał się w mentalny półmrok, dręczony świadomością, że to, co wiele lat temu pomógł zasiać po drugiej stronie kanału, zakwitło kolorami jatk

na jego własnym progu. Jak się z tym pogodzi młodszy Cartwright i czy kiedykolwiek mu się to uda, to – jak zauważyła niedawno Catherine Standish – temat na inną okazję; Lamb nie traci zbyt wiele czasu na rozważania, czy stary Cartwright zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za swoje dawne grzechy. Przez większość życia pracował w terenie i gdy gasną światła, wciąż jest agentem pracującym w terenie. A tacy ludzie szybko się uczą, że ci, którzy tworzą zasady, sami rzadko muszą ich przestrzegać.

Jeśli chodzi o Coego, Lamb mówił to Standish szczerze: że J.K. Coe może się do tego nadawać. Jednak w przypadku Lamba „nadawanie się” może wcale nie być tak pozytywnym określeniem, jak to zwykle bywa. Innymi słowy, można by powiedzieć, że Coe może być użyteczny dla Lamba, a to nie zawsze wzbudza zachwyt tych, których taki los spotyka. Bez względu jednak na to, jaka czeka go przyszłość, w tej właśnie chwili J.K. Coe również rozgląda się po pustym pokoju; w jego przypadku jest to pokój dzienny, w którym niewiele przebywał w ciągu ostatniego roku po tym, jak spędził tam wieczór nagi i przerażony, zdany na łaskę niebezpiecznego człowieka. Od tamtej pory nie było takiej nocy, by Coe nie wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, jakie znów czekają go męczarnie, ale z jakiegoś powodu czuje, że dziś może uda mu się zasnąć i nic mu się nie przyśni. Rozgląda się i postanawia, że w najbliższy weekend poprzestawia meble albo może wystawi je na chodnik, żeby ktoś je przygarnął, i kupi sobie nowe. Wyciąga przed siebie ręce, szeroko rozsuwa palce i widzi, że prawie się nie trzęsą. Muzyka w jego głowie nie do końca umilkła, ale przynajmniej palce się nie poruszają.

Kolejne półpiętro. Na tych ścianach są plamy, które nawet dla Lamba pozostają zagadką; plamy, które pojawiają się jakby z własnej woli, a mimo to wyglądają, jakby zawsze tu były. Zdaje sobie sprawę, że jego kulawe konie miewają czasem podobne myśli o nim samym.

Na kolejnym piętrze znów przystaje. To tu znajduje się pokój Rodericka Ho, a jego miejsce pobytu, zajęcia, nadzieje, marzenia i pragnienia obchodzą Lamba tylko wtedy, gdy chce któreś z nich pokrzyżować. Nie obchodzi go więc to, że w tej chwili Ho wyjaśnia Kim – swojej dziewczynie – że nie był w stanie wyświadczyć przysługi, o którą go prosiła, bo coś mu wypadło w pracy. Albo że – gdy Kim z rozdrażnieniem sugeruje, że to, co mówił o swoich zdolnościach, nie było prawdą, i że mówiąc wprost, jest niegodnym zaufania mitomanem – reakcją Ho, kotku, jest zamknięcie oczu i odtworzenie w głowie tego, co się nigdy nie wydarzyło: jak nagle wyłonił się ze swojej kryjówki, obezwładnił samotnego zabójcę i przywrócił Marcusa do życia... Niewiele światła może się przedostać przez jego zamknięte powieki, ale przeciska się przez nie maleńka łza. Zresztą, mniejsza z tym.

Drugi to pokój Marcusa i Shirley, a teraz tylko Shirley. Pachnie świeżością, ponieważ został pomalowany, ale malarz wykonał swoją robotę zgodnie z etosem Slough House, czyli bez zapału i dość niedbale. To prawda, że ściana za biurkiem Marcusa od lat nie była tak biała, ale pomalowano tylko jej środkową część, przez co nawet niezbyt uważny obserwator zadałby sobie pytanie, co takiego zostało zamalowane, a nawet wyobrażał sobie, że w tej świeżości coś śmierdzi. Coś, czego nie do końca można się pozbyć, o chorobliwie nierównej teksturze i pozostające na dłużej.

Alte Lamb nie zamierza całymi dniami wpatrywać się w ścianę. To przypadnie Shirley Dander, która teraz jest w jakimś nocnym klubie; niestosownie wcześniej wyszła na parkiet i wszystkim, którzy na nią patrzą, wydaje się, że świętuje coś wspaniałego; wymachuje rękoma w niekontrolowanej ekstazie, na tyle agresywnie, by nikt się nie mógł do niej zbliżyć i przejrzeć na wyłot jej udawanej radości. Dziś wieczorem jest derwiszem, kapłanką własnej nowej religii, a przedmiotem jej adoracji jest furia. Bo Shirley nie próbuje kontrolować swojej złości; pozwala jej zapuścić korzenie, będzie pielęgnować ją w sobie, a gdy przyjdzie czas, uwolni się od niej.

Oczywiście Lamb żadnej z tych rzeczy nie wie, ale domyśla się. Domyśla się.

Ostatni odcinek schodów. Teraz jest przy drzwiach na tyłach, które jak zwykle się zacinają, jakby nie chciały go wypuścić, ale Lamb i tak wychodzi, postępując i napierając na nie ramieniem. Gdy zamyka je za sobą, przystaje na przeżartym grzybem podwórzu i spogląda w górę na tych kilka dzielnych gwiazd, które ma do zaferowania Londyn. Ale żadna z nich nie rzuca swego blasku na Slough House. Słabe światło widać za to w oknie jego gabinetu kilka pięter wyżej; światło, które zwykle zasłaniają wiecznie opuszczone żaluzje, ale któremu i tak udaje się przecisnąć przez brudne szyby. Przez chwilę Lamb jest porażony tym, jak jego pokój, jego gawra, jego życie wyglądają z zewnątrz, ale to mija. Potem z postawionym kołnierzem opuszcza podwórze i nikt nie widzi tego, jak odchodzi.

Podziękowania

Jak zawsze dziękuję wszystkim z Soho Press w Nowym Jorku, a zwłaszcza Bronwen Hrusce.

Tu, w Wielkiej Brytanii, mój redaktor Mark Richards podsunął mi pomysł statku w kamuflażu *dazzle* – i to dosłownie; staliśmy wtedy na dachu budynku – i jestem mu za to i za wiele innych rzeczy wdzięczny. Chciałbym też podziękować wszystkim z zespołu Johna Murraya, a zwłaszcza Nickowi Davisowi, Rossowi Fraserowi i Becky Walsh. Yassine Belkacemi to prawdziwa gwiazda.

Juliet Burton jest moim literackim ochroniarzem dłużej, niż oboje mamy ochotę pamiętać, i kiedy nie analizuje drobnego druczku, pomaga mi nadążyć za *The Archers*, dzieli się ze mną bólem i chwałą, jakie wiążą się z byciem angielskim miłośnikiem krykieta, i ogólnie jest wszędzie tam, gdzie jej potrzebuję. Dziękuję ci, moja droga.

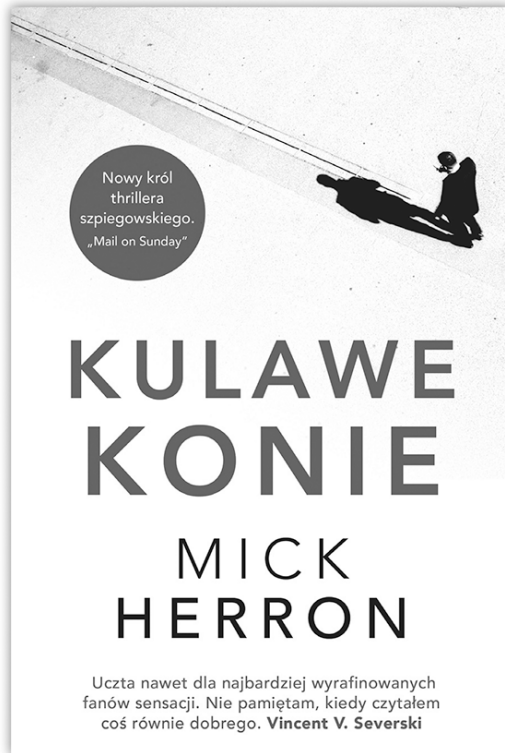
Pragnę też z różnych powodów podziękować Alanowi Juddowi, Chrisowi Edwardsowi, Daphne Wright, Helen Giltrow, Jamiemu Laurensonowi, MSJ, Nickowi Smithowi, Sarah Hilary, Willowi Smithowi, mojej mamie, mojemu rodzeństwu, ich partnerom i ich dzieciom.

Ci, którzy liczą na to, że znajdą HMS President przy Victoria Embankment, zawiodą się, ponieważ jakiś dzień po tym, jak skończyłem *Ulicę Szpiegów*, statek zniknął ze swojego miejsca postoju. Mam dar do osadzania scen powieści w miejscach, które szybko zostają wyburzone, zagospodarowane na nowo albo po prostu znikają. Z wdzięcznością przyjmę wszelkie sugestie, jak mógłbym ten talent spieniężyć.

MH

Oksford

lipiec 2016

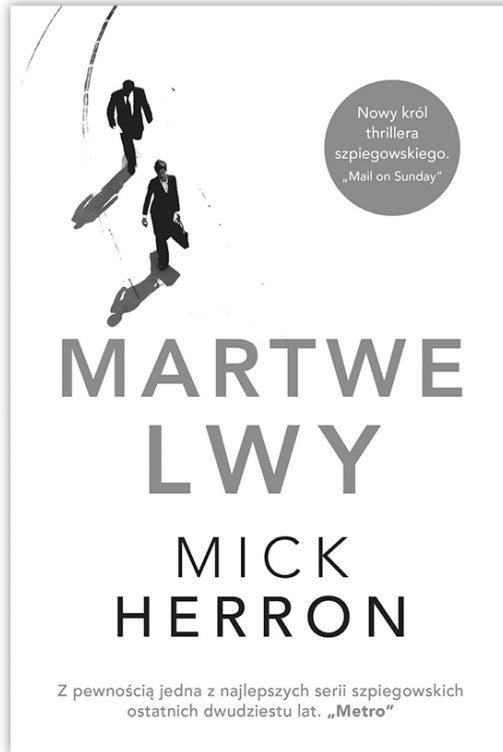


Wykluczeni z grona czempionów z Regent's Park, zesłani do Slough House za narkotyki i pijaństwo, za rozpustę i wypadki, za politykowanie i zdrady... Fatalnie dobrani i znakomicie wyszkoleni przeciętniaci pod wodzą Jacksona Lamba nie przeprowadzają już operacji. Przekładają tylko papiery.

Żaden z nich nie wstąpił jednak do kontrwywiadu po to, by stać się kulawym koniem.

Zostaje porwany chłopak. Zapowiedziano internetową transmisję na żywo z jego ścięcia.

Ogórne instrukcje są jednoznaczne – ale przecież kulawe konie ze Slough nie będą siedzieć cicho i patrzeć...

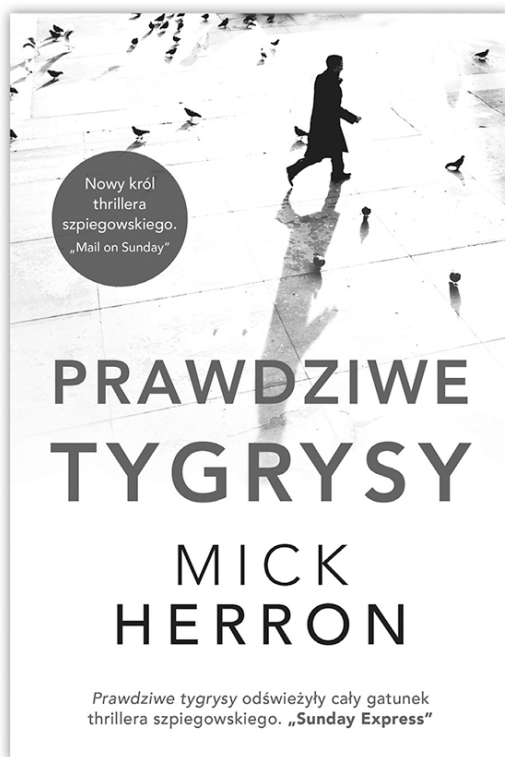


Trudno uważać Dickiego Bowa za oczywisty cel zamachu.

Szpieg jednak zawsze pozostanie szpiegiem. Z Dickiego był całkiem niezły tajniak – robił za cień, a potem kładł szefom na biurka cudze sekrety. Właśnie znaleziono go martwego w autobusie.

Przed laty Dickie Bow siedział z Lambem w zoo szpiegów – w Berlinie. A teraz Lamb ma już tylko telefon dawnego kumpla z jego ostatnią tajemniczą wiadomością, która pozwala sądzić, że pod samym nosem brytyjskiego kontrwywiadu ktoś prowadzi operację w starym moskiewskim stylu.

W Slough House, przechowalni skompromitowanych agentów, Jackson Lamb i jego ekipa znów ruszają do akcji...



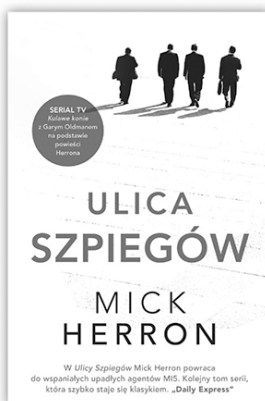
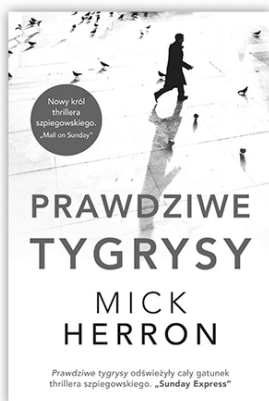
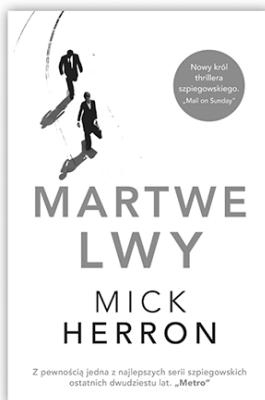
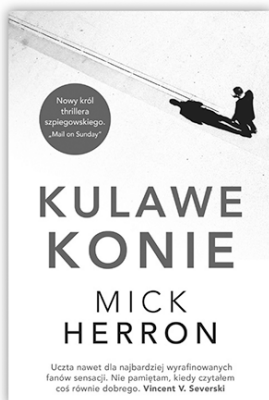
Catherine Standish wie, że szpiegom nie zdarzają się przypadkowe spotkania. Pracuje w kontrwywiadzie wystarczająco długo. Zdążyła się już przekonać, czym są zdrada, dwulicowość i wbijanie noża w plecy.

Nie ma jednak pojęcia, w jakim celu ktoś mógłby obrać za cel właśnie ją – alkoholiczkę na odwyku, która w królestwie Jacksona Lamba wraz z resztą przegrywów przekłada papiery z jednej sterty na drugą.

Ktokolwiek przetrzymuje Catherine jako zakładniczkę, na pewno nie robi tego z powodów osobistych. Chodzi mu o Slough House. A najprawdopodobniej o samego Jacksona Lamba.

Lamb... Da się o nim wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że mógłby zostawić swojego człowieka na lodzie. W zasadzie pod tym względem można mieć do niego bezgraniczne zaufanie...

NIGDY NIE LEKCEWAŻ TYCH,
KTÓRZY NIE MAJĄ NIC DO STRACENIA



KOLEJNE CZĘŚCI W PRZYGOTOWANIU